

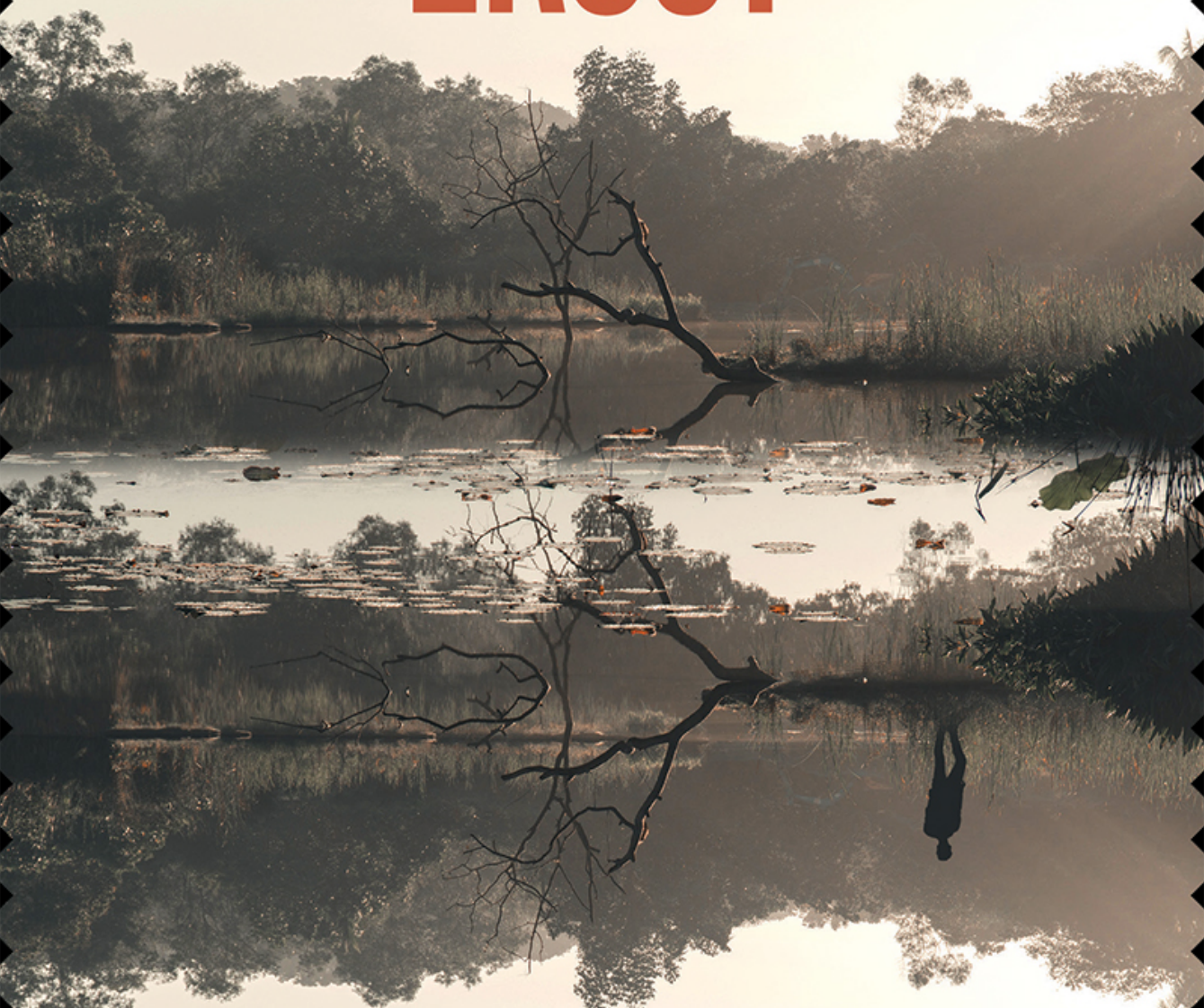
R O B E R T



MAŁECKI

Są tropy prowadzące donikąd i te, za którymi strach iść.
Bo zmarłym należy się spokój.

ZROST



Komisarz Bernard Gross powraca!

R O B E R T
MAŁECKI

ZROST

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Karta redakcyjna

Dzień pierwszy

Rok 1945, styczeń

Dzień drugi

Rok 1945, styczeń

Dzień drugi, później

Rok 1945, styczeń

Dzień trzeci

Rok 1945, styczeń

Dzień trzeci, wieczorem

Dzień czwarty

Rok 1945, styczeń

Dzień czwarty, po południu

Dzień siódmy

Rok 1945, styczeń

Dzień siódmy, później

Rok 1945, styczeń

Dzień siódmy, później

Rok 1945, późna wiosna

Dwa dni później

Następnego dnia

Dwa miesiące później

Dzień następny

Posłowie

Podziękowania

Opieka redakcyjna: EWELINA KOROSTYŃSKA

Redakcja: BIANKA DZIADKIEWICZ

Korekta: ANNA DOBOSZ, MICHAŁ KOWAL, MARIA ROLA, AGNIESZKA STĘPLEWSKA

Projekt okładki i stron tytułowych: TOMASZ MAJEWSKI

Zdjęcie na okładce: Jeremy Kwok/Unsplash

Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ

© Copyright by Robert Małecki

© Copyright by Wydawnictwo Literackie, 2023

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07899-0

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

tel. (+48 12) 619 27 70

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

DZIEŃ PIERWSZY

Nieruchome ciało, kilkakrotnie przewiązane liną w pasie, unosiło się na tafli jeziora.

Dryfowało na brzuchu, z kończynami i głową zanurzonymi w lodowatej wodzie, więc nie było wątpliwości, że kobieta lub mężczyzna – co wciąż nie było jasne – nie żyje od dłuższego czasu.

Drugi koniec czarnego sznura znikał w toni. Raz się napinał, a raz rozluźniał, utrzymując zwłoki na uwięzi.

Komisarz Bernard Gross zauważył topielca kwadrans temu, gdy wszedł na stary drewniany pomost wędkarski. Noc rozplywała się wtedy w szarościach przedświt, a zimowa mgła z wolna ustępowała.

Podeszwy jego skórzanych półbutów ślizgały się na oblodzonych deskach i obawiał się, że wpadnie do zimnej wody. Stąpał uważnie za każdym razem, zanim przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą, opierał but o deskę i pocierał lekko protektorem, aż ten złapał przyczepność.

Kładka, wzdłuż której rosło sitowie, liczyła nie więcej niż kilkanaście metrów długości. Ucieszył się, gdy wreszcie dotarł na sam jej koniec. Stał tuż przed ostatnim zmurszałym i zapadniętym przesłem obmywanym przez wodę. Cichy chlupot drobnych fal liżących stare deski zdawał się jedynym dźwiękiem w tej pozornej ciszy budzącego się do życia mroźnego grudniowego dnia.

Mgła unosiła się i odsłaniała coraz większą połąć jeziora, którego kolor przypominał gładką, wypolerowaną stal.

Gross rozejrzał się, sięgnął po latarkę, a potem ją włączył.

Strumień światła układał się miękko na tafli, gładząc ją, kiedy policjant przesunął nim z jednej strony na drugą. W pewnej chwili dostrzegł nieokreślony czarny kształt tuż za trzciniowiskiem.

Początkowo sądził, że widzi pień drzewa.

I wtedy, jak na zawołanie, powiał lodowaty wiatr. Przedmiot się przesunął, a wówczas Gross już doskonale wiedział, z czym ma do czynienia.

Serce zabiło mu mocniej.

Kilkukrotnie w swojej karierze policjanta służby kryminalnej obserwował dryfujące zwłoki. Lecz po raz pierwszy spotkał się z tym, żeby ciało oplatał sznur, który przywiązany do spoczywającego na dnie ciężkiego przedmiotu, nie pozwalał topielcowi odpłynąć.

Ale w opinii Grossa nie to było najważniejsze.

Chodziło o coś jeszcze.

O coś, co sprawiało, że trup utrzymywał się na powierzchni niczym wytrenowany pływak, który na chwilę rozluźnił mięśnie i teraz odpoczywa, korzystając z praw fizyki i wyporności ciała.

Bo przecież topielcy w słodkich wodach zawsze idą na dno.

Nad jezioro w Bielczynach komisarz Gross dotarł dwie godziny wcześniej.

Krótko przed szóstą rano zadzwonił do niego oficer dyżurny i wybudziwszy go z płytkiego, nerwowego snu, przekazał mu informację o odkryciu zwłok starszego mężczyzny w wyziębionym domu w pobliżu jeziora. Komisarz postanowił wybrać się w to miejsce z technikami kryminalistyki, którzy mieli przyjechać z Torunia i poczekać na niego pod chełmyńskim komisariatem. Kiedy dotarł we wskazane miejsce, z rury wydechowej nieoznakowanej kijanki buchały siwe kłęby spalin. Komisarz usiadł na tylnej kanapie i poprosił kolegów, by po drodze zabrali Monikę Skalską, jego prawą rękę w wydziale kryminalnym, ale okazało się, że aspirantka sztabowa pojechała na miejsce z patrolem prewencji. Ruszyli więc prosto do wsi, położonej na północny zachód od Chełmży.

Gęsta mgła, ciemność i oblodzenie dróg utrudniały jazdę. Szumiał silnik, radio szemrało, kierowca od czasu do czasu pochrząkiwał, jakby zmagając się z przeziębieniem. Mimo działającego nawiewu szyby zachodziły parą. Tę przy swoim siedzeniu Gross przetarł rękawem kurtki, ale i tak niewiele mógł dostrzec.

Wrócił myślami do nietypowego zgłoszenia.

Janusz Kowal, zażywny sześćdziesięcioletni właściciel piekarni, wracał z pracy i przejeżdżając obok posesji Stanisława Sądeckiego, starszego, samotnie mieszkającego sąsiada, zauważył, że we wszystkich pomieszczeniach włączono lampy. Ale nie to zaniepokoiło mężczyznę. Jego obawy wzbudziły otwarte na oścież drzwi i żółta plama światła, rozlana na nierównościach śniegu zalegającego przed wejściem. Wokół nie było żywej duszy.

Zazwyczaj po nocnej zmianie Kowal przywoził staruszkowi, który wstawał przed świtem, świeżo wypieczony chleb żytni. Tak było i tym razem. Skręcił więc w gruntową drogę, prowadzącą do niewielkiego szarego domu z płaskim dachem. Ale nawet gdyby poprzedniego dnia osiemdziesięcioośmioletni sąsiad nie zamówił bochenka, Kowal i tak zajrzałby do niego. Przeczował bowiem, że stało się coś złego.

Wysiadł z wozu i minął otwartą furtkę. Otrzeptał buty na wycieraczce i próbował wywołać sąsiada. Odpowiedziała mu złowroga cisza, dlatego zastukał w drzwi i ponowił wezwanie. Odczekał chwilę, a następnie wszedł do środka. Minął korytarz, potem rozświetloną kuchnię i ruszył w głąb wyziębionego domu.

Pamiętał, że gdy był już wewnątrz mieszkania, z ust wydobywała mu się para.

Ostrożnie zbliżył się do progu salonu i zamarł w bezruchu.

Wszystko wyglądało tak jak zawsze, z jednym wyjątkiem. Ulubiony fotel Sądeckiego stał odwrócony tyłem do wejścia i włączonego telewizora, z którego dobiegał tylko biały szum.

Nad oparciem fotela Kowal dostrzegł wystającą głowę sąsiada, który nie reagował na kolejne wezwania. Mimo to piekarz nie podszedł do niego i nie sprawdził, w jakim stanie jest mężczyzna. Nie wiedział też, czy stary Sądeś, jak go nazywano, jest ranny i potrzebuje pomocy medycznej. Wystraszony sytuacją Kowal po prostu uciekł do siebie, żeby zadzwonić na policję. W kieszeni kurtki miał rozładowany telefon, który padł jeszcze w pracy. Ładowarkę zostawił w domu.

Jednak zanim tam dotarł i podładował telefon, upłynęło trochę czasu.

W końcu zadzwonił. Odebrał dyżurny chełmżyńskiego komisariatu.

Kiedy Gross z ekipą techników dotarł na miejsce, Kowal stał przed policjantem blokującym wejście do domu Sądeckiego i chuchał w zziębnięte dłonie.

Radiowóz patrolu prewencji, który dotarł tu jako pierwszy, żeby zabezpieczyć miejsce zdarzenia, stał wzdłuż ogrodzenia, tyłem do nich. Niebieskie światło odbijało się od okien domu Sądeckiego, rytmicznymi uderzeniami smagało warstwę zmarzniętego śniegu i ginęło miękko w gęstej mgle.

Kowal rozmawiał z niskim sierżantem, ale gdy tylko funkcjonariusz skinął głową w kierunku nadjeżdżającej kii, mężczyzna zaczął się ślizgać w kierunku jezdni, dając znak kierowcy, żeby się zatrzymał.

Gross dostrzegł go przez boczną szybę. Otworzył drzwi, ale nie zdążył wysiąść, bo Kowal był szybszy i nachylił się do wnętrza samochodu.

– Jezu! On zniknął! – rzucił nerwowo, a parę z jego ust pochłonął mrok.

Gross spojrzał na niego pytająco.

– No, mówię panu, zniknął. Przysięgam – gorączkował się piekarz. – Stasiu tam był, siedział w fotelu, ale teraz go nie ma – dodał, wskazując szybkim gestem na dom Sądeckiego.

Komisarz kazał Kowalowi się odsunąć, po czym wysiadł z radiowozu.

W otwartych drzwiach domu zauważył ciemną kobiecą postać i jej cień, wykoślawiony na śniegu. Rozpoznał Monikę Skalską po bejsbolówce i długich prostych włosach, spiętych w koński ogon, który przełożyła przez tylną przelotkę w czapce. Lśniącą czarna kita zwieszała się do połowy pleców.

– Niech pan tu zaczeka – polecił Gross i poprosił technika, żeby podał mu ochraniacze na buty i parę gumowych rękawiczek, a następnie ruszył do podwładnej.

Skalka, jak ją nazywali, miała zaczerwienione, zziębnięte dłonie, które szybko wsunęła w puchowy ocieplacz założony na czarny polar.

Kiedy szedł w jej stronę, patrzyła na niego, intensywnie żując gumę.

– Możesz mi wyjaśnić, o co tu chodzi? – spytał.

– Obawiam się, że nie – pokręciła głową i przedstawiła mu to, czego wcześniej, w trakcie rozpytania, dowiedziała się od Kowala. – W każdym razie po Sądeckim nie ma śladu.

– Jak to: nie ma śladu?

– No, zwyczajnie. Nie ma go w domu. Nigdzie nie ma ciała.

– A skąd wiemy, że Sądecki zmarł? Skąd to przekonanie? – zirytował się komisarz.

Skalska milczała, zaskoczona jego napastliwością.

– Przed chwilą sama mi powiedziałaś – kontynuował komisarz, pozwalając, by kłębiący się w nim gniew znalazł ujście – że Kowal go nie dotykał, widział zaledwie czubek głowy staruszka. Jak niby miał stwierdzić, że ten człowiek nie żyje?

– Jezu, przecież mówię ci tylko, co ten chłop mi powiedział – obruszyła się, a Gross przymknął na moment oczy i odetchnął.

– Kręcił się tutaj, kiedy podjechaliście?

– Nie. Przyszedł chwilę później. Być może obserwował nas z okna. Mieszka w pobliżu.

– Przecież jest mgła. Niewiele widać. – Rozejrzał się ostentacyjnie, a Skalska wzruszyła ramionami.

– Koguta dostrzegł na pewno. – Wskazała brodą na radiowóz z błyskającym światłem i chciała odejść, ale Gross powstrzymał ją gestem.

– A wewnątrz co? – spytał.

– Nic. Sam zerknij, to pogadamy. Ja na razie przycisnę Kowala. I odwołam prokurator Bilską.

Skinął głową.

– No jasne, bo co jej pokazemy? Pusty fotel? – prychnął. – I dotrzyj do rodziny Sądeckiego. Może miał jakieś problemy ze zdrowiem i ktoś go zawiózł do szpitala albo zabrał do siebie, a Kowal to przegapił. Może niepotrzebnie panikujemy.

– Okej. Tak zrobię. – Już miała odejść, ale się zawahała. – Trochę nam to zajmie. A chodzi o starszego człowieka. Może ma problemy z pamięcią, koncentracją. Mróz i ta cholerna mgła nie pomagają...

– Tak, wiem. Rozejrzemy się. Wywołaj dyżurnego i poproś o wsparcie. Na razie bez paniki, bo może rzeczywiście staruszek jest już bezpieczny u rodziny lub w szpitalu, ale powinniśmy sprawdzić okolicę, przydrożne rowy.

– A jezioro?

– Mgła, jak na złość, nie ustępuje. Dlatego z tym akurat musimy poczekać do świtu. Ale jeśli ten starszy facet wszedł do jeziora, to pośpiech nie będzie już konieczny – dodał, a Skalska się odwróciła.

Obserwował ją, jak szła w kierunku kii, tam gdzie kazał zaczekać na siebie Kowalowi. Mężczyzna przestępował z nogi na nogę.

Obok samochodu kręcił się technik Marian Chęciński, wysoki, zgarbiony mężczyzna w wełnianej czapce. Jarek Bloch, niższy, krępy funkcjonariusz we flyersie w kolorze khaki, z trudem utrzymał równowagę na oblodzonej jezdni. Gdy tylko zdołał przytrzymać się maski, wyprostował się i zapalił papierosa.

Chmura siwego dymu uciekła na bok.

Zanim Gross wszedł do chłodnego wnętrza, naciągnął na buty jednorazowe ochraniacze i wsunął dłonie w lateksowe rękawiczki.

Przyjrzał się zamkowi w drzwiach i futrynie, ale nie odkrył żadnych śladów świadczących o włamaniu.

Minął krótki korytarz wyłożony boazerią, w którym wisiła zimowa męska czarna kurtka, a na ażurowej szafce stały dwie pary butów, i zajrzał do wąskiej kuchni.

Po jednej stronie znajdowały się szafki, zlewozmywak, kuchenka oraz brudna stara gazówka z żeliwnym rusztem. Do rogu przy przeciwległej ścianie dosunięty był stół, przykryty ceratą, a pod nim, w cieniu, chowały się trzy wysłużone drewniane taborety. Na blacie dostrzegł otwarty chlebak i pieczywo w folii. Obok stały słoik dżemu i talerz z okruchami. Nieco dalej połyskiwały blistry lekarstw, zgromadzone w pudełku po lodach.

Gross cofnął się do przedpokoju i zajrzał do łazienki.

Lustro nad umywalką odbijało obraz ściany z wiszącą nad wanną suszarką na bieliznę. Była pusta, nie licząc kilku kolorowych klamerek.

Pędzel do golenia wyglądał na suchy, ale mocno wysłużony. Obok niego, na szklanej półce pod lustrem, leżały maszynka na żyłki i niemal całkowicie zużyty krem w srebrnej tubie z logo Warsa.

Woda przelewała się z szumem z rezerwuaru do miski ustępowej, którą pokrywały brązowe zacieki.

Komisarz zamknął drzwi i zrobił dwa kroki do pokoju dziennego z niedużym płaskim telewizorem. W niewielkiej, tradycyjnie urządzonej przestrzeni dominowała meblościanka, pokryta ciemną drewnopodobną okleiną. Tylko jeden element wystroju zwrócił jego uwagę.

Stary fotel z przetarciami na podłokietnikach.

Mebel stał odwrócony tyłem do wejścia i do telewizora, a przodem do ściany, przy której znajdowała się niewielka komoda z telefonem stacjonarnym i kilkoma bibelotami. Gross

podszedł bliżej, żeby przyjrzeć się siedzisku i oparciu. Szukał tam bordowych albo rdzawych kropek, jednak tapicerka nie była poplamiona krwią.

Potem uniósł mebel z jednej strony i ocenił jego ciężar. Fotel sporo ważył. Manewrowanie nim nie było łatwe.

Policjant zastanowił się, w jakim celu odwrócono fotel przodem do ściany. Przez jakiś czas przyglądał się nierównościom starego tynku, drobnym odpryskom i spękaniom. Nieco dalej wisiał stary zegar Metronu z rzeźbionym frontem zdobionym ornamentyką roślinną. Błyszczała złota tarcza z rzymskimi cyframi, a wahadło wychylało się na boki.

Czasomierz tykał miarowo, czas płynął.

Komisarz przeszedł na środek pokoju i stanął przy ławie. Na blacie, zdartym przez lata użytkowania, piętrzył się stos starych gazet, na którym leżał pilot do telewizora.

Uwagę Grossa zwrócił zeszyt z krzyżówkami. Miał mocno pozaginane rogi. Na okładce, przedstawiającej uśmiechniętą brunetkę, spoczywał krótki, zatemperowany ołówek. Pomiedzy stronami, mniej więcej w połowie, tkwił biały kartonik. Komisarz otworzył zeszyt w tym miejscu, na szaradzie z kilkoma zapisanymi rubrykami, i wziął do ręki wizytówkę.

Zakład Pogrzebowy „Kondukt”.

Obejrzał ją z obydwu stron.

Odnotował nazwę w pamięci i odłożył krzyżówki na miejsce, w pobliżu niewielkiej figurki konia, odlanej z betonu. Miała drobną skazę – odprysk na uchu. Stała na korkowej podkładce, odwrócona w kierunku ściany z komódką, i przytrzymywała wypisaną odręcznie receptę. Rzadko takie widywał, bo teraz zwykle lekarze przekazywali pacjentom wydruki z systemu komputerowego oznaczone kodem.

Przyjrzał się nazwie leku, która nic mu nie mówiła.

Defidron.

Zrobił zdjęcie recepty, a potem spojrział ponownie na ścianę, którą wskazywał łeb betonowej figurki. Z tej perspektywy dostrzegł coś, czego wcześniej nie zauważył. Nad komodą odznaczał się jaśniejszy prostokąt.

Uznał, że w tym miejscu musiał wisieć obraz albo zdjęcie w ramie. Podszedł i zerknął za mebel, a ponieważ w ciemnej szczelinie niczego nie dostrzegł, odsunął go najpierw z jednej, a następnie z drugiej strony. Ujrzał jednak tylko kłęбки kurzu na parkiecie i kontakt elektryczny oraz gniazdo telefoniczne, do którego podpięty był szary kabel.

Gross z powrotem ustawił komodę na miejscu, a wtedy jego wzrok przyciągnęła połyskująca drobina, leżąca na podłodze obok nogi mebla. Zaintrygowany komisarz kucnął i przyjrzał się znalezisku.

Nieregularny kryształek szkła mienił się w świetle lampy.

Kiedy Gross wyszedł na zewnątrz, po Kowalu nie było już śladu. Skalska wraz z technikami ogrzewała się we wnętrzu nieoznakowanego toruńskiego radiowozu. Gdy podszedł do kijanki, zrobiła mu miejsce na tylnej kanapie.

– I jak? – spytała, kiedy usiadł obok.

Wzruszył ramionami.

– Jest tu coś dla nas do roboty, Bernardzie? – Chęciński, technik kryminalistyki i kierowca w jednej osobie, odwrócił się i spojrzał na policjanta przez ramię.

– Na razie nie, ale skoro już tu jesteśmy, przyjrzyjmy się okolicy.

– Dwa patrole obchodzą jezioro. Wciąż nie znaleźli Sądeckiego – dodała Skalka, a Gross skinął głową.

Bloch, który siedział przed nim na fotelu pasażera, westchnął.

– No, dobra, brygado. Oni robią swoje, a my swoje. Do roboty. – Technik odpiął pas. – Nie chcę powiedzieć, że się rozgrzejemy, ale odrobina ruchu nam nie zaszkodzi.

Poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów. Kiedy jakiś czas później ponownie chcieli się ogrzać w samochodzie, Gross uznał, że zrobiło się na tyle widno, by można było ze zniszczonego pomostu przyrzeć się spokojnej tafli wody.

I wtedy dostrzegł zwłoki.

Natychmiast wezwał strażaków z komendy w Chełmży. Jeden z nich, ubrany w czarne wodery, wszedł do jeziora. Mimo że ciało unosiło się kilkanaście metrów od brzegu, woda sięgała ratownikowi nie wyżej niż do połowy uda. To zaskoczyło Grossa.

Strażak podszedł do dryfujących zwłok i podał pomiar odległości od brzegu, a następnie pociągnął za znikający w wodzie sznur. Wyłowił czarny ciężarek, do którego przywiązany był koniec liny. Odwrócił się do zgromadzonych na brzegu policjantów i swoich kolegów, a także prokurator Bilskiej, która – ponownie wezwana – przyjechała po niespełna godzinie.

– Co to jest? – krzyknął Gross, gdy obok błysnęła lampa aparatu fotograficznego Jarka Blocha.

– Prosiak. Ciężarek kotwiczny – odparł strażak, a następnie przyjrzał się zwłokom. – Coś tu ma przyłączone, cholera. Na brzuchu. Wygląda, jakby...

Nie usłyszeli. Docierało do nich tylko mamrotanie.

– Niech pan niczego nie rusza i przyciągnie to ciało do brzegu – polecił komisarz.

Mężczyzna wykonał zadanie, a dwóch pozostałych strażaków przeniosło zwłoki na ląd. Odwrócili je na plecy.

– O Boże. To on! To Staszek! – krzyknął Kowal, który nie wiadomo skąd wyrósł za plecami policjantów.

Gross kazał funkcjonariuszom z prewencji zabrać sąsiada Sądeckiego jak najdalej.

– Rany boskie, rany boskie – powtarzał mężczyzna, odprowadzany przez posterunkowego w kierunku domu staruszka.

Dopiero gdy zniknęli za zabudowaniami, Gross mógł w spokoju przyjrzeć się zwłokom. Podeszedł do drobnego ciała starego mężczyzny, które leżało na zamarzniętym śniegu. Denat miał na sobie flanelową piżamę w szkocką kratę i był zupełnie boso. Woda ściekała z niego na lód.

Jarek Bloch zrobił kolejne zdjęcie i flesz błysnął, na ułamek sekundy rozjaśniając bladą twarz zmarłego.

– A to co? – spytała prokuratorka Justyna Bilka. Podeszła bliżej i palcem w skórzanej rękawiczce wskazała na miejsce w talii, gdzie lina opasywała staruszkę.

Między ciałem a sznurem tkwiła drewniana płyta.

Trzy godziny później, po skończonych zewnętrznych oględzinach zwłok, Gross wszedł do swojego gabinetu w chełmyńskim komisariacie policji i odkręcił do oporu termostat. Kaloryfer, przy którym zamierzał ogrzać zziębnięte dłonie, powoli się rozgrzewał.

Nastawił wodę i zalał liptona.

W drodze powrotnej z Bielczyn wstąpili na stację i kupili sobie hot dogi, które zdążyli zjeść po drodze, a kiedy dojechali już do komisariatu przy ulicy Sądowej w Chełmży, Gross pożegnał się z funkcjonariuszami i podziękował im za pracę. Marzył, żeby się ogrzać w ciepłym wnętrzu.

Skalska wróciła do jednostki wcześniej i w rozmowie telefonicznej przekazała mu, że zdobyła już namiary na syna Sądeckiego. Mężczyzna mieszkał w Chełmży, przy trasie na Bielczyny.

– Poinformujesz go o śmierci ojca czy ja mam to zrobić? – spytała.

– Zrób to, proszę, ale nie zdradzaj żadnych szczegółów. Odwiedzę go wkrótce – rzucił i zaraz dodał: – Tylko poproś go, żeby się nie ruszał z domu.

Skalska podyktowała mu adres mężczyzny, który Gross zapisał na niewielkiej żółtej kartce, a potem dodała:

– W takim razie ja biorę na siebie pozostałych sąsiadów Sądeckiego.

Podziękował jej i się rozłączył.

Komisarz odtajał z zimna i dopiero wtedy zdjął kurtkę.

Wypił łyk herbaty, usiadł za biurkiem i sięgnął po słuchawkę stacjonarnego, żeby wybrać numer wewnętrzny.

– Dyżurny – zgłosił się policjant.

– Potrzebuję nagranie rozmowy z Kowalem. Tej w sprawie zgłoszenia śmierci Sądeckiego.

– Żaden problem. Wrzucić ci na dysk wydziałowy?

– Tak byłoby najlepiej. Dziękuję – odpowiedział. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

Odłożył słuchawkę i schylił się, żeby uruchomić komputer.

– Proszę – rzucił i czekał.

Do gabinetu wszedł młody funkcjonariusz, którego komisarz poznał kilka miesięcy wcześniej, w to upalne lato, kiedy rozwiązywał sprawę zakrwawionego namiotu znalezionej na polanie w lesie, w pobliżu plaży płatnej. Miłosz Wiernat, bo tak nazywał się zdolny podkomisarz z zespołu do spraw przestępstw niewykrytych wydziału kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy, skinął głową i się przywitał.

– Byliśmy umówieni – przypomniał. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Gross otarł twarz.

Przez to, co zdarzyło się w Bielczynach, kompletnie zapomniał o spotkaniu z Wiernatem.

– Przepraszam – powiedział, zdając sobie sprawę, że spóźnił się co najmniej czterdzieści minut.

– Nic się nie stało. Komendantka zaprosiła mnie do siebie.

Młody policjant miał zająć się niewyjaśnioną od dziesięciu lat sprawą napadu na dom Grossa w Toruniu. To właśnie wtedy jego żona Agnieszka została niemal uduszona przez nieznanego sprawcę i potem zapadła w śpiączkę. Jakiś czas później trafiła do Zakładu Opiekuńczo-Leczniczego Fundacji „Światło” w Toruniu, gdzie – wciąż nieprzytomna – przebywa do dziś.

Gross pamiętał tamte zdarzenia, chociaż upłynęło już tyle lat, że zaczynała je spowijać lekka mgła.

Pojechał wtedy z jedenastoletnim synem na popołudniowe zakupy. Agnieszka została sama w domu. Walczyła z silną migreną i postanowiła położyć się do łóżka w sypialni na piętrze.

Fala mrozu powoli ustępowała wraz z niżem skandynawskim i do Polski zaczynało napływać cieplejsze powietrze oraz deszczowe chmury. Śnieg nie zdążył całkowicie stopnieć, a liczne kałuże wypełniły nierówności dróg.

Kiedy po powrocie ze sklepu Gross zajechał pod dom pogrążony w ciemnościach, dostrzegł w oknie sypialni krótkotrwały świetlny refleks. Pomyślał, że to blask reflektorów jego samochodu smagnał szyby, ale po latach, kiedy przypominał sobie tamtą chwilę, był przekonany, że to jednak błysk latarki. Może gdyby wówczas na to wpadł, od razu rzuciłby się na ratunek żonie i wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale wtedy po prostu zabrał zakupy,

które pomógł mu nieść Bartek, cały czas naciągał ojca na nową grę komputerową, i obaj ruszyli w kierunku furtki. Gross miał wrażenie, że właśnie w chwili, gdy stanął przy ogrodzeniu, usłyszał krótki, urwany krzyk.

Upuścił siatki i rzucił się biegiem do domu, wykrzykując imię żony. Na parterze nikogo nie było, więc pobiegł na górę i dopadł do drzwi sypialni. Pchnął je. I wtedy światło z korytarza wlało się do ciemnego pokoju. Wyłowiło postać mężczyzny w kominiarce, który siedział okrakiem na Agnieszce i dusił ją poduszką. Bezwładna dłoń żony wisiała nad dywanem.

Resztę zdarzeń komisarz ledwo pamiętał, bo uderzenie adrenaliny zupełnie go zaślepiło. Wiedział tylko, że rzucił się na mężczyznę. Walczyli krótko i Gross poczuł smak krwi w ustach. Goniąc napastnika, zbiegł na dół, obaj wpadli do kuchni, gdzie policjant zdołał chwycić leżący na stole nóż i zadał mężczyźnie cios. Ostrze przebiło się przez kurtkę i zraniło go w okolicy łopatki. Zawył, ale zdołał uciec. A potem... Czarne dziury, które wykwitły w pamięci policjanta, skutecznie utrudniały mu dostęp do późniejszych wspomnień. Kojarzył jedynie, że wybiegł z domu z pistoletem w dłoni i wycelował do uciekającego bandyty. To nie była jego broń służbowa, bo tę, ze względu na Bartka, zostawiał w jednostce. Wymierzył i pociągnął za język spustowy. Dokładnie w tej samej sekundzie na linii ognia po drugiej stronie jezdni, kilkadziesiąt metrów od napastnika, dostrzegł kobietę. Ale było już za późno. Odrzut wystrzału poderwał mu rękę i w tej samej chwili komisarz otrzymał silny cios w głowę. Jednak zanim stracił przytomność i upadł na kostkę brukową, zdołał dostrzec, jak pod nieznajomą uginają się kolana. Pocisk musiał minąć bandytę i trafił w ciało niewinnej osoby.

Gross już wtedy wiedział, że ją zabił.

Nosił w sobie tę winę od ponad dziesięciu lat, chociaż formalnie został oczyszczony z zarzutów. W opinii biegłych z zakresu balistyki i zgodnie z wynikami autopsji kobiety kąt wejścia pocisku w ciało nie odpowiadał pozycji strzeleckiej ani miejscu, w którym Gross się znajdował. Ponadto obok nieprzytomnego policjanta znaleziono i zabezpieczono trzy łuski. Jak wykazała analiza balistyczna, pocisk, który trafił kobietę, nie pochodził z broni, której użył Gross.

Sprawę napadu na dom policjanta i postrzelenia kobiety ze skutkiem śmiertelnym prowadzili policjanci z Poznania. Ale czas mijał, a śledztwo nie doczekało się końca.

Gross wracał myślami do tamtych zdarzeń. Do chwili, w której próbując ratować żonę, zaślepiony żądzą zemsty, zupełnie zapomniał o swoim jedenastoletnim synu, niewinnym dziecku. Zzysmał się na siebie, że chłopiec musiał przyglądać się krzywdzie zadawanej matce i ogłuszonemu ojcu, któremu krew sączyła się z głowy, tworząc czarną kałużę.

Trauma przez lata wyniszczała chłopca, a potem dorosłego mężczyznę, lecz komisarz nic z tym nie zrobił. Jako rodzic czuł się kompletnie bezradny, aż w końcu Bartek zupełnie się

od niego odwrócił, zrywając z nim wszelki kontakt.

Gross sobie na to zasłużył, więc nie miał żalu do syna.

– Niech pan wejdzie. – Komisarz wskazał na krzesło przy stole ustawionym prostopadle do swojego biurka.

Miłosz Wiernat zdjął kurtkę i powiesił ją na wieszaku za drzwiami.

Obciągnął marynarkę i przeczesał palcami krótką fryzurę.

– Napije się pan herbaty? – spytał komisarz.

– A kawę mogę?

– Czarną?

– Najlepiej białą i z cukrem. Jeśli to nie kłopot.

Gross skinął głową i wyrzwał z gabinetu w kierunku Beaty Różyckiej, sekretarki komendantki.

– Co tam, Berni? – Mrugnęła do niego z uśmiechem.

Komisarz wiedział, że się z nim droczy, ale bardzo lubił tę pulchną kobietę, która wielokrotnie mu pomogła, więc udawał, że nie usłyszał znienawidzonego zdrobnienia. Poprosił ją o kawę i wrócił do gościa.

– Zupełnie zapomniałem o naszym spotkaniu – stwierdził, kiedy usiadł naprzeciwko młodego policjanta, który latem zaimponował mu swoim zapałem i skutecznością w przeszukiwaniu Jeziora Chełmżyńskiego. Gross raz jeszcze spojrzął na zegarek i z niedowierzaniem pokręcił głową. – Tak się składa, że dopiero wróciłem ze zdarzenia.

– Zabójstwo?

– Trudno powiedzieć. Oględziny zewnętrzne nie potwierdziły udziału osób trzecich.

– Czyli co? Jednak samobójstwo?

Gross wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Opowiedział Wiernatowi o tym, co wydarzyło się nad ranem w zimnym domu w Bielczynach, pomijając wszystkie istotne dla sprawy szczegóły.

– W takim razie dobrze, że to pan poprowadzi to śledztwo – uznał młody funkcjonariusz.

– W jakim sensie? – zdziwił się komisarz.

– No w takim, że będzie pan w tym grzebał tak długo, aż odkryje prawdę. Inni pewnie domknęliby kwity i za poprawienie statystyk z miejsca wypięliby klatkę do orderów – uśmiechnął się Wiernat.

Różycka przyniosła mu kawę, za którą podziękował, a kiedy po cichu opuściła gabinet, Gross podszedł do biurka po swoją herbatę. Wystygła na tyle, że pociągnął duży łyk

ciemnego naparu.

Kiedy z powrotem usiadł przed Wiernatem, już się nie odzywał. Czekał na to, co powie jego gość.

A ten sięgnął po filiżankę, wlał do niej mleka z niewielkiego mlecznika, wsypał cukier i zamieszał. Zamoczył usta i odstawił ją na spodek.

Spojrzał na komisarza.

– Postanowiłem przyjrzeć się sprawie pana żony – wyznał w końcu.

– Wiem, mówił mi pan to wczoraj przez telefon. Ale wciąż nie wiem, skąd pomysł na odkurzenie akt?

Wiernat rozłożył dłonie.

– Minęło dziesięć lat – odparł. – To mógłby być wystarczający powód.

Gross zgadzał się z nim, a jednak nieokreślony niepokój czaił się w jego trzewiach i sprawiał, że krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach. Poczł falę ciepła, która wypelzała na kark i policzki.

Parę lat temu sam próbował nieoficjalnie przyjrzeć się zdarzeniom z dwa tysiące ósmego roku, ale nie odniósł żadnych sukcesów. Jego analityczny umysł się poddał. Zbyt dużo było w tym emocji. Zbyt dużo krzywdy i smutku, utraconych nadziei, zdrowia ukochanej żony, utraty miłości syna, by komisarz mógł myśleć racjonalnie.

– Obaj wiemy, że rocznica tragedii nie jest żadnym powodem, by wracać do niewyjaśnionej sprawy – zauważył Gross. – A zatem pojawiły się jakieś nowe tropy, prawda?

Wiernat wziął łyk kawy i zatopił w niej spojrzenie. Minęła chwila, nim w końcu się odezwał.

– Jak często rozmawiał pan ze swoim synem o tamtych zdarzeniach?

Komisarz zmrużył oczy.

Zdał sobie sprawę, że pierwotnie starał się chronić Bartka przed powrotem do traumatycznych wspomnień. Sądził, zapewne błędnie, że unikanie rozmowy na ten temat skutecznie wymaże taśmę pamięci dziecka. Czy zaskoczony zachowaniem ojca chłopiec został na zewnątrz, a może ze strachu schował się w samochodzie lub za pojazdem? Komisarz nie miał pojęcia, co się z nim działo. Ale nie to było najgorsze. Pytanie Wiernata przypomniało mu, jaki popełnił wówczas błąd. Nie zapewnił synowi bezpieczeństwa. I chociaż od napadu minęło wiele lat, Gross ciągle czuł się winny tego zaniedbania.

– Panie komisarzy? – Wiernat przerwał jego rozmyślenia. – Jak często o tym rozmawialiście? – powtórzył.

– W zasadzie w ogóle – przyznał.

– Tak mi się właśnie wydawało. – Młody policjant pociągnął kolejny łyk kawy. – Co więcej, chyba nikt z nim nie rozmawiał. W aktach nie było słowa o przesłuchaniu nieletniego.

– Jak to możliwe? – Gross ściągnął brwi.

– Bartek w ogóle nie istnieje w dokumentach dotyczących tej sprawy – wyjaśnił Wiernat.

– Owszem, wspomina pan o nim w trakcie przesłuchań, krótko po wybudzeniu w szpitalu. I to jest ten jeden jedyny raz. Pomyślałem, że skutecznie go pan chronił.

– Nie, to nie tak – zaprotestował Gross i wziął łyk wciąż jeszcze ciepłej herbaty.

– Ale, spokojnie, ja pana nie oceniam, niech się pan nie martwi. – Wiernat się uśmiechnął. – Zresztą, gdybym był ojcem, postąpiłbym dokładnie tak samo.

Komisarz skupił wzrok na kubku. Bursztynowy płyn zostawiał brunatne osady na ściankach naczynia.

– Problem polega na tym, że nie mam pojęcia, co wtedy się działo z Bartkiem. Zostawiłem go samego, podczas gdy w domu było co najmniej dwóch napastników z bronią. – Mimowolnie zacisnął szczęki.

– Rozumiem. – Wiernat pokiwał głową. – Na szczęście pana synowi nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

– Skąd ta pewność? – Gross podniósł na niego wzrok.

Wiernat westchnął.

– Wie pan, dlaczego zajmuję się tą sprawą?

– Bo pozyskał pan nowe informacje, które mogą rzucić inne światło na tamte zdarzenia – wyraził przypuszczenie Gross, podnosząc kubek do ust.

– A skąd je mam?

Komisarz omal się nie zachłysnął. Herbata zakołysała się w kubku, gdy gwałtownie odstawił go na blat, po czym odkaslnął w zaciśniętą pięść. Łzy napłynęły mu do oczu.

– Od Bartka? – spytał, gdy wyrównał oddech.

– Dokładnie. Od pana syna – potwierdził Wiernat.

Kiedy podkomisarz Miłosz Wiernat się pożegnał i wyszedł z gabinetu, Gross siedział jeszcze jakiś czas w tym samym miejscu i wpatrywał się w ścianę, na której w jego wyobraźni wyświetlał się obraz jedenastoletniego Bartka.

Widział przed domem chłopca z jasnymi kręconymi włosami, z plecakiem przewieszonym przez ramię, i tego samego uśmiechniętego urwisa rozwiązującego wspólnie z matką zadanie z matematyki. Siedzieli oboje przy stole w jadalni, ale zanim zrobił im tę fotografię, rzucił jakiś żart, żeby oboje się roześmiali, i wtedy nacisnął migawkę.

Przypomniawszy sobie fotografie starszego już chłopca, zdjęcia z liceum, a także te oficjalne, które syn miał w dowodzie i prawie jazdy.

Widział, jak drobne dziecko, podobne do matki, zmieniało się w dojrzałego mężczyznę. Czas, który minął jak za pstryknięciem palców, był jednocześnie kawałkiem życia, który Gross, jako ojciec, stracił bezpowrotnie.

Głośna rozmowa za drzwiami sprawiła, że policjant przegonił czarne myśli.

Wstał i sprawdził komputer.

Odnalazł plik zgrany przez dyżurnego na dysk, który miał zawierać rozmowę z Januszem Kowalem.

Komisarz oparł się wygodnie, wziął kubek do rąk i odtworzył nagranie.

– Numer alarmowy. W czym mogę pomóc? – Usłyszał głos Dariusza Styczyńskiego, zniekształcony przez urządzenie rejestrujące dźwięk.

– Boże, on to naprawdę zrobił – odezwał się drugi mężczyzna. Gross nie miał żadnych wątpliwości, że słyszy Janusza Kowala.

– Jak się pan nazywa?

– Staszek to zrobił.

– Czy może mi pan podać swoje nazwisko?

– Janusz Kowal. Jestem jego sąsiadem.

– Gdzie pan się znajduje?

– U siebie. To znaczy w domu... Boże, on nie żyje!

– Kto nie żyje?

– Staszek.

– Kim jest Staszek?

– Mój Boże. Biedny Stasiu.

– Kim dla pana jest Staszek?

– Sądecki. To mój stary sąsiad, mieszka obok.

– Jest pan z nim?

– Nie. On jest u siebie w domu.

– Co mu się stało?

– Rany boskie...

– Halo? Co mu się stało? – powtórzył oficer dyżurny.

– Nie wiem, nie mam pojęcia.

– Dlaczego uważa pan, że sąsiad jest martwy?

– Staszek... Stasiu siedział nieruchomo. W fotelu. Wołałem, ale nie reagował.

– Był pan u niego? Widział go pan?

– Tak. Wracałem z pracy. Zauważyłem otwarte drzwi w jego domu i zajrzałem do środka. Siedział w fotelu.

– Rozumiem, ale skąd pewność, że nie żył? Był ranny? Widział pan krew?

– W jego domu jest piekielnie zimno. A on się nie ruszał. Nie reagował na żadne słowo. Przyślijcie tu kogoś! Natychmiast!

– Poproszę o adres pana Sądeckiego.

– Mieszka w Bielczynach, tak jak ja. Za torami w lewo, a potem na łuku w prawo – wyjaśnił mężczyzna. – On nie żyje. Stasiu nie żyje. Rany boskie... On o tym mówił.

– Wyślę tam patrol. Poda mi pan dokładny adres?

Mężczyzna to zrobił.

– Niech pan chwilę zaczeka na linii, tylko proszę się nie rozłączać – stwierdził dyżurny. Chwilę później, w tle, było słycać wywołanie patrolu. Po pewnym czasie Styczyński odezwał się znowu. – O czym mówił pana sąsiad?

– O śmierci – kontynuował Kowal. – Stale mówił, że na niego już czas. I teraz nie żyje. Obawiam się, że on...

Milczenie.

– Tak? – odezwał się Styczyński.

– Że odebrał sobie życie.

Gross zatrzymał nagranie, zaintrygowany wysłuchał tej rozmowy raz jeszcze, a potem połączył się z dyżurnym.

– Czy Kowal dzwonił tylko raz na numer alarmowy? – zapytał oficera.

– Tak, a co?

– Gdyby wrócił do domu Sądeckiego przed przyjazdem naszych, pewnie zauważyłby brak ciała i zadzwonił.

– Masz rację. Ale odezwał się tylko raz.

– A ktoś inny?

– W tej sprawie? Nie. Ale za to było inne zgłoszenie. Też z Bielczyn.

– Z Bielczyn? – zdziwił się Gross.

– Tak. Był tam wypadek drogowy. Toyota yaris uderzyła w drzewo. Prowadziła pięćdziesięcioletnia kobieta. Zginęła na miejscu.

– Kiedy to się stało?

– Przed siódmą.

– To ktoś stamtąd?

– Nie, z Chełmży. Jechała do pracy. Do urzędu miasta w Chełmnie.

– W którym miejscu wypadła z drogi?

– Obok boiska.

– A gdzie to dokładnie jest? – Gross wpisał do wyszukiwarki internetowej nazwę wsi i przyglądał się mapie satelitarnej.

– Przed skrzyżowaniem z drogą do sanktuarium.

– Czyli po drugiej stronie jeziora – powiedział bardziej do siebie niż do dyżurnego.

– Co mówiłeś? – spytał kolega.

Komisarz przytrzymał słuchawkę ramieniem i sięgnął po coś do pisania.

– Masz jakieś namiary na jej rodzinę?

– Nie, bo chłopaki z drogówki wciąż są na robocie, ale mogę ich wywołać i ustalić te dane, jeśli potrzebujesz – odpowiedział funkcjonariusz.

– Chętnie. Zostanę na linii.

Mężczyzna poprosił go o chwilę cierpliwości, ale komisarz nie czekał długo. Kiedy dyżurny ponownie się zgłosił, Gross odnotował informacje w notesie.

– Czy nasi wiedzą coś więcej o tym wypadku? Był jakiś świadek? – dopytał.

– Świadek to nie, ale w pobliżu jest sklep i przystanek, na którym jakiś facet chyba czekał na pakaes. No i wiesz, przez tę cholerną szklanekę pewnie autobus się spóźniał. Było ciemno i unosiła się jeszcze ta straszna mgła, więc on niewiele widział.

– A kto wezwał pomoc?

– No właśnie on. Usłyszał huk i sprawdził, co się stało. Potem wezwał pomoc.

– Prześlij mi też to nagranie, dobrze? – poprosił komisarz.

– Żaden kłopot. Wrzucę do tego samego folderu, okej?

– Tak, dziękuję. – Gross przerwał połączenie i wybrał numer wewnętrzny do pokoju na poddaszu.

– Skalka – odezwała się jego współpracownica.

– Zejdiesz? – zapytał. – Mam prośbę.

– Jasne. Już idę.

Wspólnie ze Skalską wysłuchali zarejestrowanego nagrania z wezwania pomocy do wypadku. Mężczyzna wydawał się spanikowany, a z odgłosów w tle wynikało, że jednocześnie próbował pomóc nieprzytomnej kobiecie. Szarpał się z drzwiami, podczas gdy w tle coś szumiało jednostajnie.

– Wezwijcie pomoc, natychmiast! – krzyczał w przerażeniu.

– Karetka jest już w drodze. Czy ofiara wypadku jest przytomna?

– Nie, raczej nie. Jasna cholera! – Mężczyzna sapnął z wysiłku i chwilę później nastąpił nieokreślony zgrzyt.

– Czy kobieta krwawi?

– Jezu... Pomóżcie mi... Błagam!

– Proszę się uspokoić, karetka za chwilę tam będzie. Czy ofiara krwawi?

– Słucham?

Kolejny zgrzyt rozległ się w słuchawce, a po nim oficer dyżurny powtórzył pytanie.

– Tak. Ma całą twarz we krwi. Krew jest wszędzie. Przyślijcie pomoc! Nie mogę się dostać do środka.

Dosłuchali nagrania do końca i wtedy Skalska spytała:

– Co chcesz z tym zrobić?

– Nie wiem. – Podał jej kartkę z notesu. – Ale lepiej dowiedzieć się czegoś i o tej kobiecie, która zginęła, i o mężczyźnie z przystanku.

– Bo? – Rozłożyła ręce.

– Bo to się działo mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Sądecki zniknął.

– Ale po drugiej stronie jeziora – zauważyła. – Sądzisz, że to może mieć związek?

Gross wzruszył ramionami.

– Po prostu to sprawdzmy – przerwał jej. – Zresztą i tak miałaś zająć się sąsiadami Sądeckiego.

– Dobra. Zrobi się.

Gross skinął jej w podziękowaniu głową, dając tym samym znak, że może odejść, ale Skalska nie ruszyła się z miejsca.

– Coś jeszcze? – zapytał zdziwiony.

– Szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że powiesz mi coś więcej o Wiernacie. – Przygryzła dolną wargę.

Gross pamiętał, że Skalska znała Miłosza ze szkoły policji albo z jakiegoś kursu dla kadry oficerskiej.

Komisarz podrapał wnętrze dłoni.

– Nie chciał mi za wiele zdradzić.

– No, ale po coś przyjechał, nie?

Gross wpatrywał się w swoje ręce i nabrzmiące żyły, które rozgałęziały się pod skórą.

– Przesłuchał Bartka – odparł.

Skalska pokiwała głową.

– A coś więcej? – spytała, zachęcając komisarza do przerywania dłuższego milczenia.

– Tego właśnie nie wiem. Wiernat milczy ze względu na dobro śledztwa.

Przewróciła oczami.

– To może czas pogadać z synem?

Gross wiedział, że tak powinien zrobić, ale przeczuwał kłopoty.

Gdyby to było takie proste, pomyślał.

– Pogadaj z nim. To ci dobrze zrobi – poradziła Skalska i zostawiła go samego w gabinecie.

Jakiś czas po rozmowie z podwładną Bernard Gross założył kurtkę i zszedł po drewnianych schodach na parter chełmińskiego komisariatu.

Obrał kurs na Chełmińskie Przedmieście, gdzie mieszkał syn zmarłego Stanisława Sądeckiego. Uznał, że powinien z nim porozmawiać, głównie dlatego, że oględziny zewnętrzne zwłok wykazały kilka faktów, wobec których komisarz nie mógł przejść obojętnie.

Opierając się mroźnym porywom wiatru, przypomniał sobie, jak doktor Raszeja, wysoka i chuda medyczka sądowa, która przyjechała na miejsce zdarzenia, dokładnie przyjrzała się ciału. Zrobiła to tuż po tym, gdy technicy kryminalistyki obfotografowali zwłoki. Skupili się na sposobie ułożenia liny oraz na sklejce umiejscowionej na wysokości klatki piersiowej i brzucha denata. Kiedy skończyli pracę, przecięli sznur i rozcięli pizamę.

Błade nagie ciało drobnego mężczyzny leżało na zmarzniętym piasku przy brzegu jeziora porośniętego sitowiem. Gdyby oczy denata pozostały otwarte, odbijałoby się w nich niebo szczelnie zakryte szarymi chmurami.

Prokurator Bilka stała obok, tupiąc z zimna w miejscu. Welniana czapka zsunęła się jej na brwi. Spóźniła się, bo musiała odwiedzić miejsce pobliskiego śmiertelnego wypadku.

Raszeja rozpoczęła oględziny od łysawej głowy staruszka. Błądą skórę znaczyły plamy wątrobowe. Obmacała ją dokładnie, a następnie przekreśliła na boki, przyglądając się potylicy i karkowi. Potem rozwarła zmarłemu szczęki i zajrzała do jamy ustnej. Gross kucnął obok i czekał, chociaż wielokrotnie obserwował Raszeję przy pracy i doskonale wiedział, co zaraz usłyszy.

Już wcześniej zauważył brak grzybka piany, tak charakterystycznego dla topielców.

Medyczka odchrząknęła, a zimny wiatr dmuchnął jej w oczy i szarpnął posiwiałymi, gęstymi włosami.

– Żadnych uszkodzeń kości czaszki, żadnych stłuczeń, w ustach i nosie brak ciał obcych – stwierdziła lekarka.

Przyjrzała się brodzie, na której zauważyła drobne otarcia naskórka. Lekko zaróżowione ślady uszkodzeń skóry znajdowały się również na wysokości kości biodrowych.

– To od rantu sklejki? – zapytał Gross i wyczuł, że prokuratorka stanęła za nim.

– Możliwe. Jednak dopóki nie pomierzę odległości między ranami i nie porównam ich z wymiarami płyty, mogę tylko domniemywać. – Raszeja przyjrzała się rękom denata ze szczególnym uwzględnieniem łokci, nadgarstków i dłoni.

– Wyglądają na przyżyciowe – skomentowała Bilska, wpatrując się w drobne ranki z ciemnofioletowymi podbiegnięciami.

Raszeja milczała.

Gross zdawał sobie sprawę, że nic nie wzbudziło jej podejrzeń, choć zatrzymała na dłużej wzrok na około dziesięciocentymetrowej zgrubiałej bliźnie na brzuchu po prawej stronie. Biegła po skosie i w opinii Grossa wyglądała na starą pamiątkę po wycięciu wyrostka robaczkowego. Zrost tkanek przypominał grubą, obłą larwę, która zastygła tuż pod skórą.

Dłonie denata były czyste, a po rozwarciu zaciśniętych pięści, w czym pomógł jej Bloch, okazało się, że nie było w nich ani kamieni, ani fragmentów trzciny lub innej flory wodnej, co często zdarzało się w przypadku zwłok odnalezionych w wodzie.

Skóra stóp i kolan zmarłego mężczyzny także nie wyglądała na uszkodzoną.

Gross usłyszał dźwięk telefonu.

Bilska wyjęła aparat i oddaliła się kilka metrów od linii brzegowej, po czym odebrała połączenie.

Medyczka sądowa, jedyna kobieta w kujawsko-pomorskim pracująca w tym zawodzie od lat, poprosiła techników, by pomogli jej odwrócić ciało na brzuch. Kiedy spełnili prośbę, poszukała na nim innych skaz, ale znalazła tylko drobne, tym razem pośmiertne otarcia od mokrego sznura, którym mężczyzna był przewiązany w pasie.

W końcu Raszeja się wyprostowała i z trzaskiem ściągnęła lateksowe rękawiczki.

Jarek Bloch podał jej czarny worek, do którego wyrzuciła zużytą parę.

– Dziękuję za pomoc, panowie – zwróciła się do techników. – Mam tylko jeszcze jedną prośbę. Zapakujcie mi jego dłonie w koperty i oklejcie w nadgarstkach. Wyskrobiny pobierzecie sobie u mnie i wtedy też zdejmiecie odfitki linii papilarnych.

Chęciński uniósł wyprostowany kciuk do góry i mrugnął do lekarki.

– Czekaj, Marian, czy ty mnie właśnie podrywasz? Tak to się teraz robi? – zażartowała, a Jarek Bloch zarechotał.

– No, w końcu zauważyłaś! – Chęciński się uśmiechnął.

– Skoro tak, to rezerwuj stolik w restauracji i nie zapomnij o różach – poprosiła.

– Ale mogę przyjść z żoną? Bo ona wszędzie za mną łązi.

Raszeja parsknęła śmiechem i pokręciła z rezygnacją głową.

– A mogło być tak pięknie, Marian! – rzuciła, wygrzebując z kieszeni kurtki paczkę papierosów, co oznaczało, że oględziny dobiegły końca.

Odwróciła się w stronę jeziora i zaciągnęła. Komisarz stanął przy niej, gdy wydmuchiwała pierwszy kłęb siwego dymu, który sunął mu przed twarzą.

Dzięki temu, że mgła znacząco się przerzedziła, dostrzegali już zarys przeciwległego brzegu, a dalej po lewej ciemne i smukłe sylwetki dwóch wysokich wiatraków energetycznych z nieruchomymi śmigłami. Dominowały nad cichą doliną.

– I co o tym wszystkim sądzisz, Bernardzie?

Gross lustrował wzrokiem gęste sitowie.

– Brak śladów wleczenia ciała – stwierdził. – Bo rozumiem, że sprawdzając stopy, kolana i łokcie, tego właśnie szukałaś.

– Mhm. – Ponownie się zaciągnęła. – Szczególnie, że przy tak zmarzniętym, nierównym podłożu skórę kolan i wierzchu stóp miałby mocno zdarta.

– Ale to niczego jeszcze nie dowodzi – westchnął komisarz i zerknął przez ramię na leżące na plaży zwłoki i kucającego przy nich Jarka Blocha. Technik ostrożnie nałożył na dłoń zmarłego brązową kopertę z uciętymi w dole rogami i zagiął jej wejście na nadgarstku. Drugą ręką sięgnął po taśmę klejącą.

– Na szczęście nie moja w tym głowa, Bernardzie – odparła i uśmiechnęła się życzliwie do policjanta, którego twarz pozostała niewzruszona, głównie z powodu zimna. Komisarz czuł, jakby jego zmarznięta od mroźnego wiatru skóra zmieniła się w sztywną maskę.

Stali tak w zimowy poranek wpatrzeni w spokojną taflę jeziora.

Niebo nad ich głowami przeciął nieregularny klucz gęsi. Usłyszeli głośnie gęganie. Gross odprowadził je wzrokiem aż za las po swojej lewej, a mimo to nawoływania ptactwa wciąż było słychać.

– Zobaczmy, co wyjdzie na stole sekcyjnym. Na razie masz tylko nietypowe samobójstwo, i to raczej nie z powodu utonięcia – dodała Raszeja.

– Czyli że co? Że przyszedł tu, wszedł do wody, położył się na sklejkę i umarł? Przecież to nonsens – uznał.

– Twoi ludzie mówili, że ktoś go widział w domu, w którym było zimno jak w psiarni. Może więc doszło do znacznego wychłodzenia organizmu, a dobrze wiesz, co się wtedy dzieje z człowiekiem. Wydaje mu się, że jest ciepło i dlatego zaczyna się rozbierać – wyjaśniła. – Ale nie sprzedajmy faktów. Zobaczmy, co denat powie nam podczas sekcji.

– Kiedy planujesz ją zrobić?

– Sprawa nie wygląda na pilną, więc niestety staruszek będzie musiał cierpliwie zaczekać na swoją kolej. Jestem urobiona po łokcie. Ale gdyby się coś zmieniło, to zawsze możesz na mnie liczyć, Bernardzie.

Skinął głową w podziękowaniu.

– Po co mu ta sklejka? – spytał bardziej siebie niż ją.

Raszeja zaciągnęła się po raz ostatni, rzuciła peta pod nogi i przydeptała go.

– Może chciał, żeby go szybko odnaleziono. Mógł się naczytać o tym, że zwłoki szybko idą na dno i wypływają dopiero na wiosnę – starała się znaleźć właściwą odpowiedź.

– To małe jezioro. Znaleźlibyśmy je szybciej – stwierdził.

– Ale dzięki sklejce znalazłeś je od razu, prawda?

Miała rację.

– Jak często masz do czynienia z samobójstwami osób starszych? – zapytał.

– Często.

– Naprawdę? – To go zaskoczyło.

– Samobójstwo młodego człowieka zawsze porusza wyobraźnię. Dlatego media tak chętnie o tym piszą. W śmierci młodej osoby odbijają się nasze niespełnione marzenia i perspektywa pięknego, pełnego życia. Jakbyśmy zapomnieli, że w życiu piękne mogą być tylko chwile. Cała reszta w najlepszym razie ma kolor tych chmur. – Uniosła brodę i po pewnym czasie dodała: – A kogo obchodzi stary, samotny człowiek, który skracając swoje cierpienia, skróci też odrobinę swoje i tak już dogasające życie? – Zerknęła na niego.

Przygryzł wargę.

– Jest takie powiedzenie – kontynuowała. – Małe dzieci, mały kłopot, duże dzieci, duży kłopot.

Nie zrozumiał, do czego nawiązywała.

– A o starych ani słowa – zauważyła. – Bo starość, mój drogi, to największy kłopot. Dla wszystkich. I z nami będzie dokładnie tak samo, Bernardzie. Będziemy odchodzić z tego świata w osamotnieniu, zapomniani przez najbliższych, pogrążeni w depresji i chorobach – stwierdziła, ale zaraz zaprzeczyła sobie ruchem głowy, jakby pomyliła się w osądzie. – Chociaż nie, my przecież umrzemy w robocie. – Zarechotała. – Żadne z nas nie umie bez niej żyć.

Lekarka się pożegnała i odeszła w kierunku domu Sądeckiego.

– Będziemy w kontakcie – rzuciła, lecz jej słowa porwał chłodny wiatr znad jeziora.

Prokuratorka, zorientowawszy się, że medyczka wraca do samochodu, skończyła rozmowę i podeszła do Raszei. Porozmawiały przez chwilę, aż w końcu patykowata lekarka wzruszyła ramionami i obie się pożegnały. Bilska podeszła do Grossa.

– Panie komisarzu, to ja też się zbieram. Zdzwonimy się po autopsji, ale na razie wygląda na to, że mamy do czynienia ze zgonem samobójczym.

Gross niechętnie skinął jej głową, bo do tej pory nie spotkał się z podobnym samobójstwem. Dlatego kiedy śledcza odeszła, wsunął dłonie w kieszenie i odwrócił się do jeziora, by pomyśleć o tym, co tu zaszło.

Spojrzał na sanktuarium Błogosławionej Juty, niewielki budynek z łamanym dachem wzniesiony na wzgórzu na drugim brzegu.

Myślał o słowach Raszei, o tym, że wiele starszych osób decyduje się na desperacki krok i odbiera sobie życie u samego jego kresu. Czy ich decyzja, paradoksalnie, może mieć związek ze strachem przed naturalną śmiercią, czy raczej podkreśla jej pragnienie?

Śmierć jako ulga, pomyślał.

Wydawało mu się, że medyczka sądowa miała rację.

Nie umiał jednak odpowiedzieć sobie na pytanie, czy Sądecki rzeczywiście w tak dziwny sposób postanowił pożegnać się z życiem? Czy to możliwe, by staruszek wziął deskę i przytrzymując ją przy klatce piersiowej, przewiązał się sznurem, po czym chwycił za odważnik i ruszył bosy nad wodę?

Brzmiało to skrajnie nieprawdopodobnie.

Po pierwsze dlatego, że są łatwiejsze sposoby odebrania sobie życia. Po drugie, staruszek nie poranił podeszew stóp o zmarznięty śnieg i lód ani o szorstki piach, ani o ostre kamienie i konary zalegające na dnie jeziora. Gdyby miał na stopach buty, Gross być może inaczej spojrzałby na tę sprawę.

W takim razie co się mogło stać?

Ktoś go tu przyniósł i zmarłego ułożył na wodzie?

Mężczyzna był chudy, mógł ważyć nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów, ale to i tak sporo, jeśli chodzi o przeniesienie bezwładnego ciała. Dom od jeziora dzielił dystans około czterdziestu metrów. Pokonanie go z takim ciężarem wymagałoby siły zdrowego, dobrze zbudowanego mężczyzny.

Rozważając inne scenariusze, także te z transportowaniem zwłok taczka lub wózkiem, których nigdzie wokół nie znalazł, Gross bezwiednie lustrował jezioro.

– To co, Bernardzie? Chyba będziemy się powoli zbierać, nie? Karawan już przyjechał. Poczekamy, aż załadują zwłoki i możemy ruszać w drogę – usłyszał głos Mariana Chęcińskiego, starszego z techników.

– Tak, jasne – odparł, zawieszając wzrok na sitowiu.

Już miał się odwrócić, gdy dojrzał coś ciemnego, kilka metrów na prawo od kładki wędkarskiej.

– Chwila! – krzyknął.

Miał wrażenie, że dostrzega czarną podeszwę buta. A przynajmniej coś podobnego do obuwia.

– Zawołajcie jeszcze strażaka, tego w woderach – poprosił i zaczął się rozglądać za drugim butem.

Chwilę to trwało, nim, ku swemu zaskoczeniu, odnalazł go po lewej stronie.

Począł na funkcjonariusza Straży Pożarnej, który ponownie wbił się w wodery i z chłupotem wszedł do jeziora, trzymając jeden koniec taśmy mierniczej, który podał mu Gross.

Bloch podszedł z aparatem fotograficznym i komisarz usłyszał trzask migawki. Potem kolejne.

Gross poprosił strażaka, by poszedł po pierwszy z odkrytych butów, podał odległość, a następnie przyniósł go na brzeg. Dopiero potem nakazał wybrać się po drugi. Zależało mu, by ułożyć je na brzegu w linii prostej od miejsca ich znalezienia. Wcześniej oznaczył na plaży miejsce odkrycia zwłok, dlatego zrozumiał, że oba buty znajdowały się po obu stronach ciała, kilka metrów od niego.

Nie musiał mówić Blochowi, że obuwiu trzeba będzie zabezpieczyć, tak jak nie musiał prosić Mariana Chęcińskiego, by ten przygotował rysunek sytuacyjny z zaznaczeniem wszelkich odległości, w tym także pomiarów od punktów orientacyjnych, narożnika pomostu czy pobliskich drzew. Dokument musiał stanowić część protokołu oględzin.

Kiedy czynności dobiegały końca, Gross spojrzął na ustawioną parę czarnych botków męskich na rzepy, sięgających za kostkę. Odnotował w pamięci, że nie wyglądały na znoszone. Bloch ustawił je w kartonie, który zamknął, zawiązał i przykleił do niego wypełnioną metryczkę śladową.

Jakiś czas temu komisarz uznał, że gdyby okazało się, że Sądecki dotarł nad jezioro w obuwiu, popełnienie samobójstwa wydawałoby się bardziej wiarygodne. Przynajmniej do czasu otrzymania wyników autopsji, które być może wskażą na inne, nieodkryte w trakcie oględzin zewnętrznych możliwe przyczyny zgonu.

Jednak znalezisko jeszcze mocniej zaniepokoiło Grossa.

Jeśli Sądecki wszedł w butach do jeziora, to dlaczego lewy botek został odnaleziony w gęstym sitowiu po prawej stronie ciała, a drugi po lewej? Przy tak spokojnej wodzie jeziora ich naturalne przemieszczenie w dwóch różnych kierunkach, a do tego w trzcinowisko, nie wchodziło w grę.

Ktoś je tam musiał rzucić.

Tylko po co?

Gross wiedział, że powinien znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Wspominał poranne oględziny w drodze do syna Stanisława Sądeckiego.

Wiatr, który się wzmógł, sprawiał, że komisarz musiał pochylać się w marszu i stawiać większy opór napierającym, lodowatym masom powietrza.

Minął kompleks sklepów z parkingiem i Biedronką, a potem, na rozwidleniu dróg, odbił w lewo na Bielczyny. Wybrał okrężną drogę, licząc na to, że pokryte lodem chodniki będą

już wysypane piaskiem.

Chłód przeszywał jego ubranie i wyciskał łzy z oczu.

Zatrzymał się po kilkuset metrach i skręcił po skosie w gruntową ulicę Buczek, przy której wyrastały nieotynkowane parterowe szeregowce z dwuspadowymi dachami. Podobne domy, tyle że z szarym tynkiem cementowym na elewacjach, ciągnęły się tuż obok, wzdłuż szosy na Bielczyny. Gross pomyślał, że to małe osiedle pierwotnie powstało jako komunalne i skupiało biednych ludzi z dala od miasta. Podobnych przykładów w całej Polsce było przecież sporo. Jednak z bliska dostrzegał w budynkach plastikowe okna, talerze telewizji satelitarnej przymocowane do elewacji i samochody parkujące na gruntowej drodze, które wyglądały na nowsze od jego volkswagena golfa.

Niemniej okolica nadal nie wydawała się zachęcająca. Między dwiema liniami domów wyrastających przy dwóch drogach znajdował się trójkątny plac. Przypominał niewielką, bezładną graciarnię z kipiącymi od śmieci sporymi kontenerami.

Gross szedł zgodnie ze wskazówkami Skalskiej ku ostatniemu domowi.

Zerknął w lewo na senną dolinę pól przetykanych pasemkami zmarzłego śniegu, poprzedzielanych liniami drzew, z dwoma skupiskami ogródków działkowych. Dalej, na wzniesieniu, gdzie znajdowało się centrum miasta, dumnie prezentowała się lekko zamglona konkatedra z potrójnym hełmem wieńczącym wysoką wieżę.

Uważając na zmarznięte kałuże, skierował się do drzwi wejściowych.

Zapukał głośno i czekał.

– Już, już. Moment! – usłyszał przytłumiony męski głos.

Po chwili zgrzytnęły zamki.

– Tak? – spytał drobny mężczyzna w rogowych okularach, z mocno pomarszczoną twarzą, zupełnie jakby wyrzeźbioną w drewnie.

Gross się przedstawił i podał powód wizyty. Gospodarz zaprosił go do ciemnego, wąskiego korytarza. Z haczyków na ścianie zwieszały się kurtki, a na podłodze walało się w nieładzie kilka par butów. Ciężki zapach wilgoci i chłód wypełniały niewielkie pomieszczenie.

– Ależ pogoda, rany boskie – mruknął Lech Sądecki, syn denata, otulając się wełnianą kamizelką narzuconą na sweter, spod którego dodatkowo wystawał kołnierz koszuli. – Spodziewałem się pana. Ta policjantka, co tu była rano, mówiła, że się pan pofatyguje. – Mężczyzna otworzył kolejne drzwi. – Zapraszam do kuchni, tam ciepłej.

Kiedy komisarz wszedł do ogrzewanego pomieszczenia, w którym na kuchence gotował się wywar, a szara piana zbierała się pośrodku garnka, Sądecki przetarł rękawem wierzch taboretu dla gościa. Gross zajął miejsce, a gospodarz, podpierając się ręką o blat stołu, podszedł do stołka w pobliżu okna i usiadł.

– Proszę przyjąć moje kondolencje – powiedział Gross.

Mężczyzna skinął głową i podziękował.

W tle cicho grało radio. Policjant rozpoznał dźwięki i słowa. Coś o samotności wywołującej trwogę wyśpiewywane przez charyzmatycznego polskiego wokalistę, zmarłego dawno temu, jak się Grossowi wydawało, w wyniku przedawkowania narkotyków.

– Co zrobić? Taka kolej rzeczy. Wszyscy kiedyś umrzemy – odparł filozoficznie Lech Sądecki. – A mój ojczulek stary już był. Słabował ostatnio. Przestał nawet wychodzić z domu. Dlatego Wojtuś sporo mu pomagał.

– Pana syn?

– Tak.

– Ile ma lat?

– Trzydzieści siedem.

– Gdzie mieszka?

– W starym bloku w Bielczynach. Po drugiej stronie jeziora.

– Często odwiedzał dziadka?

Gospodarz potarł zarost.

– Zdzwaniali się, gdy ojczulek czegoś potrzebował – powiedział w końcu.

– A gdzie jest teraz pana syn? Był u pana?

Mężczyzna zerknął na zegarek.

– Był. Ale pojechał do zakładu pogrzebowego załatwić formalności i na plebanię – wyjaśnił.

Gross milczał przez chwilę.

– Nie wiem, kiedy prokuratura wyda ciało. To może chwilę potrwać – uprzedził.

Szum gotującego się wywaru i odgłosy skrzeczącego radia nagle stały się jakby głośniejsze.

Policjant zaczął odczuwać przyjemne ciepło bijące od pieca kaflowego, więc zdecydował się rozpiąć kurtkę.

– Prokuratura? To takie są teraz przepisy? – spytał zaskoczony Sądecki, jakby dopiero dotarło do niego to, co usłyszał.

Gross, zachowując wiele szczegółów dla siebie, opowiedział mu o odnalezieniu zwłok Stanisława Sądeckiego w jeziorze.

Mężczyzna odwrócił głowę do okna i podparł brodę rękoma.

– A więc mój ojczulek się utopił? – zasmucił się.

Gross wolał zmienić temat.

– Kiedy był pan u niego ostatnio?

Pytanie dłuższy czas pozostawało bez odpowiedzi. Mężczyzna nabrał powietrza, ale wciąż patrzył w okno.

– W połowie listopada, krótko po jego imieninach. Bo on z trzynastego.

– Czy coś wskazywało na to, że pana ojciec zamierzał odebrać sobie życie?

– O, panie. – Wzniósł oczy do sufitu. – On stale o śmierci gadał. Co się spotykaliśmy, to ciągle mi mówił o tym, w której szafce schował dokumenty i testament, że garnitur wisi w szafie i że trzyma w niej czarne półbuty. I ja, i Wojtek znaleźliśmy to na pamięć. Powtarzał nam to regularnie od dwóch lat. Albo i dawniej, bo ten czas gna jak cholera.

– Miał depresyjne momenty?

– Depresyjne?

– Chodzi o to, czy widział pan u niego spadki nastroju, apatię albo niechęć do życia.

Mężczyzna potarł nos wierzchem dłoni.

– Ojczulek stale na coś narzekał. A to kręgosłup, a to serce albo hemoroidy. Ciągle po lekarzach łąził. To znaczy jeszcze tego lata, bo potem już jakoś tak oklapł trochę. Tak jak pan powiedział, miał spadki nastroju. Jakby mu źle ze sobą było. Tak mi się przynajmniej wydawało.

– Czy oprócz mówienia o śmierci coś pana zaniepokoiło w jego zachowaniu? Coś, co mogłoby zdradzić zamiar odebrania sobie życia?

– Aż tak, to nie. On rzeczywiście gadał o śmierci, ale wie pan, to raczej chodziło o to, że on wiedział, że wkrótce umrze. – Zamyślił się, ścigając brwi.

Wstał i skręcił ogień pod wywarem, a następnie zebrał cedzakiem szumowiny i wyrzucił je do zlewozmywaka. Przepłukał łyżkę pod kranem i wrócił na krzesło.

– Raz jeden, pamiętam, że to latem było, gadał o tej śmierci, co go czeka, o tym całym pogrzebie, a potem nagle zaczął mówić, że on by chętnie popływał łódką na jeziorze, ostatni raz połowił sobie ryby. Bo musi pan wiedzieć, że on nigdy do jeziora nie wchodził. Nie kąpał się w nim, ale popływać łódką i kija pomoczyć to chętnie.

– Nie umiał pływać? – spytał Gross.

– Umiał, i to doskonale. Ale w Bielczynach nigdy się nie kąpał.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. – Syn denata wzruszył ramionami.

– A łódką często wypływał na to jezioro?

– Wcześniej tak, ale ostatniego lata nie miał już takiej werwy. Chyba przez te upały. Poza tym brakowało mu siły, żeby wciągnąć łódź na brzeg, a gdzie tu jeszcze mówić o wiosłowaniu. Ale Wojtek chciał mu pomóc, dlatego ojczulek poprosił go o zakup liny i prosiaka, czyli wie pan, takiego ciężarka, w sklepie „U Byka” w Bielczynach, coby mu łódka nie odplynęła, tylko czekała sobie grzecznie w szuwarach.

– No i?

– Synek prośbę spełnił, ale ojczulek się wściekł, że odważnik za ciężki. Awanturę mu zrobił, opierdolił jak burą sukę i Wojtuś musiał jechać do Bykowskiego i wymieniać na lżejszy, ośmiokilogramowy chyba. Ale i tak to wszystko psu na budę, bo staruszek nie pozwolił Wojtkowi łodzi ruszać. Twierdził, że zbierało się na deszcz. A dziadek nie dyskutował ze swoim przedwojennym barometrem. Słuchał go jak Boga samego, chociaż nie był specjalnie wierzący.

– Ale za to porywczy – zauważył Gross.

– A nie, gdzie tam. Łagodny jak baranek. Tylko wtedy się tak zezłościł. Nawet z sąsiadem, z którym się nie lubił, nie darł kotów.

– Z którym sąsiadem?

– Z Kowalem.

– Z Januszem?

– Nie. Jego lubił, ale swojego równolatka nie cierpiał. Kazimierz Kowal, zawsze mu podnosił ciśnienie. Wkurwiał do żywego.

– Użył pan czasu przeszłego. Czy to oznacza, że tamten Kowal już nie żyje?

– A skąd! Ma się dobrze. A ojciec zawsze marzył, że go przeżyje i będzie się śmiał na jego pogrzebie.

– Za co go tak nie lubił?

– Nie lubił? Panie! On go nienawidził. Obaj się nienawidzili.

– Dlaczego?

Gross czekał na odpowiedź, a Lech Sądecki wydał wargi i już otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, po czym z powrotem je zamknął.

– W zasadzie to nie wiem – przyznał w końcu. – Nigdy o tym nie mówił. Kiedy się urodziłem, już byli skłóceni i nie odzywali się do siebie. Ludzie na wsi mówią, że pokłócili się jeszcze na wojnie.

– Jak to na wojnie? Przecież wtedy musieli być dziećmi – zauważył policjant.

– Wojna, panie władzo, z tych dzieci szybko zrobiła dorosłych – odparł Sądecki. – A takie zadry to potem zostają z człowiekiem na całe życie.

Kiedy na biurku aspirantki sztabowej Moniki Skalskiej rozdzwonił się stacjonarny, policjantka rozmawiała z młodszą koleżanką Judytą Judycką.

Od jakiegoś czasu, biurko w biurko, zajmowały gabinet na poddaszu komisariatu. Urodziwa blondynka o silnie zarysowanej kwadratowej szczęce doskonale odnalazła się w wydziale kryminalnym jako specjalistka do spraw pozyskiwania informacji. Większość czasu spędzała za biurkiem, przeczesując zasoby sieci, która zdawała się nie mieć przed nią

żadnych tajemnic. To dlatego jej rola w zespole prowadzącym śledztwa była nie do przecenienia.

– To chyba Darek – stwierdziła Judycka, wskazując brodą na dzwoniący aparat. – Rano, zanim skończył służbę, pytał o ciebie.

– Styczyński?

– Wpatrzony w ciebie jak w obrazek. – Roześmiała się, a Skalska spojrzała w sufit, bo nie zdołała zachować poważnej miny.

– Halo? – rzuciła do słuchawki.

– Skalka, prosiłaś o namiary na faceta, który zgłosił nam poranny wypadek w Bielczynach – odezwał się dyżurny. Ale to nie był Dariusz Styczyński.

– No i?

– Masz coś do pisania?

Policjantka sięgnęła po komórkę i odblokowała ekran.

– Jasne, dawaj – stwierdziła.

Mężczyzna przedyktował dziewięć cyfr, które Skalska wbiła na wirtualnej klawiaturze telefonu.

– Jak się nazywa?

– Czerwcow. Adam Czerwcow.

Podziękowała dyżurnemu i odłożyła słuchawkę stacjonarnego, a następnie nawiązała połączenie z mężczyzną, który odebrał po kilku sygnałach.

– Tak, słucham? – Jego głos brzmiał matowo.

Skalska przedstawiła się i podziękowała mu za wezwanie służb oraz próbę uratowania kobiety, która rozbiła samochód na drzewie i zginęła na miejscu.

– Chciałabym z panem zamienić kilka słów na temat tej tragedii.

– Jezu, przecież wszystko już opowiedziałem – zirytował się. – Poza tym jestem w pracy.

– Rozumiem, ale nie zajmę panu dużo czasu.

– Niech pani zadzwoni po piętnastej – poprosił i połączenie zostało przerwane.

Skalska uniosła brwi.

Zaskoczył ją. Mogłaby spróbować postawić faceta do pionu, ale obawiała się, że kolejnego połączenia nie odbierze.

Odsunęła się od biurka i wstała. Zdjęła z wieszaka czarny polar i puchową kamizelkę, a potem założyła na głowę bejsbolówkę.

– Gdyby Gross pytał, powiedz mu, że poszłam do rodziny tej babki, która zginęła nad ranem, dobrze?

Judycka, wpatrzona w ekran komputera, w odpowiedzi przytaknęła.

Przy Polnej, w pobliżu skrzyżowania z ulicą Sienkiewicza, wyrastało pięć podobnych domów parterowych z czterospadowymi łamanymi dachami. Za nimi rozciągały się pola i tam wiatr rozpędzał się, przybierając na sile i tarmosząc szkieletami drzew.

Ostatni z budynków, ten z numerem dziewiątym, znajdujący się bliżej drogi na Bielczyny i Chełmno, oklejony był grubym styropianem.

Skalska nacisnęła przycisk domofonu, gdy nagły powiew zagwizdał pod okapem dachu i poderwał jej czarną kity. Miała ochotę przytrzymać się furtki.

– Kto tam? – odezwał się męski głos.

– Dzień dobry, policja. W sprawie wypadku – wyjaśniła.

Zamiast odpowiedzi usłyszała brzęczyk elektromagnesu.

Weszła na teren posesji i zanim zdążyła dotrzeć do wiatrołapu przy bocznej ścianie, drzwi wejściowe do domu się otworzyły. Niewysoki, drobny mężczyzna, którego zobaczyła w drzwiach, miał czerwone od płaczu oczy i pociągał nosem. Jej zdaniem mógł mieć około pięćdziesiątki.

Skalska się przedstawiła.

– Igor Wójcicki – odparł. – Proszę, niech pani wejdzie. – Gospodarz wskazał na drzwi prowadzące do korytarza, a potem poprowadził ją do skromnie, ale nowocześnie urządzonego salonu z narożną kanapą i sporym telewizorem powieszonym na ścianie udekorowanej sosnowymi lamelami na czarnym tle. Obok, pod oknem wychodzącym na ulicę Polną, znajdował się stół jadalniany z sześcioma krzesłami, przy którym usiedli. Pośrodku blatu leżały książki i szpargały, kilka starych teczek kartonowych i otwarty album ze zdjęciami.

Gospodarz zawiesił wzrok na fotografii szatynki z fryzurą na bombkę. Na nosie miała okulary w dużych, kwadratowych oprawkach i lekko podciągnęła kąciuki ust.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało – powiedziała Skalska.

Zacisnął usta i zamrugał kilkukrotnie, po czym zamknął oczy, żeby dać odpór fali wzruszenia. Kiedy ją pokonał, nabrał powietrza, a następnie kiwnął głową w ramach podziękowań.

– Prosiłem ją, żeby jechała ostrożnie – odezwał się po chwili. – Bo rano wyszedłem z domu, żeby wystawić samochód z garażu, i mało się nie przewróciłem, tak było ślisko. I powiedziałem jej, przy śniadaniu jej powiedziałem, że ślisko jest, bardzo ślisko, żeby uważała na drodze. – Nakręcał się, aż dolna warga zaczęła mu drżeć. – I jeszcze, kiedy jej podałem kluczyki do auta, tam w wiatrołapie, jak już wychodziła, też mówiłem, że ślisko, mówiłem: „Gośka, szklanka jest potworna, jedź wolno”. Nawet zaproponowałem, że ją odwiozę i przyjadę po nią po pracy, ale ona obiecała, że... Gosia mi to obiecała... – Ponownie zacisnął powieki i wykrzywił twarz w grymasie płaczu, przystawiając pięść do ust. – Ona...

Gosia... Miała jechać powoli! – warknął, ale zaraz potem zaszlochał, a jego ciało wpadło w drżenie.

Przez lata pracy w policji Skalska zdążyła uodpornić się na ból i rozpacz tych, którym niesprawiedliwy los zabierał bliskich. Widziała już tyle łez i tyle ludzkich dramatów, że nauczyła się unosić tarczę. Nie mogła dzielić trosk z obcymi, bo to utrudniałoby jej pracę, zaciemniało obraz sytuacji. A z drugiej strony doskonale wiedziała, co znaczy stracić najbliższą osobę.

Ponad pół roku temu, pewnego słonecznego, wiosennego dnia, jej kochanek, Grzegorz Otremba, młodszy od niej stopniem policjant chełmińskiego komisariatu i kolega z wydziału, odebrał sobie życie. Wcześniej zdecydowali się rozstać, bo Grzesiek zamierzał naprawić swoje małżeństwo, wrócić do żony i dwóch ślicznych, kilkuletnich córek. Jednak Skalka wciąż wierzyła, że to, co ich połączyło, nie było jedynie przelotnym romanssem, i że Otremba wkrótce zdecyduje się na rozwód.

Ale stało się inaczej.

Tamtego dnia Grzegorz miał jechać razem z Grossem do Torunia, żeby odebrać nagrodę komendanta miejskiego policji. Włożył galowy mundur, wyglansował czarne półbuty. Pamiętała, że minęła go na dole, a ten pewny siebie blondyn o wysportowanej sylwetce wydawał jej się nad wyraz przejęty nadchodzącymi wydarzeniami. Kątem oka dostrzegła, że kiedy sięgał po paczkę papierosów, drżały mu ręce. Mimo to nie porozmawiała z nim, nie zaczepiła kochanka, chociaż czuła na sobie jego spojrzenie, gdy zaczęła się wspinać po schodach do gabinetu na poddaszu. Pomieszczenia, w którym razem pracowali.

Była już na drugim półpiętrze, gdy huk wystrzału sprawił, że odruchowo drgnęła. Za oknem gołębie zerwały się do lotu. Widziała ciemne sylwetki ptaków na tle rozświetlonego słońcem nieba.

Komisariat zamarł na kilka sekund, w trakcie których cisza zdążyła zabrzączeć jej w uszach. Ale zaraz potem doleciały do niej coraz głośniejsze krzyki dochodzące z dołu.

I chociaż od tamtego feralnego dnia minęło już kilka miesięcy, ból z powodu straty wcale nie był mniejszy. Dlatego Skalka doskonale wiedziała, jak trudna droga, od chwili tragicznej śmierci żony, czeka Igora Wójcickiego.

Dała mu czas, żeby się uspokoił, po czym poprosiła go o zdjęcie kobiety. Zrobiła to celowo, nie tylko dlatego, żeby przyjrzeć się jej dokładnie, ale też po to, by Wójcicki skupił się nad odpowiedziami na pytania, które zamierzała mu zadać.

Gospodarz otarł wilgotne policzki.

- W którym kierunku pojechała?
- Jak to w którym? Do Chełmińskiego Przedmieścia.
- Widział pan samochód, gdy odjeżdżał spod domu?

– Widziałem.

– Czy pana żona denerwowała się, że spóźni się do pracy?

– Nie, bo zawsze zaczyna o siódmej trzydzieści. Tylko że dziś chciała być wcześniej, żeby nadgonić robotę, bo koleżanka poszła na urlop. A Gosia lubi wstawać wcześnie i woli popracować z rana i mieć wolne popołudnie – wyjaśnił.

– To o której wyjechała z domu? – zainteresowała się Skalska.

– Chciała tam być na szóstą, więc wyjechała o wpół do – wyjaśnił.

Aspirantka sztabowa pamiętała, że zgodnie z informacją od dyżurnego, mężczyzna, który wezwał pomoc do zakrwawionej i nieprzytomnej kobiety zakleszczonej w rozbitym samochodzie, zrobił to krótko przed siódmą.

– O wpół do szóstej? Jest pan pewien?

– Tak.

– Czy pana żona miała załatwić coś przed pracą? Czy jechała prosto do Chełmna? – Skalska wolą się upewnić.

– A co można załatwić tak wcześnie rano?

– W takim razie może kogoś zabierała po drodze?

– Czasami zabierała, to prawda. Ale dlaczego pani o to pyta? – Spiał się i wystraszył. – Czy w jej aucie był ktoś jeszcze? – spytał zatrwożony.

– Nie, nikogo nie było. Proszę się uspokoić.

Gospodarz potarł czoło. Nadal wyglądał na spiętego.

– To dlaczego mnie pani o to pyta? – Błądził wzrokiem po blacie.

– Bo wypadek wydarzył się przed siódmą. Wtedy otrzymaliśmy zgłoszenie.

– Jak to?

– Każdy kontakt z numerem sto dwanaście jest na bieżąco monitorowany. Mężczyzna, który wezwał pomoc, zrobił to punktualnie o szóstej pięćdziesiąt trzy. Chwilę wcześniej usłyszał głośny huk zgniatanych blach.

– Niemożliwe. To jakaś pomyłka – skrzywił się Wójcicki. – Gosia spieszyła się do pracy.

Skalska pokiwała głową.

– Wspomniał pan, że żona czasem zabierała kogoś po drodze do Chełmna – przypomniała.

– Tak, bo w tamtejszym liceum uczy jej kuzyn.

– Jak się nazywa?

– Jacek Kowal.

W drodze powrotnej od Sądeckiego Gross zahaczył o Zakład Pogrzebowy „Kondukt” przy ulicy Rybaki.

Uliczka ta biegła na zapleczu chełmżyńskiej konkatedry i łagodnie opadała ku jezioru. Policjant dobrze znał to miejsce, bo nad samym brzegiem znajdowała się przystań Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, a w sezonie turystycznym stacjonowała tu policyjna motorówka.

Wzrok komisarza przyciągnął biały szyld w oklejonej mleczną folią witrynie wolnostojącego budynku i wyraźny czarny napis, biegnący łukiem nad pochylonym złotym krzyżem.

Stara kamienica, w której mieścił się zakład, znajdowała się na rozwidleniu ulic Rybaki i Chełmińskiej. Elewacja parteru była po remoncie, pomalowana na waniliowy kolor. Wyżej spod starego tynku, odpadającego płatami, wyzierały czerwone cegły.

Kiedy policjant szarpnął drzwi, we wnętrzu rozległ się dzwonek. Gross wszedł do pomieszczenia z trumnami ustawionymi na podłodze i kilkoma zawieszonymi na specjalnych stelażach. Za czarnym obszernym biurkiem, na którym dostrzegł stojak na wizytówki wypełniony kartonikami reklamowymi, ustawiona była podświetlana witryna. Podeszedł bliżej i spojrzał na stojące w niej urny.

– Dzień dobry – rzucił w kierunku zaplecza.

– Już idę, momencik – dobiegł go kobiecy głos.

Czekał z rękoma założonymi na plecach i wodził wzrokiem po obłóściach lakierowanych wiek trumien, na których układały się refleksy światła.

Ubrana na czarno kobieta z wyćwiczonym uprzejmym uśmiechem stanęła w drzwiach. Najwyraźniej była gotowa do złożenia kurtuazyjnych kondolencji, połączonych z nienachalnym zachwalaniem wyeksponowanych w zakładzie wyrobów funeralnych.

Gross wyciągnął legitymację i jej profesjonalna poza zniknęła. Odnotował, że mogła być po sześćdziesiątce. Przedstawiła mu się jako Alicja Figurska, właścicielka zakładu.

– Stało się coś? – zapytała z niepokojem.

Gross nie odpowiedział. Z drugiej kieszeni wyciągnął zdjęcie Stanisława Sądeckiego, które otrzymał od jego syna Lecha. Mogło być zrobione kilka lat temu. Stary Sądecki siedział przy stole, w koszuli i pod krawatem. Tuż obok widniał fragment urodzinowego tortu i zapalona świeczka. Jubilat się uśmiechał, ale mimo to policjant nie widział na tej fotografii twarzy promieniejącej radością.

Kobieta przyjrzała się zdjęciu i wskazała komisarzowi krzesło przed biurkiem. Sama zajęła miejsce na fotelu obrotowym.

Błat mebla lśnił czystością. Figurska przymknęła niewielki laptop i odsunęła go na bok.

– Wiem, że on nie żyje. – Poprawiła krótkie włosy przefarbowane na kasztanowo.

– Znała go pani? – Gross odbił piłkę.

– Tak. Pan Staszek bywał u nas.

– Bywał?

– Kilka razy.

Komisarz nie wiedział, jak ma to rozumieć. To nie był sklep spożywczy ani kawiarnia. Uznał jednak, że poczeka na dalsze wyjaśnienia.

Figurska westchnęła.

– Za pierwszym razem, to chyba było na wiosnę – zaczęła i spojrzała gdzieś w bok – zajrzał tylko na chwilę. I, co ciekawe, wydawał się speszony. W duchu śmiałam się, że w zasadzie wyglądało to tak, jakby chciał trafić do zakładu pogrzebowego, ale wszedł do sex-shopu.

– O co pytał?

– Wtedy? O nic. Słowem się nie odezwał. – Pokręciła głową. – Przyglądał się trumnom, zawiesił wzrok na jednej takiej czarnej z chromowanymi okuciami, a potem uklonił się i wyszedł.

– Ale wrócił?

– Po tygodniu. Albo jakoś tak. I wtedy był już gotów do rozmowy.

– Co go interesowało?

– W zasadzie wszystko. Pytał o całkowite koszty związane z pogrzebem.

– Przekazała mu pani tę informację?

– Tak.

– I jak zareagował?

– Zmartwił się, że tak drogo.

– Drogo. Czyli ile? – Gross nie miał pojęcia o cenach w branży funeralnej.

– Za drugim razem wyszło nam dziewięć tysięcy złotych.

– Bez dodatku pogrzebowego?

– No nie, nie przesadzajmy. Z dodatkiem – wyjaśniła.

– A co to znaczy: „za drugim razem”?

– Pan Sądecki szukał oszczędności. Najpierw myślał o tradycyjnym pochówku, ale kiedy przedstawiłam mu ofertę, zrezygnował z drogiej trumny na rzecz spopielenia zwłok. A to przełożyło się na inne niższe wydatki, bo kolumbarium w sumie jest tańsze niż kopanie grobu, stawianie pomnika. A on od razu chciał zapłacić za wszystko kompleksowo, żeby uchronić najbliższych przed problemami związanymi z jego śmiercią.

Gross odruchowo zerknął raz jeszcze w kierunku urn.

– Wybrał jakąś? – Uniósł brodę, wskazując na podświetloną witrynę.

– Tak. – Właścicielka odwróciła się do przeszklenia i wskazała na niewielki szary walec z czarnymi kropkami. Miał połysk szlifowanego kamienia. – To kompozyt, jeden z tańszych produktów w naszej ofercie, ale bardzo efektowny. Do złudzenia przypomina granit, prawda?

Komisarz musiał się zgodzić z właścicielką zakładu. Materiał, z którego wykonano pojemnik, idealnie imitował kamień. Ale co innego zaprzętało głowę policjanta.

Myślał o starszym mężczyźnie u kresu życia i jego zmartwieniach. O dźwiganiu ciężaru odpowiedzialności za własną śmierć, a także o niespotykanej, jak mu się wydawało, trosce o bliskich, wyrażonej w chęci zapłaty za własny pogrzeb, a także za miejsce w kolumbarium.

– Jak często zdarzają się takie sytuacje? – rzucił.

– Jakże? – Na ustach Figurskiej pojawił się delikatny uśmiech.

– Takie, w których klient interesuje się wydatkami na swój pogrzeb, przychodzi do waszego zakładu i wypytuje o wszystko.

Zamyśliła się, nie przestając się uśmiechać.

– W dużych miastach to się chyba zdarza.

– Nie pytałem o duże miasta – zirytował się. – Pytam o Chełmżę, o pani zakład.

Kobieta spoważniała.

– „Kondukt” założyłam w końcówce lat dziewięćdziesiątych. W przyszłym roku będziemy świętować dwudziestolecie działalności.

– Szmata czasu – zauważył Gross.

– To prawda. Ale do tej pory taka sytuacja przydarzyła się tylko raz – przyznała. – Znacznie częściej podobne pytania słyszę przez telefon, ale mam wrażenie, że za nimi stoi konkurencja.

Gross podziękował jej za informacje, ale nie ruszył się z miejsca.

– Jaki on był, kiedy tu przychodził? – spytał po chwili wpatrywania się w urnę wybraną przez Sądeckiego.

– Miły, spokojny i kulturalny.

Kobieta złączyła dłonie, a Gross dostrzegł eleganckie paznokcie, pomalowane jasnobrązowym lakierem. Dopiero po chwili zauważył, że użyła podobnego koloru szminki.

– Pan Sądecki – kontynuowała – nosił w sobie smutek i rezygnację. Tak. To chyba właściwe słowo. W zasadzie wyglądał jak bliscy zmarłych, którzy tu przychodzą, wciąż jeszcze w szoku, zupełnie nieobecni myślami, załamani. I on też taki był. Pamiętam, że raz, kiedy się zegnaliśmy, powiedział coś, co mnie zupełnie zaskoczyło.

– Co takiego?

– Że czuje się stary i samotny. I że samotność doskwierała mu na wojnie.

– Na wojnie?

– Tak twierdził.

– Wyjaśnił, o co mu chodziło?

– Nie. Przy kolejnych wizytach nie wracał już do tego tematu, ale nie odzyskał dawnego humoru i ciepła. Stale pograżał się w melancholii.

Gross przyglądał się kobiecie, która mówiąc te słowa, sama posmutniała.

– Podobno wnuk Stanisława Sądeckiego był dziś u pani.

– Tak, przyjechał rano – odparła Figurska.

– Mam nadzieję, że nie ustalał daty pogrzebu.

Figurska zmarszczyła czoło.

– Robiliśmy przymiarki do dwóch terminów – przyznała z niepokojem, wpatrzona w Grossa.

Następnie sięgnęła po spory kalendarz zeszytowy, otworzyła go i zaczęła wertować.

Gross ostudził jej zapal.

– Ciało znajduje się w Zakładzie Medycyny Sądowej w Bydgoszczy. Trzeba czekać na autopsję. To może trochę zająć – uprzedził. – Na razie trudno przewidzieć, kiedy prokurator wyrazi zgodę na wydanie zwłok.

– Prokurator? Czy to oznacza, że Sądecki nie popełnił samobójstwa?

Gross milczał.

W końcu podziękował jej za rozmowę i zrobił kilka kroków w kierunku drzwi.

– To wszystko? Nie ma pan więcej pytań?

Odwrócił się.

– A powinienem o coś jeszcze spytać?

– Chyba o to, co najważniejsze. – Rozłożyła ręce.

– Czyli?

– Czy Sądecki w końcu kupił to, na czym mu zależało – odpowiedziała.

Gross, kompletnie zaskoczony, ściągnął brwi.

– A zrobił to?

– Tak.

– Kiedy?

Figurska przyglądała się policjantowi z uwagą.

– Wczoraj – powiedziała.

Gross minął komisariat i brukowaną drogą opadającą w kierunku jeziora zszedł na bulwar 1000-lecia.

Odbił w stronę pomostu łączącego oba brzegi akwenu i popychany przez uciążliwy, mroźny wiatr, przedostał się do bloku przy Kościuszki 41. Z okien jego kawalerki roztaczał się widok na fragment jeziora, a także na panoramę miasta rozpiętą między dwiema wieżami kościołów. Pomarszczony, odwrócony do góry nogami obraz miasta obserwował często w tafli wody.

Komisarz zabrał z mieszkania cieplejszą kurtkę, potem wyprowadził volkswagena golfa z garażu znajdującego się na wprost klatek schodowych, i obrał kurs na Toruń.

Kiedy auto podskakiwało na nierównościach drogi do Grzywny, nadal myślał o samotnym Stanisławie Sądeckim.

Ponieważ wymienił się numerami z jego synem, od razu do niego zadzwonił.

– Halo? – odezwał się Lech Sądecki.

Gross przypomniał mu, że widzieli się niedawno, i przeprosił, że powtórnie go niepokoi.

– Wspomniał pan, że ojciec słabował ostatnio. Tak pan się wyraził – przypomniał komisarz. – Może mi pan to wyjaśnić?

– No po prostu, to wyglądało tak, jakby go opuściły wszystkie siły.

– Chodzi o to, że stracił ochotę do życia? Że miał depresję?

Lech Sądecki musiał się skupić nad odpowiedzią, więc przez chwilę milczeli obaj.

– Mogło tak być – odparł mężczyzna.

– A nie wie pan, czy ojciec podjął leczenie?

– Nic mi o tym nie mówił. Wojtek też nie. Zresztą staruszek zawsze był skryty i małomówny.

– A zna pan nazwisko lekarza, do którego chodził?

– Chodzi o lekarza z przychodni?

– Tak.

– Leczyła go doktor Pilecka. Na Kościuszki. Ona wszystkich nas ma pod sobą.

Komisarz podziękował mu za informacje, a potem przedzwonił do Judyckiej.

– Tak, szefie? – odezwała się aspirantka.

– Skontaktuj się z doktor Pilecką z Przychodni Chełmżyńskiej i zapytaj ją, czy Stanisław Sądecki zgłaszał jej gorsze samopoczucie psychiczne i czy w związku z tym skierowała go do psychologa lub psychiatry.

– Chodzi o jakiś konkretny rodzaj zaburzenia psychicznego?

– Tak. O depresję.

– Jasne. Dam znać – obiecała. – Coś jeszcze?

Gross pomyślał o tym, czego dowiedział się w zakładzie pogrzebowym od Alicji Figurskiej, a wcześniej od syna Stanisława Sądeckiego. Oboje, zupełnie niezależnie, wspomnieli o wojnie. Ponadto Grossowi zapadła w pamięć wzajemna nienawiść starego Sądeckiego i Kowala, która dzieliła ich od czasów okupacji. Czy zemsta po latach wchodziła w grę? Komisarz uznał, że powinien wziąć ten motyw pod uwagę i przyjrzeć się przeszłości, dlatego zamierzał poprosić Judycką o pomoc.

– W zasadzie tak. Chciałbym dowiedzieć się więcej o wzajemnej niechęci Sądeckiego i Kowala.

– Jasne. Co mam zrobić?

W kilku słowach zarysował jej kontekst i poprosił:

– Sprawdź, czy obaj mieszkali w Bielczynach, kiedy wybuchła wojna.

– Sądzisz, szefie, że to może mieć znaczenie?

– Szczerze mówiąc, nie sądzę. – Westchnął. – Może się okazać, że zmarnuję twój czas, a odpowiedź nic nie wniesie do sprawy.

– Mimo wszystko spróbuję dopytać w gminie.

– Dziękuję, Judyto.

Gross nie odłożył telefonu, tylko od razu połączył się ze Skalską.

– Rozmawiałaś już z sąsiadami Sądeckiego? – zapytał, gdy się odezwała.

– Właśnie jestem na miejscu i zaraz się za to zabieram, a co?

– Zapytaj ich o konflikt na linii Sądecki–Kowal. Podobno to trwało całe lata.

– Dobra, sprawdzę.

– A co masz do tej pory?

Skalka zrelacjonowała mu rozmowę z Igorem Wójcickim, mężem kobiety, której samochód roztrzaskał się na drzewie.

– Postaram się ustalić, co jego żona robiła między wyjazdem z domu a wypadkiem. Jak wrócę z Bielczyn, zajmę się monitoringiem – dodała.

– Świetnie – pochwalił ją. – Jestem ciekaw, dokąd nas to zaprowadzi.

– Ja też. Jak już odnajdziemy pozostałe fragmenty mapy, to wtedy się przekonamy. W kontakcie.

– W kontakcie – odparł i zakończył rozmowę.

Boczne porywy wiatru spychały volkswagena z drogi i dlatego Gross musiał pewniej chwycić kierownicę.

Myśli o Sądeckim przeplatały się w jego głowie ze wspomnieniami niedawnej rozmowy z Miłozem Wiernatem. Komisarz zastanawiał się, jakie nowe światło na sprawę sprzed lat

rzucił jego syn.

Próbował się dodzwonić do Bartka, lecz ten nie odbierał. Gross wysłał mu esemesa z prośbą o kontakt i mógł jedynie czekać. Był zdany na łaskę syna i nie bardzo wierzył, że chłopak odpowie na jego wiadomość.

Przez całą drogę do Torunia nawiedzały go sceny sprzed dziesięciu lat. Wyświetlały się w jego głowie jak przerywany film. A kiedy projekcja wreszcie dobiegła końca, oczyma wyobraźni patrzył na żonę w śpiączce i syna, który pogrążał się w chorobie alkoholowej. Gross obwiniał się za to wszystko, jakby to on sam włamał się do własnego domu i w ten sposób wyrządził krzywdę im obojgu. Czasami zastanawiał się, czy tak właśnie nie było. Podświadomie czuł, że w tym koszmarnym napadzie tak naprawdę chodziło o niego. O policjanta służby kryminalnej, który być może w tamtych latach lub wcześniej nadepnął komuś na odcisk. Ale dziesięć lat temu Gross nie był nikim ważnym w toruńskiej jednostce. Ani nie prowadził śledztw, ani nie mógł wpływać na ich przebieg. Wykonywał rozkazy, to wszystko. Więc dlaczego to on miał być celem ataku? I skoro tak miało być, to dlaczego ucierpiała jego żona?

Jednak ilekroć roztrząsał ten scenariusz, doskonale wiedział, że popełnia zasadniczy błąd. Przecież gdyby chodziło o odwet, otrzymałby informację. Zemsta smakuje tylko wtedy, gdy druga strona, ta, która ma cierpieć, zna powód tego cierpienia.

A skoro on nic z tego nie rozumiał, to co o całym zajściu mógł wiedzieć przestraszony jedenastoletni wówczas chłopiec? Co wiedział lub co widział jego syn?

Zaparkował pod budynkiem Fundacji „Światło” i przez jakiś czas siedział w samochodzie, spoglądając jedynie w okna sali, w której leżała Agnieszka. Żywe ciało z nieodwracalnie uszkodzonym mózgiem.

Czy wciąż była jego żoną? I czy on wciąż był jej mężem?

Rozmyślał nad tym nieustannie, ale tym razem przerwała mu melodia dobiegająca z głośnika komórki.

Gross zerknął na ekran. Odebrał.

– Cześć – usłyszał miły tembr głosu Malwiny Lemańskiej.

– Cześć – odpowiedział, opierając głowę na zagłówek fotela.

– Wszystko w porządku? – zatroszczyła się bibliotekarka. Po ciszy w tle domyślił się, że jest w pracy.

Przypomniał sobie minioną noc, kiedy ich ciała splotły się ze sobą. Burzę kasztanowych loków rozsypanych na poduszce, napięcie na twarzy i zaciśnięte powieki, zwiastujące nadejście chwilowej, upragnionej rozkoszy.

– Tak – stwierdził smutno. – A u ciebie?

– Wyjechałeś tak wcześniej – przypomniała. – Wiadomo już, co się stało w Bielczynach?

Gross nie chciał zdradzać jej żadnych szczegółów spraw, którymi się zajmował. I nie chodziło tylko o tajemnicę zawodową, ale o to, że nie zamierzał infekować rodzącego się związku opowieściami o złu, które jest namacalnie blisko.

Malwinę poznał niedawno, kiedy wypożyczał książki w chełmińskiej bibliotece. Zawoził je Agnieszce, żeby czytać jej na głos. Urodziwa bibliotekarka podrzucała mu nowe tytuły, a on ufał fachowym podpowiedziom, bo za każdym razem trafiał na wartościowe lektury. Przy jednej z kolejnych wizyt w bibliotece kobieta, której urodę podziwiał, zerkając ukradkiem, jak przechadza się między regałami lub rozmawia z innymi czytelnikami, zaprosiła go na kolację. Wtedy stchórzył, ale zaraz potem zaczął ją częściej odwiedzać. Poszli na jeden spacer, potem drugi i kolejne, czasem siadali w kawiarni albo szli na obiad do restauracji. Grossa zafascynowała ta pełna uroku i wewnętrznego ciepła kobieta, która przeżyła swoją rodzinną traumę.

– Wiadomo – odparł na pytanie. – Zmarł starszy mężczyzna. – Ograniczył się do informacji, które i tak lotem błyskawicy dotrą wkrótce do Chełmży.

– Ludzie mówią, że chodzi o Stanisława Sądeckiego. To prawda? – rzuciła.

A zatem już dotarły, skonstatował ze smutkiem.

– Znałaś go?

– Tak. Ostatni raz był u mnie na początku października, a kiedy pogoda się zmieniła, zadzwonił i powiedział, że książki odda wnuk.

– Wypożyczał coś potem?

– Tylko przez wnuka.

– A kiedy ostatnio?

– Chyba tydzień temu. Mogę to sprawdzić.

Gross przypomniał sobie, że kiedy zajrzał do sypialni Sądeckiego, na stoliku nocnym leżała jakaś książka.

– Co pożyczył?

– To akurat pamiętam. *Życie aż do końca*.

Komisarz przetrząsnął tytuł.

– O czym to?

– O czym? – zastanowiła się. – Zapis rozmowy z księdzem Janem Kaczkowskim. W zasadzie to rzecz o chorobie i umieraniu. A może raczej o pogodzeniu się z nieuchronnością śmierci.

Gross powrócił myślą nad brzeg jeziora, na którym leżało zimne nagie ciało Stanisława Sądeckiego.

– Czy on taki był? – spytał po krótkiej przerwie.

– Ksiądz Kaczkowski?

– Nie. Sądecki. Czy był pogodzony ze śmiercią? Rozmawialiście w ogóle o tym ze sobą? – doprecyzował i dorzucił kolejne pytania: – Czy mówił ci, dlaczego sięgnął po książkę o umieraniu? Był chory? Miał depresję?

– Nie. To znaczy, chyba nie. Nie wiem – odparła.

Z zakładu opiekuńczego wyszła pielęgniarka z narzuconym na plecy czerwonym polarem, po czym skierowała się do pobliskiego budynku hospicjum. Gross odprowadzał ją wzrokiem.

– Wypożyczał już wcześniej książki o podobnej tematyce?

– Może raz czy dwa. Musiałabym sprawdzić. Ale dlaczego pytasz? Czy on popełnił samobójstwo?

– A czy coś w jego głosie lub zachowaniu mogłoby na to wskazywać? – odparł pytaniem na pytanie.

– Chyba nie.

– Na pewno nic nie mówił o chorobie? O czekającym go cierpieniu?

Malwina milczała dłuższą chwilę, zanim ponownie się odezwała.

– Teraz sobie przypomniałam – westchnęła. – Kiedy był u mnie ostatni raz, za oknami przejechał wolno karawan i wtedy pan Staszek powiedział, że nikt z nas nie wie, co nas tam czeka.

– Gdzie?

– Po drugiej stronie – wyjaśniła. – A potem wskazał na regały i dodał, że w książkach jest tyle mądrości, ale żadna z nich nie przynosi odpowiedzi na to proste pytanie. I teraz tak sobie myślę, że chyba dlatego poleciłam mu tę książkę księdza Kaczkowskiego, bo on mądrze opowiadał o umieraniu.

Gross nabrał powietrza w płuca. Pamiętał o wizytówce zakładu pogrzebowego wetkniętej w zeszyt krzyżówek.

– Czy Sądecki miał żonę? – dopytał.

– Miał, ale zmarła dawno temu.

– Jak dawno? Rok temu czy pięć?

– Oj, znacznie wcześniej. Może piętnaście albo i dwadzieścia.

– Dwadzieścia lat – powtórzył jak echo Gross i oboje zamilkli.

Czy to wystarczający czas, by pogodzić się ze śmiercią bliskiej osoby? Gross nie znał odpowiedzi na to pytanie, ale informacje od Malwiny sprawiły, że chciał się przyjrzeć życiu i przeszłości Stanisława Sądeckiego. W takich sprawach wgląd w to, co pokryte kurzem i zapomniane, mogło nadać właściwy kierunek śledztwu. Tym bardziej że jak dotąd mgła, okrywająca poranne zdarzenia w Bielczynach, nie chciała ustąpić.

Jednak Gross był do tego przyzwyczajony. Zazwyczaj każde ze śledztw rozpoczynało się podobnie. Niewiadomych zawsze było więcej niż prawidłowych odpowiedzi. A jednak czasami wystarczało pójść jedną z dróg, by tę mgłę nieco rozrzedzić.

– Halo? – usłyszał głos Malwiny i się ocknął.

– Jestem, przepraszam.

– Nic nie szkodzi. Myślałam, że przerwało nam połączenie.

– Zamyśliłem się – odparł komisarz i zaraz dodał – przyjechałem do Torunia. – Wolał zmienić temat i uznał, że nie będzie okłamywał Malwiny. Nie zasługiwała na to. – Jestem u żony – oznajmił i chciał dodać coś o tym, że zamierzał być tu krótko, ale zrezygnował. Obawiał się, że zabrzmiałoby to jak próba tłumaczenia się.

– To dobrze. Ona cię potrzebuje. – Jej głos miał kojącą moc.

Pokiwał głową. Nie wiedział tylko, kto kogo potrzebuje bardziej. Agnieszka miała dobrą opiekę, Gross nie był jej do niczego potrzebny, a jednak przyjeżdżał tu, żeby się rozgrzeszać. Kochał tę kobietę, ale miał wrażenie, że po dziesięciu latach jego miłość dogasa jak dopalająca się świeca. Ogień tlił się jeszcze, ale Gross czuł, że kiedyś zgaśnie zupełnie. I co wtedy zrobi? Czy wciąż będzie tu przyjeżdżał?

– Mam nadzieję, że kiedyś mnie do niej zabierzesz. Chciałabym ją poznać – stwierdziła po chwili.

Przełknął ślinę.

Niczego tak się nie bał jak tej prośby i jednocześnie podświadomie wiedział, że kiedyś ją usłyszy. Sądził, że będzie miał wtedy gotową odpowiedź, a jednak nie znajdował w sobie żadnych słów.

Za pierwszym razem, będąc u Malwiny w mieszkaniu, zdecydował się opowiedzieć tej niezwyklej kobiecie o swojej życiowej tragedii. Jeszcze wówczas nie wiedział, że Lemańska straciła męża i córkę na przejściu dla pieszych. Potracił ich rozpędzony tir. Kiedy opowiadała o tym Grossowi, nie był w stanie pojąć, jak po takiej traumie bibliotekarka wciąż mogła być tak pogodną i pełną życia kobietą. Różniło ich tak wiele, ale oboje dzielili podobne, dramatyczne doświadczenia. Ich los splatał głęboki smutek, z tą tylko różnicą, że Malwina przepracowała żalobę, a Gross wciąż tego nie zrobił. Bo Agnieszka przecież żyła.

Doskonale wiedział, że propozycja Malwiny, którą przed chwilą usłyszał, była niewinna. Rozumiał jej prośbę i w zasadzie był wdzięczny, że o tym pomyślała. Ale gdzie w tym wszystkim była Agnieszka? Czy na pewno chciałyby poznać kobietę, z którą jej męża łączyło coraz więcej? Czy mógł pozwolić na to, by wiedziała o Malwinie? Czy nie byłby zbyt okrutny dla żony, którą tak bardzo kiedyś kochał?

– Odezwę się – zdołał wydusić, po czym się rozłączył.

Agnieszka leżała na boku, z twarzą skierowaną do okna, za którym świat, zatrzymany niby w stop-klatce, tonął w szarościach. Gęste stalowe chmury znieruchomiały nad zabudowaniami Fundacji „Światło” ustawionymi na planie litery „c” i rozdzielającym je skwerem, a nagie gałęzie starych drzew zapadły w długi letarg.

Gross podszedł do żony i jak zawsze ucałował ją w czoło. Pod lekko uchylonymi powiekami Agnieszki widział białka jej oczu.

Przysiadł na krześle między łóżkiem a oknem i wziął do ręki ciepłą dłoń żony, wyczuwając napięcie jej mięśni. Jakby sprzeciwiła się temu gestowi i opierała się czułości męża. Bernard Gross jednak wiedział, że to wina uszkodzonych synaps w płatach czołowych ośrodkowego układu nerwowego, które w konsekwencji zaburzały czynności tkanki mięśniowej.

Na łóżku obok, przy wejściu do sali, leżała Roksana, młoda, pulchna dziewczyna, ofiara wielokrotnego gwałtu dokonanego przez kolegów. Miała otwarte usta, z których wystawały poźółkłe duże siekacze.

Gross pogładził dłoń żony, pomasaował jej przedramię i poczuł, że napięcie mięśniowe ustępuje. Następnie odsunął z czoła krótkie blond włosy i wpatrywał się w twarz matki swojego dziecka.

Pamiętał, jak któregoś wieczoru, kilka dni przed tragedią, rozmawiali o Bartku, jak przyglądali się synowi, gdy ten zaczął wchodzić w okres dojrzewania. Agnieszka leżała na sofie pod kocem. Gross usiadł obok, podniósł jej nogi i położył sobie na kolanach. A potem zaczął gładzić stopy ukochanej kobiety. Zmęczona po pracy przymknęła powieki, jakby miała ochotę na drzemkę.

– Zrobiłeś to wreszcie? – spytała szeptem.

Bernard Gross nie odpowiedział.

Miesiąc wcześniej prosiła go, by porozmawiał z synem o jego zmieniającym się ciele, o dojrzewaniu i miłości. A on się pochopnie zgodził. Mimo to nie wyobrażał sobie rozmowy na te tematy z Bartkiem, który – w opinii Grossa – wciąż był dzieckiem. Po lekcjach siadał na dywanie w swoim pokoju i układał zestawy klocków lego albo tworzył z nich własne statki powietrzne.

Policjant sądził, że troska matki była przedwczesna.

– A więc nie zrobiłeś. – Agnieszka otworzyła jedno oko, a Gross, nie przestając masować jej stóp, skinął głową. – Dlaczego? Na co czekasz?

Widział, że uniosła głowę i zmarszczyła brwi.

– Po pierwsze, mam jeszcze czas, a po drugie, mój ojciec nie rozmawiał ze mną na takie tematy – bronił się.

– Ale to było lata temu, Berni. – Tylko jej pozwalał na używanie zdrobnienia. – Kto ma to zrobić? Szkoła czy koledzy z podwórka?

– A ty byś nie mogła?

Oparła głowę na poduszce i zamknęła oczy.

Okrężnymi ruchami palców delikatnie uciskał jej śródstopie.

Zamruczała.

– Wciąż jesteś jego idolem. – Otworzyła jedno oko. – Warto, żebyś to wykorzystał.

Gross westchnął.

– Dobrze, zrobię to – obiecał i skończył masaż stóp.

– Teraz? – zdziwiła się.

– A to zły moment?

– Bardzo zły.

– Dlaczego?

– Bo było mi bardzo dobrze – odparła i oboje się zaśmiali.

Gross nie poszedł wtedy do syna. Uznał, że uświadomi go później, ale nie spodziewał się, że spotka ich tragedia, która całkowicie odmieni los rodziny. Nigdy więc nie zdążył porozmawiać z Bartkiem o męskim i kobiecym ciele, o intymności, potrzebie bycia we dwoje, wzajemnym szacunku i miłości.

Zostawił Bartka samego z tym i wieloma innymi problemami.

Nigdy nie sprawdził się jako ojciec.

Wrócił do rzeczywistości i odłożył dłoń żony na kołdrę.

Miał sporo do powiedzenia Agnieszce, ale nie umiał mówić do kogoś, kto, jak ona, nie udzielał odpowiedzi. Buntował się i złościł, mimo że terapeuci zachęcali go do takiej aktywności. Byli przekonani, że głos Grossa, ukochanego męża, będzie stymulował chory mózg Agnieszki do pracy, do odbierania i przetwarzania bodźców, a w dalszej kolejności do zdrowienia i procesu wybudzania się.

Jednak Gross nie wyzbył się swoich oporów. Chciał rozmawiać ze swoją żoną tak, jak to robił kiedyś, a nie zwracać się do niej jak do ściany. Nie zgadzał się na to. I dlatego właśnie znalazł inne wyjście. Wolał jej czytać.

Odszukał wzrokiem książkę i zauważył, że jako zakładka tkwi w niej złożona kartka.

Otworzył w zaznaczonym miejscu i zorientował się, nie pierwszy zresztą raz, że od czasu poprzedniej wizyty ktoś przeczytał Agnieszce kilkanaście kolejnych stron. Sądził wówczas, że zrobiła to opiekunka medyczna. Podziękował jej za miły gest, lecz ta powiedziała mu

prawdę. Bartek zaczął regularnie tu przychodzić. I to on był tą osobą, która czytała książkę swojej mamie.

Grossowi niemal zabrakło tchu. Nie mógł uwierzyć w słowa kobiety. Wielokrotnie przecież zachęcał dorosłego syna do odwiedzenia matki, jednak ten nie miał na to najmniejszej ochoty. Pierwotnie przywoził go tu za każdym razem, ale kiedy chłopak przechodził okres dojrzewania i buntu, zaparł się i odmówił dalszych przyjazdów do zakładu opiekuńczego. Nie widział w tym sensu. A może po prostu zbyt mocno cierpiał, widząc swoją matkę leżącą jak kłoda, niezdolną do żadnego ruchu i gestu, głuchą na wołania zrozpaczonego, kochającego dziecka. Być może właśnie to sprawiło, że Bartek odwrócił się także od ojca, jako tego, który nie zapobiegł rodzinnej tragedii, nie uratował jego matki i nie ukarał winnych.

Komisarz myślał o tym wszystkim, ale zainteresowany złożoną kartką, pełniącą funkcję zakładki, rozprostował ją i przeczytał wiadomość, która była odpowiedzią na jego wcześniejsze wezwania.

„Odpuść, ojciec”.

Skalska wysiadła z radiowozu przed ogrodzeniem domu Stanisława Sądeckiego.

Drzwi wejściowe były zaplombowane, a policyjną taśmą szarpał wiatr.

Wsunęła gumę do ust i zaczęła żuć. Ostry miętowy smak drażnił kubki smakowe i szczypał w język.

W trakcie drogi do Bielczyn przyjrzała się mapie satelitarnej. Gdyby poszła dalej polną drogą, która od południa owijała się wokół jeziora, natrafiłaby na dwa domy wybudowane obok siebie. Sądziła, że oba należały do rodziny Kowala.

Z Januszem Kowalem rozmawiała rano i nie miała do niego więcej pytań. Powinna natomiast spotkać się z jego ojcem, bo Gross liczył na informacje o konflikcie między starymi sąsiadami. Ponadto zależało jej na rozmowie z synem Janusza, kuzynem Małgorzaty Wójcickiej, którego ta czasami zabierała do Chełmna.

Skalska, jeszcze w radiowozie, zadzwoniła do sekretariatu tamtejszego I LO i dowiedziała się, że Kowal nie dojechał do pracy.

Minęła sporą kępę drzew stykającą się z linią brzegową i wtedy zauważyła dwa domy w bliskiej odległości. Jeden z nich, parterowy, z płaskim dachem, znajdował się bliżej, a za nim wyrastał drugi, okazały. I to właśnie z komina większego budynku unosił się dym.

Skalska pchnęła furtkę. Przeszła obok parterowego budynku i zajrzała przez okna do dużego pokoju ze starymi, drewnianymi meblami wykończonymi ciemną politurą, ale nikogo w nim nie dostrzegła.

Tymczasem drzwi sąsiedniego domu się otworzyły.

– Widziałem panią przez okno w kuchni – stwierdził Janusz Kowal. – Niech pani wejdzie.

Odsunął się, żeby zrobić jej miejsce w korytarzu z drewnianymi schodami prowadzącymi na górę.

– Próbowałem zasnąć po nocce, ale, cholera, nie mogę, tak mnie ta śmierć Staszka wytrąciła z równowagi – dodał. – Śmiało, śmiało, zapraszam dalej. Żony nie ma, bo w pracy, ale synowa zrobiła wczoraj ciasto marchewkowe, bardzo dobre, więc jest czym poczęstować gości. – Machnął ręką, by przeszła za nim do pokoju. – Ma pani jakieś nowe informacje o Staszku?

– Nie mam. Przyszłam porozmawiać z pana ojcem i synem.

Janusz Kowal rozłożył ręce.

– No to w jednym przypadku ma pani pecha, bo tata od tygodnia siedzi w sanatorium w Międzyzdrojach. Jacek odbierze go stamtąd na krótko przed Bożym Narodzeniem.

– A syn jest?

– Na górze siedzi. – Uniósł głowę w kierunku sufitu. – Mają tam z Olką mieszkanie. Tylko że akurat choroba go rozbiera. Miał jechać do pracy, ale ostatecznie wybrał się do przychodni. Wrócił godzinę temu.

– Mogę? – Skalska wskazała na schody.

– No pewnie, pani idzie – odparł i krzyknął. – Jacula! Gościa masz!

Skalska wspięła się na piętro, gdzie z niewielkiego korytarza odchodziło czworo drzwi, w tym jedno z kwadratowym oknem, prawdopodobnie do łazienki. Drzwi naprzeciwko były uchylone. Przez szparę Skalska dojrzała fragment łóżka.

– Kto tam? – głos dobiegał stamtąd.

Policjantka zapukała, a potem pchnęła drzwi szerzej i stanęła w progu.

– Aspirantka sztabowa Monika Skalska. – Okazała legitymację.

Mężczyzna z ciemną, gęstą brodą leżał w łóżku, ubrany w granatowy dres, z szerokim kompresem na czole. Nogi aż po uda okrywał mu brązowy koc. Na stoliku nocnym, przy kubku, leżały lekarstwa na przeziębienie. Druga część łóżka była zasłana, a na szafce obok leżała książka. Dwie kolorowe sukienki wisiały na oparciu znajdującego się obok krzesła.

– Co się stało? – zapytał mężczyzna.

– Chciałam zadać panu kilka pytań.

– W sprawie sąsiada? – jedną ręką przytrzymał sobie kompres, a drugą się podparł.

– Jeśli może mi pan opowiedzieć coś ciekawego, to chętnie posłucham.

– Nie, raczej nie.

– Niczego pan nie widział i nie słyszał?

– A niby co takiego miałem słyszeć?

– Nie wiem. Cokolwiek, co zwróciłoby pana uwagę.

Zaprzeczył lekkim ruchem głowy.

– A o wypadku drogowym pan słyszał?

– Jakim wypadku? – ściągnął krzaczaste brwi.

– W Bielczynach.

– Nie. Też nic nie słyszałem.

Skalska przygryzła wewnętrzną część policzka.

Kolejny raz była zmuszona do przekazania złych informacji, ale nie chciała od tego zaczynać rozmowy z mężczyzną.

– Czy to prawda, że pana kuzynka Małgorzata Wójcicka zabierała pana do Chełmna?

– Zdarzało się. Zazwyczaj właśnie we wtorki. Ale wczoraj wieczorem wysłałem jej esemesa, że choróbsko mnie rozkłada i że pasuję.

– O której miała pana zabrać?

– Umawialiśmy się za pięć siódma.

– Tutaj? Pod domem?

– Nie. Brałem torbę i szedłem do szosy. Tam jest przystanek, przy którym na nią czekałem – wyjaśnił.

– Jest pan pewien, że ta wiadomość do niej dotarła?

– Gdyby nie dotarła, to zadzwoniłaby rano. Za każdym razem, gdy się spóźniałem, dzwoniła z ochrzanem – wyjaśnił i się zaśmiał, ale kiedy przyjrzał się Skalskiej, zmarszczył czoło. – Zaraz, zaraz, mówiła pani o wypadku. Czy chodzi o...

Skalska przyglądała mu się przez chwilę.

– Rano było potwornie ślisko. Samochód pana kuzynki, przy znacznej prędkości, uderzył w drzewo – powiedziała. – Przykro mi, ale Małgorzata Wójcicka nie żyje.

– O, Boże... – wyszeptał i opadł na łóżko. – Ojciec! – krzyknął. – Słyszałeś?!

– Co? – usłyszeli męski głos dobiegający z dołu.

– Gośka nie żyje!

Starszy mężczyzna zaniósł się od kaszlu. Usłyszeli odgłos jego kroków, a następnie schody zaczęły skrzypieć i trzeszczeć. Janusz Kowal pokonywał je szybko i zasapany stanął w progu.

– Gośka nie żyje – powtórzył Jacek.

– Nasza Gosia? Wójcicka? – Starszy z mężczyzn wpatrywał się to w syna, to w Skalską, która skinęła głową. – Jezus Maria! Jak to się stało?

Policjantka raz jeszcze przekazała mu tę samą informację.

– Rany boskie, najpierw Staszek, a teraz Gośka. To jakieś fatum. – Starszy Kowal przyłożył dłonie do policzków. – Boże święty! Coś nieprawdopodobnego!

Mężczyźni znowu spojrzeli po sobie. Młodszy z niedowierzaniem pokręcił głową. Pod jego powiekami zbierały się łzy.

– Zadzwoń do Igora, może trzeba mu jakoś pomóc – stwierdził Janusz Kowal i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Drewniane schody znowu zaczęły trzeszczeć.

Skalska dała Jackowi Kowalowi czas na zebranie myśli. Widziała, że sięga po telefon i zaczyna na nim pisać.

Pomyślała o tym, że do wypadku doszło kilkadziesiąt metrów za przystankiem autobusowym. Małgorzata Wójcicka przekroczyła bezpieczną prędkość, a to oznaczało, że nie zamierzała zatrzymać się w zatoce dla autobusów. A zatem, jak wnioskowała Skalska, kobieta musiała odebrać wiadomość od kuzyna. Wciąż jednak otwarte pozostawało pytanie, co robiła przez niemal godzinę od wyjazdu z domu do chwili śmierci.

– Nie będę zabierać panu więcej czasu, ale chciałabym dopytać o jedną rzecz.

– Słucham.

– Podobno pana dziadek i sąsiad niespecjalnie się lubili. Zna pan powód tych animozji?

– Nie. I obawiam się, że nikt tego nie wie. Oprócz nich oczywiście. To znaczy teraz wie to już tylko mój dziadek.

– Podobno pokłócili się jako dzieci w trakcie wojny.

– Tak wszyscy mówią, ale cholera wie, czy to prawda.

– Jak im się udawało żyć przez tyle lat obok siebie?

– Normalnie. Po prostu się do siebie nie odzywali. Ale na szczęście nie przekazali tej nienawiści z pokolenia na pokolenie. Dzięki temu pan Staszek lubił mojego ojca, a mój dziadek z kolei zabierał mnie i Wojtka na spacer i na łódkę. Nauczył nas wędkować. Tylko pływać uczył mnie mój ojciec, bo pan Staszek nigdy nie kąpał się w tym jeziorze.

Skalskiej wydawało się to odrobinę zaskakujące. Zazwyczaj kłótnie między mężczyznami dzieliły ich rodziny na dwa zwalczające się obozy. Pomyślała o jeszcze jednej ważnej kwestii.

– A jak żyły ze sobą ich żony?

– Tego to już nie pamiętam. Żona pana Staszka zmarła dawno temu, a moja babka nie żyje od trzech lat. Nowotwór płuc zabrał ją kilka dni przed Wigilią – dodał. – Musiałaby pani zapytać o to ojca.

– Tak zrobię. Życzę zdrowia. – Skalska podziękowała za rozmowę i zeszła na parter. Janusz Kowal musiał słyszeć jej kroki na schodach, bo pojawił się w korytarzu. Policjantka

wykorzystała jego obecność i zadała mu pytanie o stosunki między żonami jego ojca i Stanisława Sądeckiego.

– A czemu pani o to pyta? – zainteresował się.

– Nie powinnam?

– Nie, nie o to chodzi. Tylko zastanawiam się, jaki to ma związek ze śmiercią Staszka – wyjaśnił. – One się tolerowały. Po prostu umiały żyć obok siebie. I tyle. – Janusz Kował się zamyślił. – Bo musi pani wiedzieć, że to, co dzieliło mojego ojca i Staszka, nie przenosiło się na innych. To była jakby ich tajemnica – dodał. – Może teraz, kiedy Staszek nie żyje, mój staruszek coś nam powie.

– Oni obaj mieszkali tu od wojny?

– Mój ojciec na pewno. A Staszek chyba wybudował się później. Nie pamiętam już, co ojciec na ten temat mówił. Przyznam szczerze, że jakoś nigdy mnie to nie interesowało.

– A żyje w sąsiedztwie jakiś ich rówieśnik?

Kował podrapał się po szyi.

– Pewnie kilku się znajdzie. Ale oni nic pani nie powiedzą. Przynajmniej jeśli chodzi o ten ich konflikt.

– Dlaczego?

– Bo większość z nich osiedliła się tutaj po czterdziestym piątym.

Skalka podziękowała mu za informacje i złapała za klamkę, ale w ostatniej chwili odwróciła się raz jeszcze do gospodarza.

– Rano powiedział mi pan, że wracając z pracy, podrzucił pan chleb Sądeckiemu, kiedy o to poprosił. Dobrze zrozumiałam?

– Tak.

– Więc to by znaczyło, że wczorajszego wieczora Sądecki poprosił pana o pieczywo, prawda?

– Nie.

– Nie? Jak to?

Kował przeciągnął dłonią po brodzie.

– Staszek miewał drobne problemy z koncentracją. Z pamięcią zresztą też. To się ostatnio nasilało.

– To znaczy?

– Jakiś tydzień temu dzwonił do mnie trzy razy w krótkich odstępach czasu i za każdym razem prosił mnie, żebym mu przywiózł chleb. Kiedy powiedziałem mu, że już wiem, że już mi to mówił, zezłościł się i przerwał połączenie. Kolejnego dnia chciał mi płacić za ten chleb dwukrotnie, chociaż wcześniej dał mi dwadzieścia złotych, ale o tym też zapomniał –

wyznał Kowal. – Natomiast parę dni temu, kiedy go odwiedziłem, miał strasznie zimno w chałupie. Chciałem mu rozpać w piecu, a ten mi na to, że ciepłownia ma awarię. Plóć niestworzone rzeczy, bo my tu nigdy nie byliśmy podpięci do żadnej elektrociepłowni.

– I co pan wtedy zrobił?

– Nic. To znaczy przyniosłem drewno z drewutni i wiadro węgla. Rozpać i tyle. Kilka szczap położyłem przy piecu i kazałem mu dorzucić za jakiś czas.

– Powiedział coś?

Mężczyzna pokręcił głową.

– To znaczy poprosił mnie jeszcze, żebym mu fotel odwrócił.

– W jakim sensie?

– No do ściany.

– Czyli to jednak pan zrobił?

– No co pani? Oczywiście, że nie! Pokazałem mu, gdzie ma telewizor i że fotel jest dobrze ustawiony, na co on, że wolałby odwrócić go do telefonu znajdującego się na komodzie, bo jak ktoś dzwoni, to on nie ma już siły wstawać.

– Nie miał komórki?

– Ależ miał.

– Tylko że wciąż korzystał ze stacjonarnego, tak? – zgadywała Skalka.

Kowal się zaśmiał.

– Nic z tych rzeczy, proszę pani. Otóż jego stacjonarny nie działa od dawna. Zrezygnował z tej usługi latem, kiedy był zmuszony oszczędzać. A przynajmniej tak twierdził.

– Zdradził panu, na co odkładał?

– Ilekroć go pytałem, zawsze odpowiadał, że na podróż.

– Podróż?

– Tak mówił.

– A dokąd chciał się wybrać?

– Nie wiem. Mówił tylko, że każdy ma cel swojej podróży. I że on się do tego celu zbliża.

Gross wrócił do komisariatu i wszedł na piętro.

Gdy przekręcał klucz w drzwiach swojego gabinetu, zawołała go sekretarka.

– Co jest? – Odwrócił się do niej.

Beata Różycka kiwnęła głową w stronę drzwi komendantki.

Policjant westchnął zrezygnowany i wszedł do sekretariatu.

– Wiesz, czego chce? – wyszeptał.

– Nie mówiła. – Kobieta rozłożyła pulchne ręce. – Pewnie się stęskniła. Jak zawsze. Mrugnęła do Grossa zalotnie, ale ten nie miał siły odpowiedzieć jej uśmiechem.

Zapukał do drzwi gabinetu młodszej inspektor Lucyny Wojtasik, a kiedy usłyszał głośne zaproszenie, pchnął je przed siebie.

Szefowa, przysadzista kobieta z ufarbowanymi na rudo włosami upiętymi w kok, siedziała przy biurku pochylona, z piórem w ręce, nad teczką z korespondencją. Okna za jej plecami wychodziły na położone w obniżeniu terenu jezioro. Szara woda odbijała obraz wolno sunących na zachód chmur.

Gross bez słowa podszedł do stołu odpraw i zajął miejsce po lewej.

Komendantka obrzuciła go przelotnym spojrzeniem, a potem jej pióro zaczęło skrobać po papierze. Kiedy zakończyła wpisywanie dekretacji i złożyła parafę, pismo z powrotem powędrowało do teczki. Kobieta nasunęła skuwkę na pióro i oparła się wygodnie.

– A „dzień dobry” to nie łaska powiedzieć? – stwierdziła.

– Dzień dobry – odparł, bo zdał sobie sprawę, że tego dnia widział ją pierwszy raz. Nie stawiał się na odprawie. Zatrzymała go śmierć Sądeckiego i praca w terenie.

Wojtasik pokiwała głową i nabrała powietrza.

– Co wiemy w sprawie trupa w jeziorze? – spytała.

– Niewiele.

– Samobój?

– Gdyby to było samobójstwo, powinno znaleźć się w podręczniku do kryminalistyki – uznał policjant.

– Niby czemu?

Gross opowiedział jej o zwłokach odnalezionych w jeziorze, a także o sznurze i desce, i o ciężarku kotwicznym. Potem dodał do tego informacje zdobyte w zakładzie pogrzebowym, a na koniec wspomniał o książce, którą zmarły wypożyczył jakiś czas temu z biblioteki.

– Wygląda więc na to, że staruszek solidnie się przygotował do śmierci – zawyrokowała Wojtasik.

– Fakt, trudno to wykluczyć.

– Trudno, ale jednak widzę, że próbujesz to zrobić.

– Co takiego? – Komisarz ściągnął brwi.

– Wykluczasz taką ewentualność.

– Dopóki nie poznamy wyników sekcji, sprawa wciąż wydaje się otwarta.

Wojtasik okręcała pióro w palcach.

– Melduj zatem o wszystkim, dobrze?

– Jak zawsze.

– Taaa... Mhm... Jak zawsze. – Wojtasik zdobyła się na sarkazm. – A kto to prowadzi? Prokurator Legner?

– Nie. Justyna Bilka.

– O, to jakaś miła odmiana i powiew normalności – odparła.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, słuchając wiatru napierającego na okna.

Gross czuł, że szefowa przygląda mu się z uwagą.

– Jest coś jeszcze? – zainteresowała się.

Opowiedział jej o wypadku samochodowym w Bielczynach i śmierci kobiety za kierownicą.

– I co w związku z tym? – spytała.

– Nic. Po prostu badamy ten wątek.

– Chcesz powiedzieć, że jedno łączy się z drugim? Wypadek i śmierć staruszka?

– Sprawdzamy to.

– No dobrze, to sprawdzaj. Tylko pamiętaj, że mamy na głowie inne sprawy i one także wymagają uwagi. Nie będę tolerowała opieszałości.

– Czy to zawołowana krytyka podwładnego? – spytał, spoglądając jej w oczy.

– Raczej prośba.

– Prośba? – Nie zrozumiał, co miała na myśli.

Wojtasik wyprostowała plecy.

– Na razie to sprawa poufna. W Chełmży będę tylko do końca roku. Wojewódzki chce, żebym przeszła do Brodnicy.

Gross uniósł powieki. Zaskoczyła go.

– Świetnie, gratuluję – powiedział głosem pozbawionym emocji.

– Dzięki – uśmiechnęła się krótko.

– Kącki zajmie twoje miejsce? – spytał, mając na myśli podinspektora Gabriela Kąckiego, obecnego zastępcę komendantki. Fachowego i rzeczowego gliniarza.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– To też jest informacja poufna, więc mnie nie zdradź. Gabryś jest szykowany na zastępcę do Torunia.

– Czyli dostaniemy kogoś z zewnątrz.

– Niekoniecznie – rzuciła. – Tu właśnie wracamy do mojej prośby.

Gross był coraz bardziej zaintrygowany.

– Powinieneś to przemyśleć – powiedziała szefowa.

– Co takiego?

Nachyliła się nad blatem i wyszeptała:

– Mógłbyś zostać szefem tej jednostki.

– Że co? – spał się.

– Szepnęłam wojewódzkiemu słowo o tobie i on jest bardzo za – uśmiechnęła się konspiracyjnie.

Gross powiódł wzrokiem za okno i patrzył na napływające chmury, ciemnoszare od spodu, jaśniejsze w wyższych partiach. Patrzył na szkielety drzew, które opierały się wichurze.

– No, co jest? – Zmarszczyła czoło. – Przecież to dla ciebie szansa.

Spojrzeli sobie w oczy, a potem policjant nabrał powietrza i znowu skierował wzrok na zewnątrz.

– Komisarz Śmierć – odezwał się. – Pamiętasz?

– Przestań! – zachnęła się. – Nikt już o tobie tak nie mówi.

– Może i nie mówi, ale wielu wciąż tak o mnie myśli – uznał. – Najpierw życie odebrał sobie Grzegorz Otremba, a potem, na wyjeździe z mojego polecenia, zginął drugi z podległych mi funkcjonariuszy.

– Przesadzasz – zaprotestowała. – Dobrze wiesz, że nie ponosisz za to winy. To nie ty ich zabiłeś.

– Przecież to zupełnie nie ma znaczenia. Liczy się to, co myślą o mnie policjanci. Nie będą zadowoleni z takiego wyboru. Ale to nie wszystko – zawiesił głos i czekał, aż jego słowa wybrzmiają.

Wojtasik odłożyła pióro i oparłszy przedramiona o rant biurka, splótła palce.

– Przede wszystkim wołałbym iść na emeryturę. Opierałem się już wtedy, gdy chciałaś mnie zrobić szefem wydziału. Gdyby nie to, że Arek Brandol zachorował i musiał odejść, nie podjąłbym się tego zadania. Znasz mnie i wiesz, że się nie nadaję. – Czuł, jak irytacja bierze nad nim górę. – Zresztą co ci strzeliło do głowy, by rozmawiać z komendantem wojewódzkim za moimi plecami?

Wojtasik uniosła dłonie w geście poddania.

– Dobrze. Skoro tak do tego podchodzisz, nie widzę problemu. Na szczęście rozmawiałam z nim także o drugiej kandydaturze, bo musiałam wziąć pod uwagę, że właśnie tak się zachowasz. Że znowu będziesz patrzył tylko na to, czego ty chcesz, co ciebie interesuje. – Zawiesiła na chwilę głos. – Jesteś cholernym egocentrykiem, Bernardzie. Ale przypominam ci, że noszenie munduru to nie tylko honor. To przede wszystkim powołanie. Trzeba widzieć dalej niż czubek własnego nosa.

Gross poczuł buzującą w nim krew. Wstał energicznie i dosunął krzesło do stołu.

– Jeszcze nie skończyłam – syknęła Wojtasik, prostując plecy.

– Nie zamierzam tego dłużej słuchać. – Komisarz ruszył do drzwi.

– A więc to prawda... – jęknęła zawiedziona. – Jesteś tchórzem, Bernardzie.

Puścił tę obelgę mimo uszu, a gdy przekraczał próg sekretariatu, Wojtasik krzyknęła:

– Poproszę do siebie Olę Jojczyk!

– Robi się – rzuciła sekretarka, zanim Gross zamknął za sobą drzwi.

A więc tak to będzie wyglądało, pomyślał. Skoro on się nie zgodził, miejsce Wojtasik zajmie szefowa wydziału prewencji.

Ola Jojczyk była sprawną policyjną urzędniczką, która nie brudziła sobie rąk. Cała jej służba podporządkowana była karierze, dlatego Gross doskonale wiedział, że atrakcyjna blondynka nie odmówi tak kuszącej propozycji.

Ale co to oznaczało dla niego?

Nie wiedział. Co innego, gdy miał do czynienia z koleżanką z pracy, a co innego, gdy ta sama koleżanka miała zostać jego szefową.

– Co tam się dzieje? – spytała wystraszona Różycka, ale komisarz nie zamierzał jej o niczym mówić.

– Nic. A co ma się dziać?

– Nie wiem. Myślałam, że się pokłóciliście – stwierdziła konspiracyjnym szeptem.

– Skąd. Nic takiego nie miało miejsca – uspokoił ją i skierował się do swojego gabinetu.

Przekręcał klucz w zamku, gdy usłyszał dźwięk telefonu stacjonarnego.

Dotarł do biurka chyba w ostatniej chwili.

– Tak?

– Dyżurny. Zejdziesz, Bernardzie?

– A co się stało?

– Wnuk Sądeckiego, Wojciech Sądecki, twierdzi, że musi z tobą pilnie porozmawiać.

– Już idę.

Gross minął się na schodach z Jojczyk, która obdarzyła go uśmiechem, a potem odczekał, aż Sądecki, niespełna czterdziestoletni mężczyzna, pokaże dyżurnemu dowód i odbierze plakietkę z napisem „Gość”.

Przypiął ją sobie i wszedł do holu na parterze.

– Wojtek Sądecki, dzień dobry – wyciągnął rękę do Grossa.

Komisarz ją uściśnął, a potem złożył kondolencje.

Wnuk zmarłego podziękował skinieniem głowy. Miał na sobie rozpiętą czerwoną kurtkę sportową, narzuconą na szarą bluzę z kapturem.

– Cieszę się, że pan przyszedł, bo i tak chciałem się z panem skontaktować – dodał policjant.

– No widzi pan, a ja byłem w pobliżu i pomyślałem, że wpadnę na komisariat. Cieszę się, że pana zastałem. Ojciec mi mówił, że był pan u niego.

– To prawda.

Mężczyzna przecesał dłonią potargane ciemne włosy i rozejrzał się po niewielkiej pustej przestrzeni. Po lewej stronie od Grossa znajdował się pokój do ćwiczeń, z którego dochodziły przytłumione odgłosy i głuchy stukot ciężarków.

Komisarz wskazał dłonią na schody, a kiedy weszli na piętro, zaprosił mężczyznę do gabinetu.

Usiedli naprzeciwko siebie.

– Proszę, pan pierwszy – stwierdził policjant.

Sądecki chuchnął w dłonie i potarł je energicznie.

– Strasznie spicniałem od wiatru. Zimno jak cholera – narzekał, omiatając wzrokiem niewielki gabinet.

Gross skinął tylko głową i czekał. Czekanie zawsze okazywało się najlepszą taktyką.

– Wczoraj byłem u dziadka – zaczął w końcu Sądecki.

– W poniedziałek? – Gross musiał to uściślić.

– Tak. Janusz Kowal zadzwonił, żebym przypilnował staruszka, bo jak twierdził, dziadek zaczął mieć problemy z głową. To znaczy z kojarzeniem i pamięcią. Podobno zapomniał o rozpaleniu w piecu. Więc poszedłem do dziadka. Pukam, stukam, a tu cisza, chociaż wszędzie pali się światło. Ale myślę sobie, że pewnie staruszek przyciął komara, no to ja za klucze, bo mam dodatkowy komplet. I już dobieram się do zamków, ale coś mnie tknęło i nacisnąłem klamkę. Drzwi ustąpiły. A musi pan wiedzieć, że dziadek zawsze pamiętał o ich zamykaniu. – Wojciech Sądecki potarł nos. – Uchyliłem je i wtedy z wnętrza dobiegł mnie gwizd czajnika. Wyłączyłem gaz i zajrzałem po kolei do każdego z pomieszczeń, a potem, kiedy wszedłem do salonu, on stał przy oknie i patrzył w jezioro. Więc coś zagadałem do niego, a ten, kiedy się ocknął, w ogóle mnie nie rozpoznał. Zaczął coś nerwowo szwargolić, czym kompletnie mnie zaskoczył. Zrobiłem krok w jego stronę, ale on się cofnął, zupełnie jakby się mnie bał.

– Zna pan niemiecki?

– Ni cholery.

– A dziadek często mówił po niemiecku?

– Skądże! Prawie w ogóle. Czasami coś tam bąknął, wie pan, *scheisse* jakieś rzucił albo inne pojedyncze słowa, ale rzadko. Nawet nie wiedziałem, że po tylu latach tak dobrze zna ten język.

– Zrozumiał pan cokolwiek?

Mężczyzna nie musiał się zastanawiać nad odpowiedzią.

– Ale gdzie tam! Ni w ząb. Przestraszyłem się, że postradał zmysły i w ogóle nie skupiałem się na tym, co gadał.

– Ocknął się z tego?

– Tak. I wie pan, co było najdziwniejsze? Wyglądał, jakby dopiero co się zmaterializował w tym pokoju. Omiótł wzrokiem ściany, a potem przyglądał się z uwagą swoim dłoniom, które odwracał wolno, jakby widział je pierwszy raz w życiu. W końcu przeniósł na mnie wzrok i kiedy mnie rozpoznał, odczuł ulgę. Odetchnął i rozłożył ramiona, jakby chciał się przytulić. Podszedłem do niego, objął mnie i poklepał po plecach.

– To była pierwsza taka sytuacja?

– Nie, ale chyba pierwsza, która mnie przeraziła. No bo poczułem się taki... no nie wiem... trochę bezbronny i bezsilny wobec tego chwilowego zaniku jego pamięci. Owszem, wcześniej mylił mnie z ojcem, zwracał się do mnie jego imieniem. Ale to wydawało mi się w miarę normalne. Moja babcia ze strony matki myliła imiona wszystkich wnuków i była z tym zawsze kupa śmiechu. Nawet ona się śmiała z tych pomyłek.

– Spytał pan dziadka o to, co wcześniej widział? – Gross wolał wrócić do meritum.

– Nie. Ucieszyłem się, że mu ten stan minął, i nie chciałem już do tego wracać. Może to były jakieś traumatyczne wspomnienia z wojny? – Sądecki nabrał powietrza w płuca i podniósł palec wskazujący. – Ale to, co najciekawsze, wydarzyło się potem.

Gross milczał z zaciekawiony.

– Zrobiłem dziadkowi herbaty i chciałem napalić w piecu, bo tam zimno było jak w psiarni. Szesnaście stopni, pan sobie wyobraża? Więc posadziłem dziadka w fotelu i chociaż był ubrany, okryłem jego nogi kocem...

– Miał na sobie kurtkę? – Gross przypomniał sobie, że zgodnie z tym, czego dowiedział się od właścicielki zakładu pogrzebowego, starszy mężczyzna właśnie tamtego dnia był u niej i uregulował zapłatę za swój pogrzeb.

– Tak – odparł z zaskoczeniem młody mężczyzna. – Po brudnej i mokrej podłodze domyśliłem się, że skądś wrócił albo po mrozie latał.

– Niech pan kontynuuje – poprosił Gross.

Młody Sądecki podrapał się po czole.

– Wtedy zabrałem się za układanie węgla i drewna w piecu kaflowym. I tu czekała na mnie kolejna niespodzianka... – Zawiesił głos i postawił sobie na kolanach plecak, z którego wyjął notes. Otworzył go i wyciągnął kilka czarno-białych zdjęć. Przyjrzał się im, a następnie podał je Grossowi.

Komisarz odebrał pięć starych fotografii.

Odbitki wykonane zostały na pożółkłym papierze, miały pozaginane i postrzępione rogi. W opinii Grossa zbyt długo leżały w kuwecie z wywoływaczem, co zaowocowało wysokim kontrastem. Niemniej doskonale wiedział, co przedstawiały.

Na szerokiej polanie, za którą widniały bezlistne korony drzew rosnących w znacznym obniżeniu, leżały setki ludzkich czaszek. Ułożono je w kilkunastu rzędach obok siebie, czarnymi oczodołami do fotografującego.

Gross złapał zębami wewnętrzną część policzka i przygryzał ją lekko, nie mogąc oderwać wzroku od makabrycznego, szerokiego trotuaru z czaszek, za którym piętrzył się stos ludzkich kości.

W górnym prawym rogu fotografii kręcili się żołnierze. Po lewej zaś wznosiła się jasna hałda świeżo wykopanej ziemi.

Gross sądził, że wie, z czym ma do czynienia.

O podobozach Konzentrationslager Stutthof zakładanych w okolicy Torunia w sierpniu 1944 roku dowiedział się kilka miesięcy temu, gdy w lesie nad jeziorem Grodno, w pobliżu Chełmży, odnaleziono ludzką czaszkę i kość udową. Wówczas żołnierz, który wraz z podwładnymi przeczesywał las w poszukiwaniu dzików padłych na afrykański pomór świń, wezwał policję. Kiedy Gross ze Skalską szli do miejsca odnalezienia szczątków ludzkich, podporucznik opowiedział Grossowi o dramacie Żydówek, które przetransportowano do przeludnionego obozu w Stutthofie z Auschwitz, a także z gett w litewskim Kownie i lotewskiej Rydze. Zimą 1944 roku do Grodna przeniesiono niemal trzy tysiące kobiet. Wcześniej trzymano je w pobliskich podobozach w Szerokopasie i Bocieniu, do którego trafił także transport tysiąca kobiet z łódzkiego getta. Pozbawione pożywienia i ciepłych ubrań oraz butów, wykonywały ciężkie roboty. Kopały rowy strzelnicze i przeciwczołgowe.

Jakiś czas później komisarz sięgnął po literaturę historyczną z chełmżyńskiej biblioteki, którą poleciła mu Malwina Lemańska, i wieczorami czytał o dramatycznych losach kobiet skazanych na śmierć z wyziębienia, głodu i epidemii. Umierały wycieńczone nadludzkim wysiłkiem, schorowane i słabe, gwałcone i katowane. Gdy na początku 1945 Armia Czerwona przeszła do ofensywy, hitlerowcy zaczęli wycofywać się z dotychczas zajętych terenów. Tęgi mróz sprawił, że okoliczne jeziora pozamarzały już wcześniej, a na drogach leżał zmarznięty śnieg. Likwidując w pośpiechu miejsca katorżniczej pracy i zagłady kobiet, esesmani zorganizowali im marsz śmierci. Prowadzili je, często półnagie i bose, na północ. Zanim jednak wyruszyli z terenów obecnego powiatu toruńskiego, postanowili pozbyć się najslabszych. Kazano kobietom przebiec dwadzieścia metrów. Te, które nie zdołały pokonać dystansu, zabijano na miejscu. Resztę zebrano w szeregi i 19 stycznia 1945 roku prowadzono do celu jak bydło. Szlak na północ znaczony był ciałami kolejnych maltretowanych i zamęczonych Żydówek, które nie przeżyły trudu drogi, dobijanych kijami okutymi metalem oraz kolbami niemieckich karabinów.

– To jego fotografie? Widział pan je wcześniej w domu dziadka? – zapytał Gross.

– Nie, nigdy. Ale wrzuciłem je do sieci i sprawdziłem w Google. Okazało się, że pochodzą z 1971. Trafiłem na linki do IPN-u i do książek historycznych. I wtedy się okazało, że to fotografie z ekshumacji mogił zbiorowych jakichś Żydówek w Grodnie. Pracowało tam około osiemdziesięciu żołnierzy, którzy podobno wydobyli ponad siedemset czaszek i tysiące kości.

– Rozmawiał pan z dziadkiem o tym, czemu chciał je spalić?

– Próbowałem, ale nie potrafił wyjaśnić. Zupełnie nie wiedział, co te fotografie robiły w jego piecu. A potem, kiedy już mu dałem spokój, widziałem, że się rozplakał.

– Wyciągnął pan z niego coś więcej? – Gross przyjrzał się pozostałym zdjęciom, przedstawiającym ten sam obrazek z innych perspektyw oraz zbliżenia na usypaną z kości przyzmę i osobno na same kości, które wypełniły całą fotografię.

Mężczyzna zaprzeczył.

– A czy dziadek kiedykolwiek opowiadał panu o wojnie, o tym, co robił w jej trakcie?

– Nie. On nie lubił do tego wracać. Zrozumiałem to, jak byłem starszy, bo wcześniej to stale go pytałem o wojnę, ale on tylko się uśmiechał smutno i mówił, że to było tak dawno, że o wszystkim zdążył zapomnieć. Chyba zbyt dużo go te wspomnienia kosztowały. Nawet po reakcji dziadka na te zdjęcia widać było, że emocje wciąż w nim nie wygasły. Tamten czas, to wszystko tkwiło gdzieś w nim głęboko. – Wojciech Sądecki posmutniał. – Tylko raz dał się namówić jakiejś koleżance, żeby pojawić się w szkole i opowiedzieć o tym, jak przeżył wojnę. Tyle że jak wrócił z tej lekcji historii, to przez kilka dni nie mógł dojść do siebie.

– Pamięta pan nazwisko tej koleżanki?

Mężczyzna pokręcił głową.

– A może wie pan chociaż, w której szkole był? – dążył Gross.

– Niestety nie. Dziadek nic nie mówił, a ja nie pytałem.

– A kiedy to było?

– Uuu, jakiś czas temu. Nie wiem. Może dwa lata, a może jeszcze wcześniej.

Komisarz przyglądał się wnukowi Sądeckiego.

– Niech mi pan jeszcze powie, czy przestawił pan dziadkowi fotel tyłem do telewizora?

Mężczyzna uniósł brwi.

– Tyłem do telewizora? A po co?

– Nie przestawiał pan niczego u niego w domu?

– Nie. Skąd w ogóle taki pomysł?

Gross nie odpowiedział. Chciał się dowiedzieć czegoś jeszcze.

– Czy tamtego dnia widział pan dziadka po raz ostatni? – spytał.

– Tak.

– Czy w jego domu coś się zmieniło?

– W sensie?

– Chodzi właśnie o przestawione meble, przedmioty na nie swoich miejscach. Widział pan coś takiego? – podpytał.

– Nie. To znaczy nie przypominam sobie.

– Jest pan pewien?

– Tak. Podobno jestem spostrzegawczy, więc takie zmiany na pewno rzuciłyby mi się w oczy.

– Czyli że lustro nad komodą, tam gdzie stoi telefon stacjonarny, też wisiało na swoim miejscu? – Gross przypomniał sobie, że kiedy zaglądał za komodę, odnalazł kryształek szkła w pobliżu nogi mebla.

Krótko potem, w poszukiwaniu okruchów lustra, zajrzał do śmietnika pod zlewozmywakiem i do kubła wystawionego na zewnątrz. Jednak nigdzie ich nie znalazł.

Mężczyzna odchylił się na oparcie.

– No jasne, że wisiało. A co? Nie ma go tam? – spytał.

– Nie ma.

Wymienili jeszcze kilka zdań, a następnie Gross poprosił o pożyczenie zdjęć z ekshumacji i odprowadził gościa na parter.

– Jeszcze jedno – odezwał się Wojciech Sądecki, odpinając identyfikator. – Nie wiem, czy to ma dla pana jakieś znaczenie, ale kiedy byłem dziś w zakładzie pogrzebowym, okazało się, że dziadek za wszystko już zapłacił. Może dlatego, kiedy widziałem go ostatni raz, miał na sobie kurtkę. Może właśnie wrócił wtedy z „Konduktu”.

Gross próbował wyczytać coś z twarzy mężczyzny, ale jego spokojne rysy nie zdradzały żadnych emocji.

– Podobno był tam wczoraj – przypomniał sobie policjant. – Pan go tam zawiózł?

– No skąd! Kompletnie mnie to zaskoczyło. W życiu bym mu na takie głupoty nie pozwolił – wyjaśnił mężczyzna.

Gross skinął głową i uściśnął mu rękę.

– Do widzenia – powiedział i odczekał, aż mężczyzna wyjdzie z komisariatu.

Szarość dnia sączyła się przez okno połaciowe i wypełniała gabinet na poddaszu. Zimą zawsze było tu chłodno. Jakby ocieplenie poddasza nie było właściwie wykonane albo użyto do tego celu najtańszych materiałów, a do tego w oszczędnych ilościach.

Judycka musiała skoczyć do Urzędu Gminy, spytała więc, czy przy okazji przynieść coś do jedzenia. Skalska poprosiła o pizzę z Gospody Przy Piecu, a potem zabrała się za pracę przy pozostałych sprawach kryminalnych. Pouzupełniała dokumentacje i protokoły, zleciła wysyłkę kilku dowodów do biegłych i w końcu, kiedy Judycka wróciła, posiliła się capriciosą.

– Byłaś na rozpytaniu lokalsów w Bielczynach? – zainteresowała się Judyta, gdy już przeżuła ostatni kęs placka.

– Tak, pogadałam głównie z Kowalami. Reszta nic nie widziała, nic nie słyszała. Mam wrażenie, że tylko zmarnowałam czas.

– Tak to już bywa – westchnęła Judycka, a Skalska opowiedziała jej o informacjach zebranych od Kowalów. Judyta milczała przez chwilę, jakby potrzebowała czasu na przetrwanie danych, aż wreszcie stwierdziła:

– Ta druga wojna wraca jak bumerang.

– Co masz na myśli? – zapytała Skalska.

– Właśnie wracam z gminy. Szef prosił, żebym sprawdziła, czy obaj, to znaczy Kowal i Sądecki, przed wojną mieszkali w Bielczynach.

– I co?

– To, co zawsze w takiej sytuacji. Muszę czekać, aż ktoś się nad tym pochyli i zajrzy do archiwum – odparła i przeszła do swoich zajęć.

Skalska poskładała kartony po pizzach i upchnęła je w koszu na śmieci. Dopiła mirindę, którą przyniosła Judycka, i chciała rozliczyć się z koleżanką.

– No przestań. Następnym razem twoja kolej – zaprotestowała Judycka. Uśmiechnęły się do siebie nawzajem, a Skalska zeszła na parter.

Jeszcze na schodach zaczęła żuć gumę. Kiedy chwyciła za klamkę gabinetu dyżurnego, wypuściła z ust spory balon, który pękł szybko z cichym trzaskiem.

– Muszę przejrzeć monitoring – rzuciła do kolegi.

Krępy oficer ugryzł kawał kielbasy, którą odwinął z papieru, a potem wskazał Skalce miejsce przy monitorach. Kiedy uporał się z kęsem wędliny, odezwał się:

– A wy co? Uwzięliście się na mnie razem z Grossem?

– Dlaczego? – Skalska usiadła przy klawiaturze i chwyciła za myszkę.

– Od rana słuchacie nagrań, teraz gapisz się w monitoring.

– Jakbyś nie znał tej roboty – odparła.

– Toć przecież żartuję. Wyluzuj – rzucił, po czym nachylił się do niej i szepnął konspiracyjnym tonem. – Ruchy kadrowe się szykują. Słyszałaś?

– Nie – zdziwiła się.

Odnalazła zapisy monitoringu z kamery przy ulicy Polnej i uruchomiła nagranie od godziny szóstej dwadzieścia.

– Stara podobno się stąd zwija, a nie dalej jak pół godziny temu wezwała do siebie Jojczykową.

– I co z tego? Przecież nasza gwiazda prewencji stale tam przesiaduje.

– To prawda, ale gdybyś ty ją widziała, jak stamtąd wracała! Normalnie spłynęła ze schodów jak Najświętsza Panienka.

Skalska niespecjalnie lubiła się z Jojczykową, ale uznała, że w kwestii obsady stanowisk kierowniczych w komendach i komisariatach nic nie jest pewne i do chwili, kiedy nowy szef lub szefowa nie zamelduje się przy biurku, wszystko pozostaje w sferze domysłów i plotek.

– Pożyjemy, zobaczymy – westchnęła, nie odrywając wzroku od monitora i tym samym dając do zrozumienia koledze, że musi się zająć pracą.

Coś tam stęknął, ale w końcu zabrał się za swoją robotę, a Monika Skalska mogła w skupieniu śledzić przejeżdżające ulicą Polną samochody. Oko kamery znajdowało się na wysokości schroniska dla bezdomnych mężczyzn i skierowane było w stronę skrzyżowania z ulicą Hallera, ale nie sięgało go. Skalska sądziła, że to właśnie ten punkt monitoringu wizyjnego zarejestruje przejazd samochodu Małgorzaty Wójcickiej, bo ta trasa była najkrótszą z możliwych prowadzących od domu Wójcickich do wylotówki na Chełmno. Kiedy jednak przejrzała zapisy do chwili zgłoszenia wypadku, okazało się, że srebrna toyota yaris nie pojawiła się na nagraniu.

Aspirantka sztabowa obejrzała zapis jeszcze raz. Puszczając go na szybkim podglądzie, ale gdy na ekranie droga zaczynała jaśnieć od świateł zbliżających się samochodów, przełączała na normalną prędkość i raz jeszcze upewniała się, że nie przeoczyła wcześniej srebrnego samochodu japońskiej marki.

A zatem Wójcicka nie kierowała się bezpośrednio do Chełmna. Musiała wybrać inną drogę. Skalska uznała, że sprawdzi w takim razie inne możliwości.

Wójcicka, wyjeżdżając z domu, miała do wyboru jeszcze dwie opcje. Pojechać Polną w przeciwnym kierunku, a więc do dworca PKP, lub odbić w Sienkiewicza albo skręcić w Hallera.

Przejrzała kolejne zapisy obejmujące te miejsca i nadal nie odnalazła toyoty.

Zaschło jej w ustach, więc podniosła się i poinformowała dyżurnego, że zaraz wróci.

W holu zauważyła, że drzwi gabinetu Oli Jojczyk, u podnóża drewnianych schodów, były uchylone, a wewnątrz dostrzegła policjantkę w cywilnym ubraniu. Wąskie czarne dzinsy podkreślały długą linię jej szczupłych nóg. Na stopach miała błyszczące ciężkie buty za kostkę z grubym protektorem. Jojczyk założyła chabrowy płaszcz i owinęła się szarym szalem.

– O, Skalka! – rzuciła w chwili, gdy aspirantka odbiła w kierunku siłowni, żeby skorzystać z tamtejszego dystrybutora wody.

Monika Skalska podeszła do schodów.

– Co jest? – spytała.

– Nic. Miło cię widzieć. – Usta pociągnięte czerwoną szminką odsłoniły białe i równe zęby.

– Ciebie również – odparła Skalska.

– Wejdiesz na chwilę? – zaproponowała Jojczyk, dopinając guzik płaszcza u samej góry.

– Przecież wychodzisz.

– To nie potrwa długo.

Skalska uniosła brwi, ale spełniła prośbę. Jojczyk wycofała się w głąb pomieszczenia i poprosiła policjantkę, by ta zamknęła drzwi.

– Wybacz, że nie siadamy przy stole, ale faktycznie muszę wyjść. Burmistrz chciał się ze mną zobaczyć.

Skalska sięgnęła po gumę do żucia.

– No więc? – spytała, rozgryzając miętową pastylkę.

– Mam wrażenie, że ostatnio nie układało się między nami najlepiej – zaczęła Jojczyk, a Skalka czekała na dalszy ciąg. – Tymczasem powinniśmy się trzymać razem. W naszej formacji wciąż jest za mało kobiet.

Skalska pamiętała, że jeszcze niedawno Jojczyk miała do niej pretensje, kiedy wspólnie z Grosseem zajmowali się sprawą przemocy domowej w rodzinie Płockich, mieszkających w kamienicy przy chełmżyńskim Rynku. Tym samym weszli w kompetencje jej działu. Niemniej Gross otrzymał polecenie od komendantki i, chcąc nie chcąc, musiał się tym zająć, a zrobił to rękami Skalki, choć oboje zdawali sobie sprawę, że Jojczykowa szybko się tego dowie. Skalska, broniąc się, wykazała szefowej przewencji, że działania jej pionu okazały się nieskuteczne. Że zarówno żona Płockiego, jak i ich dzieci nadal były bite. Jojczyk z kolei zasłaniała się procedurami i wtedy już poszło na noże. Pożarły się i ich stosunki od tamtej chwili nie uległy polepszeniu. W najlepszym razie po prostu się tolerowały.

A teraz Jojczyk wychodziła z zawołowaną propozycją współpracy.

Kobieca solidarność, pomyślała Skalska.

– Wspierać? Niby jak? – zainteresowała się.

Jojczyk uderzyło to pytanie, ale szybko przykryła zaskoczenie wyćwiczonym uśmiechem.

– W każdy możliwy sposób. Doceniać swoje sukcesy i osiągnięcia, Moniko – dodała. Kiedy milczenie się przedłużało, Skalska postanowiła przekierować ich rozmowę na inne tory.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – odparła i natychmiast dodała: – Słyszałaś coś o zmianach na górze? – Wskazała palcem na sufit.

– Coś tam słyszałam. – Tym razem Jojczyk poczęstowała ją tajemniczym uśmiechem.

Skalska zrozumiała, że w tym, co mówił dyżurny, kryło się sporo prawdy.

– Nie mam nic do Wojtasik, ale chyba czas na zmiany, nie? – dopytała szefową prewencji, która ochoczo skinęła głową. – Potrzeba nam jednak kogoś, kto nie tylko umie przerzucać papiery z miejsca na miejsce, ale kto zdarł zelówki na chełmżyńskich ulicach. Wiesz, powinniśmy tu mieć odważną babę z jajami na twardo, zdeterminowaną i odporną na ciągle nawoływanie góry o statystyki.

Uśmiech Jojczykowej gasł powoli, aż w końcu nie było po nim śladu.

– Tylko że widzisz – ciągnęła Skalska – u nas nikogo takiego nie ma, nie? I dlatego pewnie znowu nam przyślą kogoś z góry.

Kierowniczka wydziału prewencji zerknęła na zegarek i westchnęła.

– Na mnie już czas – powiedziała, unikając kontaktu wzrokowego.

– Jasne, trzymaj się, Ola – odparła wesoło Skalska, a potem przeszła przez hol prosto do pustej siłowni. Tam nalała sobie kubek wody i zadowolona wróciła z nim przed monitor u oficera dyżurnego.

Próbował ją zagadnąć, ale ponownie go spacyfikowała i zajęła się przeglądaniem nagrań. Tym razem musiała się skupić na zapisie wizyjnym z kamery ustawionej w okolicy ulicy Hallera. Skoro, jak twierdził mąż Wójcickiej, jego żona pojechała Polną w stronę Chełmińskiego Przedmieścia, a jednocześnie nie złapał jej ustawiony tam wideorejestратор, to musiała skrócić w Hallera.

Tamtejsza kamera skierowana była na jezdnię i fragment Szkoły Podstawowej nr 2 obejmujący wejście do budynku z czerwonej cegły oraz murowane słupy i stalowe przęsła ogrodzenia.

Skalska przyjęła podobny zakres czasowy, po czym uruchomiła program do odtwarzania materiału wideo. Podparłszy brodę rękoma, obserwowała monotony obraz na ekranie.

Kiedy zegar na nagraniu wskazał godzinę siódmą, a toyota yaris nie pojawiła się na nagraniu, policjantka uznała, że coś tu jest nie tak. Zerknęła na tradycyjną mapę miasta rozwieszoną w gabinecie dyżurnego i przyjrzała się niebieskim pinezkom oznaczającym rozmieszczenie punktów monitoringu miejskiego.

Auto wyjechało z domu przy Polnej i wyglądało na to, że się rozplynęło.

Oczywiście Skalska brała pod uwagę fakt, że Wójcicka, skręcając w Hallera, mogła odbić w Piotra Skargi, a na tej ulicy w ogóle nie było rejestratorów. Uznała, że musi zmienić metodę poszukiwań. Najłatwiej było odszukać samochód Wójcickiej na trasie wylotowej na Chełmno i dopiero wtedy, cofając się, odtworzyć jej przejazd po mieście.

Jedyna kamera w tamtym rejonie znajdowała się w pobliżu kompleksu sklepów, przy biedronce i media expert.

Odnalazła odpowiednie nagranie i ponownie wyteńczyła wzrok. Ruch samochodowy był dużo większy, więc musiała się skupić. Raz, kiedy zaczynało się przejaśniać, na ekranie mignęła toyota yaris, ale numery rejestracyjne nie pasowały do samochodu Wójcickiej. Kolor karoserii też nie.

– No i co tam, Skalka? Znalazłaś, co chciałaś? – spytał dyżurny, zmęczony milczeniem. W tle co jakiś czas skrzeczało policyjne radio i słychać było zniekształcony głos komunikujących się ze sobą policjantów.

– Nie.

– A czego szukasz?

– Toyoty yaris.

– Toć przecież to pierdzikółko nie rozplynęło się w powietrzu.

– Też mi się tak wydaje. A jednak nigdzie go nie ma.

Oficer wstał i wyprostował plecy.

– Skąd wóz wyjechał?

Skalska zrelacjonowała mu zakres swoich poszukiwań.

– Dobrze zrobiłaś – pochwalił. – Ale zapominamy o jednym.

– O czym?

Podszedł do mapy i wskazał palcem na krętą drogę, prowadzącą od skrzyżowania Polnej z Hallera na północny wschód.

– Mogła pojechać tędy – stwierdził krępy funkcjonariusz i podrapał się w policzek.

Gruntowa droga łączyła Polną z Chełmińskim Przedmieściem. Przedzierała się przez Kozie Łączki, dolinę, w której po lewej wyrastały stare ogródki działkowe, a po prawej ciągnęły się łąki i pola uprawne. W dwóch miejscach przecinała strumyk. A dalej rozdzielała się i można nią było dojechać do Chełmińskiego Przedmieścia w pobliżu Ogrodowej lub odbić w lewo i dotrzeć do ulicy Buczek.

Skalska uniosła brwi.

Nie pomyślała o takim rozwiązaniu z dwóch powodów. Po pierwsze, to by oznaczało, że Wójcicka, wybierając nieoświetloną gruntówkę, zapewne nieodśnieżoną albo pokrytą szklanką, po prostu sporo ryzykowała. Po drugie, Skalska nie założyła, że kobieta wolała pozostać niezauważona, i dlatego nie wzięła pod uwagę rzadko uczęszczanego skrót.

Policjantka pochwaliła kolegę, który podciągnął spodnie.

– Zawsze do usług – rzekł i wrócił na swój fotel, który zatrzeszczał pod jego ciężarem, a wtedy Skalska uruchomiła mapę Google.

Przyjrzała się raz jeszcze tej trasie, by sprawdzić, dokąd prowadzi ulica Buczek, która dalej, za zakrętem, zdawała się biec równolegle do Chełmińskiego Przedmieścia.

Powiększyła obszar mapy i wtedy znieruchomiła.

Wiejska szosa, która przecinała pola uprawne, biegła w kierunku jeziora w Bielczynach.

Ale najbardziej zaskoczyło ją to, że krzyżowała się tam z dojazdową do posesji Stanisława Sądeckiego.

Bernard Gross wrócił do gabinetu.

Wydobył telefon z kieszeni i przedzwonił do Malwiny Lemańskiej.

– Cześć – odezwała się ciepłym głosem, jakby znajdowała się w innej szerokości geograficznej.

– Cześć – odparł i zastanowił się co właściwie zamierzał jej powiedzieć. – Chciałem przyjść, ale ta sprawa...

– Chodzi o śmierć Sądeckiego? – przerwała mu.

– Tak – odparł, siadając za biurkiem. – Obawiam się, że nie będę dziś najlepszym partnerem do spędzenia wspólnego wieczoru.

– Dobrze. Rozumiem.

– Przepraszam – dodał, pamiętając noc spędzoną z Malwiną, ciepło jej ciała i spokój, który spływał na niego, ilekroć przebywał w jej towarzystwie. I gdyby chodziło o jego komfort, prosto z pracy poszedłby do niej. Mieszkała niedaleko komisariatu, na Sikorskiego, w dwuklatkowym bloku. Wiedział jednak, że nie powinien tego robić przede wszystkim w trosce o nią. Nie chciał infekować jej sprawami, które chcąc nie chcąc zawładnęły jego umysłem. Dobrze wiedział, że kiedy próbuje dociec prawdy, staje się milczący i nieobecny.

Agnieszka, jego żona, nigdy mu tego nie wypominała, ale zdawał sobie sprawę, że w tym stanie ducha bywał też drażliwy i nieznośny, skupiony wyłącznie na faktach odkrytych na miejscach zdarzeń. Nie miała z niego pożytku w domu, rzadko kiedy spełniał się w roli ojca. Bał się. Nieustannie się bał, że przebywając wśród nich, zainfekuje żonę i dziecko brudem policyjnej pracy, zakazi ich liszajem pospolitego zła w czystej postaci oraz trupim odorem, który wyczuwał na swoich ubraniach, a który w rzeczywistości był jedynie nieznośnym omamem węchowym. Jednak tak realistycznym i natrętnym, że mimo wszystko za każdym razem zrzucał z siebie ubrania i pakował je do pralki. A potem zalewał ją zbyt dużą ilością płynu do prania i płukania.

– Nie musisz przepraszać – odparła Malwina, a jednak wydawało mu się, że usłyszał w jej głosie smutek.

Przygryzł wargi.

– To zajmie mi trochę czasu – kontynuował Gross. – Ale wrócę.

– Wiem – odpowiedziała. – Będę tęskniła.

Gross przełknął ślinę.

– Do zobaczenia – powiedział i zakończył połączenie.

Chwilę później zalał herbatę ekspresową. Kiedy odstawił czajnik, zadzwonił telefon stacjonarny.

– Tak? – rzucił do słuchawki.

– Sefie, dwie sprawy – odezwała się Judyta Judycka.

– Pierwsza dotyczy gminy. Okazuje się, że sprawdzenie meldunków z tamtych czasów nie jest proste, urzędniczka obiecała, że jeszcze poszpera, ale wpadłam na inny pomysł. Wracam właśnie z plebanii, gdzie proboszcz pozwolił mi przejrzeć księgi parafialne. Trafiłam na Alfreda Sądeckiego, który przed wojną mieszkał w Grodnie i miał syna Stanisława.

– Dobra robota – pochwalił Gross. – A co z Kowalem?

– Tu było gorzej. Najpierw trafiłam na czterech Kowalów, z których każdy mieszkał w Chełmży. Potem odnalazłam jeszcze jednego z Mirakowa. Dopiero ostatni pochodził z Bielczyn. Franciszek Kowal, ojciec Kazimierza. To ten, prawda?

– Tak. A wiadomo, kiedy Sądecki przeniósł się do Bielczyn?

– W księgach parafialnych, które przejrzałam do czterdziestego siódmego, cisza. Ale liczę na urząd. Tyle tylko, że musimy poczekać. Oczywiście mogę dalej grzebać w dokumentach parafii...

– Nie ma sensu – przerwał jej. – Poczekajmy na urząd. Czekanie to część naszej pracy.

– Statystycznie czekamy częściej, niż pracujemy – zażartowała Judycka. – Gdyby to ktoś policzył, obcieliby nam pensje.

– Pytanie tylko z czego? – mruknął Gross i zapytał o drugą sprawę, z którą dzwoniła jego podwładna.

– Chodzi o doktor Janinę Pilecką, lekarzkę rodzinną Sądeckiego – wyjaśniła. – Rozmawiałam z nią. Udało mi się ją złapać przed końcem pracy, po tym jak przyjęła ostatniego pacjenta.

– Czego się dowiedziałaś?

– Odmówiła wysłania dokumentacji medycznej, ale wyczułam, że jest skłonna pogadać. Wzięłam jej numer i powiedziałam, że być może szef będzie chciał do niej zadzwonić. Obiecała, że będzie pod telefonem. Przewidywać?

– Proszę. – Gross sięgnął po kolorową kartkę i długopis, po czym zapisał ciąg cyfr.

Pożegnał się z Judycką i wybrał numer lekarki.

Liczył sygnały, ale nikt nie odbierał. Próbował się połączyć po kilku minutach ponownie, ale z takim samym skutkiem.

Napił się herbaty, po czym długo myślał o ostatnich dniach życia Stanisława Sądeckiego, naznaczonych dojmującym smutkiem, a może także strachem.

Wpisał do wyszukiwarki hasło: „depresja starcza”. Wybrał kilka linków, przeczytał fragmenty zamieszczonych na portalach medycznych tekstów. Potem udało mu się odszukać materiały źródłowe, opracowania medyczne i psychiatryczne, z których dowiedział się, że depresja starcza dotyka niemal jedną czwartą populacji osób chorych i aż jedną trzecią osób po osiemdziesiątce. Czytał o depresji objawiającej się dużym lękiem, której towarzyszyć może drażliwy nastrój, a także różnorodne stany emocjonalne – od lamentowania, przez płacz, po wzywanie pomocy. Na drugim biegunie depresja objawiała się abulią, a więc utratą motywacji, zniechęceniem do podejmowania jakiegokolwiek aktywności, zarówno fizycznej, jak i psychicznej. Obu formom choroby towarzyszyło obniżenie nastroju, pesymistyczne nastawienie do życia, osłabienie koncentracji i uwagi, brak apetytu, zaburzenia snu i tendencje samobójcze.

Zatrzymał się przy tym ostatnim terminie. Pojmował go intuicyjnie, ale nie wiedział, czy w tym przypadku chodziło o czyny, czy jedynie powracające myśli.

Jakiś czas po tym, gdy jego podwładny Grzegorz Otremba zastrzelił się w komisariacie, Gross analizował to, co się stało, i rozmawiał z policyjnym psychologiem. Zdawał sobie sprawę, że samobójcy fantazjowali na temat sposobu odebrania sobie życia, przygotowywali się do tej chwili, kreując w wyobraźni ową scenę. I Gross pomyślał wtedy o przerażającej samotności samobójców. Wydawało mu się, że ich decyzja często wynikała z zawieszenia lub zerwania więzi z najbliższymi, a przyczyną tej izolacji była choroba. Nie był w tej sprawie fachowcem, ale sądził, że to depresja strącała w samotność, a nie samotność w depresję, chociaż i takiego przypadku nie mógł wykluczyć.

Powrócił do lektury, z której dowiedział się, że występowanie myśli samobójczych wymaga pilnego leczenia farmakologicznego, szczególnie jeśli dotyczy to pacjenta zdanego na własny los i mieszkającego samotnie.

Gross musiał więc ustalić, czy Stanisław Sądecki cierpiał na tę wyniszczającą i prowadzącą do śmierci chorobę psychiczną.

Komisarz spisał informacje na kartce, a następnie zagłębił się w treść artykułu o aktach samobójczych osób starszych. Dowiedział się z niego, że czynnikami ryzyka w przypadku seniorów są między innymi zaburzenia psychiczne ze szczególnym uwzględnieniem choroby Alzheimera, choroby somatyczne oraz samotność połączona z brakiem pomocy i wsparcia, a w konsekwencji poczucie beznadziei.

Czy z tym wszystkim zmagął się Stanisław Sądecki? Gross nie znał odpowiedzi na to pytanie, ale z relacji wnuka topielca wiedział już, że staruszek na pewno miał stany otępienne.

Komisarz czytał i notował dalej, a kiedy skończył lekturę, spojrzął na kartkę oraz kilka wyrazów, które dopiero co zdążył podkreślić, „traumatyczne przeżycia z przeszłości” i „rozmowy o pochówku”.

Przygryzł wewnętrzną część policzka, odsunął notatnik na bok i zabrał się za dokumentację innych spraw, którym poświęcił godzinę. Potem wyłączył komputer, schował akta do szafy, zamknął ją na klucz i po cichu wyszedł z gabinetu.

Kiedy zbliżył się do schodów, usłyszał przyciszone głosy.

Zerknął w kierunku sekretariatu pogrążonego w ciemności, ale zaraz dostrzegł niedomknięte drzwi do gabinetu komendantki.

– Jeśli zgodzisz się na Jójczyk, to będę miała do ciebie jeszcze jedną prośbę – usłyszał głos szefowej.

Gross podszedł bliżej i, ukryty w ciemności, zerknął w kierunku biurka.

W gabinecie świeciła się tylko lampa, która rzucała żółty owal na ręce komendantki spoczywające na ciemnobrązowym blacie. Wojtasik trzymała w dłoni pióro i wodziła stalówką po kartce, kreśląc coś bezwiednie. Słuchawkę przytrzymała ramieniem.

– Chodzi o Grossa – stwierdziła. – Mówił mi, że chciałby przejść do Brodnicy razem ze mną, ale nie odważy się wprost o tym powiedzieć. Pomyślałam więc, że mógłbyś... No wiesz, przepchnąć to służbowo... Nie, nie chodzi o to, żeby zaraz był szefem kryminalnego, nie ma takiej potrzeby, zresztą on mi już tutaj marudził, że woli nie zajmować żadnych kierowniczych funkcji. I dobrze, bo on się jednak do tego nie nadaje... No, naprawdę... Co? Aha... No tak, na miejsce Grossa wsadzimy Skalską. Jest młoda i świetnie sobie radzi. Rozmawiałam już z nią. Jest gotowa przejąć schedę po Grossie. Bardzo się cieszy na awans i na podwyżkę.

Komisarz cofnął się i deska podłogowa zaskrzypiała.

Wojtasik uniosła głowę i zerknęła w kierunku drzwi. Gross zamarł, patrząc w jej kierunku, ale był przekonany, że stoi poza zasięgiem wzroku szefowej.

Wycofał się powoli na korytarz, zszedł na parter i wyszedł z budynku, lecz zamiast zejść nad jezioro, poszedł do domu naokoło, przez Sądową i Sikorskiego, tak by szefowa nie zauważyła go przez okno.

Zatrzymał się pod blokiem Malwiny. Uniósł brodę, po czym zmrużył oczy i pozwolił, by płatki śniegu sypały mu prosto w twarz. Spojrzął w okno sypialni, z którego biło ciepłe światło. Przez chwilę miał ochotę wejść na górę. Chciał złamać wcześniejsze postanowienie i jednak zobaczyć się z kobietą, która od niemal roku zajmowała jego myśli z wymowną intensywnością.

Ktoś przeszedł tuż za nim. Zaraz potem minął go samochód, ślizgając się na niewielkim wzniesieniu przykrytym warstwą puchu zalegającą na kostce brukowej. Dalej, ulicą, która przecinała miasto z południowego zachodu na północny wschód, przejechało kilka aut.

Komisarz niechętnie odszedł spod bloku Malwiny, po czym skierował się w dół chodnikiem obok poczty. Skręcił w lewo przy Sadku, niewielkim skwerze z nieczynną o tej porze roku fontanną i starymi czarnymi drzewami. Nagimi koronami tarosił wiatr.

W kieszeni Grossa zawibrowała komórka, ale nie odebrał.

Uznał, że zerknie na ekran później.

Przekroczył próg mieszkania, ale nie włączył światła.

W korytarzu zdjął przemoczoną kurtkę i strzepnął z niej drobinki śniegu.

Wszedł do kuchni, żeby nastawić czajnik. Usłyszał syk niebieskich płomieni, które nie mogły zagłuszyć skowytu wiatru nacierającego na okna.

Świat pociemniał. Przez śnieżną zawieruchę ledwie był w stanie dostrzec kontury wieży konkatedry i jej potrójny hełm. Domy skryły się w mroku, czarne smugi dymu z kominów kładły się poziomo i rozwiewały. W dole jezioro marszczyło się gniewnie.

Zajrzał do pustawej lodówki.

Wyjął z niej ostatni pasztet i kawałek masła. Chleb razowy wydał mu się twardy, ale nie lubił marnować żywności. Ukroił sobie dwie kromki i przygotował kanapki.

Jadł je wpatrzony w nisko zawieszony chmury, sypiące gęstym białym śniegiem, którym ciskał w okna rozszalały wiatr.

Kiedy skończył posiłek, odstawił naczynia do zlewu i posprzątał ze stołu.

Zabrał resztkę herbaty i przeniósł się do pokoju, w którym centralne miejsce zajmował sześciopersonowy stół, pozostałość po jego dawnym życiu w Toruniu.

Duży mebel nie miał dla niego wartości sentymentalnej, po prostu przydawał mu się do pracy. Połowa blatu zazwyczaj zajęta była przez teczki spraw wydziałowych, a na drugiej urządził miejsce do prac modelarskich. Znajdowały się tam dwie lampy kreślarskie i kubki z narzędziami, skalpelami, pędzlami i pęsetami. Obok, w zakupionych niedawno specjalnych stojakach, ustawił farby modelarskie oraz chemię niezbędną do pracy z aerografem.

Gross spojrział na uprzątnięte miejsce, które zapraszało go do rozpoczęcia pracy nad kolejnym modelem, ale wciąż nie wiedział, czym miałby ochotę się zająć. Myślał o niewielkiej dioramie z okresu końca drugiej wojny światowej, fragmencie ruin polskiej kamienicy i kawałku wybrukowanej drogi, na której leżały stosy zwalonych cegieł, połamanych desek, zniszczonych mebli i elementów wyposażenia mieszkań. Obok chciał postawić czarnego citroëna 11CV, który przywiózł na stare śmieci właścicieli budynku. Zatrzymaliby się w stuporze, wpatrzeni w murowany szkielet, który kiedyś był ich domem. Nadałby tej pracy tytuł *Powrót*.

Przetarł dłonią blat, którego politura z biegiem lat się ścierała i matowiała, a potem bezwiednie zaczął myśleć o sprawie Sądeckiego.

Przypomniało mu się, jak Wojciech Sądecki mówił, że dziadek wybrał się do jednej ze szkół, w której miał być żywym świadkiem historii i opowiedzieć uczniom o swoich wojennych losach.

Włączył laptopa i wpisał do wyszukiwarki hasło „szkoły w gminie Chełmża”, po czym przyjrzał się podstronie urzędu gminy dotyczącej edukacji. Znalazł sześć placówek, w tym dwa gimnazja. Jedno znajdowało się w Pluskowęsach, drugie w Głuchowie. Gross był przekonany, że Stanisław Sądecki nie wybrał się do szkoły podstawowej. Rozsądniej było założyć, że zaproszenie do mężczyzny skierowała nauczycielka historii z tutejszego gimnazjum lub liceum.

Zerknął na zegarek i uznał, że lekcje w wiejskich szkołach dawno się skończyły. Pozostawały mu placówki w Chełmży, chociaż też miał wątpliwości, czy tam zajęcia jeszcze trwały.

Wybrał numer jednej z nich i odczekał kilka sygnałów, po których zgłosiła się automatyczna sekretarka.

W drugiej szkole było podobnie.

Zrezygnowany potarł twarz i obiecał sobie, że zajmie się tym następnego dnia.

Przypomniało mu się, że wcześniej ktoś do niego dzwonił. Cofnął się więc na korytarz i wyciągnął komórkę.

Na ekranie widniało nieodebrane połączenie od Skalskiej.

Monika Skalska usłyszała w słuchawce dziwne trzaski i połączenie zostało zerwane.

Po kilku minutach spróbowała ponownie.

Tym razem Adama Czerwcową, mężczyznę, który jako pierwszy pojawił się na miejscu wypadku Małgorzaty Wójcickiej, słyszała doskonale. Przypomniała mu, w jakiej sprawie dzwoni i że miała się zgłosić później.

– Dobrze, to niech pani pyta. Tylko od razu mówię, że mam mało czasu – zastrzegł.

– Rozumiem – odparła Skalska. – Załatwimy to szybko, a jak się nie uda, to wezwę pana na komisariat. – Starła się, żeby to nie brzmiało jak groźba, a jedynie smutna konieczność.

– Mam nadzieję, że się obędzie – stwierdził.

– Niech mi pan powie, co pan robił rano na przystanku PKS-u w pobliżu miejsca, w którym doszło do wypadku. – Skalska wstała od biurka i podeszła w stronę okna połaciowego, zasypywanego śniegiem.

Szarość zgęstniała i już tylko chwile dzieliły dzień od agonii. Uliczne lampy wciąż jeszcze się nie włączyły. Światła rozświetlały nieliczne okna w pobliskich budynkach.

– Czekałem na kolegę, który prowadzi serwis komputerowy na Szewskiej w Chełmży. Pracuję u niego.

– Tak wcześnie otwieracie? – Skalska przypomniała sobie, że do wypadku doszło przed siódmą.

– Nie. Po prostu rano miałem badanie krwi w przychodni. Kumpel obiecał, że mnie podrzuci, bo zaraz potem mieliśmy zabrać się do roboty i nadganiać ze zleceniami. Straszny młyn nam się ostatnio zrobił.

– O który przystanek chodzi?

– Ten w pobliżu sklepu, bo wtedy kolega zawijał pod sklep, żeby nie zatrzymywać się na drodze.

Skalska odnotowała informację.

– Kolega się spóźnił?

– Tak. Przez tę cholerną szklankę na drodze chyba wszyscy się spóźnili – zaśmiał się. – Zresztą zadzwoniłem do niego i go ostrzegłem, żeby się nie spieszył. Ale wie pani, co jest najlepsze?

Skalska zaprzeczyła.

– Czekałem tam w sumie dwadzieścia minut i żadnej piaskarki w tym czasie nie uświadczylem – poskarżył się. – Nie dziwota, że potem się ludzie na drzewach zabijają.

Policjantka poprosiła, go, by w szczegółach opowiedział jej o tym, kiedy usłyszał huk uderzenia i jak się wówczas zachował. Jego opowieść pokrywała się z informacjami uzyskanymi przez dyżurnego.

– Kobieta od początku była nieprzytomna?

– Tak. I miała zakrwawioną twarz. Zresztą ta krew była wszędzie.

– Udało się panu otworzyć drzwi?

– A gdzie tam. Szarpałem się z nimi długo, bezskutecznie. Strażacy musieli je wycinać nożycami. Inaczej by tej babki nie wyjęli.

– Rozumiem. Mam jeszcze ostatnie pytanie. Czy coś zwróciło pana uwagę? Albo wydawało się nietypowe?

– To znaczy, co niby? Chodzi o samochód, czy o co?

– O cokolwiek.

Mężczyzna zamyslił się.

– No, nie wiem. Chyba tylko ta krew. Była dosłownie wszędzie. Na desce rozdzielczej i na poduszce powietrznej.

– Dziękuję za pomoc. Gdyby przypomniał sobie pan coś jeszcze, mógłby pan do mnie przedzwonić?

- Na ten numer, co mi się wyświetla?
- Tak.
- Dobra. Pomyślę – odparł.
- Dziękuję – stwierdziła Skalska i zakończyła połączenie.

Spakowała plecak, zgasiła światła i zamknęła gabinet.

W drodze do domu czuła, jak zziębnięta skóra na policzkach, chłostana zimnym wiatrem i drobnymi, zmarzniętymi płatkami śniegu, napina się i traci elastyczność. Gwałtowne powiewy wyciskały łzy i Skalska pochylała się, stawiając opór napierającym na nią masom lodowatego powietrza.

Odetchnęła dopiero, kiedy przekręciła zamki w domu przy Depczyńskiego, na osiedlu na Maja.

Odgrzała w mikrofali lasagne kupioną w biedronce i zaparzyła sobie owocową herbatę, którą po posiłku zabrała do pokoju dziennego. W TVN24 usłyszała o zamachu terrorystycznym w Strasburgu. Dwudziestodwuletni Francuz pochodzenia algierskiego udał się na jarmark bożonarodzeniowy, gdzie wyciągnął nóż i broń palną. Spostrzegł to Polak, Bartosz Niedzielski, pracownik Parlamentu Europejskiego, który wraz z włoskim kolegą i dziennikarzem palił papierosa przed wejściem do klubu, gdzie czekali na koncert. Zauważyli zamachowca w chwili, gdy ten otworzył ogień i próbował dostać się do baru. Obaj rzucili się na niego, dzięki czemu innym udało się zabarykadować drzwi. Niestety kule wystrzelone ze starego rewolweru bandyty raniły śmiertelnie trzy osoby. Włoch i Polak trafili do szpitala, ale ich życia nie udało się uratować.

Skalska ściszyła program, bo Gross oddzwaniał.

Przywitała się z nim i zrelacjonowała mu efekty poszukiwań samochodu Wójcickiej na nagraniach z monitoringu, a potem streściła rozmowę z jej mężem. Wspomniała, jak zapłakany wpatrywał się w zdjęcie ukochanej kobiety. Na koniec zostawiła opowieść o mężczyźnie, który wezwał służby ratownicze do wypadku w Bielczynach.

Gross przez cały czas milczał. Dopiero kiedy skończyła, zabrał głos.

- Co to znaczy, że nie ma jej samochodu na żadnym nagraniu? – spytał.
- Możliwe, że wyjechała z domu i skręciła w lewo w drogę gruntową. Przez dolinę dotarła albo do ulicy Buczek, albo bezpośrednio do Chełmińskiego Przedmieścia. Gdyby jednak wybrała to pierwsze rozwiązanie, mogłaby dojechać wiejską drogą niemalże prosto do domu Sądeckiego – wyjaśniła Skalska.

Gross analizował informację.

- Nie wiemy, czy tak było – stwierdził.
- Popytam tu i ówdzie, może ktoś widział jej samochód. Chociaż szanse są nikłe.
- To prawda. Szkoda twojego czasu.

– W takim razie co robimy? – Skalska zawiesiła wzrok na mapie pogody z ikonami płatków śniegu i słońca obejmującymi całą Polskę. Zapowiadano przejaśnienia.

– Pojedź do Torunia i sprawdź samochód Wójcickiej. Musi stać na parkingu policyjnym. Tylko zabierz techników.

– Techników? – nie kryła zdziwienia. – Po co?

– Niech rzucą okiem – poprosił Gross.

– Ale czego mają szukać?

Komisarz nie odpowiedział.

– Rozumiem. Sprawdzimy. Coś jeszcze? – spytała, słysząc jego oddech.

Jeszcze przez chwilę się nie odzywał.

– Podobno Sądecki nie kąpał się w Bielczynach – rzucił.

– Też o tym słyszałam.

– Serio?

– Tak. Jacek Kowal mi powiedział.

– Czy to nie dziwne?

– Niby czemu?

– Umiał pływać. Mieszkał nad jeziorem – wyjaśnił Gross.

– Nie wiem. Może. – Skalska zamyśliła się i powtórzyła wcześniejsze pytanie: – Coś jeszcze?

– Nie – odparł bez przekonania. – To wszystko.

– Dobra. I jeszcze jedna sprawa. Rozpuściłam wici w sprawie wypadku. Byłam w sklepie w pobliżu przystanku PKS-u, ale nie zastałam właściciela. Sprzedawczyni obiecała, że się do mnie odezwie. Zobaczymy, czy on coś powie.

– Bardzo dobrze – pochwalił ją Gross.

– Ale to znowu sprawa, że musimy czekać – przypomniała.

– *Vis maior* – powiedział. – Do następnego.

– Do następnego. – Skalska odłożyła aparat i westchnęła.

Miała ochotę na gorącą kąpiel.

Wyłączyła telewizor i chciała pójść na górę, gdy ktoś zapukał do jej drzwi.

Gross umył ręce, zalał wrzątkiem kolejną herbatę i usiadł z nią przy stole, w tej części, w której zorganizował warsztat modelarski. Przy ścianie w pobliżu grzejnika stały pudełka z modelami. Policjant zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście znajdzie w sobie dość siły, by zająć się przygotowaniem niewielkiej dioramy. Wymagała czasu. Sądził, że jej budowa może mu zająć co najmniej pół roku, jeśli nie więcej. Składałaby się bowiem z kilku

niezależnych od siebie modeli i figurek, a także wielu detali modelarskich, które ostatecznie połączyłyby się w jeden obraz.

Wziął do ręki pudło zawierające model citroëna 11CV, samochodu produkowanego od 1944 roku, i przyjrzał się dwóm wypraskom. Jedna z nich, ta mniejsza, zawierała płytę podłogową auta z kilkoma elementami zawieszenia. W drugiej znajdowały się pozostałe części wnętrza pojazdu, koła i detale, a także masywne błotniki i drzwi przednie. Karoseria była odlana w całości, co skracało pracę nad miniaturą samochodu. Model japońskiej firmy Tamiya wydawał się prosty i dlatego Gross zastanawiał się, czy nie dokupić do niego blaszek fototrawionych, które uatrakcyjniłyby wykonanie auta. Dużego wyboru nie było, ale mógł zdecydować się na spory przedni grill, prezentujący się znacznie lepiej niż ten plastikowy, a także oprawy przedniej i tylnej szyby oraz kilka detali we wnętrzu.

Przyglądał się pod światłem lamp kreślarskich ładnie odlanym elementom, gdy zadzwoniła jego komórka.

Odłożył wypraskę.

– Halo – rzucił, gdy sięgnął po aparat i odebrał połączenie.

– Ktoś dzwonił do mnie z tego numeru – odezwała się nieznajoma kobieta.

Gross się przedstawił i domyślił się, że rozmawia z lekarką Janiną Pilecką, a potem powiedział jej, w jakiej sprawie próbował się z nią połączyć.

– Czy Stanisław Sądecki zmarł? – zapytała.

– Tak, dziś rano.

– Jak do tego doszło?

– Nie mogę powiedzieć.

– Rozumiem. W takim razie jak mogę panu pomóc? – spytała lekarka.

– Kiedy widziała się z nim pani ostatnio?

– Nie pamiętam, wydaje mi się, że to mogło być latem.

– Na co się leczył?

– Doskonale pan wie, panie komisarzu, że obowiązuje mnie tajemnica lekarska i śmierć pacjenta wcale mnie z niej nie zwalnia.

– Wiem i to szanuję. Ale jeśli do śmierci Sądeckiego przyczyniły się osoby trzecie, wolałbym nie marnować czasu.

Kobieta zastanawiała się, co zrobić, a Gross czekał na jej decyzję. Wolał nie naciskać, to zawsze przynosiło odwrotny efekt.

– U mnie leczył się doraźnie w przypadku przeziębień, ale wiem, że był też leczony kardiologicznie i alergologicznie – odezwała się Pilecka. – W pierwszym przypadku na nadciśnienie, w drugim na obrzęk naczyńworuchowy.

– Co to takiego?

– Miał problemy z opuchlizną twarzy, głównie warg, powiek, ale też języka.

– Skąd to się wzięło?

– Trudno powiedzieć. Etiologia idiopatycznego obrzęku naczynioworuchowego nie jest do końca znana. Mogły do tego doprowadzić zaburzenia funkcjonowania tarczycy, stres i inne czynniki.

– Długo to u niego trwało?

– Oj, leczył się na to od bardzo dawna. Ale więcej w tej sprawie powie panu mój kolega Paweł Szojca, internista i alergolog ze szpitala.

Gross przypomniał sobie odręcznie wypisaną receptę, której zdjęcie nosił w telefonie. Wystawił ją właśnie doktor Szojca.

– Ma pani jego numer?

– Mam. Wyślę esemesem, tylko proszę nie mówić, że ma pan go ode mnie.

– Obiecuję – odparł Gross i się pożegnał.

Wrócił do pokoju i odłożył telefon na blat obok wyprasek modelarskich.

Wyciął płytę podłogową i oszlifował miejsca łączenia plastiku z kształtką, gdy jego telefon zawibrował. Zerknął na ekran i dostrzegł esemesa przesłanego przez lekarzkę.

Otarł palce z plastikowego pyłu i sięgnął po aparat.

Szojca odebrał po dwóch sygnałach.

– Słucham? – rzucił.

Gross wyjaśnił mu, kim jest, i opowiedział o powodach, dla których zdecydował się zadzwonić.

– No tak, rzeczywiście leczyłem Sądeckiego – przyznał alergolog. – I mówi pan, że mój pacjent zmarł?

– Tak, dziś rano.

– Przykro mi to słyszeć.

– Pan się z nim widział ostatnio, prawda? – Gross pamiętał, że recepta wystawiona przez Szojcę była datowana na początek grudnia.

– Stanisław Sądecki poprosił mnie o wizytę prywatną. Nie chciał się ruszać z domu, a ja lubiłem go odwiedzać, bo wtedy mieliśmy chwilę na rozmowę o wojnie.

Gross drgnął.

– Czy możemy się spotkać?

– Teraz? Nie bardzo. Jestem na dyżurze. Prędzej jutro.

– Dobrze. Gdzie pana złapię?

– Od jedenastej będę w przychodni. Zapraszam.

– Wolałbym nie zabierać czasu pana pacjentom. Więc może udałoby się nam umówić przed rozpoczęciem pana pracy?

– W takim razie przyjadę kwadrans wcześniej. Mam nadzieję, że to wystarczy.

– Wystarczy. Dziękuję – zakończył Gross i odłożył aparat.

A potem z zapalem zabrał się do pracy nad citroënem.

Pukanie się powtórzyło, więc Skalska przekręciła zamki i otworzyła drzwi.

– Mogę? – spytała Aleksandra Jojczyk.

Zaskoczona Skalka zrobiła jej miejsce i szefowa prewencji weszła do holu, wnosząc powiew lodowatego powietrza. Kilka zbłąkanych płatków śniegu zawiroowało i opadło na kafle.

Do tej pory Jojczyk nigdy nie odwiedziła Skalki w domu. Nie utrzymywały bliskich kontaktów, więc Monika nie zamierzała zapraszać eleganckiej kobiety do pokoju. Po prostu stała w holu i czekała na wyjaśnienia.

Aleksandra Jojczyk otrząsnęła się z zimna, rozpięła chabrowy płaszcz i odwinęła wełniany szal.

– Wiem, że bez zapowiedzi, ale muszę z tobą pogadać – wyjaśniła, rozglądając się po niewielkiej przestrzeni.

– W jakiej sprawie?

Podkomisarz miętosila szalik w dłoni.

– W cholernie ważnej. Ale wolałabym usiąść. Poza tym chętnie napiłabym się czegoś ciepłego.

Skalska wskazała na wieszak.

– W takim razie powieś płaszcz i chodź – stwierdziła, po czym przeszła do kuchni. – Kawa czy herbata?

– Herbata. Najchętniej z miodem i cytryną – odkrzyknęła z holu.

Skalska nastawiła wodę w czajniku elektrycznym, a potem usłyszała kroki kobiety.

– Wejdz do pokoju – poprosiła niespodziewanego gościa i odgłos butów rozległ się ponownie, ale zaraz potem ucichł.

Odczekała, aż woda się zagotuje, przygotowała napój, po czym zaniósła kubek do pokoju.

Jojczyk siedziała na sofie ze złączonymi dłońmi, na których zawiesiła wzrok. Podniosła go dopiero po chwili i wtedy się uśmiechnęła. Jej proste blond włosy opadały na rękawy szarego polaru. Na nogach miała czarne, obcisłe dzinsy.

Skalska usiadła po turecku na fotelu.

– Co to za cholernie ważna sprawa?

– Powiem wprost, żeby oszczędzić ci czasu – odezwała się po chwili. – Od stycznia zostanę komendantką.

Skalka wydlubała z kieszeni paczkę gum i podała Jojczykowej, ale ta odmówiła gestem.

– No i? – Gospodyni uznała, że nie da satysfakcji koleżance i po prostu udawała, że nowina nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia. Mogła sobie na to pozwolić, bo w jakimś sensie przygotowała ją na to informacja od oficera dyżurnego.

Szefowa prewencji zaszepiła się lekko, licząc prawdopodobnie na gratulacje i wyrazy uznania. Kiedy nie padły, ponownie zdobyła się na uśmiech.

– Przyszłam tutaj, bo wiadomo, że nowa miotła zamiata po swojemu – rzekła i popiła ciepłej herbaty. – I, tak jak ci mówiłam, my, kobiety, powinnyśmy trzymać się razem.

Skalska chciała jej przypomnieć, jak to ostatnio Jojczyk oskarżyła ją i Grossa o mieszanie się kryminalnych w zadania i kompetencje jej działu. Wtedy o współpracy nie było mowy.

– Już mi to mówiłaś. – Skalska rozgryzła gumę. – Co konkretnie masz na myśli?

Jojczyk przytrzymała kubek dłońmi, jakby chciała je w ten sposób ogrzać.

– Jesteś bystra i świetnie sobie radzisz. Dlatego chciałabym zaproponować ci wystąpienie o awans i przejęcie prewencji.

Skalska wypuściła balon z ust, który napęczniał i szybko pękł, oklejając wargi. Omiotła je językiem.

Propozycja nie wydała jej się kusząca, bo w opinii Skalskiej musiała mieć drugie dno. Jednak skoro miała ją odrzucić, warto było dowiedzieć się, czego w zamian oczekiwała Jojczyk.

– Brzmi super – skłamała i się uśmiechnęła. – Ale dlaczego nie chcesz któregoś ze swoich chłopaków?

Jojczyk wypiła kilka łyków.

– Faceci w mundurach nie lubią mieć nad sobą silnych kobiet.

– Czyli że co? Oni nie lubią ciebie, a ty ich?

– Lubię ich, ale nie sądzę, by nadawali się na to stanowisko tak jak ty, z twoją intuicją. Poza tym przyda im się drobny wstrząs, kiedy zapędzisz ich do galopu.

Przyjęła komplement, chociaż wiedziała, że nie był szczery.

– Zapędzić do galopu? – spytała. – A to ty tego nie robiłaś?

– Robiłam i robię, ale wydaje mi się, że można z nich wyciągnąć jeszcze więcej.

Skalska uniosła brwi.

– To wszystko? – zapytała, a Jojczyk skinęła głową.

– Prawie.

„Prawie”. Wyglądało na to, że kobieta, która postanowiła ją odwiedzić, wreszcie zmierza do sedna. Skalska czekała na kolejne rewelacje.

– To się wiąże z tym, co powiedziałam wcześniej. – Zatopiła wzrok w kubku z herbatą.

– Z kobiecą solidarnością?

– Tak.

– No więc? – ponagliła ją Skalska po chwili milczenia.

– Czy to oznacza, że przyjmiesz moją propozycję? – Jojczyk badała grunt, jak ktoś, kto zapuścił się na tafle zamrożonego jeziora i nagle usłyszał trzaski pękającego lodu.

– Na pewno jest interesująca, więc dam ci szybko znać – odparła aspirantka.

– Zależy mi na czasie. – Odstawiła kubek.

– W takim razie zdecyduję jutro.

– Dobra. – Jojczyk nabrała powietrza i wypełniła nim klatkę piersiową. Umiejętnie budowała napięcie albo, co wydawało się Skalskiej bardziej prawdopodobne, po prostu wciążyła się wahała, czy odsłonić się przed przyszłą podwładną.

– Hej. Podobno mamy się wspierać, nie? – zachęciła policjantkę Skalka i wtedy spięta twarz Jojczykowej pojaśniała.

– Jako komendantka muszę dokładnie wiedzieć, co się dzieje w firmie. – Uważnie przyglądała się Skalskiej. – Wiesz, co mam na myśli?

– Domyślam się.

– Policjanci będą zmęczeni kolejną kobietą na czele jednostki. Liczą pewnie na faceta. Tymczasem trafi im się wymagająca baba – zaśmiała się.

– Więc potrzebujesz mnie – dopowiedziała Skalka – żebyś donosiła na kolegów. Dobrze to zrozumiałam?

Jojczyk naburmuszyła się teatralnie.

– Nie, no skąd. Nie masz donosić, tylko od czasu do czasu mogłabyś powiedzieć mi, co tam się dzieje na dole w szeregach. Tylko tyle. Chodzi o wszelkie sprawy, także o to, jak usprawnić nam wszystkim pracę w policji. Jeśli ich zapytam, to mi nie powiedzą. Bo wtedy przyznaliby się do słabości. A facet w mundurze nie może być słaby, rozumiesz?

– A jeśli jednak zostanę w kryminalnym? – drażyła Skalska.

– Tak, biorę to pod uwagę.

– To co wtedy?

– Nadal powinnyśmy się wspierać – uznała Jojczyk.

– Czyli liczysz, że będę donosić – odparła Skalska.

– Raczej uważnie słuchać – uśmiechnęła się Jojczyk. – A ja to wynagrodzę.

Skalska też rozciągnęła usta w uśmiechu.

– Czujesz się lubiana w tej jednostce? – zaskoczyła pytaniem Jojczyk, która ściągnęła brwi.

– Tak, a dlaczego pytasz?

– Bo mam wrażenie, że z takim podejściem wszyscy szybko cię znienawidzą.

– Nie rozumiem.

– Nie będę twoim kapusiem, Ola. Ale cieszę się, że mi o tym powiedziałaś. Przynajmniej będę wiedziała, że na twój następcę trzeba będzie bardzo uważać.

– No co ty...

– Idź już. I nigdy więcej nie składaj mi takich propozycji.

– Ale posłuchaj...

– Nie zamierzam. – Skalska wstała i poczuła, jak ze stresu drżą jej nogi. Odczekała, aż Jojczyk dźwignie się z kanapy. Trwało to całą wieczność.

– Obyś tego nie żałowała – syknęła podkomisarz, kiedy ruszyła w kierunku korytarza.

– Czyli to już koniec kobiecej solidarności, tak? – spytała Skalska, ale odpowiedziały jej tylko głośne kroki na płytkach.

Chwilę potem trzasnęły drzwi.

ROK 1945, STYCZEŃ

Patrzył na żywe kościotrupy.

Dziesiątki kościotrupów kroczących po zmarzniętej pomorskiej ziemi, na którą gęsto sypał śnieg.

Patrzył na całą ich armię, na idące przed siebie, czwórkami, półnagie kobiece zwłoki, z narzuconymi na grzbiety podartymi szmatami, obleczone skrawkami tego, co być może kiedyś było zwykłym ubraniem. Stare, dziurawe materiały odsłaniały wychudłe ciała i wątłe piersi, wystające kości miednicy, a także żebra, na których skóra załamywała się tak, jakby z wnętrza tych kobiet ktoś wysał powietrze. Na chudych wąskich szyjach dźwigały duże czaszki z wielkimi smutnymi oczami, ze skórą zapadłą w policzkach i naciągniętą na szczęki, jakby to nie byli żywi ludzie, tylko makabryczne lalki.

Widział wrzodziejące, ropiejące rany, sińce i czarne odmrożenia na stopach i dłoniach wielu kobiet.

Wiatr gwizdał przeciągle, sypał śniegiem prosto w jego twarz.

Chłopiec, który patrzył na Żydówki, miał kilkanaście lat, ciepłe odzienie i nakrycie głowy po starszym kuzynie, które opadało mu na oczy, dlatego trzymał brodę wysoko. Mróz kąsał go w policzki i nos, szczypał w stopy schowane w zbyt dużych butach, chociaż nogi mieli przykryte podwójnie złożonym kocem.

– Odwróć się – syknął szeptem jego ojciec, kolejny raz zwracając mu uwagę, by nie patrzył na marsz kobiet.

Nie posłuchał. To było silniejsze od niego.

Siedzieli na ławce furmanki, która kołysała się na nierównościach. Gdy mijali długą kolumnę kobiet, końskie kopyta wystukiwały powolny rytm. Zwierzę parsknęło, para leciała mu z pyska, a drewniane koła wgryzały się z łoskotem w zmarzniętą ziemię.

– No już! – nakazał tatul.

Chłopiec w końcu skierował głowę lekko w lewo, ale jego oczy wciąż patrzyły w drugą stronę.

Niektóre z kobiet obwiązały sobie nogi szmatami, inne maszerowały boso po śniegu. Jeszcze inne szurały zbyt dużymi drewniakami. Ale każda z nich wbijała wzrok w ziemię.

Wachmani, z bronią przewieszoną przez ramię, popędzali je jak bydło. Często też robili użytek z kijów okutych stalą.

– Bystro, bystro! – ryknął niższy i krępy strażnik. Nosił uniform esesmana, chociaż nie był Niemcem.

Chłopiec widział, jak ten sam strażnik zatrzymał się na chwilę, odwrócił przodem do więźniarek, i nagle, z niezwykłą siłą, dźgnął jedną z nich końcem kija w brzuch. Zgięła się i omal nie upadła, ale jej towarzyszki natychmiast pociągnęły ją za rękę, by szła dalej.

Często je widywał.

I wtedy coś się z nim działo. Nie wiedział co. To rodziło się gdzieś głęboko pod żebrami. Jakby wir. Coś, co sprawiało, że pęczniała w nim nienawiść do samego siebie.

Trwała wojna, nie było im łatwo, ale jednak żyli na wolności, mieli co jeść i gdzie spać, a one, wycieńczone i bezbronne, umierały na mrozie. Widział to na własne oczy. Raz zakradł się wieczorem pod ogrodzenie obozu i z ukrycia obserwował, jak jeden z wachmanów dreptał w pobliżu dziesięciu stojących nieruchomo półnagich kobiet. Obok znajdowały się celty, drewniane budynki z dykty przypominające namioty, w których latem mieszkali młodzi naziści, a które jesienią zapełniły się stłoczonymi wewnątrz Żydówkami. Strażnik obozowy nie musiał długo czekać, by zmęczone nadludzkim wysiłkiem, wykończone głodem i niską temperaturą upadły nieprzytomne na zamarzniętą ziemię, a mróz przejął je w swoje ramiona.

Ta śmierć była dla nich wybawieniem.

Przynajmniej tak mawiał tatuł i kiedy chłopiec o tym myślał, w zasadzie słyszał w głowie ten sam głos swojego ojca.

Widywał też Żydówki, kiedy kopały głębokie rowy, czasami ścinały trzcinę na zamarzniętym jeziorze. Rzadziej mijał je tak jak dziś, bardzo blisko, gdy szły w milczeniu do katorżniczej pracy.

Kilka miesięcy wcześniej przyjechały tu pociągami w bydlęcych wagonach i wtedy jeszcze, miał takie wrażenie, wyglądały lepiej. Ludzie we wsi mówili, że uniknęły komór gazowych w Auschwitz. Podobno tamtejsze piece krematoryjne nie nadążały z robotą. Dlatego po jakimś czasie zdecydowano się przetransportować je do Konzentrationslager Stutthof i dopiero stamtąd trafiły do oddalonego o kilkanaście kilometrów Chorabia i Bocienia, a także innych wiosek, w tym Grodna, gdzie chłopiec mieszkał. Miały budować pułapki i rowy przeciwczołgowe, fortyfikacje i rowy strzelnicze.

Zdarzało się już nieraz, że jadąc z ojcem pustą wiejską drogą, mijali kobiece trupy. Jesienią niemal nagie ciała tonęły w błocie, wdeptane w nie, zespolone z plastyczną ziemią, jakby zasnęły w niej z wycieńczenia. Jakby zwłoki były jej częścią, i to właśnie pod butami nazistów było ich doczesne miejsce.

Z kolei zimą skuwał je lód i ludzie ze wsi mieli problem, żeby je zabrać z drogi, wyrwać z objęć zmarzniętej gleby i pogrzebać. Czasami pomagali sobie widłami i łopatami, których drewniane trzonki trzeszczały od nadmiernego ugięcia.

Widział czaszki rozłupane kolbami karabinów i czerwoną miazgę, która z nich wypływała, ciała ze złamanymi kręgosłupami, podeptane przez ciężkie buty wachmanów. Zwłoki z zapadniętymi i popękkanymi żebrami, jak wysadzone mosty, których przęsła opierały się na zboczach doliny.

Tatul kazał mu zawsze odwracać głowę, nie patrzeć w ich stronę, ale to było silniejsze od chłopca.

– Bystro! – ponownie ryknął wachman i tym razem zamachnął się długim karabinem zakończonym bagnetem. Ostrze przebiło się bez trudu przez wątłą skórę jednej z kobiet i ciemna krew trysnęła z rany.

Żydówka z jękiem upadła na ziemię, a inne rozstąpiły się, żeby ją ominąć. Wachman darł się jeszcze głośniej.

W tym zamieszaniu chłopiec zdołał dostrzec, że tatul rzucił w kierunku Żydówek kilka cebul, które ułożył wcześniej pod jedną z warstw koca. Część kobiet złapało warzywa, a niektóre musiały podnieść je ze śniegu. Natychmiast zaczęły jeść.

Spojrzał na ojca, który siedział nieruchomo. Chłopiec widział, jak grdyka mu podskoczyła, gdy przełykał ślinę. Dłonie miał z całej siły zaciśnięte na lejcach, siedział sztywno z wyprostowanymi plecami, zdjęty lękiem, obawiając się pewnie, że zaraz któryś ze strażników więziennych każe zatrzymać wóz i go zabije.

Jednak nic takiego się nie stało.

Chłopiec uśmiechnął się w duchu.

Tatul był bohaterem.

Chciałby umieć go naśladować. Zresztą już raz, kilka lat temu, na początku wojny, pokazał ojcu, że jest odważny. A jednak teraz ten lęk, który w sobie nosił, był nie do przewyciężenia. Wprawiał jego ciało w dygot i na samą myśl, że mógłby zrobić coś takiego jak ojciec przed chwilą, zamierał. Nienawidził siebie za to. Może po prostu naoglądał się tyle przemocy, że widmo śmierci było zbyt wyraziste. I dlatego ta radość z bohaterskich czynów tatula mieszała się w nim ze smutkiem.

Ze złością myślał o sobie, że przestał być odważny. Że coś się w nim przerwało, jak łańcuch rowerowy, którego nie mógł sam naprawić.

Przyglądał się długiemu marszowi kobiet. Starał się wyczytywać emocje z ich twarzy, ale rzadko kiedy dostrzegał coś innego niż grymas bólu, cierpienia, trwogi.

Mijali ostatni szereg Żydówek i wtedy chłopiec ją zobaczył. Tę samą dziewczynę, którą już kilkukrotnie widział w Grodnie. Jedną z najmłodszych więźniarek z dużymi pięknymi oczami.

Mogła być starsza od niego o zaledwie kilka lat. A może tak mu się tylko zdawało.

Wbił w nią wzrok i czekał, aż uniesie głowę i spojrzy na niego.

– Odwróć się! – ofuknął go tatuł.

I chłopiec ponownie zrobił to samo, co wcześniej, bo daszek maciejówki chronił go przed wzrokiem ojca.

Wtedy dziewczyna uniosła głowę.

Spojrzał w jej puste oczy i wir na nowo rozkręcił się w jego brzuchu.

Minęli kolumnę żywych trupów, a młoda Żydówka została w tyle.

Furmanka trzęsła się na drewnianych kołach i on też dygotał na niej z lęku.

I nienawidził siebie jeszcze bardziej.

DZIEŃ DRUGI

Lekarz przeciągnął dłonią po imponująco gęstej białej brodzie, po czym zdjął okrągłe okulary w grubej ciemnej oprawie i przygryzł zausznik.

– Zasmucił mnie pan wieścią, że Stanisław Sądecki nie żyje. – Medyk się odezwał.

Kiedy Gross dotarł do przychodni, kilka osób w różnym wieku zajęło już miejsca w korytarzu pod drzwiami gabinetu. Gdy zapukał, usłyszał zaproszenie i wszedł do pomieszczenia, obrzucany niechętnymi spojrzeniami chorych.

Łysy mężczyzna po sześćdziesiątce wpatrywał się w monitor i popijał kawę. Lewą rękę miał w gipsie stabilizującym staw łokciowy.

– Pamiątka z wczorajszej szklanki – zaśmiał się, wyjaśniając przyczyny złamania.

Kiedy Gross usiadł na krześle przeznaczonym dla pacjenta, dostrzegł na kubku lekarza węża Eskulapa na białym krzyżu z podwójnymi, skrzyżowanymi ramionami oraz napis: „dr n. med. Paweł Szojca – lekarz o wielkim sercu”.

– Wiem, że Sądecki cierpiał na obrzęk naczynioworuchowy i od dawna brał leki – stwierdził Gross.

– Tak. Przepisywałem mu Defidron, bo dobrze na niego reagował i nie miał nawrotów choroby. – Obciągnął rękaw kitla, który odsłaniał gips. Pod fartuchem miał gruby szary golf.

– Defidron?

Lekarz z powrotem założył okulary.

– To lek przeciwhistaminowy pierwszej generacji, którego substancją czynną jest difenhydramina, antagonistą receptora H₁. Skuteczna w blokowaniu histaminy. A ta z kolei jest mediatorem reakcji alergicznej. Defidron, mówiąc ogólnie, wstrzymywał działanie histaminy i w ten sposób blokował rozwój obrzęku tkanek podskórnych – wyjaśnił.

– Przyjmował tabletki?

– Tak. Raz na dobę.

– Skarżył się na jakiegokolwiek działania uboczne?

– Nie. To znaczy niczego mi nie zgłaszał – odparł lekarz.

– A kiedy pan go odwiedził, nic nie wzbudziło pana podejrzeń?

– W sensie zachowania?

– Tak.

Lekarz zastanowił się i wydał wargi.

– Raczej nie. Był w dobrej formie. A dlaczego pan pyta?

– W opinii rodziny i sąsiada Sądecki zaczął mieć problemy z koncentracją i pamięcią.

– Wie pan co? Ja to bym chciał mieć taką pamięć jak pan Stanisław – zarechotał. – Kurczę, jak on opowiadał o wojnie! Ze wszystkimi szczegółami i detalami, nawet dat nie mylił. Zachęcałem go, żeby, wie pan, w ramach prewencji otępiennej, zaczął spisywać wspomnienia. Zysk byłby podwójny.

– Zrobił to? – Gross niemal wszedł mu w słowo.

Za oknem wciąż sypał gęsty śnieg, ale przynajmniej mroźny wiatr odpuścił. Po południu zapowiadano przejaśnienia, jednak już teraz od czasu do czasu promienie słoneczne przebijały się przez coraz cieńszą warstwę chmur. Świat zyskiwał nadzieję.

– Tego nie wiem – lekarz wzruszył ramionami. – Ale dlaczego pan pyta?

Gross pamiętał o sytuacji, w której Sądecki nie rozpoznał wnuka i przerażony zaczął zwracać się do niego po niemiecku.

– Podobno ostatnio często wracał pamięcią do czasów wojny.

– Cholera, może to przeze mnie, co? – zmartwił się doktor. – Bo ja mam fioła na punkcie historii, a on był żywym świadkiem tamtych zdarzeń, chociaż w sumie był wtedy dzieckiem. Miał dziewięć lat, kiedy wybuchła wojna.

– O czym rozmawialiście?

– Od lat interesuję się zbrodnią pomorską, czyli eksterminacją Polaków na naszych terenach, to znaczy głównie Torunia i Chełmży. Słyszał pan o tym?

Gross skinął głową.

– Chodzi o Barbarkę? – Nie interesował się historią na tyle, by przygotować wykład monograficzny na ten temat, po prostu kiedy był młodszy, wspólnie z innymi policjantami zabezpieczał miejskie uroczystości w miejscu kaźni Polaków pomordowanych przez nazistów w trzydziestym dziewiątym.

– Tak. – Doktor pokiwał smutno głową. – Eksterminacja dokonała się z ogromną pomocą folksdojczów. Byli bliskimi sąsiadami, żyli w tych społecznościach zgodnie, ale nagle, gdy wybuchła wojna, ich nastawienie drastycznie się zmieniło. Natychmiast wstąpili do powołanego Selbstschutzu i zwrócili się przeciwko nam. Rozpoczęli czystki. A pretekstem do tego był marsz śmierci na Łowicz. Słyszał pan o nim?

– Nie?

– Nasza władza, jeszcze przed wojną, w obawie przed napaścią hitlerowskich Niemiec przygotowała listę nazwisk obywateli mniejszości niemieckiej zamieszkującej Polskę. Zresztą nie tylko niemieckiej, bo chodziło również o Rosjan i Ukraińców, których podejrzewano o działalność antypolską. W niektórych przypadkach zresztą zupełnie niesłusznie. Ale jeśli chodzi o Niemców, to obawiano się, że kiedy wybuchnie wojna, będą

kolaborowali z Hitlerem. I dlatego internowano ich i poprowadzono piechotą w kierunku Warszawy, a docelowo do Berezki Kartuskiej. Z Torunia marsz wyruszył nocą z trzeciego na czwartego września. W pochodzie szły kobiety i dzieci, osoby starsze i duchowni. Już w okolicach Aleksandrowa Kujawskiego połała się pierwsza krew, bo rozstrzelano więźniów podejrzanych o próbę ucieczki. A dalej było tylko gorzej. Nasza młodzież, z której zrobiono konwojentów i której rozdano karabiny, nie wytrzymała ciśnienia. Kilkanaście kilometrów za Aleksandrowem, w Podzamczu, gdy Niemcy się zbuntowali, rozgorzało prawdziwe piekło. – Mężczyzna machnął ręką. – Tych ludzi z marszu uratowało w okolicy Łowicza niemieckie wojsko. Ale najciekawsze jest to, że jakiś czas później hitlerowcy odkopali mogiły, w których pochowano zabitych w okolicach Aleksandrowa, żeby urządzić im uroczysty pogrzeb w Toruniu. Podobno rozkładające się zwłoki musieli umyć internowani w okrągłaku Polacy, by można było te trupy wystawić w otwartych trumnach na Rynku Staromiejskim. Pan to sobie wyobraża?

Gross rozumiał, że była to akcja wpisująca się w hitlerowską propagandę i mająca usprawiedliwić przed Polakami zaplanowane działania odwetowe.

– Sądecki to pamiętał? – spytał komisarz, próbując naprowadzić tę rozmowę na właściwe tory.

– Co?

– Te czystki, które nastąpiły po marszu na Łowicz w Toruniu i okolicach.

– Tak, i to bardzo dobrze, bo jego stryj został stracony na Barbarce – oznajmił lekarz. – Tuż po wojnie odbyły się ekshumacje grobów, ale okazało się, że wcześniej, chyba w drugiej połowie czterdziestego czwartego, część z tych mogił Niemcy odkopali, wydobyli ludzkie szczątki, ułożyli na stosie i podpalili. Zacierali w ten sposób ślady masowych mordów, bo Armia Czerwona siedziała im na karku. Ale w pośpiechu zapomnieli o jednej kwaterze. Trupy leżały w niej w trzech warstwach. W sumie odkryto tam osiemdziesiąt siedem ciał.

– Zidentyfikowano wuja Stanisława Sądeckiego?

– Dzięki Stasiowi.

– W jaki sposób?

– Och, to zupełnie niesamowite. Ten chłopiec wykazał się niemałą odwagą. Zupełnie jak ta dziewczynka, którą ksiądz Gajdus, więzień Fortu VII, nazwał w swoich wspomnieniach Czerwonym Kapturkiem. Wie pan, o kim mowa? O Krystynie Paluszyńskiej-Daszkiewicz, emerytowanej profesor prawa z Poznania, żyjącej do dziś, która właśnie wtedy, narażając swoje życie, spisywała prośby uwięzionych za kratami Polaków i przekazywała je ich bliskim. Staszek zrobił podobnie i w ten sposób dowiedział się, że jego wuj prosi o medalik. Przygotował więc z ojcem paczkę i przekazał srebrny wisiołek ukryty w chlebie. Zawieszka miała strzec mężczyznę przed śmiercią, ale niestety nie spełniła swojego zadania. Choć dzięki niej udało się zidentyfikować zwłoki Feliksa Sądeckiego.

– Ale co Stanisław Sądecki robił w Toruniu, skoro mieszkał w podchełmżyńskim Grodnie?

– Przyjeżdżał tam razem z ojcem furmanką. Tak jak i inni członkowie rodzin internowanych, którzy przekazywali bliskim paczki z żywnością i ubraniami.

Gross pokiwał głową. Informacje od Szojcy wydawały mu się niezwykle interesujące, ale wolał już zostawić opowieści o wojnie.

– Wróćmy do terażniejszości – zaproponował. – Dlaczego Sądecki poprosił pana o wizytę? Chodziło o nawrót choroby?

– Tak. To znaczy on tak mówił, ale obrzęku nie stwierdziłem. Niemniej skoro Sądecki uskarżał się na mrowienie warg i skóry pod powiekami, nie było na co czekać. W jego przypadku zwiastowało to nadejście poważnych problemów. Wolałem więc dmuchać na zimne. Poprosił o wypisanie leku, bo zapomniał o wykupieniu jednej recepty wystawionej przez lekarza POZ i termin przepadł.

Gross odnotował to w pamięci.

– Tej recepty też nie zrealizował.

– Której?

– No tej, którą mu pan wypisał.

– Zrealizował. Dałem mu dwie. Ta druga była z późniejszą datą, tak by wnuk mu ją wykupił w wolnym czasie.

– A ta pierwsza to na co?

– Na to samo plus Medrosol.

– Co to za lek?

– Steryd z grupy glikokortykosteroidów, miał zapobiec rozwojowi obrzęku.

– Ma jakieś skutki uboczne?

– Wolałby pan nie czytać ulotki informacyjnej na ten temat – zaśmiał się medyk. – No, niestety, każdy lek trochę pomaga, ale trochę też szkodzi.

– A na co ten szkodził najbardziej?

– Wszystkie leki z tej grupy co do zasady będą wpływały na osłabienie siły mięśni i odporności, na przyrost masy ciała. A rzadziej na zaburzenia emocjonalne.

– Jakie konkretnie?

– Dajmy na to zaburzenia snu, rozchwianie emocjonalne. Czasami mogły też wystąpić zaburzenia poznawcze albo stany depresyjne.

– Czy którekolwiek z nich zdiagnozował pan u Sądeckiego?

– Skądże znowu. Mówię panu, że jak go odwiedziłem, był w dobrej kondycji psychofizycznej.

– Kiedy był pan u niego? – spytał Gross, bo uzmysłowił sobie, że data na recepcie nie była datą wizyty lekarza w domu Stanisława Sądeckiego.

– Gdzieś tak na początku listopada – odparł doktor Szojca. – Ale jeśli to dla pana ważne, mogę sprawdzić dokładnie. Wszystko zapisuję w kalendarzu.

Monika Skalska dotarła do Torunia autobusem PKS, bo żaden radiowóz nie jechał rano do macierzystej jednostki. Wsiadła na dworcu autobusowym, przeszła przez ruchliwą ulicę, na której zalegało błoto pośniegowe, i chodnikiem wzdłuż cmentarza komunalnego dotarła do komendy miejskiej.

Śnieg przestał sypać, wiatr się uspokoił i słońce wyjrzało zza chmur.

Powiadomiła Chęcińskiego, że jest już na miejscu, a potem poczekała na kolegę przy portierni.

Kiedy zszedł, przywitali się i przeszli na parking policyjny. Skalka miała wrażenie, że Chęciński jest skrajnie zmęczony. Powieki opadały mu do połowy oczu. Już jakiś czas temu zauważyła, że wychudł, a teraz miała wrażenie, że jego twarz jeszcze bardziej zmizerniała, a skóra na niej stała się wiotka.

– A Bloch nie jedzie? – spytała, kiedy wyjechali z jednostki na ulicę PCK.

– Ma huk papierkowej roboty, a do tego wysyłkę dowodów do biegłych – odparł wolno Marian, po czym zakasłał. – A co? Stary Maryś już ci nie wystarczy?

Zaśmiała się.

– Raz, że nie stary, a dwa, że wciąż jary – dodała.

– Skalka, ty lepiej kup sobie bryle. Jary to ja byłem dawno temu – stwierdził z uśmiechem, dojeżdżając do skrzyżowania z Młodzieżową. Kaszel szarpnął nim kilkukrotnie.

– Jesteś chory? – spytała z troską.

– Coś mnie złapało. Chyba po wczorajszej robocie w domu tego staruszka – odparł. – Żona od razu coś wyczuła i każe mi regularnie nawilżać gardło pastylkami, które mają wyjątkowo paskudny smak. – Sięgnął do kieszeni po blister i wydobyl jedną z nich, po czym wsunął sobie do ust i się skrzywił.

Droga na parking policyjny przy Topolowej, na który odstawiano samochody będące dowodami w postępowaniach przygotowawczych, upłynęła im na luźnych rozmowach o pracy i plotkach kadrowych. Skalka zapytała technika, czy wie coś o nadchodzących zmianach w komisariacie w Chełmży, ale Marian zaprzeczył.

Zatrzymali się przed bramą. Technik zatrąbił. Po chwili drobny mężczyzna wyszedł ze stróżówki i uniósł rękę. Otworzył bramę i wpuścił ich na wygrodzony teren.

Pojechali prosto wzdłuż parterowego budynku i skręcili za nim w lewo na spory gruntowy plac przysypany śniegiem i zastawiony kilkudziesięcioma samochodami. Każdy

z nich dźwigał na karoserii grube czapy białego puchu.

Chęciński zatrzymał kię.

– Wysiadamy? – spytała Skalska, a on pokręcił głową.

– Objedziemy je od przodu. Tak chyba będzie łatwiej – zaproponował. – Czego szukamy?

– Srebrnej toyoty yaris z rozbitym przodem.

– Czyli trzeba się rozejrzeć za małą kupką śniegu – stwierdził, omiatając plac wzrokiem i zanosząc się kaszlem. Po chwili wyciągnął palec wskazujący. – To chyba tam.

Wrzucił jedynekę. Opony wgrzyły się w błoto pośniegowe.

Tuż po tym jak zrzucili biały puch z karoserii samochodu niemal zupełnie pozbawionego przodu, z harmonijką blachy zamiast maski i bez przedniej oraz tylnej szyby, zabrali się za oględziny. Śnieg leżał na desce rozdzielczej i fotelach, częściowo na gumowych dywanikach, skąd Marian chciał go sam delikatnie wymieść. Założył wcześniej strój ochronny, a Skalka miała zadbać o spisanie protokołu.

Kiedy technik pracował wewnątrz auta, ona przyjrzała się samochodowi i zapisała kilka uwag w notesie. Zauważyła, że masywne wgniecenie blach nastąpiło po stronie kierowcy. Odnotowała tam odcięcie przez strażaków słupka i drzwi, które leżały obok przykryte śniegiem, blachą do góry. Strzaskana przednia szyba też spoczywała na śniegu i potwierdzała wcześniejszą obserwację. Największy obszar spękania szkła występował w dole szyby po lewej stronie.

Drzwi pasażera odstawały lekko, ale ze względu na zagniecenia w pobliżu zawiasów Skalka nie była w stanie ich uchylić. Jęknęły cicho i wróciły do pierwotnej pozycji.

Śnieg skrzypiał pod jej butami, gdy obchodziła wolno samochód. Chęciński, zabezpieczywszy dodatkowo fotel kierowcy, usiadł w nim, pozostawiając nogi na zewnątrz, i wychylał się w kierunku siedzenia pasażera. Skalska zatrzymała się na tyłach toyoty i przyjrzała się otworowi po tylnej szybie w niedomkniętej klapie bagażnika. Sama szyba leżała pod zderzakiem. Skalska założyła gumową rękawiczkę i wyciągnęła szkło. Pośrodku widniały ślady dwóch ognisk spękania o średnicy około dziesięciu centymetrów. Znajdowały się blisko siebie.

Musiała porównać oględziny pojazdu z miejsca wypadku z tym, co zobaczyła na parkingu. O wyciąganiu wniosków na tym etapie nie mogło być mowy. Na razie nie wiedziała, które ślady zniszczenia, nie licząc tych oczywistych, jak cięcie blach piłą tarczową lub nożycami hydraulicznymi, powstały w wyniku akcji strażaków, uwalniających ciało kobiety z zakleszczonej karoserii.

– Skalka? – Ciałem Chęcińskiego wstrząsnął kaszel, kiedy mężczyzna wyginał się w kierunku fotela pasażera.

Aspirantka sztabowa podeszła do samochodu od tamtej strony i nachyliła się do szyby.

– Co jest?

Marian wskazał palcem na górną część szarego plastiku deski rozdzielczej, między konsolą radia a kratką wlotową nawiewu znajdującą się przy drzwiach. Dostrzegła tam kleksa, z którego coś ściekło, zostawiając za sobą długi pionowy strumyk, kończący się owalną, nieco szerszą od niego plamką.

Dużo więcej ciemnych śladów krwi dostrzegła na zniszczonej kierownicy i desce rozdzielczej po stronie kierowcy.

– Myślisz, że to ofiary? – zainteresowała się.

– Niekoniecznie. Zabezpieczę tę próbkę do badania, wtedy wszystko będzie jasne. Ale, jak na moje oko, ta plama akurat nie wygląda jak krew ofiary.

– Dlaczego tak uważasz?

– Z tego co mówiłaś, kobieta zginęła na miejscu. Dlatego sporo śladów krwi znajduje się na kierownicy i zegarach, ale nie sięgają dalej niż za radio. Ponadto im dalej się znajdują od pionowej osi ofiary, tym bardziej rozpryskują się kolicie, a więc ścieki w początkowej fazie nie układają się grawitacyjnie, tylko po skosie. Jeśli owalne ślady krwi są po lewej od osi ciała, to ścieki uciekają na lewo, jeśli po prawej, to w prawo. Tymczasem tamta plama mogła powstać jako kontaktowa. Dajmy na to krew skapnęła na rękaw i pasażer przyłożył rękę do deski, odbijając przez przypadek krew na płaskiej powierzchni plastiku.

Skalska wzdrygnęła się na jego słowa.

– Pasażer? – dopytała.

– A co mi chcesz powiedzieć? Że ona jechała sama? – Chęciński uniósł brwi, a na jego czoło wypełzły poziome zmarszczki.

– Facet, który się pojawił na miejscu tragedii jako pierwszy i wezwał policję, mówił, że nikogo innego nie było w samochodzie.

– No ale to on widział ten wypadek na własne oczy, czy jak?

Skalska wyjaśniła mu, że Adam Czerwcow tylko usłyszał huk zgniatanych blach i pomimo szklanki i mgły ruszył na pomoc w kierunku, skąd dobiegł odgłos.

– Długo mu to zajęło?

– To było kilkaset metrów dalej. Biorąc pod uwagę śliską nawierzchnię, mógł tam dotrzeć po kilku minutach.

– To sporo czasu, żeby nawiać z auta.

Skalska spojrzała na dziurę po tylnej szybie, po czym wróciła na miejsce i raz jeszcze dokładnie przyjrzała się z bliska otworowi w klapie. Na krawędzi karoserii zauważyła niewielki brunatny skrzep.

Pociągnęła pokrywę bagażnika do góry, a resztę pracy wykonały za nią teleskopy.

Pierwsze, co zauważyła, to złamana półka tylna, unosząca się wraz z klapą. Marian wcześniej wymiół z niej śnieg, ale kiedy sznurki pociągnęły ją w górę, Skalka zobaczyła, że deska była pęknięta i jej dwie części łączył ze sobą tylko wierzchni materiał.

Zajrzała do niewielkiej przestrzeni bagażowej wyłożonej gumową podkładką, na której stał plastikowy koszyk z akcesoriami samochodowymi i plastikowym kanistrem na płyn do spryskiwaczy. Jej uwagę zwrócił też stary brązowy koc, złożony nierówno w kostkę.

Potem przyjrzała się samej klapie i w miejscu, gdzie na zewnątrz znajdowała się plama, po wewnętrznej stronie odkryła ślad. Szerszy i nieregularny. Z niego także spłynęła krew, ale tym razem dwoma strumykami.

Czekało ich sporo pracy.

– Marian, możesz tu przyjść? – poprosiła.

– Moment, już idę – odezwał się technik, po czym schował wymazówkę do probówki. Kiedy odłożył ją na bok, dźwignął się z fotela i wysiadł.

Szedł pochylony, jakby miał kłopoty z dyskopatią i ból uniemożliwiał mu wyprostowanie pleców.

– Co jest? – spytał.

Pokazała mu wnętrze klapy z zastygłą krwią.

– No proszę. Czyli miałem rację.

– O ile nikt z ekipy strażaków się nie skaleczył, to tak.

– Trzeba pogadać z krawężnikami – zauważył.

– Jak wrócimy do komendy, przyjrzę się papierom – zdecydowała, ale trudno było jej się oprzeć wrażeniu, że doświadczony technik miał rację.

Ktoś jechał z Małgorzatą Wójcicką samochodem i Skalska musiała ustalić, kto to był i dlaczego zniknął, zanim przyjechała pomoc.

Komisarz Bernard Gross zdążył zaparzyć herbatę i wypić kilka łyków, kiedy zajrzała do niego Wojtasik.

Już sama jej obecność przypomniła mu o tym, co wczoraj usłyszał, kiedy prawdopodobnie rozmawiała z którymś z komendantów. Miejskim albo wojewódzkim.

– Drugi raz nie było cię na porannej odprawie – bąknęła.

Gross celowo ominął to spotkanie.

– Byłem zajęty – oznajmił.

– Czym? Trupem staruszka z jeziora? – Kobieta ubrana po cywilnemu w granatową garsonkę i czarne botki na niewielkim obcasie zamknęła za sobą drzwi i zajęła miejsce przy stole. Położyła dłoń na blacie i uniosła brodę. Wbiła wzrok w regały wypełnione teczkami.

Gross niespiesznie upił herbaty, nie ruszając się ze swojego miejsca. Uznał, że skoro szefowa do niego przyszła i usiadła, musiała mieć ważny powód. Dlatego bez słowa czekał na dalszy rozwój wypadków.

– Chyba nie mam dla ciebie dobrych wieści – stwierdziła, nie patrząc w jego stronę.

Uznał, że nie da po sobie poznać, że się niepokoi. Jej wypowiedź stanowiła uwerturę do tego, czego dowiedział się z podsłuchanej rozmowy telefonicznej.

– Stary ma pewne plany co do jednostki w Brodnicy – kontynuowała Wojtasik. – Widzi tam konieczność wzmocnienia służby kryminalnej.

Gross sięgnął po ciepły kubek, który przyjemnie ogrzewał mu dłonie.

– Będzie chciał z tobą pogadać o dobrowolnym przeniesieniu.

Wiedział, że kłamała. Co innego mówiła wczoraj przez telefon.

– Dobrowolnym?

– Czy mówię niewyraźnie? Tak, dobrowolnym – powtórzyła nerwowo i w końcu odwróciła się w jego stronę.

Z napięcia na jej twarzy wywnioskował, że ta rozmowa musiała sporo ją kosztować, ale niczego nie zamierzał jej ułatwić.

– Powiedz mu, żeby nie marnował czasu – rzekł.

– Dobrze wiesz, że jeśli nie uda się dobrowolnie, może wydać rozkaz przeniesienia – postraszyła go.

Gross wziął kolejny łyk i odstawił kubek. Splótł dłonie na brzuchu.

– To mogłaś od razu mówić, że w tej sytuacji dobrowolność to eufemizm.

Prychnęła i gorzko się uśmiechnęła.

– Pomogłabym ci się tam dobrze ustawić.

– Byłbym ci bardzo wdzięczny – zaczął i zawiesił głos, po czym, kiedy tylko dostrzegł w jej oczach nadzieję, dodał: – gdybyś sobie odpuściła. Nigdzie się stąd nie ruszę. Ale za to przemyślę twoją wcześniejszą propozycję, i kto wie, może zdecyduję się zająć twoje miejsce. Długo wczoraj o tym myślałem – skłamał, ale czuł potrzebę odegrania się.

Wojtasik zrobiła wielkie oczy.

– Jak to? Przecież wyraźnie powiedziałeś, że to ci nie odpowiada.

– Wygląda na to, że masz niebywały dar przekonywania – stwierdził poważnie. – Czas przestać myśleć wyłącznie o sobie.

Komendantka skrzyżowała przedramiona.

– Komenda w Brodnicy ma problem z wykrywalnością przestępstw. Tam przydasz się bardziej.

– Nie sądzę. Wiem już nawet, co przydałoby się tu robić lepiej.

– Mam dla ciebie tylko ofertę dotyczącą Brodnicy. – Niemal weszła mu w słowo.

Gross odczekał chwilę.

– W takim razie nic dla mnie nie masz – skonstatował i wstał, dając jej sygnał, że rozmowa dobiegła końca.

– Pomyśl o tej Brodnicy. Razem możemy tam wiele zdziałać.

– Pomyślę o emeryturze, jeśli choć raz jeszcze wrócisz do tego tematu – ostrzegł.

– W sytuacji, kiedy Archiwum X podjęło śledztwo w sprawie twojej żony? Dobrze wiesz, że będzie dla ciebie lepiej, jeśli zostaniesz w strukturach.

– A czy to przywróci zdrowie mojej żonie? – spytał retorycznie i tym razem ona milczała.

– A zatem sama widzisz, że już nic mnie tu nie trzyma.

Wojtasik wstała i obciągnęła bluzkę.

– I tu się grubo mylisz. Ta praca – rozłożyła ramiona i omiotła wzrokiem gabinet – to wszystko, co masz. Tylko ona cię chroni przed samotnością. Oboje o tym dobrze wiemy.

Celne trafienie, pomyślał, ale wtedy przed oczami stanęła mu Malwina Lemańska, kobieta, która od jakiegoś czasu stawiała się dla niego wszystkim. Chociaż nie umiał jej ani o tym powiedzieć, ani tego okazać.

Poza tym wciąż nie wiedział, czy życie u jej boku, bez pracy, bez tego ciągłego patrzenia w twarze zabitych, bez odczuwania na sobie ich martwego wzroku, który każe mu kopać głęboko, aż do odkrycia prawdy o ich tragicznym losie, i bez wymierzenia sprawiedliwości mordercom, jest właśnie tym życiem, które pragnął wieść. Czy rzeczywiście umiałby zdać legitymację i zdjąć mundur? I czy gdyby się na to zdecydował, wciąż byłby tym samym człowiekiem?

– Muszę wracać do pracy – odparł, by mieć tę rozmowę za sobą, ale dopiero gdy jego słowa wybrzmiały, zdał sobie sprawę, że tym samym potwierdził tezę komendantki.

Popatrzyła na niego z triumfującym uśmiechem, po czym wyszła z gabinetu, mijając się w drzwiach ze Skalską.

Aspirantka sztabowa obrzuciła szefową spojrzeniem, a potem Gross poczuł, że i jemu się przyglądała przez dłuższą chwilę.

Gdy zostali sami, w końcu podniósł na nią wzrok.

– Pokłóciliście się? – Skałka ściągnęła brwi.

– Rozmawialiśmy, to wszystko.

– Aha – odparła, zajmując miejsce przy stole. – Podobno odchodzi. To prawda? – spytała.

Gross wzruszył ramionami, a wtedy Monika opowiedziała mu o wizycie Jojczyk i propozycji, którą złożyła jej szefowa prewencji.

– Do mnie dotarło, że masz zająć moje miejsce. – Gross potarł brodę, a Skałka wykrzywiła usta.

– Zwariowałaś? I myślisz, że co? Że przyszląbym tutaj i kazała ci się spakować i opuścić ten gabinet? A potem wydawałabym ci rozkazy? Tak to sobie wyobrażałaś? – Wyczuł w jej głosie nuty żalu.

Przypomniał sobie, że nie tak dawno wstawił się za nią u komendantki. Postawił na szali swój autorytet, a także etat, bo wiedział, że Skalska postąpiła słusznie. A potem, kiedy to jemu zapalił się grunt pod nogami, Skalka wspólnie z Judycką złożyły wnioski o zwolnienie ze służby, dając w ten sposób wyraz niebywalej z nim solidarności.

Dlatego był teraz zły na siebie, że przyjął głupią plotkę bez krztyny refleksji.

– Przepraszam. – Zawstydział się i maskując to palące uczucie, dopił herbatę. – Nie nadaje się do takich rozgrywek.

– Bawią się nimi tylko ci, którzy mają na to czas – zauważyła celnie Skalska. – Więc po prostu róbmy swoje.

Pokiwał głową i wtedy uśmiech rozjaśnił jej twarz.

Ale Gross pozostał skupiony.

Zaproponował jej coś ciepłego do picia, a ona się zgodziła. Chyba pierwszy raz. W międzyczasie opowiedział jej o rozmowie z lekarzem i o powracającej w każdym rozpytaniu świadków drugiej wojnie światowej. Nie zapomniał przywołać bohaterskiego czynu chłopca, który podkradał się do obozu internowanych.

– Minęły siedemdziesiąt trzy lata od zakończenia wojny, żyjemy już w innym świecie, a pamięć o Sądeckim jakby zatrzymała się w tamtym traumatycznym okresie – zauważył.

– I co z tego wynika?

– Nie wiem. Próbuję to zrozumieć, ale nie umiem znaleźć związku między tamtymi zdarzeniami a jego dziwną śmiercią. – Podał jej zdjęcia, które trzymał w szufladzie biurka. Zostawił mu je wnuk Sądeckiego.

Skalka przejrzała fotografie i podniosła na niego zaskoczone spojrzenie.

– Co to?

– Ekshumacja Żydówek pomordowanych w Grodnie.

– Jezu – szepnęła i przyjrzała się raz jeszcze starym zdjęciom. – Skąd to masz?

Gross opowiedział jej o tym, jak Wojciech Sądecki odnalazł je w piecu kaflowym dziadka.

– Staruszek chciał je spalić? – spytała Skalka.

– Na to wygląda.

– I to jest główny powód, dla którego łączysz jego śmierć z wojną?

Gross dodał, że konflikt między Sądeckim a Kowalem także zaczął się w okresie okupacji hitlerowskiej.

– Janusz Kowal też mi to potwierdził – przypomniała zaintrygowana.

– Mam wrażenie, że wojna zadała temu człowiekowi niedające się zasklepić rany – powiedział komisarz.

– Tego nie wiemy. Być może to tylko efekt demencji.

– To znaczy? – Zainteresowało go jej spojrzenie na sprawę, bo nie chciał wpaść w pułapkę myślenia tunelowego.

– Może jego mózg wyrzucił z pamięci współczesność i wydobył obrazy z przeszłości. Mógł je podkoloryzować.

Gross wydał wargi.

– Niewykluczone, że jest tak, jak mówisz – zgodził się. – A jednak wciąż mam wrażenie, że jego depresja, pogodzenie się z nieuchronnością śmierci, może łączyć się z tym, co trawiło go dawno temu.

– Co w takim razie zamierzasz?

– Zrobić to, co przegapiliśmy wczoraj.

– Czyli?

Gross wrócił do picia herbaty.

– Przed śmiercią Sądecki uregulował rachunek w zakładzie pogrzebowym. Zadał o wszystko. Także o wykupienie miejsca w kolumbarium. Rodzina nie musiała się niczym martwić.

– No i?

– Jego syn powiedział mi też, że ilekroć się spotykali, Sądecki głądził o garniturze pogrzebowym czekającym w szafie i ważnych dokumentach zgromadzonych w szufladzie. Takich na czarną godzinę.

– Moja babcia też tak robiła – przypomniała Skalska.

– Wiedziałaś, gdzie trzymała testament?

– Ilekroć ją odwiedzałam, pokazywała mi pękatą teczkę, w której wszystko gromadziła.

Gross oparł palec wskazujący na blacie biurka.

– No widzisz – powiedział. – A po testamencie Sądeckiego nie ma śladu.

ROK 1945, STYCZEŃ

Nie miał wątpliwości, że to ona.

Obserwował ją z głębi lasu pogrążonego w ciemnościach. Czarne pnie smukłych sosen pięły się ku nocy rozpiętej nad cichą wsią i pobliskim jeziorem.

Wiatr ucichł, a śnieg, jak płatki sadzy, wirował wolno. Mróz szczypał go w palce mimo grubych rękawiczek.

Pochodnia znajdowała się kilka metrów od niej, a blask ognia układał się miękko na jej wychudzonej twarzy i oświetlał płytki wykop z bruzdami poruszonej ziemi, jakby przeryły ją krety.

Gdy tak się jej przyglądał, gdy patrzył w jej duże oczy, czuł pod mostkiem coś dziwnego. Niby serce łupało mu mocno, ale jednocześnie miał wrażenie, że zastygł, że jego nogi zespoliły się z leśną ziemią.

Unosiła ramiona, kości obleczone skórą, a drobne palce czerwonych od mrozu dłoni zaciskały się na drewnianej rękojeści kilofa grubszej niż jej udo. Gdy opuszczała go w zamarznąłą ziemię, ostrze wbijało się z cichym łoskotem. Szarpała nim i powtarzała wszystko od nowa.

Nie była sama. Obok niej pracowało kilkadziesiąt kobiet. Zdawał się słyszeć jęki zmęczenia i wysiłku, chrząknięcia i kaszel. Suchy charkot dobywający się z zapadniętych klatek piersiowych, przypominający odgłosy dalekich wystrzałów rosyjskiej artylerii.

Od czasu do czasu wachmani krzyczeli i poganiali Żydówki. Ale teraz dwóch z nich stanęło kawalek dalej i rozmawiali ze sobą, paląc papierosy.

Chłopiec zrobił dwa kroki do przodu. Wciąż jeszcze był poza zasięgiem ognia. W końcu położył się w ośnieżonym runie i podczołgał blisko brzoź, które porastały skraj lasu. Czuł chłód zmarzniętej ziemi, jakby ta zionęła mrozem. Ale wiedział, że to tylko strach. Tatul zawsze mu powtarzał, że lęk oplata człowieka mackami lodowego potwora. I jest tylko jeden sposób na wyswobodzenie się z jego uścisku.

– Gorące serce, synku – mawiał tatul.

I chłopiec właśnie usłyszał ciepły głos ojca. Zabrzmiał w jego głowie wyraźnie i czysto.

– Serce, które płonie dobrem i miłością – dodał ojciec. – A ty, synku, masz dobre serce. Najlepsze i najgorętsze.

Chłopiec nabrał powietrza w płuca i złożył usta w dziubek. Po chwili wydobyło się z nich kilka krótkich piskliwych dźwięków w powtarzającej się sekwencji.

Lęk tlił się w nim ostatkiem sił.

To tatuś nauczył go naśladować sikorki i inne ptaki, które zimowały w tutejszych lasach. Robił to już przed wojną, kiedy chodzili na spacer po lesie.

Powtórzył wezwanie i wtedy ona drgnęła.

Nie dźwignęła kilofu, tylko znieruchomiła i nadstawiła uszu.

Tym razem postawił na inną sekwencję dźwięków, ale starał się to zrobić na tyle cicho, by wachmani, z przewieszonymi przez ramiona karabinami, nie usłyszeli trełu.

Przekreśliła lekko głowę w jego stronę, zmrużyła oczy, próbując wychwycić jakiś ruch w ciemności. Dlatego uniósł rękę i zamachał.

Czuł, że mimo mrozu jego koszula lepiała się do pleców.

Zaświergotał ponownie.

Któryś z wachmanów zaśmiał się głośno. Dziewczyna pochwyciła kilof i z trudem wyrwała jego ostrze z ziemi. Uniosła narzędzie i opuściła bezwładnie.

Zerknął na strażników.

Siwy dym od czasu do czasu unosił się i rozwiewał nad ich głowami. Chłopiec dostrzegł dwa czerwone ogniki, które tańczyły w ciemnościach. Najpierw podlatywały do ust hitlerowców i wtedy żar, spopielający tytoń, rozjaśniał je na chwilę. Potem, opadając, przygasały i kręciły się niemrawo.

Bał się, że bezlitośni strażnicy zaraz skończą przerwę i straci swoją szansę.

Ponownie nappełnił płuca mroźnym powietrzem, ale tym razem trele były jeszcze krótsze, chociaż intensywne i nieco głośniejsze.

Dziewczyna ponownie zerknęła ostrożnie w stronę lasu i wtedy ich wzrok się spotkał.

Sięgnął do kieszeni po sporą piętękę świeżego chleba i zamachnął się, żeby nią rzucić. Kiedy leciała nisko w jej stronę, jeden z wachmanów odwrócił się. Piętka spadła w górkę ziemi, tuż obok dziewczyny.

– *Du jüdisches Schwein!* – ryknął i ruszył w jej stronę. – *Warum stehst du, schmutzige Hure!? Umzug! Umzug!*

Chłopiec zatrwożył się, oczy chciały mu wyskoczyć z orbit. Powinien się ruszyć i uciekać, ale lodowy potwór przydusił go do ziemi. Powietrze uszło mu z płuc. Bał się wykonać najmniejszy ruch. Zastygł porażony. Zdołał tylko pochylić głowę i zamknąć oczy.

Kroki wachmana dudniły, jakby mężczyzna skakał w ciężkich butach tuż przy głowie chłopca. A może to jego własne serce tak nim szarpało.

Zdołał uchylić powiekę.

Młoda Żydówka dźwignęła kilof i opuściła go z powrotem. Ostrze wbiło się w zmarzniętą ziemię. Wachman dopadł do zmizerniałej dziewczyny, ale nie wszedł do wykopu. Pozostał na skraju dziury w ziemi. Dziewczyna ponownie uniosła ciężkie narzędzie i wtedy strażnik

dźgnął ją kijem między łopatki. Kilołof wypadł jej z rąk, a ona jęknęła cicho i bez sił oparła się o ścianę wykopu. Dłonie miała w górze, jakby zaparła się nimi o pryzmę świeżo rozkopanej ziemi.

Chłopiec widział ją wyraźnie, a czas jakby zwolnił. Twarz wachmana wykrzywiała wściekłość, drobinki śliny tryskały mu z ust wraz z kolejnymi wykrzykiwanymi przekleństwami. A ona miała półprzymknięte z bólu powieki, oczy uciekły jej do góry.

Ocknęła się po chwili, gdy wachman zamarł z uniesioną kolbą karabinu. Powstrzymał się jednak, gdy dostrzegł, że Żydówka się ruszyła.

Chłopiec podążył wzrokiem za jej dłonią. Drobne chude palce, niczym mały skorupiak, maszerowały do ukrytej przed wzrokiem strażnika pajdy chleba.

Uniosła drugą dłoń na znak, że się podniesie.

– *Umzug!* – ryknął wachman i zaraz zainteresował się drugą Żydówką, starą kobietą, która ze zmęczenia przysiadła na zmarzniętej ziemi. Gwałtownie, bez ostrzeżenia, uniósł kolbę karabinu i trafił ją w głowę.

Chłopiec słyszał chrupnięcie czaszki. Kobieta osunęła się bezwładnie, a oprawca wskoczył do wykopu i zadał jej jeszcze kilka ciosów. Kości chrupnęły ponownie, a potem już słyszał jedynie mlask rozgniatanej tkanki mózgowej.

Przełknął ślinę i z obrzydzeniem odwrócił wzrok.

Jego dziewczyna, Żydówka z pięknymi wielkimi oczami, szarpnęła kilołof i uniosła go wysoko.

W blasku pochodni dostrzegł, że jej szczęki się poruszają.

A potem spojrział na pryzmę ziemi, w której zatrzymała się pięćka chleba wypieczonego rano przez matkę.

Ale w czarnej ziemi nic nie leżało. Spadały na nią jedynie pojedyncze płatki śniegu.

Wachman wycierał końcówkę kolby o szmatę, którą owinęła się Żydówka.

Chłopiec ponownie dobył z siebie ptasie trele. Krótkie.

Dziewczyna zerknęła na niego, a wtedy on, otwierając szeroko usta, tak by mogła czytać z jego warg, wypowiedział jedno słowo:

– Wróć.

A potem się podniósł i ostrożnie wycofał w głąb ciemnego lasu.

DZIEŃ DRUGI, PÓŹNIEJ

Gross rzucił okiem na wyświetlacz telefonu komórkowego.

Wcześniej dwa razy próbował dodzwonić się do Zakładu Medycyny Sądowej w Bydgoszczy, ale Raszeja nie odbierała. Uznał, że jest zajęta, dlatego czekał, aż lekarka oddzwoni, co w końcu się stało.

– Cześć, Bernardzie – powiedziała. – Czyżbyś miał coś nowego w sprawie staruszka wyłowionego z jeziora?

– Nie – stwierdził, odsuwając się od biurka i okręcając na fotelu obrotowym w kierunku okna.

Śnieg przestał prószyć, a niemrawe promienie popołudniowego słońca liznęły wieżę kościoła Świętego Mikołaja, która wyrastała naprzeciwko okna jego gabinetu. Lubił patrzeć w stare cegły, niemych świadków historii, które przetrwały tyle lat. Nie miał wątpliwości, że przeżyją jego i kilka następnych pokoleń.

– W takim razie, o co chodzi?

Ulicą Kopernika przejechał srebrny dostawczak z reklamą fotowoltaiki. Światła hamowania błysnęły przy skrzyżowaniu ze Strzelecką, tam gdzie chcąc dojechać do Rynku, trzeba było odbić lekko w prawo.

– Przepraszam, jeśli moje pytanie wyda ci się niedorzeczne.

– Uuu, ciekawie się zaczyna – odparła, a Gross usłyszał w słuchawce zgrzyt zapalniczki. Po chwili kobieta najwyraźniej wydmuchała powietrze, bo coś zaszumiło w głośniku.

– Z kim bym nie porozmawiał o losie staruszka, każdy podkreśla, że zmagał się z demencją. I wygląda na to, że ona postępowała lawinowo.

– To nic nowego. Medycyna zna takie przypadki.

– Tak, wiem, ale interesuje mnie coś innego. Czy jesteś w stanie ją potwierdzić w trakcie sekcji?

Zaciągnęła się i milczała dłuższą chwilę, jakby zbierała myśli.

– Dobra, uporządkujmy – poprosiła. – W zasadzie twoje pytanie odnosi się do tego, czy możliwe jest stwierdzenie w trakcie sekcji zwłok, że zmarły cierpiał na demencję starczą. Konkretnie starczą. Bo rozumiem, że dokładnie ten rodzaj demencji, ze względu na wiek Sądeckiego, interesuje cię najbardziej, prawda?

Potwierdził.

– Dobrze – westchnęła. – I chodzi o to, co zobaczę, otwierając ciało zmarłego, tak?

– To miałem na myśli.

– W takim razie odpowiedź brzmi: raczej nie.

– Raczej?

– Spójrzmy na dwie rzeczy – kontynuowała Raszeja. – Pierwsza to zlecenie badań toksykologicznych. Wyniki oczywiście mogą nam dać odpowiedź na temat zawartości we krwi lub moczu substancji czynnych leków zażywanych przez pacjenta. Ale nie poznam ich w trakcie otwarcia zwłok, a rozumiem, że o to ci chodziło.

Znowu potwierdził.

– A zatem tu dotykamy drugiej kwestii – dodała medyczka sądowa. – Wygląd mózgu.

– Co masz na myśli?

– Mózg osoby starszej, na skutek postępującej atrofii, nie będzie ściśle wypełniał puszki mózgowej. A co za tym idzie, w wolnych przestrzeniach pojawi się więcej płynu mózgowo-rdzeniowego. Ponadto będzie można też zaobserwować ścieńczenie istoty korowej, która staje się węższa, niesprężysta, a przez to bardzo delikatna, z zauważalnymi drobnymi jamkami naczyniopochodnymi i poszerzonym układem komorowym.

Kiedy skończyła, Gross westchnął.

– Wiem, przesadziłam z terminami medycznymi – broniła się Raszeja – ale chodziło mi tylko o to, że taki obraz mózgu może tylko zasugerować, że pacjent cierpiał na demencję. To jest wyłącznie trop, który bez potwierdzenia w wynikach badań toksykologicznych może okazać się błędny.

Gross zamierzał już podziękować Raszei za pomoc, ale się powstrzymał. Zrozumiał, że jest jeszcze coś, o co chciałby ją zapytać.

– Możemy wrócić na chwilę do tej toksykologii? – poprosił.

– Oczywiście.

– Co zazwyczaj wychodzi w takich badaniach osób z demencją?

– Chodzi ci o to, którą z substancji czynnych leków stosowanych na otępienie znajdujemy?

– Tak.

– Donepezyl.

– Donepezyl – powtórzył jak echo, a potem wodził wzrokiem po oświetlonej promieniami słońca gotyckiej wieży świątyni, zapominając, że lekarka wciąż jest na linii.

– Bernardzie? – odezwała się Raszeja. – Czy mogę ci w coś jeszcze pomóc?

– Bardzo ci dziękuję.

– Nie ma za co – odparła, ale nie zakończyła połączenia. – A teraz ja mogę o coś zapytać?

– Pytaj.

– Dlaczego tak bardzo interesujesz się demencją tego starszego człowieka?

Gross wzruszył ramionami, a potem dodał:

– Nie wiem – odparł. – Nie jest wykluczone, że ten mężczyzna, a raczej chłopiec, bo wtedy był nastoletnim chłopcem, przeżył traumę w okresie drugiej wojny światowej.

– A co to ma do rzeczy? – zdziwiła się. – Jak to się ma do zwłok dryfujących na jeziorze i tego otępienia?

– Naprawdę nie wiem – powtórzył i ponownie zamilkł.

– Bernardzie?

Gross zawiesił wzrok na strzelistym oknie średniowiecznej wieży świątyni, a układ półcieni sprawił, że zdawało mu się, iż patrzy na swojego syna. Jedenastoletniego chłopca, uroczego urwisa z burzą niesfornych loków, którego zostawił przed furtką ich domu, kiedy rzucił się na pomoc żonie.

Zostawił dziecko.

Naraził je na niebezpieczeństwo.

Popęłnił największy grzech rodzica.

– On był wtedy dzieckiem – rzucił bezwiednie do słuchawki.

– Kto?

Gross ocknął się, ale balast w postaci jego dawnych przewin ciążył mu w żołądku i nie znikał w ślad za obrazem dziecka.

– Sądecki – wyjaśnił i natychmiast poczuł mrowienie wzdłuż kręgosłupa – dorastał w trakcie wojny.

– Nic z tego nie rozumiem – odezwała się Raszeja.

– Prawdę mówiąc, ja też.

A jednak rozumiał coraz więcej. Czy naprawdę angażował się w wyjaśnienie przyczyn śmierci staruszka tylko dlatego, że kiedy ten był nastolatkiem, przeżył traumę? Czy zajął się tym śledztwem, ponieważ jego syn Bartek, będąc jedenastoletnim chłopcem, też doświadczył tragedii?

Czy w taki właśnie sposób zamierzał odkupić swoje winy wobec niego?

Przeraziła go ta myśl, a dokładniej jej niedorzeczność.

– Na razie błędę, chodzę po omacku, jak we mgle – wyjaśnił Raszei, której spokojny oddech wciąż słyszał w słuchawce. – Niewiele mam. Tylko tę demencję i depresję. I tę cholerną drugą wojnę światową. A także niczym nieoparte nikłe przeświadczenie, że Sądecki nie odebrałby sobie życia w tak niespotykany i głupi sposób. Nie położyłby się na wodzie i nie czekał na śmierć z wychłodzenia. Nawet jeśli cierpiał na demencję.

Jego słowa zawisły gdzieś w przestrzeni.

Oboje się nie odzywali.

Chrząknięcie Raszei wyrwało Grossa ze skupienia.

– Bernardzie? – rzuciła kolejny raz medyczka sądowa.

– Tak?

Tym razem cisza nie zdążyła rozkwitnąć w słuchawce.

– Postaram się jutro przeprowadzić tę sekcję – zakończyła rozmowę lekarka.

Zanim Monika Skalska wsunęła dłonie w ocieplacz, podciągnęła zamek grubego czarnego polaru pod samą szyję.

Zmarznięty śnieg chrupał pod podszewkami jej glanów, ale przynajmniej wiatr zdołał już zlitować się nad mieszkańcami Chełmży, a wychodzące od czasu do czasu słońce rozjaśniało świat, nadając mu znośny wygląd.

Szła ulicą Hallera do Polnej, a potem przecięła jezdnię i uznała, że przejdzie się drogą gruntową, którą prawdopodobnie wybrała Małgorzata Wójcicka, kiedy postanowiła wykorzystać skrót do ulicy Buczek lub Chełmińskiego Przedmieścia.

Trasa nie była łatwa. Gruba warstwa śniegu utrudniała marsz, dodatkowo biała pokrywa razila ją w oczy, ilekroć zaświeciło słońce i Skalska żałowała, że nie wzięła ze sobą okularów przeciwsłonecznych.

Droga prowadziła wzdłuż starych ogrodów działkowych, najpierw po jednej, potem po drugiej stronie. Skalka przystanęła na chwilę przy mostku nad zamarzniętym kanałem, żeby odetchnąć. Rozejrzała się po sporej dolinie wyściełanej polami i parcelą działek po lewej.

Dochodziła trzynasta, a trasa, którą przeszła, była zupełnie pusta. Nie spotkała żadnego spacerowicza. Nie mogła też liczyć na działkowców, z wyjątkiem tych, którzy w niewielkich altankach żyli przez cały rok.

Siwa nitka dymu unosiła się z dwóch domków.

Poszła w ich stronę, wchodząc na ogrodzony teren działek.

W pierwszej zamieszkaney altanie drzwi otworzył jej starszy, zgarbiony mężczyzna z kilkudniowym zarostem. Wyczuła od niego alkohol. O nieotynkowaną ścianę z pustaków opierał się zdezelowany rower z doczepionym wózkiem na dwóch kołach, wyładowanym chrustem. Facet zarzekał się, że poprzedniego dnia nad ranem spał jak suseł i nie słyszał silnika samochodu przejeżdżającego w odległości kilku metrów od jego działki.

W drugiej altanie Skalska trafiła na tęgawą kobietę w średnim wieku.

Nie zdążyła nawet dojść do małej furtki, kiedy właścicielka domku wyszła na odśnieżony betonowy ganek, schowany pod przerdzewiałym metalowym dachem.

– Pani do mnie? – spytała, otulając się szczelniej kurtką.

Skalska skinęła głową, a kiedy podeszła bliżej, przedstawiła się i pokazała legitymację.

– Jaskólska. Jadwiga – odwzajemniła się kobieta. – Proszę, pani wejdzie.

Otworzyła drzwi i policjantka znalazła się w klaustrofobicznym wnętrzu z nisko zawieszonym sufitem. Było tu jednak czysto i schludnie. W niewielkim pokoju mieściły się złożona wersalka, kwadratowy stolik i kilka regałów, o które opierało się składane łóżko turystyczne. Do jednej ze ścian przymocowany był niewielki blat, służący za biurko, na którym funkcjonariuszka dostrzegła ułożone w stosy zeszyty i podręczniki. Obok w żeliwnej kozie, przy której niczym wartownicy stały dwa wiadra, jedno z węglem, drugie ze szczapami drewna, dogasał ogień.

Na mikroskopijnej kuchence w pobliżu drzwi do toalety gotowały się ziemniaki.

Kobieta podniosła metalowe krzesło stojące przy prowizorycznym biurku i ustawiła je naprzeciwko kanapy. Wskazała je Skalskiej, a sama wybrała miejsce na wyrobionej i nieco zapadniętej wersalce, która zgrzytnęła pod ciężarem ciała gospodyni.

Skalska dopiero teraz zauważyła, że kobiecie z nerwów trzęsą się ręce.

– Rozmawiałam z nim – bąknęła, a w jej oczach natychmiast wezbrały łzy. – Rozmawiałam, żeby tego nie robił. Prosiłam go... – zacięła się i przyłożyła pięść do ust. Jej okrągłą twarz wykrzywił grymas płaczu.

– O czym pani mówi? – Skalska ściągnęła brwi.

– O moim synu – z trudem wydobyła głos z zaciśniętej krtani. Dopiero po chwili spojrzała na policjantkę. – Pani przysła tu w jego sprawie, tak?

– Nie.

– Nie?

Skalska oparła się wygodnie.

– A o co chodzi? – spytała, wiedziona ciekawością.

Jaskólska obrzuciła aspirantkę nieufnym spojrzeniem. Walczyła ze sobą, czy powiedzieć prawdę. W końcu nabrała powietrza i opuszką otarła wilgotne powieki.

– Michaś to dobry chłopak, ale czasami... Ma pani dzieci?

Skalska zaprzeczyła ruchem głowy, a zawiedziona odpowiedzią kobieta kontynuowała.

– Czasami coś w niego wstępuje... To taki wiek, kiedy ważniejsi od matki są koledzy. To oni namówili go, żeby ukradł te cholerne batony. Miał się tym wkupić do ich paczki. I on to zrobił, ale któryś go podkablował. Wystawili go.

– Ile ma lat?

– Dwanaście. Przechodzi okres buntu. Poza tym wstydzi się przed kolegami, że tu mieszka, że jesteśmy biedni, że nie stać mnie na buty dla niego – wyliczała kobieta, gdy znowu zaczerwieniły jej się oczy. – Ale staram się, żeby zawsze... no, widzi pani, żeby był

oprany – załkała, wskazując na drugi koniec wersalki z kupą wypranych ciuchów, i mówiła dalej. – I żeby nie chodził głodny.

– Oddał te batony?

– Tak.

– No to w czym problem?

– Obawiam się, że to mu się spodobało.

– Ukradł coś więcej?

Kobieta z trudem dźwignęła się z wersalki i podeszła do biurka. Podniosła lampkę i przesunęła ręką po jej podstawie. Po chwili odwróciła się do Skalskiej. Wyciągnęła dłoń, w której trzymała złożony na pół banknot stużłotowy.

– A to, to niby skąd ma? – spytała nerwowo.

– Mógł otrzymać od kogoś z rodziny?

Jaskólska odwróciła się i odłożyła pieniądze na miejsce, po czym wróciła na wersalkę.

– Nie! – odezwała się kategorycznie i pokiwała palcem wskazującym. – My tu nikogo nie mamy. Żyjemy sami.

– Ale może ktoś wie, że przyda wam się każdy grosz? Może syn miał sobie coś za to kupić. Albo odkładał na prezent dla pani na Gwiazdkę?

– Dla mnie? Ale skąd by je wziął? Od kogo?

– Więc co pani myśli? Że je ukradł?

– A co innego? – warknęła.

– Może znalazł.

– Bzdura. Kto by sto złotych zgubił? Gdzie? Dlatego mówię, musiał ukraść.

Skalska przyjrzała się Jadwidze Jaskólskiej. Kobieta miała zmęczoną twarz, sine półksiężycy pod oczami i spracowane dłonie.

– Rozmawiała pani z synem?

Pokręciła głową.

– Zupełnie nie wiem, co mam robić, czuję się bezradna. Od czasu tych batonów zarzeka się, że nie kradnie, ale te ukryte pieniądze... No niech pani sama powie. – Znowu zebrало jej się na płacz. – Boję się, że on coś przeskrobał i spotka go za to zasłużona kara.

Skalskiej zrobiło się kobiety żal.

– Niech z nim pani porozmawia. Może wszystko się wyjaśni – stwierdziła. W tej chwili coś zaszurało na zewnątrz.

Jaskólska zdążyła szybko otrzeć łzy, zanim drzwi się otworzyły i wypełnił je wysoki jak na swój wiek nastolatek z burzą włosów na głowie.

Zaskoczony widokiem obcej kobiety stanął jak zamurowany.

– No włącz, bo zimno leci! – skarciła go matka, ale nic to nie dało. – Włącz, do cholery. Pani z policji przyszła, co się tak gapisz?

Chłopak zrobił wielkie oczy. Plecak zsunął mu się z ramienia na beton i zanim obie zdążyły się zorientować, zerwał się do biegu.

– Stój! – krzyknęła matka, ale nie posłuchał.

Gross złączył dłonie i obserwował Lecha Sądeckiego, który siedział przed nim przy kuchennym stole, na tym samym krześle co ostatnio. Odwrócony w stronę okna, mężczyzna trzymał telefon komórkowy przy uchu. Półotwarte oczy pozbawione blasku i otoczone zwiotczałą, ciężącą skórą, wpatrywały się w ośnieżoną drogę wzdłuż domu, z wyjeżdżonymi koleinami w grubej warstwie pokrywy śnieżnej.

W pewnej chwili drgnął.

– Wojtuś? – Lech Sądecki spojrzał na policjanta. – No słuchaj, bo jest u mnie ten policjant i pyta o testament ojca, dziadka twojego. Dziadek ci go dał? Bo podobno w domu nigdzie go nie było.

Gross czekał na wiadomości.

Postanowił odwiedzić syna denata, żeby ustalić, co stało się z dokumentem. Zadzwoił do niego i umówił się na konkretną godzinę, po czym zabrał się radiowozem odjeżdżającym w kierunku północnych wsi obejmujących teren gminy Chełmża. Wysiadł przy ulicy Buczek i resztę drogi pokonał piechotą.

Kiedy zmierzał w kierunku domu Lecha Sądeckiego, miał wrażenie, że w opustoszałej dolinie widział Skalską.

Ale może się mylił.

– Mówi, że nie ma. – Sądecki zwrócił się do Grossa, ale cały czas trzymał telefon przy uchu. – Dziadek nic mu nie dał.

– Ma pan samochód? – spytał komisarz.

– Mam.

– To podjedźmy do domu pana ojca i sprawdźmy to – zaproponował. – Tylko zabierzcie klucze.

Mężczyzna skinął głową.

– Wojtuś, pan komisarz chce, żebyśmy tam się umówili... No w domu dziadka, a gdzie? Tak. Tylko klucze weź. No dobra. Zaraz się ruszymy. Jeśli mi samochód zapali, bo te mrozy cholerne... Tak, dam znać, jak już będziemy jechać. A może cię odebrać spod bloku? Aha, dobra – powiedział i się rozłączył.

Gross wstał, ale Lech Sądecki nie ruszył się z miejsca. Wyraźnie się skrzywił.

– Dlaczego to takie ważne? – Uniósł brodę i ich spojrzenia się spotkały.

– Czy pana ojciec mówił, komu zapisze swój dom?

– Nie. Ale jakie to ma znaczenie? Przecież nawet gdyby testament się zawieruszył, to dziedziczą ja, prawda?

– Jeśli pana ojciec nie zdecydował inaczej.

– To znaczy niby jak?

Gross zastanawiał się nad tym, czy zapisy w testamencie, skoro dokument zniknął, mogły stanowić motyw doprowadzenia do śmierci Stanisława Sądeckiego. Wciąż nie wiedział, czy doszło do zabójstwa, bo nic na to nie wskazywało. W tym wypadku musiał czekać na wyniki autopsji. Ale powinien poważnie to rozważyć, najlepiej wykluczając taką ewentualność. Dopiero wtedy mógł posunąć się dalej w sprawie śmierci staruszka. Chociaż cały czas czuł się tak, jakby kroczył drogą we mgle pośrodku lasu.

– Trzeba odnaleźć jego ostatnią wolę – powiedział.

Mężczyzna zebrał okruchy ze stołu i starł je na przystawioną do blatu dłoń.

– Pan sądzi, że co? Że nas pominął?

Gross wyczuł w tej wypowiedzi oburzenie.

– Moje sądy nie mają tu nic do rzeczy – odparł twardo. – I lepiej już jedźmy. Szkoda czasu.

– Nie podoba mi się to – obruszył się Lech Sądecki.

– Co takiego?

– Pana insynuacje.

– Przecież niczego nie insynuuję.

– A właśnie że tak! To właśnie pan robi. – Uderzył otwartą dłonią w blat, aż zabrzęczała przykrywka na porcelanowej cukiernicy.

Kiedy dźwięk wybrzmiał, Gross odchrząknął.

– Zupełnie nie wiem, dlaczego pan się denerwuje. Zależy mi tylko na sprawdzeniu tego dokumentu.

– Naprawdę? – Mężczyzna wstał, podpierając się o blat. – A może nas pan podejrzewa? Mnie lub syna?

– Ale o co?

– O śmierć mojego staruszka.

– Gdybym tak myślał, nie pozwoliłbym się wam zbliżyć do tego domu. A tymczasem chcę z wami rozwiązać tę zagadkę – odparł. – Ale widzę, że się pomyliłem. Proszę odwołać syna – polecił. – Sam się wszystkim zajmę.

Ruszył do drzwi.

– Panie komisarzu – odezwał się łagodniejszym tonem Lech Sądecki. – Przepraszam.

Siąknął nosem i zamrugął szybko powiekami.

– Mój staruszek... – zaczął i podjął walkę z nagłym wzruszeniem, ale Gross nie pozwolił mu dokończyć.

– Jedźmy już – stwierdził policjant i starszy mężczyzna ochoczo pokiwał głową.

Pod dom w pobliżu jeziora w Bielczynach podjechali po kilku minutach.

Wojciech Sądecki palił papierosa nad brzegiem i odwrócił się do nich, kiedy jego ojciec zaciągnął ręczny w leciwym volvo.

Młodszy z Sądeckich rzucił peta w sitowie i podszedł do samochodu. Wymienił z Grossem uścisk dłoni i od razu ruszył do drzwi domu. Wyciągnąwszy klucze z kieszeni, odwrócił się do policjanta, który szedł za nim.

– Plomby można zerwać? – spytał, wskazując na przyklejone do drzwi kartki, schowane w koszulkach formularze z czerwonymi odbitkami pieczętek Komendy Miejskiej Policji w Toruniu, której użyli technicy.

Gross skinął głową.

Kiedy młody Sądecki uporał się z zamkami, weszli do korytarza zimnego domu.

– Czy, jak skończymy, będę mógł zabezpieczyć rury i kibel przed mrozem? – spytał młodszy z mężczyzn.

– Jasne – odezwał się Gross. – Ale najpierw zajmijmy się tym, co najważniejsze. Gdzie pana dziadek trzymał rzeczy zgromadzone na wypadek pogrzebu?

– W sypialni – odparł Wojciech.

Otworzył drugie drzwi, tuż obok tych do łazienki, i wszedł do wnętrza.

Gross podążył za nim, ale odwrócił się, żeby zlokalizować Lecha Sądeckiego. W korytarzu mężczyzny nie było, więc musiał schować się w kuchni, skąd dobiegały odgłosy otwierania i zamykania szafek i szuflad.

– Proszę pana? – zawołał Wojciech Sądecki.

Komisarz wszedł do sypialni. Wnuk zmarłego właściciela domu stał przy otwartej szafie, w której wisiało kilka koszul i par spodni. Po prawej, z dala od innych ubrań wisiał samotnie czarny garnitur i biała koszula. Lśniące czarne półbuty, ustawione równo, znajdowały się poniżej.

Obok butów stał niebieski karton.

– Tutaj – wskazał Wojciech.

Gross pamiętał, że poprzedniego dnia rano zawartość pudełka przeglądała Skalka, ale nie znalazła w nim ostatniej woli zmarłego.

– Niech pan to położy na łóżku. Obejrzymy razem – powiedział policjant.

Mężczyzna nachylił się do szafy, podczas gdy z kuchni wciąż dobiegał rumor.

– Co ty tam robisz, ojciec? – warknął Wojciech Sądecki i odstawił pudło we wskazanym przez Grossa miejscu. – Przepraszam na moment – rzucił i wyszedł na korytarz.

Policjant powiódł za nim wzrokiem.

– Pogrzało cię? Co ty odwalasz? – usłyszał przyciszony głos młodszego z mężczyzn.

Jeszcze cichszej odpowiedzi komisarz nie był w stanie usłyszeć.

– Kibel byś z wody opróżnił, bo pęknie – dodał młody, ale wrócił szybko do Grossa i zatrzymał się w progu.

– O cholera – rzucił.

Komisarz uniósł brwi.

– Że też wcześniej tego nie zauważyłem.

– Czego?

– Nie ma koca.

– Jakiego koca?

– Brązowego takiego. Dziadek zawsze przykrywał nim pościel.

Policjant rozejrzał się po sypialni, przeszedł na drugą stronę łóżka, ale tam także nie widział pledu.

– Może gdzieś go wyniósł? – zapytał.

– Nie sądzę. Po co miałby to robić?

– Skoro nie palił w piecu, mogło mu być zimno. Może się nim okrywał.

Wojciech Sądecki przeszedł do pokoju dziennego, a komisarz pozostał na miejscu. Nie pamiętał, by w salonie leżał jakikolwiek koc.

Wnuk właściciela domu wrócił po chwili i wzruszył ramionami.

– Nie ma.

– A może jest pod łóżkiem? – Gross wskazał na posłanie.

Młody mężczyzna podszedł i uniósł materac, odsłaniając wnękę wypełnioną poszewkami, prześcieradłami, kołdrami i poduszkami.

– Jak ten koc wyglądał?

– Normalnie. Brązowy był.

Gross pamiętał, że o podobnym pledzie mówiła mu Skalska, która przyjrzała się zawartości bagażnika toyoty yaris, należącej do Małgorzaty Wójcickiej.

– Ojciec! Chodź tu na moment! – krzyknął Wojciech.

Po chwili starszy mężczyzna zajrzał do pokoju.

– Koca nie ma.

- Jakiego koca? – Lech Sądecki wzruszył ramionami.
 - Tego, co tu zawsze leżał. – Wojciech z irytacją wskazał na łóżko.
 - Przecież go nie zabrałem – bąknął jego ojciec i wyszedł z sypialni.
- Jego syn pokręcił z niedowierzaniem głową i oparł ręce na biodrach.
- Zajmijmy się dokumentami – zaproponował Gross.
 - Niech pan je przejrzy, bo mnie zaraz szlag trafi.

Brakowało jej tchu.

Biegła ile sił w nogach, ale glany nie nadawały się do sprintu po śniegu.

Kątem oka dostrzegła, że zwinny chłopak przeskakiwał przez niskie ogrodzenia rozdzielające działki i gnał w kierunku głównej drogi prowadzącej do bramy, tej samej, którą weszła na teren ogródków. Dlatego uznała, że jeśli przeskoczy przez wysoki płot otaczający wszystkie działki, skróci sobie drogę do furtki i wykorzysta element zaskoczenia.

Dopadła do siatki. Zwinnym ruchem przerzuciła ciało na drugą stronę i zamortyzowała zeskok. A potem, ślizgając się nieco na nierównościach, dobiegła do bramy.

Ale chłopaka tu nie było.

Rozejrzała się.

Serce waliło.

Postanowiła wrócić na teren działek.

Omiotła wzrokiem najbliższe altany i wyteżyła wzrok, wypatrując miejsc, gdzie padał cień.

Dostrzegła go za jednym z domków, skąd chłopak obserwował główną drogę, spodziewając się, że zaraz ją tam zobaczy.

Skalka wiedziała, że za chwilę, zdezorientowany tym, że jej nie widzi, spróbuje się rozejrzeć. Dlatego musiała zniknąć z jego pola widzenia. Przeszła przez niskie ogrodzenie działki przylegającej do wejścia na teren ogródków i spokojnie dotarła do drewnianej altany. Powoli zbliżyła się do narożnika i wyjrzała zza niego.

Chłopiec oddychał nerwowo, ale w końcu odkleił się od ściany domku na sąsiedniej działce i zaczął się wycofywać.

Szedł tyłem prosto w jej stronę. Zrozumiała, że jednak będzie próbował czmychnąć przez główną bramę.

Pomyślała, że odwróci jego uwagę i dopiero wtedy odetnie mu drogę ucieczki. Rozejrzała się. Przy rurze spustowej odchodzącej od rynny leżała obtłuczona cegłówka. Skalska schyliła się, ale materiał przymarzył do betonowej opaski otaczającej niewielki domek.

– Michał! – dobiegł do niej głos kobiety.

Skalka wychyliła się i zerknęła w kierunku głównej drogi. Pulchna kobieta stała z kurtką narzuconą na ramiona. – Michaś, nie wygłupiaj się. Ta pani nic ci nie zrobi.

Skalska obserwowała chłopaka. Zbliżał się do ogrodzenia.

Bała się, że w końcu się odwróci i ponownie spróbuje jej uciec. Dlatego uznała, że nie ma wyjścia.

Cofnęła się i przylgnęła do ściany.

Próbowała uspokoić oddech.

– Michał, no! Chodź tutaj. Ona chyba już poszła – wołała matka chłopca. – Obiadek zrobiłam taki, jak lubisz, ziemniaczki zaraz będą gotowe.

Skalska ponownie wychyliła się zza narożnika.

Nastolatek powoli przeszedł przez płot. Od policjantki dzieliło go nie więcej niż kilka metrów.

Skalska wyszła z kryjówki i czekała, aż chłopak niemal wpadnie w jej ręce.

– Stój! – krzyknęła, gdy był dwa metry od niej. Nim zaskoczony zdążył się odwrócić, już przy nim była i chwyciła go mocno za rękę.

Próbował się wyrwać, ale skutecznie mu to uniemożliwiła.

– Spokój – warknęła. – Przecież nic ci nie zrobię. Nie przyszłam tu po ciebie.

– Nie? – Zrobił wielkie oczy.

– Mam ważniejsze sprawy na głowie, niż ściganie cię za batoniki – uśmiechnęła się i mrugnęła do niego.

Odwzajemnił uśmiech.

Wciąż byli poza zasięgiem wzroku matki, ale mimo to Skalka położyła palec na ustach i dała mu znak, by poszedł za nią. Zrobił to.

Kiedy się schowali za altanę, poczęstowała chłopca gumą i oboje zaczęli żuć.

– Słyszałam, że cię do tego zmusili. To prawda?

Michał pokiwał energicznie głową.

– Powiedz im jutro, że trafiłeś na komisariat i że przesłuchiwała cię aspirantka sztabowa Monika Skalska. Zapamiętasz?

– Tak. Ale po co mam im to mówić? – zapytał.

– Powiesz im to, a potem dodasz, że pytałam cię o nazwiska kolegów, a ty nie puściłeś pary z ust.

– Przecież mi nie uwierzą.

– Uwierzą, tylko żeby to zadziałało, musisz im powiedzieć coś jeszcze.

– Co takiego? – zainteresował się.

– Rada za szczerłość. Okej?

Chłopak spuścił wzrok, przeczuwając, że będą kłopoty.

– Michaś! No chodź już, bo obiad zaraz będzie gotowy. – Głos matki stał się wyraźniejszy, Musiała być tu gdzieś obok. – Ta babka już sobie poszła, mówię ci. Chodź na obiad!

Skalska odczekała, aż kroki ucichły.

– Gówniarz jeden – mruknęła cicho kobieta. Prawdopodobnie zawróciła już do domku, ale mimo to policjantka ściszyła głos.

– Więc jak? Mam mówić dalej?

Odpowiedział jej skinieniem głowy.

– Ale mam dwa warunki. Po pierwsze, to był twój ostatni wybryk z kradzieżą – stwierdziła.

Michał, ociągając się, znowu wykonał podobny gest.

– To nie wszystko. Musisz mi jeszcze powiedzieć, skąd masz tę stówę, która leży pod lampą.

– Matka ją widziała? – Przestraszył się.

Skalska przymknęła na chwilę powieki, i to musiało mu wystarczyć za odpowiedź.

– Ja pierdzielę – jęknął. – Czyli wszystko mi zabierze. Ale ja tej kasy nie ukradłem, przysięgam.

– Wierzę ci – popatrzyła mu w oczy. – Na co zbierasz?

– Na bluzę *Stranger Things*.

Skalska kiedyś nawet zaczęła oglądać ten serial na Netflixie, bo akcja osadzona była w czasach jej dzieciństwa. Co prawda wszystko się działo w kolorowych Stanach Zjednoczonych, a nie szarej Polsce u progu gwałtownych przemian, ale mimo to czuła więź z młodymi bohaterami.

– Widziałeś ten serial? – spytała i wypuściła balon.

– Nie. Nie mamy telewizora.

– I dobrze, bo telewizja ogłupia – stwierdziła, ale nie pocieszyła tym chłopaka i od razu zdała sobie sprawę, że lepiej było trzymać język za zębami. – Dobra. To skąd masz tę stówę?

Przygryzł wargę, jakby się zastanawiał nad tym, czy prawda mu się opłaci.

– Muszę mówić?

– Musisz, inaczej twoja matka nie przestanie się martwić, że kradniesz.

– Nie ukradłem tych pieniędzy!

– Więc musisz powiedzieć, skąd je masz. To proste.

– A jeśli cała ta pani rada to będzie jakaś lipa?

– Czy ja wyglądam na policjantkę, która daje lipne rady?

– No, nie wiem... Chyba nie.

– Więc? Skąd masz kasę?

Michał udeptał górkę śniegu.

– Zarobiłem.

– Gdzie?

– W Buczku – wskazał głową na znajdujące się kawałek drogi stąd wzniesienie, gdzie wyrastały domy.

– Ale gdzie konkretnie?

– Drugi dom po lewej, jak się zaczyna asfaltówka.

– Za co dostałeś tyle pieniędzy?

– Śnieg odgarniałem.

– Kiedy?

– Cały zeszły tydzień, co rano.

– To dlaczego nie powiedziałaś o tym matce?

– Bo obawiałem się, że mi zabierze te pieniądze. Zawsze ich potrzebuje. Zawsze mamy za mało kasy. Zawsze!

Skalska uznała, że powinni już wrócić do domu, żeby Jaskólska się nie denerwowała.

Poprosiła chłopca, żeby wyszli na główną drogę.

– No więc, co mam im powiedzieć? – spytał, nawiązując do obietnicy Skalskiej.

– Jeśli powiesz im, że byłeś na policji i nie wykablowałeś, kto cię zmusił do kradzieży batonów... – przypomniała założenia, ale chłopiec natychmiast jej przerwał.

– Ale oni w to nie uwierzą – jęknął.

– Uwierzą. Bo wtedy im powiesz, że gdyby było inaczej, policja już dawno odwiedziłaby ich w domach.

Chłopak najpierw ściągnął brwi, ale po chwili jego twarz pojaśniała.

– Ej. To ma sens – uśmiechnął się.

Dotarli do altany w chwili, gdy Jaskólska odcedzała kartofle, a na patelni skwierczał tłuszcz, pryskając spod złocistych filetów z kurczaka. Zapach mięsa był zawieszony.

Kobieta bez słowa nałożyła porcję dla syna, który zdążył zdjąć kurtkę i umyć ręce, po czym zabrał talerz i zaniósł na swoje biurko.

Skalska obserwowała go przez chwilę. Dyskretnie przechylił lampę, żeby zerknąć, czy banknot wciąż jest na swoim miejscu. Być może zastanawiał się, gdzie powinien schować swój zarobek, żeby go nie stracić.

– Dlaczego uciekłeś? – warknęła matka, wycierając ręce w kuchenny fartuch, ale Skalska mrugnęła do niej i dała ręką znak, by odpuściła chłopakowi.

– Będę się zbierała – powiedziała policjantka. – Ale mam jeszcze jedną sprawę, z którą tu przyszedłam.

– No właśnie – odezwała się Jaskólska i zmęczona usiadła na zapadniętej wersalce, która odezwała się trzeszczeniem drewnianej konstrukcji. Założyła nogę na nogę i poprawiła włosy. – Niech pani mówi, bo zeszyliśmy na inne tematy.

– Niewykluczone, że wczoraj rano – zaczęła Skalska – przejeżdżał tuż za płotem samochód.

Jaskólska wpatrywała się uważnie w aspirantkę, a chłopak pałaszował obiad.

– To musiało być około wpół do szóstej. Albo kilka minut później. Chodzi o srebrne auto japońskiej marki.

– Ja to długo spałam. W nocy nie mogę, to odsypiam w dzień i twardo śpię – przyznała kobieta, po czym spojrzała na chłopaka. – A ty, coś widziałeś?

Chłopiec w odpowiedzi pokręcił głową.

– Gdybyście jednak coś sobie przypomnieli, to będę wdzięczna za sygnał. – Skalska podała kobiecie swoją wizytówkę.

– A stało się coś? – zainteresowała się kobieta, wpatrując się w kartonik z nadrukiem danych policjantki.

– Tak. Doszło do śmiertelnego wypadku – odparła.

– Gdzie?

– W Bielczynach – odparła i wtedy rozległ się brzęk noża, który upadł na podłogę.

Michał Jaskólski schylił się po niego i bez słowa wrócił do jedzenia.

W kartonie nie było testamentu.

Sprawdzili go dokładnie, pozagląдали także do innych szafek, wertując pozostałe szpargały. Bezskutecznie.

W końcu Gross uznał, że starczy tego chodzenia po zimnym domu.

Lech Sądecki wyniósł do samochodu dwie pękate reklamówki jedzenia, twierdząc, że nie chce, żeby się zmarnowało, a Gross, dając czas młodszemu z mężczyzn na zabezpieczenie rur i sedesu przed mrozem, przeszedł się nad brzeg jeziora.

Przedzwonił do Skalskiej, ale ponieważ ta nie odbierała, wybrał numer do Mariana Chęcińskiego i powiedział mu, czego potrzebuje.

– Zdjęcie koca? – odezwał się technik. – Tego z samochodu Wójcickiej?

– Tak.

– Mam ci wysłać mailem czy ememesem?

– Najlepiej i tak, i tak.

– Zrobi się. Wracamy z Jarkiem ze zdarzenia. Będę pamiętał – obiecał technik.

– Dziękuję.

– Podziękujesz, jak dostaniesz. Z moją pamięcią ostatnio jest krucho.

– Tym razem się postaraj – poprosił Gross i się rozłączył. Ale nie schował aparatu.

Spokojna woda odbijała obraz błękitnego nieba i nielicznych chmur. W oddali widział sanktuarium Błogosławionej Juty znajdujące się na niewielkim wzniesieniu, a po lewej dwa strzeliste wiatraki, których śmigła zastygły w bezruchu.

Połączył się z Alicją Figurską, właścicielką domu pogrzebowego w Chełmży. Kiedy odebrała, wymienili uprzejmości, a potem komisarz od razu przeszedł do rzeczy.

– Czy kiedy Stanisław Sądecki przychodził do pani, wspominał kiedykolwiek o testamencie?

Figurska musiała zebrać myśli.

– Raz czy drugi rzeczywiście coś mówił – przypomniała sobie.

– Co konkretnie?

– Martwił się – zaczęła i zawiesiła głos. – Tak przynajmniej mi się wydawało.

– Martwił? O co?

– Z tego, co zrozumiałam, mówił, że jego syn miał swój dom gdzieś w Chełmży i nie zamierzał na stare lata wracać na wieś. A wnuk z kolei myślał o wyjeździe za granicę. I dlatego pan Staszek martwił się, że ten samotny dom nad jeziorem będzie niszczał.

– W pobliżu mieszkał jego sąsiad, Kowal.

– No właśnie, i to go też martwiło.

– W jakim sensie?

– Twierdził, że jego sąsiad, ten młodszy, w wieku wnuka, wielokrotnie chciał odkupić dom od pana Staszka. Marzył, że go sobie wyremontuje i rozbuduje.

– Ale Sądecki chyba nie zamierzał go sprzedać, prawda?

– On nie. Jednak podobno jego wnuk brał to pod uwagę. Pan Staszek twierdził, że Wojtek był nawet ugadany z tamtym sąsiadem.

Gross myślał intensywnie.

– Czy w takim razie próbował odwieść wnuka od tego zamiaru?

– Tego nie wiem, ale powiedział coś, co mnie wtedy zaskoczyło.

– Co takiego?

– Że musi zabezpieczyć ten dom.

– Co miał na myśli?

– Trudno powiedzieć.

Komisarz słyszał chlupot drobnych fal głaszczących brzeg i przyglądał się sitowiu. Usłyszał zgrzyt zamków i odwrócił się w stronę domu.

Przy drzwiach dostrzegł Wojciecha Sądeckiego.

– Według jego najbliższych często opowiadał, że testament czeka w szafie, tam gdzie ciuchy do pogrzebu – zauważył Gross.

– Tak. Mnie też to mówił, ale chyba zmienił zdanie.

– Skąd pani wie?

– Nie wiem. Domyślałam się tylko, bo kiedy zapłacił mi za pogrzeb, chciał tu także zostawić swoją ostatnią wolę, ale poradziłam mu, by poszedł z tym do notariusza.

– Zrobił to?

– Tego dnia, kiedy był u mnie, skarżył się na mętlik w głowie. Zamówiłam mu i opłaciłam taksówkę do Bielczyn, więc nie sądzę, żeby miał wtedy ochotę na bieganie po prawnikach.

Skalska wróciła do komisariatu zmęczona. Zaparzyła sobie kawę i rozsiadła się wygodnie przy biurku.

– Jak poszło? – spytała Judycka, klepiąc głośno w klawiaturę i wpatrując się w ekran komputera.

– Zaliczyłam spacer do Buczka i z powrotem.

– Fajne tereny, nie? Takie pagórkowate.

Miała rację. Ziemia falowała jak zatrzymane w kadrze morze podczas sztormu. Wąska droga asfaltowa wiła się między dolinami i pagórkami, obłożonymi świeżą warstwą białego puchu, który skrzył się w słońcu.

Skalska po wizycie u Jaskólskiej przeszła się ulicą Buczek w kierunku Bielczyn. Chciała sprawdzić ten drugi dom po lewej, okazały i nowoczesny, o którym mówił chłopak. Kostka brukowa przy garażu i chodnik przed wejściem, a także mały plac przed furtką były odśnieżone. Tuż za ogrodzeniem stała niewielka reklama, ale śnieg przykleił się do niej i zasłonił treść.

Skalska zadzwoniła domofonem, ale widocznie nikogo nie było w domu.

– Teren rzeczywiście fajny, ale żaden z mieszkańców nie kojarzył samochodu przejeżdżającego tuż pod ich domami. – Zostawiła wspomnienie i wróciła do rozmowy.

– Trudno się dziwić – stwierdziła Judyta.

– Wygląda na to, że zmarnowałam sporo czasu.

– Podobno nigdy nie marnujemy czasu, tylko zbieramy doświadczenie – uśmiechnęła się Judycka.

– W sumie masz rację – przytaknęła Skalska i opowiedziała jej o kobiecie mieszkającej z synem w trudnych warunkach na działkach.

– Żyją tam przy tych mrozach?

– Na to wygląda.

– Rany boskie. I radzą sobie jakoś? Może warto byłoby jej pomóc.

Skalska przez cały okres służby uważała, żeby nie angażować się emocjonalnie w życie osób, z którymi zetknęła się w pracy w policji. Chociaż oczywiście czasami dokładała się do rzutek na ciężko chore dzieci policjantów, rehabilitację funkcjonariuszy, którzy ucierpieli w pracy. Sporadycznie dorzucała się też na fundusz dla wdów policjantów, którzy zginęli na służbie. Nigdy jednak nie angażowała się w pomoc obcej osobie. Z drugiej strony Jaskólska urzekła ją swoją postawą. Syn nie chodził głodny, w altanie było ciepło. Wyprane ciuchy czekały na prasowanie. Wnętrze domku było schludne i wysprzątane.

– Niby pieniądze szczęścia nie dają, ale jak być szczęśliwym bez kasy? – Judycka nie oczekiwała odpowiedzi na swoje pytanie, ale Skalskiej coś przyszło do głowy.

Sprawdziła rewiry dzielnicowych i sięgnęła po słuchawkę stacjonarnego, żeby zadzwonić do młodszego aspiranta Juliusza Borowca, który w wykazie ulic miał Polną, a więc także pobliskie ogrody działkowe. Przed zimą dzielnicowi udawali się na działki, żeby sprawdzić, jak radzą sobie mieszkający tam ludzie. Borowiec odebrał po kilku sygnałach i Skalska wypytała go o rodzinę Jaskólskich. Funkcjonariusz potwierdził incydent z kradzieżą batonów, ale sklepikarz nie wniósł oskarżenia. Chciał tylko postraszyć chłopaka.

– Poza tym jednym wybrykiem Michał wydaje się normalnym nastolatkiem. Wiem to od jego wychowawczynie, ma tylko dwie uwagi i obie dotyczą braku stroju na WF – stwierdził dzielnicowy.

– Od dawna żyją w altanie?

– Chyba drugi rok.

– Jak to się stało, że trafili na działki?

– Mąż przegrał mieszkanie.

– Słucham? – Skalska w pierwszej chwili uznała, że to żart.

– Patologiczny hazardzista. Kłopot w tym, że mieszkanie było tylko na niego, miał je po zmarłej matce.

– Nic się z tym nie dało zrobić?

– Nie wiem, nie znam tak dokładnie tematu, ale to ona wraz z synem dostali od życia najmocniej po dupie.

– Nie ma dla niej mieszkania socjalnego?

– Socjalnego? Skalka, jaja sobie robisz? Przecież wiesz, jak jest z socjalnymi.

– A jakieś schronisko?

– Nie chciała. Ma rentę i dorabia sobie na czarno, sprzątając w sklepach i biurach. Popołudniami oczywiście.

– Ile by nie zarobiła i tak ma mało, nie? – zauważyła Skalska i od razu wcieliła w życie swój pomysł. – Zbieram dla niej kasę na opał i dla jej syna na wymarzoną bluzę. Mam w koszyku swoją stówę. Dorzucisz się? – spytała i kątem oka dostrzegła, jak Judycka uśmiechnęła się szeroko i uniosła kciuk, a zaraz potem sięgnęła do torebki po portmonetkę.

– No dobra, chyba rzeczywiście warto – odparł Borowiec. – Przynajmniej nie wyda tego na wódę.

Kiedy Skalska w pierwszej turze zebrała od wszystkich chętnych w sumie ponad tysiąc złotych, uznała, że powinna jeszcze zapukać do gabinetu Aleksandry Jojczyk.

Ta przyjęła ją chłodno, nie odrywając wzroku od monitora.

– Co cię sprowadza? – Głos szefowej prewencji był wyprany z emocji.

Skalska opowiedziała o zbiorce dla Jaskólskiej i jej syna.

– Pomyślę – przerwała Jojczyk.

– Chcemy działać szybko, więc byłoby lepiej, żebyś określiła się teraz.

– Później.

– „Później”, to takie wieczne „nigdy”. Warto pomóc tej kobiecie. Tak w nawiązaniu do tego, co mówiłaś u mnie. Wiesz, kobieca solidarność, te sprawy – drwiła Skalska.

Jojczyk napełniła powietrzem klatkę piersiową i Skalska miała wrażenie, że kobieta walczy z napadem wściekłości. Kiedy udało jej się opanować, podniosła wzrok i po raz pierwszy spojrzała na aspirantkę.

– Wypierdalaj, Skalka – rzuciła szeptem, a potem dodała głośnie. – I radzę ci, pomyśl o przenosinach do innego komisariatu, bo mam wrażenie, że tak będzie dla ciebie lepiej. Szczególnie od stycznia. – Oblicze Jojczyk rozjaśnił nagły uśmiech triumfu.

Skalska ściągnęła brwi.

– Wiesz co? – rzuciła. – To mi wygląda na groźbę.

– To tylko dobra rada, moja droga. – Jojczyk nie przestawała się uśmiechać.

– Nie, już wiem – zastanowiła się Skalska. – Tak naprawdę to mobbing.

Radość szefowej prewencji szybko zgasła.

– Jeśli się powtórzy w styczniu lub kiedykolwiek później – kontynuowała Skalska i tym razem to ona się uśmiechnęła – będę musiała to zgłosić.

Po czternastej komisarz Gross skończył obdzwaniać szkoły i w końcu udało mu się dowiedzieć czegoś więcej o spotkaniu Stanisława Sądeckiego z młodzieżą.

Okazało się jednak, że mężczyzna nie odwiedził ani tutejszych gimnazjów, ani liceum. Lekcja odbyła się w dużej sali Chełmżyńskiego Ośrodka Kultury przy Bydgoskiej, w tym

samym budynku, w którym na parterze znajdowała się kryta pływalnia. Cykl rozmów pod nazwą *Bliżej historii* organizowała Leokadia Żurek, emerytowana nauczycielka tego przedmiotu, a także lokalna patriotka, dbająca o ocalenie pamięci o ofiarach drugiej wojny światowej na tutejszej ziemi.

Dzięki Judycie Judyckiej Gross poznał numer telefonu kobiety i jej adres, a ponieważ emerytka nie odbierała, wybrał się do jej domu. Mieszkała w Strużalu, na południowy wschód od Chełmży, na skrawku ziemi, który z trzech stron otaczało Jezioro Chełmżyńskie. Prowadziła tam tylko jedna droga, która na samym końcu opadała wraz z linią pól do samego brzegu.

Komisarz ostatni raz był w Strużalu latem, ale nie wyniósł z tego miejsca, naznaczonego zbrodnią, dobrych wspomnień.

Szedł po śniegu ubitym na asfaltowej drodze i obserwował czarne plamy wód jeziora, które z trzech stron opływały ten swoisty półwysep.

Policzki i dłonie miał mocno zziębnięte, podobnie jak palce stóp.

Dom Leokadii Żurek znajdował się przy ulicy Chmurnej, blisko linii brzegowej.

Z niewielkiego szarego budynku unosiła się pionowo smuga dymu, którą wyżej rozwiewał wiatr. Furtka była uchylona, a jej dolna część opierała się o zgarnięty śnieg. Gross pchnął ją i wszedł na teren działki. Kiedy stanął na ganku, zapukał do brązowych drzwi.

– Kto tam? – odezwała się cichym głosem kobieta.

– Bernard Gross, policja – powiedział i przygotował się do okazania legitymacji. – Przychodzę w sprawie organizacji spotkań z młodzieżą. Mam kilka pytań do pani Leokadii Żurek.

Zamki zgrzytnęły i w drzwiach pojawiła się niska, chuda kobieta z rzadkimi siwymi włosami, ułożonymi gładko na głowie.

Wyglądała na zmartwioną.

– To ja – oznajmiła. – W czym mogę pomóc?

– Chodzi o lekcję otwartą, którą zorganizowała pani jakiś czas temu ze Stanisławem Sądeckim.

– Pamiętam.

– Mogę wejść?

– Tak, proszę. – Usunęła się, robiąc policjantowi miejsce.

Przeszli obok, do kuchni.

– Zdążyłam sobie zrobić ciepłej herbaty. – Wskazała na parujący kubek na stole. – Więc może i pan się napije? Bo mróz niemiłosierny, a pan chyba szedł piechotą, prawda? Nie słyszałam samochodu.

– Tak, piechotą – potwierdził i zdał sobie sprawę, że dom nauczycielki znajdował się w sporym oddaleniu od sąsiadów. – Pani mieszka sama?

– Z ojcem. – Skinęła głową w kierunku pokoju. – Wymaga stałej opieki. – Sięgnęła po kubek, do którego naląła z przezroczystego czajnika przygotowanej wcześniej esencji, a potem wrzuciła plaster cytryny. Ze słoika miodu dodała czubatą łyżkę i wszystko zalała wodą.

Gross spojrział przez okno, które wychodziło wprost na jezioro. Do linii brzegowej było nie więcej niż trzydzieści metrów.

Ciemna woda znieruchomiała.

Kobieta postawiła przed nim kubek i zajęła miejsce naprzeciwko.

– Dlaczego policję interesuje to konkretne spotkanie z młodzieżą?

Komisarz oderwał wzrok od zimowego obrazu jeziora i białych pól wznoszących się na drugim brzegu.

– Nie wiem, czy dotarła do pani ta wiadomość, ale Stanisław Sądecki nie żyje – powiedział, zachowując dla siebie okoliczności śmierci mężczyzny z Bielczyn.

Siwowłosa kobieta upiła łyk herbaty i pokiwała smutno głową.

– Odchodzą ostatni świadkowie – stwierdziła. – Jeszcze kilka lat i nowe pokolenia zatracą emocjonalny kontakt z dramatem ofiar drugiej wojny światowej. Wie pan, o czym mówię?

– Domyślam się.

– Owszem, zostaną nagrania rozmów, zapiski, wspomnienia – kontynuowała – ale to już nie będzie to samo co świadectwo człowieka, który przychodził do nich, do tych młodych ludzi, i opowiadał im o okrucieństwie hitleryzmu, o bliznach i zrostach, które nosił na swoim ciele, ale też o dużo groźniejszych ranach, tych stale jątrzących we wnętrzu. Kiedy młodzież dostrzega w oczach świadków tamtych zdarzeń łzy, trzęsące się ręce i kiedy słyszy, jak głos im grzęźnie w gardle, wtedy ma okazję bezpośrednio współodczuwać dramat człowieka zupełnie bezbronno i bezradnego wobec kroczącej maszyny śmierci.

Gross doskonale ją rozumiał.

Myślał, że oprócz bezbronności i bezradności, o której mówiła emerytowana nauczycielka, dramat ten oznaczał jeszcze jedno. Samotność. Chociaż cały naród cierpiał, cierpienie wynikało przede wszystkim z osamotnienia człowieka, nawet tego, który wśród setek towarzyszy, pędzonych bydłęcymi pociągami na rzeź, pozostawał sam w obliczu rychłej śmierci.

– O czym opowiadał Stanisław Sądecki na spotkaniu z młodzieżą?

– Głównie skupiał się na pierwszych dniach wojny i wkroczeniu hitlerowców do Chełmży, a potem na internowaniu tutejszej inteligencji.

Komisarz pamiętał opowieść jednego ze starszych mieszkańców miasta, którego ojciec otrzymał wezwanie od nowych władz niemieckich, z nakazem zgłoszenia się na dworzec PKP i wyjazdu na szkolenie. We wskazanym dniu i godzinie przyszło niemal osiemdziesięciu mieszkańców. Zapłacili za bilet i wsiedli do pociągu, który wywiózł ich do Torunia. Zamiast szkolenia czekało na nich więzienie i represje.

– Sądecki miał wtedy zaledwie kilka lat – przypomniał Gross.

– Dokładnie dziewięć. Ale doskonale to pamięta, bo jeden z jego wujków w ten sposób wyjechał z miasta. Sądecki wraz z ojcem odprowadził krewnego na dworzec. Mężczyznom kazano się ustawić w dwuszeregu. Widział wtedy lśniące karabiny esesmanów i słyszał ich pokrzykiwania. Pamiętał też, że ojciec miał w oczach łzy – wspomniała kobieta, wpatrując się w blat stołu.

– Opowiadał o innych zdarzeniach z okresu wojny?

– Nie. Taką mieliśmy umowę.

– Umowę?

– Uzgodniliśmy, że skupi się jedynie na chwili wybuchu wojny, na tym, jak zapamiętał wkroczenie wojsk niemieckich do miasta. Nie chciał mówić o niczym innym, a ja to uszanowałam. To była pierwsza otwarta lekcja w ramach całego cyklu, który rozpoczyna się zawsze we wrześniu. Miałam plan, żeby dzięki spotkaniom raz w miesiącu opowiedzieć ustami świadków o całym okresie wojny.

– Dużo osób przychodziło na te spotkania?

– Sala pękała w szwach i pamiętam, że zawsze było tam strasznie duszno.

– Nie wie pani, czy ktoś nagrywał opowieść Stanisława Sądeckiego?

– Nie sędzę. Kogo to dziś interesuje? – odparła i spróbowała się uśmiechnąć.

– Przed chwilą wspomniała pani, że na spotkaniu był tłum uczniów – zauważył.

Machnęła ręką.

– Przecież dobrze pan wie, że przyszli tam w ramach lekcji historii. Gdyby nie ten przymus, mówilibyśmy zapewne do pustych krzeseł.

Gross skosztował słodkiej herbaty. Kiedy spłynęła do żołądka, poczuł rozchodzące się po wnętrzu ciepło.

– A czy może mi pan odpowiedzieć na jedno pytanie? – Leokadia Żurek bawiła się rąbkiem ceraty.

Policjant się zgodził.

– Dlaczego interesuje się pan występowaniem Sądeckiego przed młodzieżą?

Komisarz wodził wzrokiem po bieli śniegu i czerni lodowatej wody.

– Śmierć tego mężczyzny zmusiła mnie do przyjrzenia się jego życiu, a kiedy zacząłem to robić, za każdym razem, z kimkolwiek bym nie rozmawiał, pojawiał się temat wojny. Do

tego dochodziła też sprawa konfliktu między Sądeckim a jego sąsiadem. Podobno to, co ich poróżniło, miało swój początek w okresie okupacji.

Kobieta uśmiechnęła się smutno i pokiwała głową.

– Faktycznie, słyszałam o tej ich wzajemnej niechęci – przyznała.

– Zna pani jej powód?

Zaprzeczyła.

– Ale ostatnim gościem spotkań był właśnie Kazimierz Kowal, sąsiad pana Stanisława. To było w maju tego samego roku szkolnego.

Gross uniósł brwi.

– Opowiadał o wyzwoleniu Chełmży? – spytał.

– Tak, ale nie tylko. Z punktu widzenia przelanej na tych ziemiach krwi było dla mnie istotne, by ktoś opowiedział młodym ludziom o Baukommando Weichsel. Słyszał pan o tym?

– O pomordowanych Żydówkach?

– O setkach bestialsko zamordowanych kobiet – poprawiła go.

– Kowal był świadkiem tamtych zdarzeń?

– Oczywiście niejedynym – stwierdziła. – Kiedy Armia Czerwona zaczęła napierać na hitlerowców i ich wojska opuszczały miasto, wraz z nimi szedł marsz śmierci Żydówek. Było ich około trzech tysięcy. Te, które przeżyły katorżniczą pracę w podobozach KL Stutthof zorganizowanych w Chorabiu, Grodnie, Bocieniu i Szerokopasie. Miały przejść dziesiątki kilometrów na północ.

– Ale on mieszkał w Bielczynach – niemal wszedł jej w słowo.

– To prawda. I właśnie tam był jednym z tych, którzy widzieli ten marsz śmierci. – W jej oczach odbijał się smutek w najczystszej postaci. – Z obozu w Grodnie wyruszyło około tysiąca siedmiuset półnagich Żydówek. Pędzono je mroźną zimą czterdziestego piątego jak bydło, dziesiątki kilometrów na północ.

Gross przełknął ślinę.

– Szły przez Bielczyny? – wolał się upewnić.

– Nie ma na to żadnych dokumentów, ale wydaje się niemal pewne, że hitlerowcy wybrali drogę przez Buczek.

– Potwierdzają to inni świadkowie?

– Tak. Kilku mieszkańców wsi, którzy już nie żyją, mówiło mi o tym, że doskonale pamiętają ten korowód wychudzonych, zaszczytych kobiet, trzymany w nieludzkich warunkach i zmuszanych do pracy ponad siły.

– Kowal o tym wszystkim opowiadał?

– Tak. A wie pan, co było najciekawsze?

Gross czekał na odpowiedź.

– Oprócz uczniów pojawił się też Stanisław Sądecki.

– Zaprosiła go pani?

– Nie. Ale przyszedł i siedział w pierwszym rzędzie.

Komisarz zastanawiał się, co mogło oznaczać takie zachowanie mężczyzny. Postanowił dążyć.

– A czy Kowal był na spotkaniu Sądeckiego? – spytał.

– Nie.

– Może siedział gdzieś z tyłu, na końcu?

– Nie było go tutaj – odparła. – Z Kowalem widziałam się kilka dni wcześniej przed planowanym wystąpieniem Sądeckiego. Zaprosiłam go, ale odmówił.

– Co nie znaczy, że nie przyszedł – zauważył Gross, ale kobieta pokręciła głową.

– Powiedział, że on z Sądeckim nie chce mieć nic wspólnego. Więc po co miałby tu przychodzić?

Gross wzruszył ramionami.

Liczył, że dowie się czegoś więcej, czegoś, co rzuci światło na wyraźną niechęć obu mężczyzn.

– Wyjaśnił dlaczego? – spytał.

Kobieta powiodła wzrokiem za okno i Gross zrobił to samo.

– Myślę, że... – zaczęła Żurek i spuściła wzrok. – Myślę, że odpowiedź przykryły gruzy wojny i niewielu już wie, co tam się mogło między nimi wydarzyć.

Wracając do komisariatu, Gross spróbował dodzwonić się do syna.

Słońce zaszło, a szary całun zaczął okrywać miasto od strony konkatedry. Wody jeziora pociemniały. Stukot kroków na drewnianej kładce, która łączyła dwa brzegi, odbijał się od gładkiej i spokojnej tafli.

Bliżej bulwaru, tam gdzie pomost się unosił, tworząc łuk, kilka łódek ocierało się o siebie z głuchym jękiem. Dźwięk ten niósł się niczym wołanie dusz z zaświatów. Zardzewiałe ogniwa łańcuchów, którymi łodzie były przypięte do kładki, z łoskotem upadały na deski.

Bartek nie odbierał połączenia i Gross zastanawiał się nawet, czy nie powinien spróbować zadzwonić z pożyczonego telefonu. Ale co by to zmieniło? Gdyby syn dowiedział się, kto dzwoni, mógłby natychmiast zakończyć rozmowę, a Gross utwierdziłby się jedynie w przekonaniu, że Bartek nie chce utrzymywać z nim kontaktu.

Komisarz pomyślał o jeszcze jednym rozwiązaniu, kiedy drogą przejechał wolno samochód, oślepiając go światłami.

Jasne plamy zatańczyły mu pod powiekami, gdy wybrał numer do swoich teściów. Krótco po wypadku rodzice Agnieszki odwrócili się od Grossa. Nie dziwił im się. Doskonale wiedział, że zawiódł nie tylko żonę, ale także jej rodzinę. Cieszył się jednak z tego, że zarówno matka, jak i ojciec Agnieszki utrzymywali znakomite relacje z wnukiem. Gorzej, że sami, krótco potem, odsunęli się również od Agnieszki. Nie przyjeżdżali do niej w odwiedziny. Nie przekroczyli progu ośrodka Fundacji „Światło” i tego Gross już nie umiał pojąć. Czym zawiniła im ich własna córka? Co takiego zrobiła, że skazali ją na osamotnienie?

Gross przyłożył zimny aparat do zmarzniętego ucha.

– Halo? – odezwał się, kiedy po drugiej stronie usłyszał szmery.

– Czego chcesz? – zapytał teść.

– Szukam Bartka. Jest u was? – zapytał.

Słyszał oddech mężczyzny, ciężki i powolny.

– Nie ma.

– Muszę z nim porozmawiać. – Gross poczuł ciepło w dole pleców i mrowienie w końcówkach palców rąk i nóg.

– Nie ma! – Teść podniósł głos. – Dla ciebie nigdy go tu nie będzie.

– Chodzi o to, co się wydarzyło. O jego matkę. Policja wróciła do...

– Przestań! – Mężczyzna mu przerwał i ponownie rozległ się szum oddechu. – Nie dzwoń tu nigdy więcej.

– Przekaż Bartkowi, żeby się ze mną skontaktował, słyszysz? – próbował się upewnić, ale odpowiedziała mu głucha cisza.

Po drugiej stronie nie było już nikogo.

Komisariat świecił pustkami, ale kiedy do niego wchodził, widział światło w oknie komendantki Lucyny Wojtasik. Dlatego wspiał się po cichu po schodach i zaszył się w swoim gabinecie, rozświetlając wewnątrz wyłącznie lampą biurkową.

Zagrzał wodę na herbatę i usiadł przed komputerem.

Nie otrzymał ememesem fotografii koca znalezionej w rozbitym na drzewie samochodzie Wójcickiej, ale miał jeszcze nadzieję, że Chęciński wysłał mu je mailem. Skrzynka jednak była pusta. Wysłał przypomnienie do technika, a potem zerknął na zegarek. Doktor Raszeja też milczała, dlatego uznał, że nie zdążyła przeprowadzić sekcji Stanisława Sądeckiego.

Sprawa martwego mężczyzny odnalezionego w jeziorze nie posunęła się naprzód tak, jak by sobie tego życzył. Zbyt dużo czasu poświęcił na badanie odległej przeszłości i niewiele wniosków mógł wyciągnąć ze zdobytej wiedzy. Dlatego postanowił skupić się na teraźniejszości.

Odnalazł w internecie ulotki dwóch leków, Defidronu i Medrosolu, po czym sprawdził ich zastosowanie. Zgodnie z tym, co mówił Szojca, oba mogły się wzajemnie wspierać przy objawowym leczeniu obrzęku naczyńioruchowego, na który cierpiał Sądecki.

Z zaskoczeniem stwierdził, że Defidron i Medrosol wywołują zbieżne efekty uboczne. Jednym z nich, o czym w przypadku Medrosolu dowiedział się od doktora Szojcy, były zaburzenia poznawcze i stany depresyjne.

Zastanawiał się, czy stosowanie dwóch leków naraz mogło te stany nasilić. Musiał to przedyskutować z Raszeją, ale postanowił poczekać do momentu, w którym medycyka sądowa przeprowadzi autopsję. Bardzo liczył na to, że wyniki badania ciała zmarłego mężczyzny popchną sprawę do przodu.

Niemniej beczynność w tej kwestii była frustrująca.

Gross upił nieco herbaty i ponownie dał się porwać fali rozmyślań o roli drugiej wojny światowej w życiu Sądeckiego i Kowala.

Nie rozmawiał jeszcze z Kazimierzem Kowalem, więc uznał, że pora wreszcie się z tym zmierzyć. Zadzwoił do jego syna z prośbą o przekazanie numeru komórkowego ojca. Najpierw przez jakiś czas było zajęte i Gross zorientował się, że być może to syn postanowił uprzedzić ojca o kontakcie ze strony policji, ale w końcu usłyszał wolny sygnał w słuchawce.

– Halo? – odezwał się słaby, skrzekliwy głos po drugiej stronie.

Gross się przedstawił.

– W czym mogę pomóc? – zapytał starszy mężczyzna.

– Zapewne wie pan o śmierci swojego sąsiada, Stanisława Sądeckiego.

– Tak, słyszałem o tym.

Policjant zastanowił się, jak poprowadzić tę rozmowę.

– Od jak dawna panowie się znali?

– O, jeszcze przed wojną. Mój ojciec pracował w majątku w Mirakowie, a Stanisław z rodzicami i rodzeństwem mieszkał w pobliskim Grodnie. Nasi ojcowie się znali, bo Sądecki był agronorem. Zabierali nas często ze sobą i tak się poznaliśmy.

– A potem, po wojnie, Sądecki zamieszkał obok was, prawda?

– Tak. Rok po wyzwoleniu.

– Skąd ta zmiana?

– Wtedy wszystko się zmieniało. Świat był już inny. Komuniści uznali, że urzędzą go nam po swoim.

- Cieszył się pan z faktu, że bliski kolega zamieszka obok?
- To były trudne czasy – odparł enigmatycznie.
- Co pan ma na myśli?
- Wszystko. Ale pan wybaczy, nie chcę do tego wracać.
- Rozumiem. – Gross poczuł, że rozmowa z mężczyzną niczego nowego nie wniesie. – Niech mi pan pozwoli poruszyć jeszcze jedną sprawę.
- Zaraz idę na kolację – poinformował Kazimierz Kowal.
- Śmierć Stanisława Sądeckiego zwalnia pana z tajemnicy.
- Słucham? – Starzec odchrząknął. – Przepraszam, ale o czym pan mówi?
- O pielęgnowanej przez lata wzajemnej niechęci, o której wszyscy mówią, także wasze rodziny, ale nie tylko. Pozostali mieszkańcy też.
- Coś panu powiem – stwierdził Kowal. – Śmierć Stanisława niczego nie zmienia.
- Zmienia – zaproponował Gross. – Może pan się wreszcie pozbyć tego balastu.
- Dlaczego uważa pan, że mam prawo mówić o tym, co nas poróżniło?
- Sądzę, że to przyniesie ulgę.
- A ja sądzę, że tajemnic trzeba dochowywać za wszelką cenę. Dlatego podobnie jak Staszek zamierzam zabrać ją do grobu. Tak będzie lepiej – oznajmił mężczyzna, a po chwili dodał – jak pan sądzi, dlaczego Sądecki nigdy jej nie ujawnił?

Gross nie znał odpowiedzi na to pytanie.

– A ja wiem, drogi panie. Ja wiem – powtórzył. – Bo wystarczyło, że ona dzieliła nas. Nie chcieliśmy, by miała wpływ na niewinne osoby. Na członków naszych rodzin. Nie chcieliśmy, by ta blizna, ten paskudny i brzydki zrost, wyrastał na każdym kolejnym pokoleniu.

– Tak się umówiliście?

Kowal nie odpowiedział i cisza w słuchawce się przedłużała.

– Jeszcze jedno – poprosił Gross.

– Muszę już kończyć.

Komisarz zignorował tę informację.

– Podobno Stanisław Sądecki przyszedł na pana spotkanie z młodzieżą.

– Rzeczywiście tak było – potwierdził mężczyzna.

– W jakim celu to zrobił?

– Sam się nad tym wtedy zastanawiałem.

– Sądzę, że pan zna odpowiedź na to pytanie – uznał policjant.

– Przecenia mnie pan.

– I powiem więcej. Jestem przekonany, że o tym, co was poróżniło, wie ktoś jeszcze.

– Dlaczego to dla pana takie ważne? – spytał spokojnie Kowal i te proste słowa uderzyły komisarza.

– Wie pan, jak zmarł Stanisław Sądecki?

– Słyszałem. Syn mi powiedział. – Westchnął. – Jego ciało znaleziono na jeziorze.

– To prawda. Podobno cierpiał na depresję, miał problemy z pamięcią. Dlatego wydaje mi się, że jego śmierć jest jednak nietypowa. Poza tym wciąż nie wiemy, czy nie przyczyniły się do niej osoby trzecie.

– Nietypowa? – zachnął się mężczyzna. – Wie pan, jako dziecko, a raczej młody chłopak, dobrze poznałem, co to śmierć. Widziałem tyle trupów, że ona mi po prostu zobojętniała – stwierdził i kontynuował. – A teraz, kiedy jestem już u kresu życia, zaczynam w tej śmierci widzieć troskliwego przyjaciela, takiego, który pomoże mi wsiąść na podkład drewnianej łodzi i powiosłuje ze mną na drugi brzeg.

Gross wsłuchał się w jego głos.

– Sądzę, że Stanisław czuł podobnie – dodał Kowal.

– Wspomniał pan o drugiej wojnie światowej. Czy chodziło panu o śmierć kobiet? – przerwał mu Gross. – O trupy pomordowanych na tej ziemi Żydówek?

W słuchawce rozległ się szum oddechu starszego mężczyzny.

– Naprawdę muszę już kończyć – oznajmił Kowal i wszelkie odgłosy w telefonie ucichły.

Gross odłożył aparat i zobaczył, że w programie do odbioru poczty ma nową wiadomość. Marian Chęciński informował go o tym, że pamięta o zdjęciach koca i prześle je w ciągu kilkunastu minut.

„Wyślę ci dwie fotografie” – informował technik.

Gross doczytał treść wiadomości i chłód przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa.

Wtedy też rozległ się dźwięk komórki powiadamiający o nadejściu ememesa.

Komisarz przyjrzał się nadesłanej fotografii.

Obraz przedstawiał fragment łba należący prawdopodobnie do lwa albo tygrysa.

Materiał znaczyły brązowe, podłużne smugi.

Na kolejnym zdjęciu znajdowały się dwie wyhaftowane litery „SE”.

Policjant przesłał pierwszą z otrzymanych fotografii do wnuka Stanisława Sądeckiego z pytaniem, czy to ten koc zniknął z domu dziadka, a potem, zniecierpliwiony, kiedy oczekiwanie na odpowiedź się przedłużało, oparł się o zimny parapet. Mróz wślizgiwał się przez drewniane okna do wnętrza gabinetu, chłód bił od szyb.

Ciemność zapadła nagle i uliczne latarnie rozświetlały mrok, rozjaśniając ściany kamienic przy Kopernika. Dalej pomarańczowe światła rozplływały się we mgle

adwekcyjnej, która objęła ramionami miasto. Ciemnych wód jeziora Gross już nie dostrzegał.

Gdy zadzwonił telefon, oderwał się od okna i sięgnął po aparat. Po numerze poznał, że dzwoni Wojciech Sądecki.

– Widział pan zdjęcie? – spytał policjant, darując sobie zwroty grzecznościowe.

– Widziałem.

– I co pan sądzi?

– Mój dziadek miał podobny.

– Podobny? – Gross poczuł, jak spływa z niego napięcie.

– Tak, podobny. Bo nie widzę na nim inicjałów. Powinny być w rogu.

– O jakich inicjałach mowa? SS? – zapytał i zdał sobie sprawę, że pierwsze litery imienia i nazwiska ofiary układały się w skrót paramilitarnej politycznej jednostki Trzeciej Rzeczy – Schutzstaffel.

– Nie. Inicjałami zajmowała się babcia i zawsze wpisywała swoje. Miała na imię Elżbieta. Czy ten koc ma takie oznaczenia?

Gross usiadł przy komputerze i otworzył zdjęcie przedstawiające haft. Powiększył obraz, aż litery „s” i „e” wypełniły ekran.

– Nie, niczego takiego nie widzę – stwierdził.

– To znaczy, że trzeba szukać dalej.

– Ma pan rację. Będziemy to robić – obiecał komisarz.

– Do usłyszenia – odparł Wojciech Sądecki.

Gross trzymał w ręku aparat i zastanawiał się, co to odkrycie może znaczyć.

Odszukał w liście ostatnio wybieranych połączeń numer telefonu Moniki Skalskiej i dotknął palcem ekranu.

Wreszcie coś drgnęło w tej sprawie, pomyślał, przyłożywszy komórkę do ucha.

Zimowy zmierzch zasnuł dolinę, która rozciągała się za ulicą Polną.

Aspirantka sztabowa Monika Skalska zadzwoniła domofonem, dokręconym rdzewiejącą śrubą do słupa przy furtce. W wychodzących na ulicę oknach domu, wyklejonego grubą warstwą styropianu, świeciło się światło i Skalska widziała w nich poruszającą się postać.

Wkrótce usłyszała głos Igora Wójcickiego, zniekształcony przez głośnik urządzenia.

– Słucham?

– Monika Skalska, policja. Byłam wczoraj u pana i... – nie dokończyła, gdy rozległ się brzęczyk zwalnianej blokady.

Podobnie jak ostatnio, nim zdążyła zrobić kilka kroków, drzwi domu się otworzyły.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? – Skalska zatrzymała się przed progiem.

Zasmucony mężczyzna z podkrążonymi, wilgotnymi oczami pokręcił przecząco głową. Bez słowa wskazał na salon i Skalka weszła do rozświetlonego pokoju z włączonym telewizorem, w którym Magda Gessler zapraszała na kolejną kuchenną rewolucję. Mężczyzna ściszył odbiornik i odłożył pilota.

– Czy coś się stało? – odezwał się w końcu.

Skalska zastanawiała się, czy powinna mu powiedzieć wprost, że w samochodzie jego żony, w chwili uderzenia w drzewo, znajdował się ktoś jeszcze. Ktoś, kto siedział w fotelu pasażera i być może odniósł niegroźną ranę.

Zanim tu przyjechała, poprosiła kolegów z toruńskiej drogówki o pomoc. Otrzymała skan protokołu powypadkowego i dowiedziała się, że toruńscy funkcjonariusze mieli podobne zdanie. Skalka poszła wtedy do komendantki Lucyny Wojtasik i poprosiła ją, by ta załatwiła z szefem garnizonu w Toruniu przeniesienie sprawy śmiertelnego wypadku Małgorzaty Wójcickiej do wydziału kryminalnego chełmińskiego komisariatu. Wówczas trafiłyby do nich zabezpieczone na miejscu zdarzenia dowody, chociażby takie jak telefon Wójcickiej. Wspólnie z Grosseem mieliby szansę sprawdzić jej ostatnie połączenia i skrzynkę wiadomości tekstowych.

Wojtasik obiecała załatwić to formalną drogą i Skalska wyszła z jej gabinetu z poczuciem nadziei, że śledztwa w obu sprawach wkrótce ruszą z miejsca. Chciała zajrzeć do Grossa, ale drzwi były zamknięte.

Dlatego, nie chcąc zwlekać z robotą, musiała wybrać się na Polną i raz jeszcze porozmawiać z mężem ofiary. Wiedziała, że po pierwszym szoku, jakim jest utrata bliskiej osoby, przychodzi moment, w którym wspomnienia, uśpione z powodu traumy, stają się wyraźniejsze.

Miała nadzieję, że tak będzie i w tym przypadku.

Omiotła wzrokiem stół z zamkniętym albumem ze zdjęciami i odłożoną na bok fotografią żony Wójcickiego.

– Stało się coś? – ponowił pytanie i Skalska podniosła na niego wzrok. Zebrała myśli.

– Chciałabym, żeby spróbował pan sobie przypomnieć dzień poprzedzający tragedię.

– Wszystko mam wyraźnie przed oczami, analizowałem w myślach każdy szczegół.

– Czy w takim razie wydarzyło się w trakcie tego dnia cokolwiek, co wzbudziło pana podejrzenia?

– Nie sędzę. Ale co konkretnie ma pani na myśli? – Rozłożył ręce.

– Głuche telefony do żony albo na przykład to, że odbierała je ukradkiem?

– Słucham? – zmarszczył czoło.

– Szukam czegokolwiek, co było odstępstwem od normy, codziennej rutyny – wyjaśniła, gdy zadzwonił jej telefon.

Odrzuciła połączenie od Grossa i wysłała mu esemesa, że jest na Polnej. Wiedziała, że się domyśli.

– Nie, nic takiego się nie wydarzyło. Ale dlaczego to panią interesuje?

– Wstępne ustalenia z oględzin samochodu sugerują, że pana żona w chwili wypadku być może nie była sama. Ktoś z nią jechał.

– Słucham? – nie dowierzał. – Przecież jeszcze wczoraj mówiła mi pani, że nikogo tam nie było.

– Wyniki oględzin wskazują, że mogłam się mylić. Dlatego wróciłam do pana – wyjaśniła.

– Poza tym, po analizie monitoringu miejskiego, wydaje się bardzo prawdopodobne, że pana żona nie jechała ulicą Polną do Chełmińskiego Przedmieścia i nie odbiła na północ.

– O czym pani mówi? – spytał zupełnie zaskoczony.

Zauważyła, że ta rozmowa sporo mężczyznę kosztowała. Jego prawa ręka zaczęła drżeć.

W tej samej chwili otrzymała esemesa od Grossa i odczytała wiadomość, która poruszyła ją do głębi. Odnaleziony w samochodzie Wójcickiej koc należał do Stanisława Sądeckiego. Gross jednak prosił, żeby ta informacja nie wypłynęła za szybko. Zrozumiała, że będzie to chciał wykorzystać później, dla dobra śledztwa.

– Co chce pani przez to powiedzieć? Że dokąd Gośka pojechała?

– Wydaje mi się, że mogła wybrać drogę gruntową przez działki i mostek nad kanałem.

– Ależ to bzdura. W jakim celu miałyby to robić?

– Zdarzało się, że żona, kiedy zabierała ze sobą kuzyna, Jacka Kowala, wybierała drogę na Buczek?

Mężczyzna się skrzywił.

– Skądże! Po cholere miałyby to robić? Widziała pani tę drogę? Mówię o tym fragmencie od Chełmińskiego Przedmieścia do granic miasta. Tam jest dziura na dziurze. Owszem, potem jest asfalt, ale kto zamienia drogę lepszą na gorszą? I do tego zimą? I jeszcze jedna rzecz. Konia z rzędem temu, kto kiedykolwiek widział na tej drodze pługopiaskarkę.

Skalska musiała mu przyznać rację, ale monitoring nie kłamał. Srebrna toyota yaris nie przejechała Polną do głównej drogi wylotowej z miasta w kierunku północnym. Wójcicka musiała użyć skrótu, który rzeczywiście stanowił wyzwanie dla kierowców.

Już chciała odpuścić, ale nagle coś ją tknęło.

– Dobrze zna pan ten fragment drogi – zauważyła.

– No znam, bo jeździliśmy nią od czasu do czasu.

– Do Bielczyn?

- Nie, do Buczka właśnie – wyznał.
- W jakim celu, jeśli wolno spytać?
- Doktor Szojca ma tam swój gabinet. Gośka leczyła się u niego.

Skalska znieruchomiała.

- W którym miejscu?
- Tam zaraz, jak się asfalt zaczyna – stwierdził mężczyzna. – Drugi dom po lewej.

Gross wyszedł przed komisariat, zastanawiając się, dokąd pójść.

Spojrzał w lewo i uznał, że powinien spotkać się z Malwiną Lemańską, chociażby na chwilę. Miał do niej zaledwie kilka kroków. Ale sprawa śmierci Sądeckiego wciąż nie dawała mu spokoju. Obawiał się, że nawet w towarzystwie Malwiny pozostanie nieobecny duchem. Wciąż będzie widział chude zwłoki staruszka, mokre ciało obwiązane sznurem, paskudny zrost rozciętych lata temu powłok skórnych.

A mimo to ruszył w kierunku głównego miejskiego deptaka, na którym skręcił w lewo, drogą do bloku, w którym mieszkała bibliotekarka.

Miasto opustoszało. Gdzieś daleko niosły się narastające odgłosy szybkich kroków, lecz Chelmeż otulała mgła i Gross nie widział w pobliżu nikogo.

Gdy przystanął pod blokiem i uniósł głowę, stukot obcasów zdawał się cichnąć.

W oknach sypialni Malwiny świeciło się nikiłe światło. Sądził, że kobieta, okryta kocem, czyta właśnie książkę.

Gross chciał wejść na górę, zobaczyć radość w jej oczach i cieszyć się jej obecnością. Ale co w zamian miał jej do zaoferowania?

Samotność ojca, samotność męża.

Czuł dojmującą pustkę, jakby otaczający go chłód przeniknął przez jego ubrania i znalazł wygodne leże w trzewiach.

Gross od lat żył samotnie i od tamtej pory odejście syna, a także wegetatywny stan żony traktował jak karę za to, że nie sprawdził się w chwili próby. Samotność rozkwitała w nim miesiącami.

Obawiał się, że podobnie samotny musiał się czuć Stanisław Sądecki, pozbawiony uwagi ze strony najbliższych, z ich wizytami ograniczonymi do zwykłej konieczności, dalekimi od prawdziwej troski, podczas gdy on nosił w sobie ciężki bagaż doświadczeń wojennych i tajemnicę, która być może rozsiewała się w nim jak nowotwór. Która być może nawiedzała go wtedy, gdy zawodził go umysł.

Samotność Sądeckiego widział także w bezradnym geście odwrócenia fotela od telewizora. Często właśnie telewizja była wiernym partnerem samotnych seniorów. Podobnie jak radio. Oba media spełniały więc tę samą funkcję, co gadatliwy gość, którego

w każdej chwili można było bez żalu wyprosić, bo ten nigdy się nie obraża. A kiedy wraca, wciąż snuje swoje historie, dalej i bez przerwy, tak samo mile usposobiony jak poprzedniego dnia.

Myśląc o tym, Gross przypomniał sobie, że nie zweryfikował programu telewizyjnego z dnia poprzedzającego śmierć Sądeckiego. Powinien był to sprawdzić, być może uzyskałby jakąś podpowiedź.

Ale na razie gnębiło go coś innego.

Wciąż nie wiedział, co kryło się za przysięgą milczenia Sądeckiego i Kowala. Musiała ich połączyć jakaś mroczna tajemnica. Puszka Pandory, której żaden z nich, nawet po śmierci znajomego, nie zamierzał otwierać.

Gross stał wpatrzony w okno sypialni Malwiny Lemańskiej i czuł, że mróz przenika przez protektory jego ocieplanych botków.

Pomyślał o zachowaniu Sądeckiego, który przyszedł na spotkanie Kowala z młodzieżą i usiadł w pierwszym rzędzie. A jednocześnie komisarz pamiętał, że Kowal, wiedząc o wcześniejszym podobnym spotkaniu Sądeckiego, nie pojawił się w sali Chełmżyńskiego Ośrodka Kultury.

Gross uznał, że Kowal świadomie zrezygnował z konfrontacji, podczas gdy Sądecki do niej dążył, rozsiadając się na krześle w pierwszym rzędzie, żeby wysłuchać opowieści sąsiada, z którym od czasów wojny pozostał poróżniony. Co to mogło znaczyć?

Światło w sypialni Malwiny Lemańskiej nagle zgasło.

Komisarz czuł, że w tym zachowaniu obu mężczyzn czai się coś jeszcze. Coś nieuchwytnego mimo intensywnych myśli. Gdzieś na końcu języka miał słowo, które mogło okazać się kluczem do zrozumienia Sądeckiego i Kowala.

Jednak wyraz uleciał jak spłoszony ptak i zniknął w gęstniejącej mgle.

Gross schował się pod dachem wejścia do klatki schodowej i już chciał nacisnąć przycisk domofonu mieszkania Malwiny, kiedy w jego kurtce zawibrował telefon.

Dzwoniła Raszeja.

Odebrał połączenie.

– Tak? – rzucił, zapominając o dobrych manierach.

– Cześć, Bernardzie, nie przeszkadzam?

Policjant spojrzął na podświetloną tablicę z numerami mieszkań i nielicznymi nazwiskami, a następnie odwrócił się i ruszył ulicą Sikorskiego w kierunku Sadku, gdzie cienie starych drzew tańczyły we mgle rozświetlanej ulicznymi latarniami.

– Mów śmiało – poprosił.

– Tak jak obiecałam, zrobiłam dziś sekcję zwłok Sądeckiego – stwierdziła lekarka.

Grossa zaniepokoił wyczuwalny brak energii w głosie Raszei.

– Masz coś? – Komisarz wstrzymał oddech.

– Niewiele – przyznała ze smutkiem. – Po pierwsze, Marian Chęciński pobrał wyskrobiny spod paznokci i zobaczmy, co nam z tego wyjdzie. Po drugie, potwierdza się to, co opowiadałam ci wcześniej o mózgu osoby starszej, która mogła mieć demencję. Wygląda na to, że Sądecki rzeczywiście zmagął się z otępieniem.

Policjant opowiedział jej o lekach, które brał.

– Chcesz mi powiedzieć, że Defidron i Medrosol przyjmował jednocześnie? – zaniepokoiła się.

– Przynajmniej na to wygląda.

– Dużo tego brał?

– Rozumiem, że powinienem to sprawdzić?

– Tak bym zrobiła, a ja dam ci znać, co wyszło w toksykologii. Poprosiłam, żeby mi to zrobili na cito, ale przynajmniej po tym, co usłyszałam, już wiem, czego mogę się spodziewać.

– Miał resztki tabletek w żołądku? – zapytał.

– Nie. Żołądek był zupełnie pusty. Sądziś, że nałykał się Defidronu?

– Nie wiem – odparł.

– Oczywiście mógł to zrobić – kontynuowała medyczka – ale jeśli już, to musiał to zrobić wcześniej. Po dwóch godzinach w przewodzie pokarmowym nie byłoby śladu po tabletkach. Poza tym samo przedawkowanie akurat tego specyfiku nie doprowadziłoby do śmierci.

– Ale jakieś skutki uboczne by wywołało, prawda?

– Oczywiście pogorszyłyby jego stan.

– W jakim sensie?

– Na pewno czułby się jeszcze bardziej zagubiony.

– Nasiliłyby objawy otępienne?

– O tym właśnie mówię – wyjaśniła Raszeja.

Gross szedł wzdłuż Sadku w kierunku Kościuszki. Ulicą obok nadjeżdżał samochód. Dwie jasne kropki rozplywały się we mgle, tężały i powiększały się, aż w końcu zdołały się przez nią przebić.

Jezdnia skrzyła się od kryształów lodu.

– Masz coś więcej? – spytał, gdy wóz przejechał obok.

– Niestety niewiele. Wybroczyny, które zaobserwowaliśmy na brzegu, rzeczywiście powstały przyżyciowo. Umieszczenie śladów na ciele odpowiada wielkości sklejki – dodała. – Ale inaczej jest z otarciami od sznura. Te niewątpliwie powstały po śmierci.

– Czyli co? Jak mam to rozumieć?

– Po prostu mokry sznur ocierał się o ciało. Lina, jak pamiętasz, nie opasywała go ściśle.

– Jakież sińce?

– Jeden na lewej piszczeli, kilka centymetrów poniżej kolana. Trzycentymetrowy. I to w zasadzie wszystko – westchnęła Raszeja.

– To może być to – odezwał się cicho.

– Słucham? – zainteresowała się lekarka.

– Pamiętam, że na miejscu nie stwierdziłaś żadnych śladów wleczenia, prawda?

– Tak. Nie ma mowy, by ktoś ciągnął ciało po ziemi.

– A co, gdyby został przeciągnięty na grubym kocu, złożonym na pół? Czy to nie zapobiegłoby powstaniu przyżyciowych urazów? Czy koc nie zamortyzowałby ciała?

– Gdyby denat był ciągnięty na tym kocu po ziemi? – dopytała Raszeja.

– Tak. A kto wie, czy nie został przeniesiony przez dwie osoby, które wykorzystałyby koc jako nosze.

– To możliwe i nawet bardzo prawdopodobne.

– W takim razie będę się temu przyglądał. Ale oczywiście czekam też na wyniki toksykologii. I bardzo ci dziękuję. – Gross zbierał się do zakończenia rozmowy.

– Poczekaj. To jeszcze nie wszystko – odezwała się lekarka. – Pamiętasz brzydki skośny zrost w okolicy prawej kości biodrowej?

– Tak.

– Blizna powstała dawno temu. Ale pewnie pomyślałeś o appendektomii?

– O wycięciu wyrostka – odparł, bo nie znał medycznej nazwy tego zabiegu.

– To właśnie miałam na myśli.

– Trafiłem?

– Byłam pewna, że tak.

Gross zatrzymał się przy skrzyżowaniu z Kościuszki.

– Ale? – rzucił.

– Nie chodziło o appendektomię. Mężczyzna nie miał otwieranej jamy brzusznej. Wyrostek nie został usunięty.

– Jak to? – zdziwił się Gross.

– Rana jest powierzchowna, ale to, że skóra nie zrosła się właściwie, może mieć kilka przyczyn. Obstawiałabym jednak narzędzie niemedyczne.

– Czekał. – Gross wznowił marsz. – Chcesz mi powiedzieć, że ktoś mu zadał cios nożem?

– Przy tak brzydkim zroście trudno teraz wyrokować, ale nie wiem, czy nie było to ostrze dwusieczne. Moim zdaniem, kiedy narzędzie przebiło skórę, on się wtedy ruszył, i to spowodowało dalsze rozcięcie.

Gross zastanowił się nad jej słowami.

– Ile mógł mieć lat, kiedy powstała ta rana?

– Sądzę, że nie więcej jak kilkanaście.

– A zatem mogła powstać w czasie wojny – zastanowił się.

– Kto wie.

– Wówczas wojskowy bagnet pasowałby idealnie, prawda?

– No, rzeczywiście, to miałyby sens – przyznała. – Biorąc pod uwagę, że w tę ranę zapewne wdało się zakażenie, brudny bagnet w moim odczuciu byłby największym podejrzanym.

ROK 1945, STYCZEŃ

Krew, która chlupnęła na ubity śnieg, była ciemnobordowa.

Zraniona hitlerowskim bagnetem Żydówka najpierw zastygła w bezruchu, potem chwyciła się oburącz za brzuch, tłumiąc w sobie ból. Jej oczy powiększyły się, ale z ust nie wydobył się żaden jęk, jakby zadany cios w przedziwny sposób jednocześnie przeciął struny głosowe.

Spomiędzy palców pociekła ciemna strużka, która tworzyła powiększającą się plamę na czymś, co kiedyś mogło być lekką podomką, a teraz było jedynie porozdzieraną starą i brudną szmatą.

Kobieta runęła bezwładnie w śnieg, który po chwili zaczęła pożerać ciepła krew.

Jeszcze przez moment Żydówka wiła się w konwulsjach.

Inne więźniarki, które stały obok niej przed niewielkim celtem, namiotem z dykty, próbowały odwrócić wzrok. Tylko jedna z nich, wpatrzona w tę nagłą śmierć, zaczęła jęczeć i uderzać się zaciśniętą pięścią w głowę. A potem jeszcze raz i jeszcze, teraz szybciej i mocniej. I biła się zapamiętale, głowa odskakiwała, ale ona, nieobecna, nie czuła tych razów. Zaczęła krzyczeć w nieznanym dla chłopca języku i zasypywała się gradem ciosów.

– *Schweigen!* – Wachman wydarł się na nią, ale słowo odbiło się tylko od pobliskiej ściany lasu. Podszedł do Żydówki, która postradała zmysły, i zupełnie nieświadomą zagrożenia, uderzył potężnym ciosem kolby karabinu.

Kości czaszki chrupnęły.

Kobieta o kruczoczarnych włosach wywinęła oczy do góry, błysnęły jej białka i bez tchu upadła w biały puch, tuż obok wykwitłej bordowej plamy.

Serce mu łomotało.

Kiedy obserwował okrucieństwo wobec tych kobiet, działo się z nim coś, czego nie rozumiał. Mimo mrozu paliły go policzki, dłonie drżały. Szczękał zębami.

A raz nawet popuścił mocz. Wtedy, kiedy rzucił chleb tej dziewczynie i obiecał jej, że ponownie przyjdzie. Sądził, że wachman go dostrzegł, ale na szczęście tak się nie stało. Ulga spłynęła na niego ciepłem. Najpierw pod sercem, ale chwilę później odczuwał je już w dole brzucha i na udach. I zrozumiał, co się stało.

Z zażenowania wstał i chociaż było ciemno, bał się, że ona mogła widzieć plamę na jego kroczu. Gnębiło go to, że się ośmieszył. Wstyd ranił go, wciąż bał się tego, jak ona będzie

o nim teraz myślała. Że jest strachliwy, że zlał się jak dziecko.

I dlatego nie przychodził przez dwa dni.

Mimo że jej to obiecał.

Chłopiec leżał teraz pod gęstymi witkami krzewu i patrzył, jak wachman zagania pozostałe kobiety do wyniesienia zwłok. Kilka więźniarek chwyciło zabite kobiety za chude przeguby i kostki, po czym przedreptały z nimi w okolice bramy obozowej. Tam rzuciły je na wysoką stertę pozostałych zabitych więźniarek.

Wcześniej naliczył piętnaście ciał.

Przeniósł wzrok na obóz dla setek maltretowanych kobiet.

Przychodził tu często, coś gnało go w to miejsce, jakby miał być świadkiem dramatu, niemym obserwatorem, ze związanymi strachem rękoma i ze ściśniętym gardłem, z którego nie padnie żaden okrzyk. Czuł się jak one, jak bezradne kobiety, które nie podnosiły głowy, chciały przetrwać w miejscu, w którym śmierć wydawała mu się wybawieniem od męki, głodu i chorób. Od pracy tak ciężkiej, że on sam nie byłby w stanie jej wykonać nawet w odpowiednim ubraniu i w zimowych butach.

Jedyne, co mógł zrobić w tej sytuacji, to podrzucić kawałek chleba lub cebulę.

Ale ostatnio złożył obietnicę, której nie dotrzymał.

Czy miał prawo wzbudzić w niej nadzieję? Że znowu przyjdzie i podrzuci jej coś do jedzenia? Wstydził się tego, że stchórzył. Chciał porozmawiać o tym z tatulem. Dlatego zapytał go, czy on też czuł się związany obietnicą, kiedy rzucał Żydówkom ukradkiem jedzenie. Czy chciał to robić nadal.

– Tylko wtedy, jeśli nie zagrozi to ani mnie, ani tobie. Ani naszej rodzinie – wyjaśnił ojciec.

– Ale może one liczą na ciebie?

– One chcą tylko zaspokoić głód, synku – odrzekł tatuś.

Po tej rozmowie chłopiec zabrał ze sobą pięć cebul i czekał na dogodny moment, kiedy w narożniku obozu wszystko się uspokoje albo kiedy zacznie się harmider związany z codziennymi apelami, po których Żydówki szły do pracy.

Czekał długo, obserwując, co działo się za płotem obozowym. Jednak wszystko zaczęło go boleć od tego leżenia w bezruchu. A może od mrozu. Sam już nie wiedział. W każdym razie czuł się, jakby przymarzył do lodowatej i twardej ziemi.

I wtedy właśnie coś zaszurało za jego plecami i zanim się zorientował, nieokreślony cień przemknął po śniegu. Serce podeszło mu do gardła i znieruchomiał.

– Psst! To ja, Kazik. – Usłyszał szept kolegi, który doczołgał się do niego i trącił go zawadiacko łokciem. – Widziałem cię, jak tu szedłeś.

Kazik oddychał gwałtownie, jakby wcześniej biegł.

– Po co tu przylazłeś? – spytał Kowala, ale ten nie odpowiedział.

Chłopiec odkleił wzrok od kolegi i zerknął w kierunku obozu. Więźniarki gromadziły się przed celtami. Uznał, że to dobry moment i wyciągnął z kieszeni cebulę. Skorzystał z okazji, kiedy jeden z wachmanów odszedł w głąb obozu, i wtedy przerzucił warzywo nad ogrodzeniem.

Spadło niezauważone w okolice domku.

– Cholera – mruknął chłopak, a potem spojrział w szeroko otwarte, przerażone oczy kolegi i podał mu drugą cebulę. – Twoja kolej.

– Zgłupiałeś, Staszek? Przecież mogą nas za to zabić. – Kazik zamarł. Chciał się wycofać spod krzaka, ale kolega szarpnął go za rękaw kurtki.

– Stój! – syknął. – Leż tu, do czasu aż wyjdą z obozu.

– Chyba zwariowałeś! – Przerazenie rysowało się w oczach Kowala. – Powiem twojemu ojcu.

– Mój ojciec od dawna im pomaga. A twój?

Kazik odwrócił głowę i wbił wzrok w schorowane, zmalretowane żywe szkielety.

– To tylko Żydówki – odparł. – Żadna z nich nie przeżyje tego obozu. One wszystkie zginą. Popatrz na nie. Ledwie się trzymają na nogach.

Staszek podał mu cebulę.

– Zamknij się – syknął przez zaciśnięte zęby. – Masz i rzucaj.

Widział, że Kazik walczy ze sobą.

W końcu kolega wyciągnął dłoń i zacisnął palce na niewielkim warzywie.

Gdzieś w oddali słyhać było głuchoe odgłosy frontowych walk.

– Słyszysz? – spytał Kazik. – Ruski są blisko, jeszcze chwila i przepędzą tę hitlerowską zarazę. Dlatego te obozy...

– Rzucaj! – przerwał mu szeptem Staszek.

– Dobra, już dobra. Ale tylko raz – zastrzegł Kazik i potarł rękawem wilgotny nos. – Szkoda cebuli. Bo oni i tak je wszystkie zabijają.

DZIEŃ TRZECI

Komisarz Bernard Gross wyszedł jako pierwszy z porannej odprawy, niosąc pod pachą teczkę z korespondencją.

Zamknął się w swoim gabinecie i dekretował pisma. Część z nich dotyczyła prowadzonych przez niego spraw, więc zostawił je na biurku, ułożone tak, że każde z nich odsłaniało nadawcę. Resztę zostawił w teczce do przekazania podwładnym.

Włączył komputer i przejrzał internet w poszukiwaniu niemieckich bagnatów z okresu drugiej wojny światowej. Z różnych wpisów odnalezionych w sieci próbował dowiedzieć się czegoś więcej na temat tej broni. W większości trafiał na opisy główni jednosiecznych wykorzystywanych przez Wehrmacht, ale na załączonych zdjęciach szybko zauważył, że sam czubek, fachowo zwany piórem bagnetu, wyglądał na dwusieczny.

A zatem, skoro w opinii Raszei ostrze narzędzia nie weszło głęboko w ciało Sądeckiego, to założenie, że rany dokonało cięcie bagnetem, mogło być prawidłowe.

Gross spojrzął na kilka fotografii bagnatów nożowych z okresu drugiej wojny światowej i sprawdził ich ceny na Allegro. Sięgały kilkuset złotych.

Wyłączył przeglądarkę i zaparzył sobie herbatę. Wpatrując się w torebkę ekspresówki, która uwalniała bursztynowe wstęgi w kubku, zadzwonił do Malwiny Lemańskiej. Kiedy odebrała, coś ścisnęło go wewnątrz.

– Cześć, Bernardzie – przywitała go serdecznie, a on zobaczył ją wtedy oczyma wyobraźni, jak poprawia niesforne kosmyki kręconych kasztanowych włosów i zakłada je za ucho. Jak uśmiechają się jej oczy pełne blasku i ciepła.

– Cześć – odparł i w zasadzie nie wiedział, co powinien powiedzieć, ale ona go ubiegła.

– Tęskniłam za tobą – wyszeptała do słuchawki.

Chciał jej opowiedzieć o swojej tęsknocie, o tym, że stał wczoraj pod jej blokiem jak młokos, wpatrywał się w okna jej mieszkania, bardzo chciał ją zobaczyć. Lecz wtedy musiałby też dodać, że znowu ważniejsza od Malwiny okazała się praca. Dlatego wołał to przemilczeć.

– Przyjdę wieczorem – obiecał, odwracając się od okna, za którym wieżę kościoła Świętego Mikołaja oświetlały jaskrawe promienie słoneczne. – Mam coś kupić?

– Nie. Po prostu przyjdź – poprosiła. W tej chwili w drzwiach gabinetu pojawiła się Skalska. Zachęcił ją gestem, by weszła.

– Na pewno?

– Wszystko mam. Przygotuję ci coś ciepłego. Masz ochotę na makaron w sosie śmietanowym z kurczakiem?

– Brzmi znakomicie.

– Oby tak samo smakowało – zaśmiała się tak, że coś drgnęło w jego sercu.

– Do zobaczenia, Malwino – powiedział.

– Czekam – odpowiedziała i Gross się rozłączył.

Skalska puściła do niego oko.

– Uuu, randka? – spytała, rozciągając usta w uśmiechu.

Machnął ręką.

– Tylko się postaraj. Ona na to zasługuje – dodała już z powagą.

Skalska wiedziała o jego romansie z bibliotekarką. Kiedyś, kilka miesięcy po samobójstwie Grzegorza Otremby, Gross zapytał ją o to, jak sobie radziła z samotnością. Nie chciał być wścibski, po prostu martwił się o nią, bał się, że podobnie jak on zacznie grzęznąć w bagnie samotności, a przecież była na to za młoda. Poza tym wiedział, że cieszyła się powodzeniem, a jeden z funkcjonariuszy, oficer dyżurny Dariusz Styczyński, wyraźnie okazywał jej zainteresowanie. Tylko dlatego Gross, zupełnie nieproszony, postanowił udzielić jej rady, aby kiedy nadejdzie odpowiedni moment i żałoba po kochanku zacznie dogasać, pozwoliła sobie na miłość.

Nie mógł więc teraz mieć pretensji o to, że młoda policjantka doradzała mu w kwestii lokowania uczuć.

Mimo to wołał opuścić niewygodne dla siebie pole i skupić się na pracy.

– Siadaj – poprosił.

Skalska odsunęła krzesło i zajęła miejsce, po czym poczęstowała go gumą do żucia, ale odmówił. Sama skusiła się na dwie pastylki, które wsunęła do ust i intensywnie rozgryzała.

– Sekcja zwłok Sądeckiego nie przybliżyła nas do prawdy o przyczynach zgonu – stwierdził Gross i zrelacjonował jej wczorajszą rozmowę z Raszeją.

– A wyskrobiny spod paznokci?

– Marian je pobrał, poszły do laboratorium – dodał i westchnął. – Poza tym wciąż nie wiemy, co z testamentem.

Skinęła głową i przez chwilę siedzieli we względnej ciszy. Zza drzwi dobiegały przytłumione odgłosy niezrozumiałych rozmów, schody zadudniły pod czyims ciężarem.

– Serio? Raszeja nic nie znalazła? – Skalska się skrzywiła. – Aż trudno w to uwierzyć.

– Jest źle, ale zawsze mogłoby być gorzej – stwierdził.

– A co z tym kocem z samochodu Wójcickiej? Pisałeś, że należał do Sądeckiego.

– Nie rozkładaliście go na miejscu, prawda? – wołał się upewnić.

– A ty byś tak zrobił? – spojrzała na niego, zła, że mógł ją posądzić o elementarny błąd w zabezpieczeniu dowodu.

Nie chciała, żeby tak to odebrała. Skalska nie dopuściłaby do takiego zaniedbania, był o tym przekonany. Nie mogli sobie jednak pozwolić na żadne błędy w postępowaniu przygotowawczym. A w takich przypadkach procedura nie pozostawiała żadnego wyboru. Chęciński musiał spakować złożony koc do kartonu, a potem dostarczyć biegłym z laboratorium kryminalistycznego w Bydgoszczy. Gross zamierzał ustalić z prokuratorką Bilską, żeby włączyła ten dowód do sprawy śmierci Sądeckiego. Dopiero wtedy kryminaliści z laboratorium będą mogli wyjąć koc i rozkładając go na raty, sprawdzić dokładnie każdą odsłoniętą powierzchnię. Chodziło o to, by nie przegapić włosów, plam krwi lub innych płynów ustrojowych. Wszystkiego tego, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie śledczych. Dopiero potem można było rozwiesić pled nad kuwetami z nadzieją, że jeśli coś zostało pominięte i przegapione, opadnie na dno plastikowych pojemników.

– Musimy ustalić, czy Małgorzata Wójcicka i Stanisław Sądecki się znali – zawyrokował Gross. – Bo sam fakt odnalezienia koca Sądeckiego w jej samochodzie to dla nas, ale i dla prokuratury będzie za mało. Po pierwsze, nie wiemy, kiedy ten koc się tam znalazł, ani w jakich okolicznościach trafił do bagażnika.

Skalska się zamyśliła.

– Jak sądzisz, jaką rolę mógł odegrać?

Gross pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Zastanawiałem się, czy nie posłużył jako nosze. Może przeniesiono na tym kocu Sądeckiego albo ułożono go na nim i zaciągnięto nad wodę.

– Ale zgodnie z tym, co twierdzi Raszeja, drobne otarcia na jego ciele są przyżyciowe – zauważyła.

– To prawda.

– Więc jak to sobie wyobrażasz? Że co? – Irytacja brała w niej górę. – Że przenieśli go i ułożyli na wodzie jak marionetkę? A on potulnie położył się w lodowatej wodzie i nie reagował? Nie krzyczał, nie wzywał pomocy?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami.

– Przecież to niedorzeczne.

– Tak – przyznał. – Zgodnie z tym, co wiemy do tej pory, niewątpliwie masz rację.

– Więc nie możemy tego zakładać, bo to zaciemni rzeczywisty obraz – upomniała go. – To zresztą twoje słowa. Ciągłe nam powtarzasz, żebyśmy nie błędzili we mgle i wnioskowali z dowodów, a nie domysłów.

– Tak – odparł ostrożnie.

Początkowo zamierzał jeszcze podzielić się z nią informacjami o drugiej wojnie światowej, o tym, że być może tajemnica śmierci Sądeckiego sięga okresu okupacji hitlerowskiej, ale miał wrażenie, że tylko by się ośmieszył. Nie miał na to żadnego potwierdzenia. Dlatego skierował rozmowę na inne tory.

– Jest coś jeszcze – dodał po chwili.

Skalska wciągnęła powietrze.

– Co takiego? – spytała.

– Musimy sprawdzić, ile tabletek Defidronu i Medrosolu miał w domu Sądecki.

Policjantka wydmuchała spory balon.

– To Szojca je wypisał, prawda?

Komisarz potwierdził, a wtedy policjantka opowiedziała mu o chłopcu z działek, który odśnieżał posesję lekarza i o tym, że Małgorzata Wójcicka leczyła się u niego prywatnie.

Gross podrapał się po brodzie.

– Facet ma złamaną rękę – przypomniał sobie na głos.

– Kiedy to się stało? – zaniepokoiła się.

– Twierdził, że we wtorek. – Gross przywołał w pamięci wizytę u lekarza. – Gips wyglądał na czysty i świeży.

– Myślisz, że mógł siedzieć w samochodzie razem z Wójcicką i doznać złamania w chwili wypadku? – zapytała.

– Wątpię. Miałby też jakieś sińce, drobne zadrapania. Więc raczej odpada. Nie mówiąc już o tym, że połowa miasta zna pewnie Szojcę, więc to, że znała go też Wójcicka, niewiele wnosi. A na razie nie wiemy, dlaczego miałby siedzieć w jej samochodzie. I nic na to nie wskazuje.

– No dobra, skoro o tym mowa, to jest jeszcze jedna sprawa. Nie mówiłam o tym, bo wydawało mi się to nieistotne – zaczęła ostrożnie Skalska. – Kiedy odwiedziłam Jacka Kowala, miał na głowie kompres.

– Sądzisz, że w ten sposób ukrywał ranę albo guza?

– Ślady krwi na desce rozdzielczej naprzeciwko fotela pasażera nie zrobiły się same. Może się uderzył.

– Wyglądał na chorego? Miał kaszel i katar?

Skalska uniosła brodę i wpatrywała się we fragment ściany nad regałem.

– Nie. Raczej nie – stwierdziła.

– Wziął urlop czy zwolnienie?

– Nie wiem. Sprawdzę to.

– W takim razie koniecznie zweryfikuj, który z lekarzy wystawił kwit.

– No właśnie, mógł mieć L4 od Szojcy.

– Trzeba to zweryfikować. I koniecznie weź pod lupę te leki – powtórzył niedawną prośbę.

– Dobra – Skalska wstała. – Ale teraz ja mam prośbę.

– Tak?

Opowiedziała mu o zbiorce dla Jaskólskiej i jej syna.

– No, jak wszyscy, to wszyscy. – Gross podszedł do kurtki wiszącej przy drzwiach i wyciągnął portfel.

– W zasadzie nie musisz mi dawać tych pieniędzy.

– No jak to? – zdziwił się.

– Bo mam jeszcze jedną prośbę.

– Śmiało – zachęcił.

– Będziesz w najbliższych dniach jechał do Torunia?

– Tak.

– Wstąpiłbyś do galerii i kupił bluzę w rozmiarze L.

– Słucham?

– Chodzi o bluzę dla syna Jaskólskiej. Marzy o takiej.

– Jakiej?

– Wyślę ci zdjęcie, tylko najpierw powiedz, czy dałbyś radę ją kupić. Dziś lub jutro.

– Dziś raczej nie. Prędzej jutro rano.

– Świetnie. Kosztuje niecałe sto pięćdziesiąt złotych.

Gross uniósł brwi.

– Dobrze, kupię ją.

– Ile ci dać pieniędzy?

– Udźwignę – odparł.

– Pewnie wolałbyś kupić jakiś model – mrugnęła do niego.

– Modeli mam więcej niż czasu na ich składanie – odparł. – I wiem, jak smakują marzenia, więc nie bój się. Kupię tę bluzę. Tylko wyślij mi jej zdjęcie.

– Podeślę.

– Będę czekał – stwierdził Gross i podszedł do biurka. Kiedy tam dotarł, zobaczył, że Skalska, chociaż stała przy drzwiach, odwróciła się w jego stronę.

– Bernardzie?

– Tak?

– Przepraszam, nie wiem nawet, jak zacząć – przypominała mu teraz skarconą uczennicę.

Gross czekał.

– Chodzi o Jojczyk – wyjaśniła.

– Co z nią?

– Stwierdziła, że od stycznia, kiedy zajmie miejsce Wojtasik, ja mogłabym przejąć dowodzenie w prewencji.

Komisarz wolno pokiwał głową. A więc o to chodzi, pomyślał.

– Jeśli tylko będziesz chciała... – zawiesił głos. – Podpiszę papiery. Od dawna zasługujesz na lepszą posadę.

– Nie. Nie w tym rzecz.

– Nie? To w czym?

– Chciała mieć tam swoje gumowe ucho.

Gross uniósł brwi.

– Odmówiłaś?

– Gorzej.

– Gorzej?

– Tak. Kazałam jej... no wiesz... – Uśmiechnęła się.

– Aaa. Rozumiem.

– Tyle tylko, że teraz się obawiam, czy ona nie będzie się mściła. Wiesz, nie tylko na mnie, bo to przeżyję. Ale na nas. Na wydziale. A głównie na tobie.

Gross machnął ręką.

– Dziękuję, że mi powiedziałaś. Ale nie przejmowałbym się tym zbytnio. I tobie radzę to samo.

– Dzięki. Ale wolałam, żebyś wiedział to ode mnie.

– Doceniam.

– Widzimy się później.

– Tak. Do zobaczenia, Moniko.

Grossowi udało się złapać Jarka Blocha na miejscu w pracowni. Kiedy zadzwonił pod numer stacjonarny w Komendzie Miejskiej Policji w Toruniu, technik zbierał się do wyjścia, bo Marian Chęciński czekał już na niego w radiowozie. Mieli kolejne wezwanie.

– Co tym razem? – spytał Gross.

– Gość z maczetą. Jedna ofiara śmiertelna w bloku na Rubinkowie – odparł technik kryminalistyki. – Ale mów, z czym dzwonisz.

– Chodzi mi o buty Sądeckiego. Udało się zdjąć z nich odfitki linii papilarnych?

– Marian się tym zajmował, ale nie pamiętam efektów. Może oddzwonię do ciebie, jak już będę siedział w samochodzie?

Gross przystał na propozycję i się rozłączył.

Nie czekał długo na telefon. Chociaż na ekranie wyświetlało się nazwisko Jarka Blocha, to usłyszał w słuchawce zmęczony głos Chęcińskiego.

– Buty czyste. Żadnych odfitek pełnych, coś tam jedynie fragmentarycznie udało mi się połapać, ale nie będziesz miał z tego pożytku – przyznał funkcjonariusz. – Próbowałem różnymi metodami, w tym cyjano-akrylową, ale wszystko psu na budę.

Gross się zasępił.

– Nic zupełnie? – wolał się upewnić.

– Przecież wiesz, Bernardzie, że gdyby było inaczej, dowiedziałbyś się pierwszy. Myślę, że te buty możesz sobie odpuścić.

– Przyjrzałeś im się uważnie?

– To znaczy?

– Nie chodzi mi tylko o odfitki linii papilarnych – zauważył komisarz.

Chęciński musiał się zamyślić, bo Gross słyszał jego oddech w słuchawce, ale mężczyzna nie odezwał się ani słowem.

– Więc jak? – ponaglił Gross.

– No jak tak pytasz, to pamiętam, że te buty wydawały mi się niemal zupełnie jak nowe – przyznał Chęciński. – Podeszwy były prawie czyste, ale nie wiadomo, czy nie opłukała ich woda.

– Albo on nie miał ich wcale na nogach – dodał Gross.

– Tego też nie można wykluczyć, Bernardzie.

– Dziękuję. Gdybyś miał dla mnie coś jeszcze... – odparł komisarz.

– Zawsze możesz na mnie liczyć – stwierdził uprzejmie Chęciński i rozmowa dobiegła końca.

Skalska ponownie zabrała się radiowozem do Bielczyn, ale tym razem jeden z kolegów, szef patrolu, poprosił, by podeszła na Rynek.

Wyczuła, że nie chcieli podjechać pod komisariat i domyślała się powodów, ale mimo wszystko chciała je usłyszeć.

– Co jest? – zagadnęła, gdy opuścili Chełmżę.

– Jakbyś nie wiedziała – bąknął kolega, odwracając się przez ramię. – Więc się nie chwal tym, że cię podrzuciliśmy, okej?

– To robota Jojczykowej? – zapytała wprost, a funkcjonariusz, krótko obcięty i dobrze zbudowany kolega z licznymi tatuażami na ramionach, którymi chwalił się na siłowni, potwierdził skinieniem.

– Ale to chyba nic osobistego – dodał. – Bo nie chodzi tylko o ciebie.

– A o kogo jeszcze?

– O cały kryminalny.

– Chyba żartujesz? – poruszyła się na kanapie.

– Chciałbym, ale Ola na pewno była daleka od żartów.

– Kiedy z wami o tym rozmawiała?

– Dziś na odprawie. Tylko umówmy się, Skalka, nie wiesz tego od nas, okej? – zastrzegł.

Pokiwała głową, a potem przez jakiś czas patrzyła przez boczną szybę na pofałdowany teren, obsypany śniegiem i rozświetlony słońcem, które wisiało nisko na bezchmurnym niebie.

– Gdzie konkretnie cię podrzucić?

– Wsiądę za torami, żebyście nie musieli kluczyć – odparła i więcej już się nie odzywała. Dopiero kiedy wóz zjechał na pobocze i Skalska odpięła pas, podziękowała za podwózkę.

Kiedy wysiadła, kilkunastostopniowy mróz od razu dał się jej we znaki. Zapięła polar pod szyją, podciągnęła też suwak ocieplacza. Zezłościła się na siebie, że nie wzięła ciepłych rękawiczek.

Nasunęła głębiej bejsbolówkę i przeszła przez pustą jezdnię w kierunku prostopadłej drogi, która opadała wzdłuż nasypu kolejowego.

Po kilku minutach marszu dotarła do domu Sądeckiego i otworzyła drzwi.

Uderzył ją smród szamba, więc zmarszczyła nos.

Przysłaniając go rękawem polara, zajrzała do łazienki i zorientowała się, że w sedesie nie ma wody, a rezerwuar jest pusty.

Cofnęła się do korytarza i uznała, że długo tu nie wytrzyma. Z kieszeni ocieplacza wyjęła parę rękawiczek lateksowych i przeszła do kuchni. Na stole, w plastikowym pojemniku po miętowych lodach, leżały różne lekarstwa. Wśród aspiryny, witamin i preparatów na nadciśnienie odnalazła blister Defidronu, w którym pozostały dwie tabletki. Ośmiu brakowało. Pozaglądała do szafek i szuflad. W jednej z nich, tej pośrodku, znalazła puste pudełko po specyfiku. Na opakowaniu było napisane, że zawiera dwadzieścia tabletek. Z brakujących ośmiu zrobiło się osiemnaście.

Skalska opuściła kuchnię i zajrzała do sypialni.

W szufladzie starego stolika nocnego odnalazła kolejne dwa blistry Defidronu. Oba były zupełnie puste. Tuż obok stał aplikator Medrosolu. Skalka potrząsnęła nim i resztką płynu

zachlupotała o ścianki niewielkiego naczynia. Ustawiła je pod światło. Lek zajmował nie więcej niż jedną szóstą objętości. Schowała go do torebki strunowej i wsunęła do kieszeni.

Wróciła do kuchni, żeby zajrzeć do śmietnika i poszukać w nim brakującego opakowania tabletek Defidronu. Jednak kosz na śmieci był pusty. Wyglądało więc na to, że kiedy Gross był tu niedawno z synem i wnukiem denata, obaj mężczyźni zrobili porządki.

Pozostało jej przeszukanie kubła znajdującego się na zewnątrz.

Przez chwilę walczyła z plastikową pokrywą, która przymarzła i nie chciała się podnieść. Skalska napięła mięśnie i plastikowy dekiel oderwał się z trzaskiem łamanego lodu.

– O, to pani – dotarł do niej męski głos.

Spojrzała w kierunku drogi.

Stał tam mężczyzna w czerwonej kurtce i niebieskich džinsach. Na głowie miał czarną czapkę nasuniętą do linii brwi, a dół twarzy zasłaniał szeroki szal. Dlatego nie poznała go od razu.

Przywitała się.

– Co pani robi? – zainteresował się Jacek Kowal.

– Grzebię w śmieciach – odparła poważnie, ale mężczyzna się zaśmiał.

– Serio? Po co?

– Widocznie mam swoje powody – odparła. – Ale dobrze, że się widzimy.

– Tak? Ma pani do mnie jeszcze jakieś pytania?

– Tylko kilka – odparła i podeszła do mężczyzny.

– Słucham – odparł.

– Idzie pan na spacer?

– Nie. Do sklepu.

– A jak się pan czuje?

– Lepiej. Chociaż nie wiem, co mi jest. Bo jestem totalnie osłabiony. Kręci mi się w głowie. Ale nie mam ani kataru, ani kaszlu – przyznał.

– Lekarz dał panu zwolnienie?

– Nie.

– To co? Urlop?

– Niestety. Do tego bezpłatny. – Zaśmiał się. – Same straty. Ale jak dalej będę się tak czuł, to jednak znowu się wybiorę do doktora.

– A gdzie się pan leczy?

– W przychodniach tłok jak cholera i nie ma kiedy się zapisać, więc pewnie pójde prywatnie do doktora Szojcy – przyznał. – Dobry specjalista. Większość tutejszych leczy się u niego. To znaczy ci, których na to stać.

– Mieszka niedaleko? – Skalska postanowiła udawać, że nie wie, gdzie znajduje się gabinet lekarza.

– W Buczku. – Kował skinął głową w kierunku wsi.

– Chętnie wypisuje zwolnienia? – mrugnęła do niego.

– Nigdy nie miał z tym problemu. Ale chyba nie o to chciała mnie pani zapytać, prawda?

– Tak, to prawda. Wczoraj miał pan na głowie kompres. Uderzył się pan w głowę?

– Nie.

– Nie jest pan ranny w czoło?

– Że co? Dlaczego pani o to pyta? – przypatrywał się Skalskiej, ale ta nic nie odpowiedziała. – Mam pokazać?

Policjantka zmrużyła oczy i czekała.

Mężczyzna ściągnął czapkę i odgarnął do tyłu włosy.

Skóra na czole nie nosiła śladów ani skaleczenia, ani uderzenia. Żadnych sińców ani tym bardziej guzów i opuchlizny po uderzeniu.

– Dziękuję – odparła.

– Mogę wiedzieć, dlaczego pani to podejrzewała?

Skalska pokręciła głową.

– No dobra, to niech pan już idzie na te zakupy – rzuciła. – Tylko nie wiem, czy to rozsądne z tymi zawrotami głowy.

– Rozsądne czy nie, czasami inaczej się nie da – odparł i się pożegnał. Po kilku krokach w stronę wsi odwrócił się i dorzucił: – Powodzenia.

– W czym? – Skalska uniosła brodę.

– No z tym śmietnikiem. – Wskazał palcem na kubeł. – Żeby znalazła tam pani to, czego szuka.

Mimo dotkliwego mrozu, który sprawił, że nie czuła palców u stóp i rąk, Skalska wybrała się drogą na Buczek. Co jakiś czas musiała pocierać zimne policzki, bo wiatr na pagórkowatym terenie się wzmaczał. Przejście szybkim tempem do domu Szojcy zajęło jej kilkanaście minut.

U Sądeckiego, w kubie na śmieci, znajdował się jeden worek odpadków. Skalska rozdarła go i rozsypała zawartość na betonowym ganku. Odnalazła kilka blistrów opakowań po Defidronie. Wszystkie schowała do worków strunowych, a następnie wyszukała w kuchni worki na śmieci i oderwała z rolki jeden z nich. Pozbierała do niego rozrzucone odpadki, zawiązała taśmą i wrzuciła z powrotem do dużego kubła.

Cofnęła się do domu i zadzwoniła do Grossa, który odebrał po kilku sygnałach. Była przekonana, że wciąż siedzi w biurze.

Opowiedziała mu o znalezisku.

– Czyli ile tabletek mógł połknąć? – spytał komisarz.

– Myślisz, że wziął je wszystkie naraz?

– Nie, niekoniecznie. Zresztą sekcja wykazała, że żołądek miał pusty, więc musimy się wstrzymać do wyników toksykologii. Ale mimo wszystko sprawdzimy, ile tabletek zdołał połknąć od chwili wykupienia lekarstwa zapisanego przez Szojcę.

– A kiedy lekarz był u niego?

– Półtora miesiąca temu.

– No to policzmy – zaproponowała Skalka. – Defidron jest sprzedawany w opakowaniach z dwoma blistrami, a w każdym z nich jest po dziesięć tabletek – odparła. – Skoro w kieszeni mam siedem pustych blistrów i jeden, w którym zostały dwie pigułki, to staruszek zażył siedemdziesiąt osiem pigułek.

– To wygląda tak, jakby brał dwie dziennie – uznał Gross.

– Tyle kazał mu brać Szojca?

– Nie. Mówił, że zapisał mu jedną na dobę.

– Cholera – mruknęła Skalska. – Może Sądeckiemu coś się pomyliło.

– Bardzo możliwe. Bo niby dlaczego miałyby pamiętać o regularnym braniu leków, skoro zapominał o znacznie prostszych sprawach, jak rozpalenie w piecu? – zauważył komisarz.

Skalska w duchu przyznała mu rację.

– Jak będziesz wracała do komisariatu – odezwał się po chwili – sprawdź, proszę, apteki i zweryfikuj, ile Defidronu wykupił Sądecki.

– Dobra, sprawdzę. Na razie idę do Szojcy. Dziś powinien wcześniej otworzyć swój gabinet. Bez odbioru.

– Bez odbioru – zawtórował komisarz.

Gross wyprowadził golfa z blaszanego garażu, ale kiedy przekręcał kluczyk w stacyjce, dobiegał go tylko cichy zgrzyt. Kontrolki rozbłysły kolorami, jednak silnik nie chciał zaskoczyć i komisarz obawiał się, że wysłużony akumulator padł ofiarą mrozu.

Warkot motoru pod maską rozbrzmiał dopiero za czwartym razem, kiedy kierowca chciał już zostawić samochód i szukać pomocy u zaprzyjaźnionego mechanika, w warsztacie przy wjeździe do Strużala. Uznał, że odwiedzi go w drodze powrotnej i wymieni akumulator zawczasu, żeby nie spotkała go przykra niespodzianka. Bateria, którą woził pod maską, mogła mieć ponad pięć lat i komisarzowi wydawało się, że i tak długo już służyła.

Obrał drogę na Toruń i zadzwonił do mechanika, żeby ten zamówił nowy akumulator.

– Jesteś pewny, że to jego wina? – spytał głos w słuchawce.

– Nie, tak mi się po prostu wydaje. Co jeszcze może powodować takie objawy?

– Chociażby cewka zapłonowa. Słyszę, że jedziesz, więc pytanie, czy szarpie, kiedy dodajesz gazu?

– Raczej nie.

– Okej, to może pojedź do mnie po południu. Zaczniemy od sprawdzenia akumulatora i jeśli rzeczywiście będzie nadawał się do wymiany, to załatwimy to jutro.

– Jest już stary. A mróz ostatnio nie odpuszcza – dodał Gross.

– Z samochodem jak z człowiekiem. Jak go nie zobaczę i nie sprawdzę, to nie postawię dobrej diagnozy – stwierdził mechanik, a komisarz przyznał mu rację.

– Dobrze. W takim razie przyjadę – obiecał.

W zakładzie opiekuńczym Fundacji „Światło” przeczytał żonie fragment powieści. Gdy słowa padały z jego ust, ona leżała na wznak wpatrzona w sufit. Tak samo nieobecna i zarazem samotna w swoim świecie.

Otarł ślinę zbierającą się w kąciku jej ust, a następnie pomasaował jej zeszywniałe dłonie. Wreszcie natarł balsamem stojącym na stoliku nocnym suchą skórę przedramion, a potem umył ręce i ponownie zabrał się do czytania.

Co jakiś czas zerkał na wychudłą twarz Agnieszki, w półprzymknięte powieki, na suche usta, które dawno temu straciły jędrność.

Odczytywał słowa z kartek, ale nie bardzo skupiał się na treści lektury. Najpierw myślał o Bartku. Miał nadzieję, że syn ponownie odwiedził matkę, ale kiedy Gross pierwszy raz tego dnia wziął książkę do ręki, okazało się, że zakładka tkwiła tam, gdzie sam ją poprzednio włożył.

Komisarz dotarł do końca rozdziału.

Odłożył książkę i ucałował żonę w czoło. Pogładził ją po dłoni, wiedząc, że znowu będzie zmuszony zostawić ją samą.

Wyszedł z sali i dotarł do pokoju opiekunek medycznych. Zapukał do drzwi, które szybko się uchyliły. Odnalazł w nim energiczną dziewczynę w granatowej odzieży medycznej, ze sprężynkami blond włosów okalającymi okrągłą twarz. Przytrzymując drzwi, zapytał ją, czy widziała ostatnio jego syna.

– A co? Stało się coś? – zainteresowała się.

Zaprzeczył.

– Zastanawiałem się tylko, czy on przychodzi regularnie w jakieś konkretne dni? – sondował.

– Nie wiem. – Kobieta się zamyśliła i przyłożyła palec do ust. – Niech pomyślę... Generalnie to ja go widywałam we wtorki. Bo wtedy mam na rano. Bartek wpadał tu około dziesiątej. Chyba jakoś tak.

– Dziękuję. Chciałbym się z nim zobaczyć, więc będę wdzięczny, jeśli nie zdradzi mu pani moich planów.

– Ale zaraz – zafrasowała się opiekunka medyczna. – To pan nie wie?

– O czym?

– Bartek prosił nas, żebyśmy opiekowali się jego matką, bo długo go nie będzie. Na pożegnanie kupił nam duży tort.

– Wyjechał? – zmartwił się komisarz.

– Tak. Planował to już jakiś czas temu.

– Ale dokąd?

– Do Anglii. Nie mówił panu? – spytała, ale Gross nawet nie drgnął. – Nasz kolega, pracownik fundacji, nagrał mu pracę w hospicjum w Doncaster.

– Skąd miał lecieć?

– Z Bydgoszczy.

Gross czekał na dalszą informację. Ale kobieta nic nie powiedziała, tylko sięgnęła po komórkę i przez chwilę czegoś w niej szukała.

Gross cały czas stał w drzwiach gabinetu.

W końcu dziewczyna podeszła do niego i pokazała mu zdjęcie w telefonie.

Był na nim jego syn. Stał z pękatym plecakiem przy niebieskim, niewysokim szyldzie z napisem „Hospicjum Świętego Jana” i wizerunkiem ważki otoczonej owalem. Za nim rozciągał się niski budynek z brązowej cegły i ciemne chmury brzemienne w deszcz. W rombie umieszczonym na ścianie szczytowej Gross dostrzegł rok zakończenia budowy obiektu – 1992.

Syn unosił kciuk i uśmiechał się szeroko.

Ten uśmiech Gross dobrze pamiętał z dawnych lat. Pełny i szczery, dokładnie taki, jakim szczęśliwe dziecko może obdarować kochających rodziców.

Ale im dłużej komisarz wpatrywał się w tę fotografię, tym mocniej czuł ukłucia w sercu.

Kobieta zabrała aparat.

– Wygląda na to, że jest szczęśliwy – powiedziała i dzięki temu Gross ocknął się ze wspomnień.

– Ma pani z nim kontakt?

– Tak.

– Niech go pani ode mnie pozdrowi – poprosił, a ona skinęła głową.

Zapadło niezręczne milczenie.

Gross skinął jej głową i zamknął drzwi.

Kiedy odjeżdżał spod ośrodka Fundacji „Światło”, coś ścisnęło mu krtań i zapiekło pod powiekami.

Włączył wycieraczki.

Zmarznięte gumy przetarły z łoskotem suchą szybę.

I dopiero wtedy się zorientował, że to nie deszcz rozmywał kontury pobliskich drzew.

Zatrzymał się w galerii Plaza i wszedł na piętro, do wskazanego przez Skalską sklepu odzieżowego. Tam na wieszakach odnalazł czarną bluzę z nadrukiem, na której zależała koleżance, i skierował się do kasy.

– Doliczyć torbę? – spytała kobieta za ladą.

– Poproszę. – Gross wydobyl portfel z wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Ma pan trzydzieści dni na oddanie towaru, ale proszę nie odrywać metki i mieć ze sobą paragon – zaznaczyła młoda sprzedawczyni z doklejonymi rzęsami i przesadnie powiększonymi ustami. – Syn się ucieszy – dodała, składając bluzę w kostkę, ale Gross tego nie skomentował. Odebrał reklamówkę i wyszedł ze sklepu.

Na parterze bezwiednie zatrzymał się przy markecie ze sprzętem RTV i gapił się w ten sam obraz wyświetlany na kilku telewizorach. Patrzył na wysportowane sprinterki, które przygotowywały się do startu. Wyrzeźbione mięśnie, kolorowe trykoty. Ciała gotowe do ekstremalnego wysiłku.

Patrzał na sportsmenki, ale wciąż myślał o Bartku, swoim dorosłym synu, który postanowił żyć z dala od chorej matki, a przecież wrócił do kontaktu z nią po latach. Gross, zupełnie irracjonalnie, martwił się teraz o jej zdrowie. Obawiał się, że jej ciało zareaguje na tęsknotę, że być może Agnieszka podprogowo wyczuje brak syna i pograży się w jeszcze głębszym smutku. O ile to w ogóle było możliwe.

Ale czy Gross mógł mieć o to pretensje do Bartka? A może powinien być dumny z syna, że ten postanowił stanąć na nogi? Dobrze wiedział, że chłopak zawałił studia w Poznaniu i że cierpiał z powodu uzależnienia od alkoholu. A jednocześnie Gross był przekonany, że powrót do matki, kontakt z chorą kobietą coś zmienił w postępowaniu syna, który z nastolatka przeobraził się w dojrzałego mężczyznę.

To go pocieszyło, ale gdzieś wewnątrz czuł się opuszczony i osamotniony. Wracając do Chełmży, wciąż miał przed oczami swojego uśmiechniętego syna przed hospicjum Świętego Jana w Doncaster. Człowieka, który jechał do pracy, walczyć o siebie, lecz pewnie także mierzyć się z samotnością ludzi żegnających się z życiem z dala od ciepła rodzinnego domu.

Pogrążony w myślach, niemal automatycznie przemierzał znaną trasę. Dopiero przy skręcie do swojego bloku przypomniał sobie o wizycie u mechanika w Strużalu i dlatego pojechał prosto.

Kilkaset metrów dalej zaparkował pod wpółotwartą bramą warsztatu, ale przez boczne podłużne szyby widział, że w obszernym garażu z dwiema bramami świeci się jarzeniówka. Wszedł do wewnątrz i zastał Jerzego Trulę w kanale, nad którym stało renault laguna w wersji kombi. Kombinezon roboczy mechanika był upaprany plamami smarów i olejów.

– O, jesteś już, Bernardzie – powitał go Jerzy. – Dasz mi chwilę? Kończę tu z wydechem i zaraz weźmiemy się za twojego golfa.

– Poczekam w samochodzie – odparł i wrócił do zaparkowanego przed ogrodzeniem pojazdu. Oparł głowę na zagłówek, po czym spojrzał w lewo.

Po drugiej stronie drogi dostrzegł dom Leokadii Żurek. Cienka wstęga szarego dymu wiła się po ciemnoniebieskim niebie. Za niewielkim budynkiem, w gasnącym powoli słońcu, błyszcząca zamarznęta tafla jeziora.

Gross przypomniał sobie rozmowę z kobietą, która starała się ocalić dla następnych pokoleń wspomnienia świadków żyjących na tych ziemiach w okresie okupacji hitlerowskiej. Zastanowił się, dlaczego emerytowana nauczycielka zajmowała się organizacją spotkań z młodzieżą. Chyba nie chodziło tylko o to, że nadal chciała nauczać historii albo że potrzebowała kontaktu z ludźmi. Był przekonany, że za tak sporym wysiłkiem organizacyjnym stało coś jeszcze. Może miłość do miejsca, w którym żyła?

Nagle tknęła go pewna myśl.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do Malwiny Lemańskiej. Miał nadzieję, że podpowie mu, z kim powinien się skontaktować, żeby znaleźć potwierdzenie swoich założeń.

Czekając na połączenie, wciąż patrzył na dom nauczycielki.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale... – nie zdążył dokończyć.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie przyjdiesz wieczorem? – zaniepokoiła się.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Sądziłam, że właśnie dlatego dzwonisz. Że po prostu coś ci wypadło.

– Nie. Przyjdę, tak jak obiecałem – zapewnił i przeszedł do sedna. – Słyszałaś o lekcjach żywej historii organizowanych przez Leokadię Żurek?

– Oczywiście. Reklamujemy je nawet na plakatach rozwieszonych u nas w czytelnicy.

– To są otwarte spotkania?

– Teoretycznie tylko dla szkół, ale Łodzi zależało na tym, żeby przychodzili wszyscy zainteresowani mieszkańcy.

– Pewnie to niedorzeczne, ale powiedz mi, czy gromadzicie archiwalne plakaty tego cyklu?

– Nie. Nie było takiej potrzeby – wyjaśniła. – A po co ci one?

Chłód zaczął wypełniać kabinę i Gross czuł, że zmarzły mu dłonie.

– Chciałem sprawdzić, kto do tej pory spotkał się z mieszkańcami – stwierdził.

– Czy to ma związek ze sprawą, którą się zajmujesz?

– Nie wiem. Możliwe. Ale niewykluczone, że błędzę po omacku i marnuję czas – westchnął.

– Plakatów nie zbieramy, bo każde spotkanie jest rejestrowane.

– Słucham? – poprawił się w fotelu.

– Wydaje mi się, że Krzysiek Łubkowski z Chełmżyńskiego Ośrodka Kultury wrzucał je na YouTube'a.

Gross ściągnął brwi.

– Czy Leokadia Żurek o tym wiedziała?

– Oczywiście, to był w końcu jej pomysł – odparła Malwina.

Porozmawiali jeszcze chwilę, a Gross odnotował w pamięci nazwę kanału, który podała mu bibliotekarka.

Kiedy się pożegnali, uruchomił aplikację w telefonie, żeby zerknąć na nagrania chełmżyńskich lekcji żywej historii. Przeciągnął palcem po ekranie i odnalazł materiał z udziałem Stanisława Sądeckiego. Nie odtworzył go jednak, bo wciąż zastanawiał się, dlaczego nauczycielka historii wprowadziła go w błąd, mówiąc, że nikt nie nagrywał spotkań.

A poza tym dotarło do niego coś jeszcze.

Kiedy zapytał Leokadię Żurek, kto może wiedzieć coś na temat konfliktu między Kowalem a Sądeckim, wzruszyła ramionami i spuściła wzrok, unikając jego spojrzenia.

Teraz był już zupełnie przekonany, że wciąż żyje ktoś, kto prawdopodobnie dobrze wiedział, co poróżniło chłopców podczas wojny.

Spokojnie przejrzał listę nagrań ze świadkami okupacji. Tytuły filmów składały się z daty oraz imion i nazwisk gości. Lista zaczęła się kurczyć i Gross tracił już nadzieję, że znajdzie na niej nazwisko, którego szukał. To nie mogło być takie proste, pomyślał, gdy zjechał w końcu na sam dół i przyjrzał się tytułowi pierwszego zarejestrowanego spotkania.

Film miał piętnaście minut, został nagrany w klasie jednej ze szkół miasta lub gminy. Za siedzącym pośrodku pomieszczenia szczupłym mężczyzną o smutnym spojrzeniu widniała czarna tablica z wypisanym kredą tematem: „Podobozy KL Stutthof w pobliżu Torunia i Chełmży”.

Pod nim dostrzegł nazwisko gościa i wtedy bezwiednie przygryzł wargę.

Na zatrzymanym slajdzie widział siwego mężczyznę w rogowych okularach. Starszy człowiek, z siecią zmarszczek i plamami wątrobowymi na wysokim czole, miał lekko uniesioną brodę i patrzył daleko przed siebie, tuż nad okiem kamery.

W jego spojrzeniu było coś, co kazało Grossowi sądzić, że zapewne nie widział sprzętu rejestrującego obraz ani zebranych w szkolnej sali uczniów.

Zdaniem Grossa Józef Żurek patrzył gdzieś daleko w przeszłość, jakby miał wgląd w to, co dawno przeminęło, chociaż w jego głowie dramatyczne obrazy wciąż skrzyły się żywymi kolorami.

W ogrodzeniu posesji doktora Pawła Szojcy Skalska zauważyła dwie furtki. Jedna, pozbawiona domofonu, prowadziła wprost do schodów i drzwi gabinetu znajdującego się w piwnicy. Wejście przez tę bramkę nie dawało dostępu do ogrodu ani do drzwi domu, bowiem ten fragment działki został wyгородzony specjalnie dla pacjentów.

Skalska wybrała więc drugą furtkę, za którą elegancko odśnieżony chodnik prowadził wprost do szerokich kamiennych schodów wyłożonych gumą, u szczytu których znajdowały się białe, łukowe drzwi wejściowe.

Przed ogrodzeniem, wzdłuż drogi na Buczek, parkowały dwa samochody i oba były puste. Z kolei w dwóch piwnicznych oknach, prawdopodobnie w gabinecie i poczekalni, świeciło się światło, co utwierdziło Skalską w przekonaniu, że lekarz rozpoczął już przyjmowanie pacjentów.

Zadzwoniła domofonem i czekała, przestępując z nogi na nogę. Nie czuła już swoich stóp, zziębniętych i ciężkich, zupełnie jak dwie bryły lodu.

Dałaby wszystko, żeby się ogrzać.

Coś zatrzeszczało w głośniku.

– Do gabinetu furtka obok – powiedział kobiecy głos i słuchawka została odwieszona.

Skalska zadzwoniła raz jeszcze i tym razem nie dała nikomu dojść do słowa.

– Policja, aspirantka sztabowa Monika Skalska. Proszę otworzyć.

Cisza nie zwiastowała niczego dobrego, ale po chwili blokada zamka została zwolniona i Skalska weszła na teren prywatny.

Zanim zdążyła zapukać, drzwi się uchylily. Stała za nimi starsza pani, ubrana w gruby dres. Krótkie, kręcone siwawe włosy układały się niczym aureola wokół jej głowy.

Skalska okazała jej legitymację i weszła do ciepłego wnętrza.

– Co się stało? – spytała kobieta, splatając dłonie.

– Chciałabym chwilę porozmawiać.

– Mąż przyjmuje pacjentów.

– Domyślam się. Ale z nim porozmawiam później. Najpierw chciałabym zamienić parę słów z panią.

Kobietę wyraźnie zaintrygowała obecność policjantki. Wskazała na niewielkie pomieszczenie obok przestronnego holu. Znajdował się tam okrągły biały stół z kamiennym, głośno tykającym zegarem pośrodku. Wokół ustawiono cztery krzesła w tym samym kolorze, ale z bordową tapicerką. Na ścianie wisiał obraz z wiosennym wiejskim krajobrazem i jeśli Skalska dobrze odczytała datę i podpis, pochodził sprzed wojny. Wyglądało na to, że przedstawiał wieś, w której się znajdowali, a może nawet miejsce, gdzie stał teraz dom Szojców, zamiast namalowanej drewnianej chałupki.

– W czym mogę pani pomóc? – spytała kobieta.

– Pani jest żoną Pawła Szojcy?

– Tak, Halina Szojca. A o co chodzi? – Gospodyni wyprostowała plecy.

– Spokojnie. Nie przynoszę żadnych złych wieści.

– Całe szczęście – odparła Szojca, ale napięcie z niej nie zeszło. Wciąż siedziała sztywno, jakby wstrzymywała oddech.

– Chodzi o Michała Jaskólskiego – wyjaśniła Skalska.

– To znaczy?

– Zna go pani?

– Tak. Poznałam niedawno.

– W jakich okolicznościach?

– Chciał odśnieżać nasze chodniki.

– Za pieniądze? – dopytała Skalska.

– A to nie wolno? – wystraszyła się kobieta.

– Wolno.

– Ufff – machnęła ręką. – A ja już myślałam, że chodziło pani o ten wypadek.

– Jaki wypadek?

– To znaczy o tę złamaną rękę męża.

Skalska uznała, że lekkie skinienie powinno wystarczyć za odpowiedź.

– Powiem pani, jak było – stwierdziła kobieta. – Paweł wywalił się na tej cholерnej kamiennej posadzce. – Wskazała palcem w kierunku drzwi wyjściowych. – Mówiłam mu, żeby kupił jakieś gumowe wycieraczki, bo jak spadnie śnieg, to na tym kamieniu jest piekielnie ślisko, ale oczywiście o tym zapomniał.

– Kiedy to było?

– No teraz we wtorek, jak była ta szklanka. Wywalił się i musiałam go zawieźć do szpitala.

– O której?

- Jakoś chyba po dziewiątej.
- Widziała pani, jak upadł?
- Nie, spałam jeszcze. Obudził mnie jego krzyk. Wpadł do domu i jęczał straszliwie.
- To było złamanie otwarte?
- Nie, na szczęście nie. Bo inaczej to ja bym zemdląca.

Skalska spodziewała się usłyszeć inną odpowiedź. Brak rany oznaczał, że Szojca nie mógł być pasażerem Wójcickiej. Uznała jednak, że zweryfikuje to w szpitalu.

– Czyli nie słyszała pani, o której wyszedł z domu? – wróciła do głównego wątku rozmowy.

– Szczerze? Nie. Ale mąż lubi wcześnie wstać i kawę w spokoju wypić. Zawsze tu sobie siada – wskazała na wolne krzesło – i patrzy na drogę – tym razem odwróciła się do okna. – W każdym razie kiedy wyszedł z sypialni, było jeszcze ciemno. A ja obróciłam się na drugi bok i spałam dalej. Jestem na emeryturze, to wreszcie mogę się wyspać, prawda? – Uśmiechnęła się.

– A co z tym Michałem?

– Właśnie. – Uniosła palec. – Michał pojawił się tu tydzień temu. Albo jakoś tak. I zapytał, czy mógłby sobie dorobić, odśnieżając chodniki. Bo pewnie pani wie, że ten chłopiec mieszka z matką w altanie?

Skalska ponownie skinęła głową.

– No więc – kontynuowała Halina Szojca – wtedy mąż mu odmówił, twierdził, że póki ma siły, sam to będzie robił, ale nagle się okazało, że ten nastolatek spadł nam jak z nieba. Śnieg zaczął gęsto sypać, czego się nie spodziewaliśmy, a do męża przychodzą pacjenci. Nie chcieliśmy ryzykować, że ktoś się tutaj połama. Ale jak na ironię połamał się mój mąż.

– Czyli że wcześniej Jaskólski tu nie przychodził?

– Tylko jako pacjent. Mąż leczył go w przychodni. Wtedy też dowiedział się o jego nieciekawej sytuacji i dał znać Jaskólskiej, że jakby chłopiec był chory, to on pomoże i nie będzie brał od niej pieniędzy – wyznała kobieta.

– Czyli wychodzi na to, że Michał zaczął swoją pracę we wtorek, tak?

– Tak, wcześniej rano przed szkołą. Ale mąż poprosił go, żeby odśnieżył tylko wejście do gabinetu. Paweł uparł się, że przed domem zrobi to sam.

– Przepraszam, ale to ważne. Te sto złotych to zapłacili mu państwo z góry za jakiś okres?

– Słucham? – Kobieta zaśmiała się. – Jakie sto złotych?

– Pani mąż zapłacił mu sto złotych, prawda?

– A gdzież tam! Po pierwsze, mój mąż nie ma głowy do takich spraw i jak zawsze wszystko, co dotyczy domu, spadło na mnie. Dlatego umówiłam się z chłopcem, że będę mu

płaciła raz na tydzień, licząc dziesięć złotych za każdy dzień odsnieżania. Dlatego na wypłatę przyjdzie czas dopiero w przyszły wtorek.

Skalska porozmawiała jeszcze chwilę z żoną lekarza, a potem pożegnała się i wyszła. Dotarła do drugiej furtki i skręciła w kierunku wejścia do gabinetu.

W poczekalni młoda kobieta w eleganckim brązowym kostiumie założyła nogę na nogę i przyglądała się swoim tipsom. Naprzeciwko niej siedział czterdziestoletni mężczyzna z lekką nadwagą. Z plecami wygiętymi w łuk wpatrywał się w ekran smartfona. Nie zwrócił nawet uwagi na Skalską, która weszła właśnie do tego małego pomieszczenia o białych ścianach. W rogu wisiał niewielki telewizor. Emitowany widok z kamery, zamieszczonej prawdopodobnie w helikopterze, ukazywał Wielki Kanion Kolorado o zachodzie słońca.

Policjantka nie zamierzała siadać, od razu wyjęła blachę i uprzedziła dwoje pacjentów, że wejdzie pierwsza. Żadne z nich nie zaprotestowało.

Odczekała, wpatrując się w dziewicze przestrzenie Arizony. Kiedy w końcu drzwi się otworzyły i wyszła z nich matka z kilkulatkiem, ruszyła do środka.

– Proszę – usłyszała głos lekarza, kiedy była już wewnątrz nowoczesnego gabinetu z kozetką po prawej za parawanem.

Skalska uniosła blachę i powiedziała, że właśnie skończyła rozmawiać z żoną Szojcy, co ten przyjął z obojętnym wyrazem twarzy.

– Rozumiem, że nie przyszła pani po poradę medyczną – stwierdził, poprawiając temblak i odsuwając rękę w gipsie na bok.

– Chętnie bym skorzystała, ale obawiam się, że mnie nie stać.

Uśmiechnął się pod wąsem.

– W takim razie w czym mogę pomóc?

– Zna pan Małgorzatę Wójcicką?

– To moja pacjentka?

– Zna pan? – powtórzyła Skalska, wciąż stojąc przed biurkiem siwobrodego lekarza.

– Jeśli znam, to wyłącznie jako pacjentkę.

– Kiedy widział się z nią pan ostatnio?

– Dlaczego pani pyta o takie rzeczy? Stało się coś?

– Niech mi pan odpowie.

– Mogę sprawdzić w programie. – Wskazał grubym palcem na laptopa.

– Pytam, czy widział się z nią pan poza gabinetem.

Lekarz ściągnął okulary.

– Już wiem... – przygryzł zausznik. – Chodzi o kobietę, która zginęła w Bielczynach. To była Wójcicka, prawda?

– Zna ją pan? – powtórzyła Skalska, walcząc z irytacją.

– A więc to ona. Tak, była moją pacjentką.

– Widywaliście się poza gabinetem?

– Nie, nigdy. Co pani insynuuje? – Założył okulary i wskazał zdrową ręką na krzesło przed biurkiem.

Skalska zajęła miejsce.

– Co pan robił we wtorek rano?

Szojca uniósł zagipsowane przedramię.

– Tańczyłem na lodzie – zaśmiał się.

– A wcześniej?

Szojca podrapał się po wypielegnowanej, lśniącej brodzie.

– Rano, jak zawsze, wstałem krótko po piątej i zrobiłem sobie kawę. Potem, przy śniadaniu, przeczytałem „Politykę” i „Newsweeka”, bo oba tytuły wciąż trzymają poziom. Reszta to chłam. Po śniadaniu miałem wziąć prysznic, ale mi się przypomniało, że czeka mnie odśnieżanie, a pocę się przy tej robocie niemiłosiernie, więc odpuściłem.

– Przypomina pan sobie, czy tamtego ranka, przed szóstą, drogą na Buczek jechał jakiś samochód?

– Wie pani, najczęściej widuję czerwone światła, bo większość samochodów jedzie w kierunku miasta. Dodatkowo tamtego dnia była paskudna mgła.

– Chodzi o osobówkę – dookreśliła Skalska, nie zwracając uwagi na poprzednią wypowiedź lekarza.

Doktor uniósł krzaczaste siwe brwi i spojrzał w sufit.

– Naprawdę nie pamiętam – odezwał się po chwili i rozłożył ręce. – Pamiętam za to coś innego.

Skalska czekała na informację.

Doktor przyłgnął plecami do oparcia i nabrał tchu. Fotel zatrzeszczał.

– Ktoś tamtędy szedł – wyciągnął zdrową rękę w kierunku okna.

– Kto?

– Nie wiem. Widziałem tylko zarys człowieka w kurtce z kapturem, który chwilę później rozpląnął się we mgle. Zwróciłem na niego uwagę z dwóch powodów. Po pierwsze, szedł prosto, jakby kierował się drogą na działki, a po drugie miałem wrażenie, że trochę jakby kuśtykał.

– Wysoki, niski?

- Nie mam pewności.
- A może to był Michał Jaskólski, który podobno odśnieżał tego dnia przed gabinetem?
- Nie. Michaś przyszedł później. Poza tym tamten facet kuśtykał. Mówiłem już.
- A o której go pan widział?

Doktor spojrział gdzieś w bok i wydał wargi.

- Nie jestem pewien, ale niewykluczone, że było już kwadrans po siódmej.

Opony ślizgały się na śniegu, ale po chwili bieżnik złapał przyczepność i golf szarpnął do tyłu.

Gross wyjechał na drogę asfaltową. Wrzucił jedynekę, a potem dojechał do najbliższego skrzyżowania z drogą gruntową i odbił w lewo.

Samochodem kiwało na skutych mrozem nierównościach, ale po około czterystu metrach zjechał z pagórka w kierunku domu Leokadii Żurek. Za budynkiem skrzyła się częściowo zamrznięta tafla jeziora, a w oddali rysował się zalesiony brzeg.

Drobna kobieta z kokiem siwych włosów otworzyła mu niemal bezzwłocznie, jakby czekała na niego przy drzwiach.

Gross nie mógł wykluczyć, że po prostu usłyszała nadjeżdżający samochód.

- To znowu pan? – odparła zaskoczona, ale Gross wyczuł w jej głosie odrobinę niepokoju.

Uchyliła szerzej drzwi, by mógł wejść do wiatrołapu.

Zastanowił się, jak to rozegrać.

Film, który obejrzał w popularnym serwisie, został nagrany kilka lat temu, a Józef Żurek z przejściem opowiadał o okropnościach wojny i znęcaniu się hitlerowców nad Żydówkami w obozie w Grodnie. Zdarzało się, że wzruszenie odbierało mu mowę, usta drżały, a dłonie, z powykręcanymi od artretyzmu palcami, sięgały do wilgotnych policzków.

Gross zdawał sobie sprawę, że nagranie zostało pocięte i zapewne spora część zapisu nie znalazła się w internecie. Wyglądało to tak, jakby skupiono się wyłącznie na historii tego jednego z podobozów KL Stutthof.

W ostatniej minucie zarejestrowanego spotkania na fragmencie białej ściany tuż obok tablicy wyświetlono zdjęcia, które komisarz już dobrze znał.

Te same fotografie z ekshumacji Żydówek, które Stanisław Sądecki zamierzał spalić.

– Czy moglibyśmy jeszcze porozmawiać? – Starał się być uprzejmy, bo nie chciał, żeby Leokadia Żurek odczytała to jako groźbę lub przymus. Kobieta wpatrywała się w niego z rosnącym niepokojem. – Chodzi o nagrania spotkań z młodzieżą. Twierdziła pani, że nikt ich nie rejestrował, a ja właśnie obejrzałem krótki film z pani pierwszym gościem.

Żurek spuściła wzrok i przez chwilę walczyła ze sobą, jakby nie wiedziała, co zrobić. W końcu zostawiła Grossa w sieni i przeszła wolno do kuchni.

Odczekał jakiś czas i podążył za nią.

Zastał ją wpatrzoną w jezioro.

Stała bokiem do niego, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Spojrzał za okno i dostrzegł łód skradający się od brzegu do niewielkiego oka czarnej wody pośrodku akwenu. Otaczał je zewsząd i było pewne, że wkrótce odbity w pomarszczonej tafli las, rosnący po drugiej stronie jeziora, zniknie pod warstwą matowej kry.

– Dlaczego nie chciała pani, żebym z nim porozmawiał? – spytał.

– Jest już stary i schorowany. Nie pamięta, jak się nazywa, nie wie nawet, kim jestem. Rzadko mnie rozpoznaje.

– On ich znał, prawda?

Kobieta skinęła głową.

– Wiedział, co poróżniło Kowala i Sądeckiego? – dociekał komisarz.

– Nawet jeśli, to nigdy mi o tym nie powiedział.

– A wtedy w klasie?

– Też nie. Zgodził się jedynie na wspomnienia ze stycznia czterdziestego piątego. Widział wtedy wymarsz Żydówek z opuszczonych obozów. Pamiętał, jak najśłabsze z nich zostały. Hitlerowcy obiecali im transport pociągiem, a kiedy tylko marsz się oddalił, ciszą w Grodnie wstrząsnęły wrzaski kobiet. Ale trwały krótko i potem zapadła upiorna cisza – westchnęła ciężko. – Ojciec opowiadał, że kiedy wszyscy żołnierze się wynieśli, miejscowi odkryli mnóstwo trupów. Więźniarki niezdolne do długiej drogi zabito, uderzając pałką w głowę. Zamordowano w ten sposób dwieście kobiet. W Chorabiu natomiast pozostałe Żydówki, a było ich nieco mniej, rozstrzelano. Egzekucję przeżyło tylko dwadzieścia osiem osób.

– Kowal i Sądecki widzieli to, co się stało w Grodnie?

– Nie wiem. Ojciec o tym nie mówił.

– A do kogo należały te zdjęcia z ekshumacji? – nawiązał do obrazów, które dostrzegł na filmie.

– Do Sądeckiego. Tata był u niego krótko przed spotkaniem z młodzieżą i je pożyczył.

– A skąd Sądecki je miał?

Krucha kobieta wzruszyła ramionami, po czym usiadła przy stole.

Gross odsunął sobie krzesło i poszedł w jej ślady. Rozpiął kurtkę, bo zaczęło mu się robić ciepło.

– Wszyscy wiedzieli, że on od dawna interesował się ekshumacjami i zbierał dostępne materiały na ten temat – kontynuowała Leokadia Żurek. – Tyle tylko, że Sądecki był temu przeciwny.

– Czemu dokładnie?

– Strasznie się denerwował, kiedy słyszał o rozkopywaniu masowych grobów osób pochodzenia żydowskiego.

– Dlaczego?

– Ja się na tym nie znam, ale jeśli dobrze zrozumiałam, chodziło o to, że zabraniała tego wiara. Podobno judaizm traktuje kości jak świętość. Dlatego jeśli naruszy się grób zmarłego, to zakłóci się również spokój jego duszy w niebie. Więc Sądecki robił wszystko, żeby blokować planowane odgrzebywanie mogił.

– Skutecznie?

– Największe masowe groby zostały rzeczywiście odkopane, jeszcze w czasach, kiedy władza komunistyczna miała za nic nakazy jakiegokolwiek religii. Ale pan sobie chyba nie zdaje sprawy z tego, że ta ziemia kryje więcej takich mogił, w których Żydówki grzebano pojedynczo albo po kilka ciał. Ojciec opowiadał, że hitlerowcy zabijali je jak kaczki. Zostawiali w błocie, deptali po nich w drodze powrotnej, a miejscowi grzebali te zwłoki. Chodziło o godność tych biednych, półnagich kobiet, ale także o szerzące się w obozach choroby. No i o widok. Nikt nie chciał patrzeć, jak trupami karmią się bezpańskie psy i ptactwo. Nikt nie chciał, by te sceny oglądały dzieci.

Tym razem to Gross pokiwał głową.

– Sądzi pani, że te zdjęcia należały do Sądeckiego?

– Nie. Ale jeśli dobrze zrozumiałam ojca, Stanisław dawno temu, jeszcze za PRL-u, sporo za nie zapłacił. Miały mu posłużyć za dowód, że państwo polskie popełnia niewybaczalny błąd. Liczył na to, że uda mu się zainteresować sprawą ówczesnego ambasadora Izraela.

– Zna pani dalszy ciąg jego interwencji? – spytał, ale kobieta zaprzeczyła.

Gross czekał na kolejne informacje, ale kiedy milczenie się przedłużało, wstał.

– Pani ojciec jest naprawdę chory?

Leokadia Żurek skinęła głową i podniosła się z krzesła.

Wychodząc z kuchni, zachęciła go gestem, by ruszył za nią.

Znaleźli się w pokoju dziennym, umeblowanym skromnie, z odstającym od ściany obrazem Chrystusa z cierniem w pozłacanej, pokrytej grubą warstwą kurzu ramie. Leokadia Żurek otworzyła drzwi do kolejnego pokoju i weszła do środka. Gross stanął w progu.

Na specjalistycznym łóżku leżał starszy człowiek z zapadłymi policzkami.

Spał z otwartymi ustami, wątła klatka piersiowa unosiła się wolno i opadała.

Kiedy kobieta dotknęła jego ręki, nawet nie drgnął. Dopiero po chwili uniósł powieki, ale zamknęły się z powrotem.

– Z tygodnia na tydzień jest coraz gorzej – powiedziała emerytowana nauczycielka.

Na szafce obok komisarz dostrzegł paczkę pampersów dla dorosłych i kremy do pielęgnacji ciała. Gdzieś obok posapywało cicho jakieś urządzenie. Gross dobrze znał ten dźwięk. Musiał to być materac przeciwodleżynowy z komorami, które raz nabierały powietrza, a raz je wypuszczały. Na podobnym leżała jego żona.

– Bardzo mi przykro – stwierdził, a potem podziękował kobiecie za rozmowę.

Odprowadziła go do drzwi.

– Musi pan wiedzieć coś jeszcze – dodała, gdy Gross zapiął kurtkę. – Mój ojciec zapomniał mu je oddać.

– Co takiego?

– Te zdjęcia. Zapomniał o nich. Trzymał je przez kilka lat w swoim albumie.

– I co się z nimi stało?

– Nic. Przeleżały u nas i w końcu, robiąc niedawno porządki, uznałam, że powinny trafić do właściciela.

– Oddała mu je pani?

– Tak. Tydzień temu zaniiosłam je Staszкови.

Tym razem Gross skorzystał z otwartej bramy i wjechał na podwórze warsztatu samochodowego. Znajomy mechanik wciąż siedział w kanale, ale obiecał zająć się golfem policjanta i podstawić mu auto na koniec dnia pod blok.

Komisarz przystał na propozycję i wrócił do Chełmży piechotą.

Pogoda zaczęła się zmieniać i gęste chmury napłynęły nad miasto od zachodu, gnane przez wzmagający się, paskudnie zimny wiatr. Jeszcze nie był tak dokuczliwy jak ostatnio, ale Gross obawiał się, że to się wkrótce zmieni. Okresowe powiewy, niczym regularne oddechy niewidzialnego giganta, szarpały jego kurtkę i zbierały drobiny śniegu zalegającego na polach. Białe wstęgi podrywały się i tańczyły energicznie, a po chwili opadały na ziemię, jakby ktoś nagle pozbawił je życia.

W drodze do komisariatu myślał o Żydówkach i chłopcach, którzy byli zbyt młodzi, by oglądać bestialskie zachowania niemieckich żołnierzy, by widzieć krew i zwłoki. Ale myślał również o śledztwie, które nie układało się po jego myśli. Niby stale dowiadywał się czegoś nowego, ale ilekroć zrobił krok naprzód, jednocześnie musiał wykonać dwa do tyłu.

Wszedł do gabinetu i od razu zaparzył sobie herbatę. Pił ją drobnymi łykami. Nim zdążył włączyć komputer, zadzwonił stacjonarny.

– Wejdz do mnie na chwile – poprosila Lucyna Wojtasik.

Podniósł się niechętnie i przeszedł do sekretariatu. Uporządkowane biurko i zasunięte krzesło wskazywały na to, że Beata Różycka skończyła pracę.

Zapukał do drzwi komendantki i nacisnął klamkę, nie czekając na wezwanie.

Wojtasik nie podniosła na niego wzroku. Czytała dokument, który trzymała w ręce.

– No, co tak stoisz? Siadaj – stwierdziła obojętnym tonem.

– Miało być na chwilę – odparł. – Herbata mi stygnie.

Przewróciła oczami i odłożyła papiery. Splotła palce i ułożyła dłonie na blacie.

– Mogę się dowiedzieć, co wy odwalacie? – spytała.

Gross wsunął ręce w kieszenie sztruksów.

– Jakies zbiórki na biednych? Czy ty pracujesz w Caritasie, czy w komisariacie? – irytowała się szefowa.

– A dołożyłaś się?

– Przestań! – warknęła i wstała. – Skalska zaczyna mi działać na nerwy.

Wojtasik podeszła do okna i odwróciła się do Grossa tyłem. Skrzyżowała ramiona.

– Co ona sobie wyobraża, do cholery? Naprawdę uważasz, że pomoc biednym mieszkańcom to nasza robota? Chcesz na komisariacie rozdawać paczki? Przecież jako służba mundurowa już jesteśmy pośmiewiskiem. Co to w ogóle za pomysły z tą zbiórką?

Gross ostentacyjnie zerknął na zegarek.

– Ukrót to – poleciła komendantka.

– Myślałem, że masz jakiś poważniejszy temat – odparł i skierował się do drzwi.

– Bo mam – odezwała się, gdy chwycił za klamkę.

Gross odwrócił się.

– Jaki? – spytał.

– Muszę poznać twoją decyzję, bo w Brodnicy nie będą czekać w nieskończoność.

– Znasz moją decyzję – przypomniał jej zniechęcony. – Nigdzie się stąd nie ruszam.

– Jeszcze masz czas, żeby to przemyśleć – zachęciła. – Potem, kiedy stąd wyjadę, będzie już za późno.

– Za późno? – rozłożył ręce. – Na co?

– Wiesz, że Jojczyk przejmie tu dowodzenie.

– No i?

Wojtasik odwróciła się do okna.

Gross widział z tego miejsca skutą lodem fragment jeziora.

– Zrobi roszady i dobierze sobie współpracowników.

– Jeśli chcesz mi powiedzieć, że przestanę być szefem kryminalnych, to żałuję, że Ola nie zacznie pracy już jutro.

– Przecież stracisz też pieniądze – jej twarz przepełniona była troską, odwróciła się.

– *Vis maior* – rzucił.

– W Brodnicy na pewno byś się odnalazł. To większy garnizon – odezwała się, ale Gross wskazał na drzwi.

– Herbata – przypomniał po cichu i wyszedł.

Skalska opuściła szpital w chwili, gdy uliczne lampy błysnęły pomarańczowym światłem. Jasne owale układały się na odśnieżonych chodnikach i zaspach zalegających krawędzie jezdni w centrum miasta.

Odwiedziła znajomego, szefa ochrony, który poza protokołem pokazał jej wtorkowe zapisy monitoringu z izby przyjęć. Chciała uzyskać potwierdzenie, że Szojca jej nie oszukał. I rzeczywiście pojawił się na nagraniu krótko po dziewiątej, ze zgiętą ręką, którą trzymał blisko ciała. Do lecznicy wprowadziła go żona. Grymas bólu wykrzywił jego twarz. Po chwili młody ortopeda, co objaśnił jej ochroniarz, przyjął z uśmiechem starszego kolegę i Skalska nie miała już wątpliwości, że Szojca mówił prawdę.

Jedna z wersji śledczych, zupełnie nieumotywowana i niepodparta najmniejszymi poszlakami, właśnie upadła. Powinno ją to cieszyć, a jednak czuła się przygnębiona, bo w sprawie niewyjaśnionej śmierci Sądeckiego stali pod ścianą.

Policjantka podziękowała koledze i labiryntem szpitalnych korytarzy wyszła na ziąb.

Kilkadziesiąt minut wcześniej, kiedy opuściła gabinet Szojcy, wstąpiła po drodze do domu syna Stanisława Sądeckiego. Starszy człowiek przyjął ją uprzejmie i odszukał dane, które miał zapisane w komórce. Nie zaprosił do pokoju, więc stali w zimnej sieni wypełnionej zapachem wilgoci, przesiąkniętej odorem przepoconych butów.

– A po co pani PESEL mojego ojca? – zdziwił się Leszek Sądecki.

– Muszę sprawdzić, jakie leki wykupywał. Bez PESEL-u żadna apteka nie pomoże mi tego ustalić.

– No tak, z nimi tak to właśnie jest – odparł i przedyktował ciąg cyfr, który Skalska zapisała w notatniku swojego telefonu.

– A skoro już o tym rozmawiamy, do której apteki chodził pana ojciec? – spytała.

– Jak sam, to chyba do tej koło zakładu pogrzebowego. Kiedyś odbierałem coś dla niego właśnie stamtąd. Czasami też mój syn realizował ojca recepty, ale Wojtuś z kolei zatrzymywał się przy biedronce, tu niedaleko. Wie pani gdzie?

Wiedziała.

To była pierwsza apteka, w której postanowiła zapytać o lekarstwa Sądeckiego.

Kobięcy personel okazał się pomocny i Skalska weszła na zaplecze do niewielkiego gabinetu, gdzie przyjął ją kierowniczka, około pięćdziesięcioletnia elegancka kobieta o pociągłej, zadbanej twarzy i jasnej cerze. Duże piwne oczy podkreśliła dyskretnie

jasnobrązowym tuszem. Na prośbę Skalskiej przeszukała system pod kątem realizacji recept wystawionych na Stanisława Sądeckiego.

– Jest – oznajmiła po krótkim oczekiwaniu na rekordy odnalezione przez komputer. – Defidron. Cztery opakowania. Odebrał je na początku listopada.

– Kto wystawił tę receptę?

– Sekunda. – Kliknęła myszką, a Skalska widziała, jak w delikatnych okularach farmaceutki odbijała się niebieska poświata ekranu. – Doktor Janina Pilecka.

– A Medrosol?

– Medrosolu nie mam.

– Ani później, ani wcześniej?

Kobieta potwierdziła skinieniem.

– Pan Sądecki nie kupował tego specyfiku u nas.

Skalska podziękowała jej za pomoc i udała się w kierunku miasta do apteki zlokalizowanej w pobliżu Zakładu Pogrzebowego „Kondukt”. Kiedy tamtędy przechodziła, minęła się z Igorem Wójcickim, który pogrążony w smutku, szedł z pochyloną głową i nie zauważył policjantki. Skalska najpierw chciała do niego podejść, żeby się przywitać, ale ostatecznie i tak nie miała mu nic nowego do powiedzenia. Wyjaśnienie sprawy dramatu na drodze z udziałem jego żony pozostawało w podobnym zawieszaniu co zgon Sądeckiego. Do wyjaśnienia została jeszcze sprawa koca odnalezonego w bagażniku samochodu Małgorzaty Wójcickiej, ale Skalska uznała, że w tej sprawie powinna czekać na decyzję Grossa.

Wdowiec wszedł do zakładu, w którym paliło się dyskretne światło, i chwilę potem policjantka widziała jedynie poruszające się w oklejonej witrynie cienie.

W drugiej aptece pomocny okazał się farmaceuta, który skontaktował się telefonicznie z kierownikiem i przekazał Skalskiej słuchawkę. Wyjaśniła powód swojej wizyty i mężczyzna zgodził się na przeszukanie systemu, o czym poinformował swojego pracownika, kiedy ten przejął z powrotem słuchawkę.

– Czego szukamy? – spytał młody mężczyzna z krótkim, gęstym zarostem przykrywającym czerwone placki na policzkach.

Skalska przedyskutowała mu nazwy leków, gdy do apteki weszła starsza kobieta i poprosiła o ziołowe tabletki na gardło. Farmaceuta obsłużył ją i po chwili wrócił do aspirantki sztabowej, która rozglądała się uważnie po wnętrzu.

– Defidron i Medrosol. Od jednego specjalisty. Po dwa opakowania. Wykupione na początku grudnia. Dokładnie w poniedziałek trzeciego.

– Sam to wykupił?

– Takich danych nie mamy – odezwał się z przeproszającym uśmiechem młody mężczyzna.

– Ale macie monitoring, prawda? – Skalka uniosła brodę w kierunku kamery zawieszanej w rogu pomieszczenia.

– Nie wiem, czy mogę – zawahał się.

– Nie robimy nic bez zgody kierownika. Niech pan raz jeszcze do niego zadzwoni i przedstawi mu moją prośbę.

Mężczyzna cofnął się tym razem na zaplecze i wrócił po kilku minutach, uchylając drewniany blat przy ścianie, tak by Skalska mogła się przecisnąć między ladę a regały wypełnione kolorowymi opakowaniami leków.

Farmaceuta zaprowadził ją do pokoju z komputerem, na którym znajdował się podgląd z dwóch kamer ustawionych w rogach apteki. Jedna skierowana była na drzwi, druga na obie kasy i przeszklenia oddzielające klientów od obsługi.

Mężczyzna usiadł przy klawiaturze i uruchomił program do odczytywania zapisów monitoringu. Wprowadził do systemu datę oraz godzinę. Chciał wstać, wpuścić Skalską na miejsce, ale policjantka położyła mu dłoń na ramieniu.

– Niech pan odtworzy – poprosiła, a potem, kiedy nagranie ruszyło, sięgnęła po gumy i poczęstowała pracownika apteki. Odmówił. Skalska rozgryzła pastylki i poczuła, jak ostra mięta szczypie ją w język.

Na ekranie niewiele się działo. Jasnowłosa kobieta w białym fartuchu wprowadzała dane do komputera. Po chwili drzwi się otworzyły i jakaś inna w wełnianej czapce, obwiązana szalikiem, weszła do apteki. Podała farmaceutce receptę, ta zaś sięgnęła najpierw do pobliskiej szuflady po dwa opakowania leku, a następnie przeszła się do dalszego regału przy drugiej kasie, gdzie szukała innego specyfiku.

Nie znalazła go jednak i odwróciła się do pacjentki, żeby coś jej powiedzieć, po czym ruszyła na zaplecze.

Kobieta została sama i przez chwilę patrzyła na zegarek.

– To na pewno jest sprzedaż Defidronu i Medrosolu zapisanych dla Sądeckiego? – Skalska wolała się upewnić.

– Tak – zapewnił farmaceuta. – Godzina się zgadza, system rzadko się myli.

– Wygląda na to, że jakiegoś leku nie ma, prawda? – kontynuowała Skalska.

– Pewnie był zamówiony wcześniej i czekał na odbiór na zapleczu.

– Może pan zrobić jakieś zbliżenie na twarz tej kobiety? – Skalska wskazała na klientkę, ale właśnie w tym momencie kobieta ściągnęła czapkę i poprawiła krótkie włosy.

– Chwileczkę. – Pracownik skupił wzrok na programie, poszukując odpowiedniej ikony.

– Już nie trzeba – odparła Skalka, bo właśnie rozpoznała kobietę na nagraniu.

Nie miała ani cienia wątpliwości, że leki dla Sądeckiego odebrała Małgorzata Wójcicka.

ROK 1945, STYCZEŃ

Zimową wiejską ciszę przerwały wystrzały artylerii, które brzmiały jak odgłosy stukających o siebie kamieni. Chociaż wciąż dalekie, zdawały się wyraźniejsze niż jeszcze kilka dni temu.

Chłopiec, który sporo wolnych chwil spędzał ukryty w lesie, obserwował Żydówki. Poruszały się jak żywe trupy, były już u kresu sił, ale musiały kopać rowy przeciwczołgowe w zmarzniętej ziemi. Nie miał jednak wątpliwości, że do hitlerowskich uszu, niesione przez lodowaty wschodni wiatr, dolatywały odgłosy walk na linii frontu.

Nerwowi i jeszcze bardziej brutalni, co trudno sobie wyobrazić, bez mrugnięcia okiem zabijali te wychudłe kobiety.

Stosy zupełnie nagich szkieletów rosły.

Blade ciała ginęły pod białym śniegiem, który sypał w ich otwarte oczy, gromadził się w dolinach zapadłych policzków, ginął w studniach otwartych ust, złożonych jakby do ostatniego krzyku.

Jesienią furmanka odbierała zgromadzone przy bramie obozowej zwłoki raz na tydzień. Zimą kursowała już każdego dnia, czasami dwukrotnie. Drewniane koła wyłobily w warstwie ubitego śniegu głębokie koleiny i tarły o zmarzniętą glebę, znacząc biały trakt czarną ziemią. Te dwie żałobne wstęgi spływały w dół, w kierunku jeziora, i biegły dalej, do cypla, który wznosił się w zmarzniętą taflę wody. Obok czekały ziejące czernią jamy zbiorowych mogił.

To wszystko, co widział, eksterminacja i pośpiech, potwierdzało słowa tatula, że ruska armia, wraz z polskimi oddziałami, zbliżała się do Bydgoszczy i Torunia.

Nadchodził dzień wyzwolenia.

Mimo to w ciemnych kątach polskich domów wciąż jeszcze czaił się do skoku lęk. Hitlerowcy jeszcze nie odpuścili, a kiedy to zrobią, kiedy zaczną wreszcie uciekać przed Armią Czerwoną, polska ziemia znowu będzie krwawić. Tak przynajmniej mówił tatul. A co tatul mówił, zawsze się sprawdzało.

– A te Żydówki? – zapytał niedawno Staszek, gdy jechali furmanką do Mirakowa. – One przeżyją?

Ojciec nie odpowiedział. Patrzył w kierunku horyzontu, tam gdzie biel pól stykała się z szarym niebem i gdzie tkwiły ciemne plamy odległych kęp drzew i nieliczne domostwa z zabudowaniami gospodarskimi.

Terkot odległych strzałów był cichy i zgasł po chwili.

– Przeżyją? – zapytał ponownie Staszek, naciągając podwójnie złożony koc na uda.

– Część z nich pewnie tak.

– A które?

Wóz zakołysał się na nierównościach. Koń szarpnął mocniej. Stukot kopyt był teraz jedynym dźwiękiem, który wybrzmiewał w opustoszałej okolicy.

– Tylko te najsilniejsze.

– Jest ich dużo. Mogłyby rzucić się na wachmanów. Na hitlerowców.

– Widziałeś, jak wyglądają, prawda? – Mężczyzna spojrzał na syna. Krzaczaste brwi i gęsty wąs poruszały się w ten sam sposób, kiedy ojciec się złościł. – Niby jak mają to zrobić? Są głodzone i katowane, synku. Modlą się, żeby przeżyć, ale obawiam się, że ich modlitw nikt nie słyszy.

– I nic nie można zrobić?

Mężczyzna uniósł gwałtownie rękę, dając synowi znać, by zamilkł, a sam nadstawił uszu.

– Słyszysz? – Terkot broni automatycznej dobiegał gdzieś z boku, tam gdzie pofałdowana ziemia przysłaniała horyzont. – Nasi przyjdą i dopiero wtedy one będą mogły liczyć na pomoc. Polskie wojsko je ocali.

Chłopiec pamiętał tę rozmowę, ale kiedy spotkał się dwa dni później z Kazikiem, ten nie miał dla niego dobrych wieści.

– Oni się zbierają – rzucił kolega. – Ojciec mówił.

– Że co?

– Że likwidują obóz i je stąd wyprowadzą.

– Wywiozą, jeśli już. Pociągami. Przecież one już nie mają siły chodzić – powtórzył słowa tatula.

Kazik uderzył go palcem w środek czoła.

– Głupiś! Gdyby mogli, to Niemcy sami wsiedliby w pociągi i uciekli. A Żydówki będą szły.

– Ale dokąd?

– A skąd mam wiedzieć? Raczej na zachód, skoro na wschodzie pełno Ruskich.

– Kiedy je zabiorą?

Kolega wzruszył ramionami.

– Ojciec mówił, że to nie potrwa długo – zapewnił Kazik. – I że znowu trzeba będzie chować trupy.

Staszek pokiwał głową, ale w głębi duszy w ogóle nie zgadzał się z kolegą.

– Trzeba im pomóc – powiedział.

– Niby jak?

– Nie wiem – wzruszył ramionami.

Kazik się zaśmiał.

– One są już martwe. A ty, jak będziesz coś kombinował, to też dostaniesz bagnetem pod żebra.

Staszek zacisnął usta i odszedł.

Później znowu krył się w lesie, kilkadziesiąt metrów od linii rowów, które kopały Żydówki. Nie znalazł tu tamtej dziewczyny o pięknych dużych oczach, której ostatnio obiecał, że wróci. Nie widział jej już od dłuższego czasu i przejął go lęk, że być może ona już nie żyje. A przecież miał dla niej nie tylko pajdę chleba, którą trzymał w kieszeni.

Miał coś jeszcze.

Nową obietnicę.

DZIEŃ TRZECI, WIECZOREM

Malwina, tak jak obiecała, przygotowała na kolację makaron w sosie śmietanowym z kawałkami kurczaka. Gross jadł w milczeniu, rozkoszując się smakiem ciepłego, dobrze doprawionego dania.

Kiedy skończył, usiedli w pokoju dziennym. Porozmawiali chwilę o jej pracy, o problemach z zakupami nowo wydanych książek i o użytkownikach social mediów, wśród których biblioteka powinna szukać nowych czytelników. Malwina martwiła się jednak, że stare biblioteki, którym brakowało pieniędzy na remont i nowoczesne wyposażenie, zakup gier planszowych i konsol, skazane były na dryfowanie, z trudem utrzymując się na powierzchni. Uważała, że współczesna rola tej instytucji nie mogła ograniczać się do rozbudowy księgozbioru. Nowoczesne biblioteki powinny pełnić funkcję miejsc spotkań dla wszystkich mieszkańców miejscowości, niezależnie od wieku. Bo gdzie, jak nie tam, mówiła, mają odbywać się wieczorki brydżowe i szachowe, noce z planszówkami, rywalizacja w grach komputerowych, ale też nauka szydełkowania i dziergania na drutach, warsztaty rękodzieła czy wreszcie cykliczne spotkania z pisarkami i pisarzami.

Gross słuchał jej z przyjemnością. Uwielbiał jej entuzjazm i błysk w oku, gdy z pasją mówiła o swojej pracy, o dążeniu do zmian, tworzeniu lepszego świata wokół siebie, otwartego na innych, w którym każdy mógł znaleźć własne miejsce i remedium na samotność. Ponadto uważał, że biblioteka może być jak książka. Pomiędzy jej okładkami zawarte jest uniwersum, które zmienia się w zależności od czytelnika i chociaż treść jest ta sama, oferuje każdemu z nich inne wrażenia.

Podzielił się z nią tą myślą.

– Hmm... – Zamyśliła się z tajemniczym uśmiechem. – Masz rację – stwierdziła, a zaraz potem wstała z fotela i wyszła na chwilę do przedpokoju. Kiedy wróciła, trzymała w ręce obłożoną w folię cienką książkę, którą podała policjantowi.

– Wyjaśniło się coś z tym Sądeckim? – spytała, gdy Gross wpatrywał się w szarą okładkę, na której widniało stare, czarno-białe zdjęcie przedstawiające fragment obecnej ulicy Sikorskiego. Na jednej z kamienic po prawej powiewała flaga ze swastyką. Gross odczytał tytuł: *Ocalone wspomnienia. Chętmża i okolice w okresie okupacji hitlerowskiej*.

Otworzył książkę i przerzucił strony tytułowe z odbitą czerwoną pieczęcią biblioteki. Na kolejnych kartkach przeczytał, że wywiady z mieszkańcami miasta i okolicznych wsi przeprowadziła Leokadia Żurek.

Zbiór wspomnień powstał w 1999 roku.

Gdzieś dalej tkwiła zakładka, ale komisarz nie otworzył książki w zaznaczonym miejscu, tylko spojrzął na Malwinę.

Dopiero teraz dotarło do niego, że o coś go spytała. Poprosił, by powtórzyła, a kiedy to zrobiła, Gross potarł brodę.

– Ta sprawa jest wyjątkowo dziwna – odparł wymijająco i ponownie spojrzął na książkę.

– W jakim sensie?

– Obawiam się, że w każdym – westchnął. – Mężczyzna był stary i schorowany, cierpiał na demencję, a uszkodzona pamięć, jak na złość, wyostrzała obrazy z przeszłości.

– Z okresu wojny?

– Przynajmniej tak to odbieram – potwierdził i znowu zajrzał do książki. – Od okupacji minęło wiele lat i, chociaż wydaje mi się to zupełnie nonsensowne, mam wrażenie, jakby wojna, która przez całe dziesięciolecia pozostawała w pamięci Sądeckiego uśpiona albo w letargu, właśnie teraz nabrała kolorów. Wojna jak drzemiący wulkan.

– Ale co by to miało znaczyć? Bo nie bardzo rozumiem. – Malwina ściągnęła brwi.

– Obawiam się, że ja też nie – przyznał Gross i uniósł książkę. – Ale może to mi coś wyjaśni.

Malwina poprawiła kasztanowe włosy, które spływały na jej plecy.

– Kiedy wspomniałeś o Leokadii Żurek, przypomniałam sobie, że przed erą YouTube'a wydała tę książkę. Zaczęłam ją podczytywać w pracy.

Gross skinął głową.

– Nie wyjmę tej zakładki, nie martw się – zapewnił.

– Chodzi o to, że właśnie tam jest coś, co może cię zainteresować.

– Co takiego?

– Józef Żurek, opowiadając o dniach poprzedzających wyzwolenie, wspomina o Sądeckim i jego sąsiedzie, Kazimierzu Kowalu. Poza tym fragmentem, przynajmniej do zaznaczonego rozdziału, nie ma więcej wzmianek o zmarłym.

Gross podziękował jej i przekartkował książkę aż do wspomnień Żurka.

W miejscu, gdzie tkwiła kolorowa zakładka ze zdjęciami chełmżyńskich zabytków, po lewej stronie znajdowała się czarno-biała fotografia Józefa, jeszcze wtedy zażywnego sześćdziesięciodziewięcioletniego mężczyzny o okrągłej twarzy i mięsistych wargach, z blisko osadzonymi oczami i sporym nosem.

Gross zagłębił się w lekturę i czytał o początkach wojny, która kilkuletniego chłopca i jego rodzinę naznaczyła traumą. Już w pierwszych miesiącach okupacji sąsiedzi z niemieckimi korzeniami, zasilający dumne szeregi Selbstschutzu, wyprowadzili siłą z domu Alfonsa Żurka, ojca małego Józefa, i chłopiec już nigdy więcej go nie zobaczył. A krótko potem

w jednej z akcji odwetowych rozstrzelano na oczach matki jego dwóch starszych braci, Klemensa i Joachima.

Kobieta wróciła wtedy do małego mieszkania na poddaszu kamienicy przy Rynku, otworzyła szeroko okno i postawiła wysoki taboret przy parapecie. Zrzuciła buty, a potem na drżących nogach stanęła na stołku i zamknęła oczy. Józef obserwował to wszystko z boku i nie rozumiał nic z zachowania zdesperowanej rodzicielki. Dzień był chłodny, miasto ciche, gdziekolwiek dało się tylko słyszeć niemieckie okrzyki i stukot oficerskich obcasów na kocich łbach.

Wiatr poruszał podwójnymi drewnianymi oknami, których ramy uderzały o siebie i wprawiały szyby w lekkie drzenie.

Józef zbliżył się do matki i kiedy ta, wciąż z zamkniętymi oczami, uniosła głowę, a następnie oderwała pięty od taboretu, złapał za rąbek jej spódnicy i odezwał się: „Mamusi, co ty robisz? Zejdź, bo się przeziębisz”.

Dopiero wtedy się ocknęła i zdała sobie sprawę, że ciągle ma dla kogo żyć.

Gross przeczytał jeszcze kilka akapitów, aż doszedł do fragmentu, który prawdopodobnie zainteresował Malwinę.

Józef Żurek opowiadał tu o tragicznym losie Żydówek z podobozów KL Stutthof zorganizowanych w kilku wsiach na północny wschód od Torunia, w tym w Grodnie. Uwagę Grossa przyciągnęła ostatnia strona wspomnień mężczyzny.

Słyszało się we wsi o tym, jak raz czy drugi ktoś próbował pomóc więźniarkom. Jedna zdołała ukryć się w lesie, ale wachmani szybko ją odnaleźli. Inne dwie z kolei, krótko przed powrotem do obozu, znalazły schronienie w chlewie. Przez jakiś czas gospodarz, Wardecki się nazywał, je dokarmił, ale hitlerowcy szybko połapali się, że stan osobowy się nie zgadza, więc odnaleźli je i zabrali z powrotem. A wszyscy myśleli, że ubiją je na miejscu i że rozłupią ich czaszki kolbami, jak to zwykle robili, bo nie chcieli marnować naboju, a zwłoki zostawią w błocie. I że potem rozstrzelają całą rodzinę Wardeckich, a przynajmniej gospodarza samego, który do końca kłamał hitlerowcom, że nikogo w chlewie nie chowa.

Więcej prób pomocy więźniarkom nie pamiętam. Chociaż po latach ludzie we wsi gadali, że dwóch chłopaków było świadkami, jak młodą Żydówkę ktoś próbował ukryć, ale nikt nie dawał wiary ich świadectwu. I ja też, jako kolega Staszka i Kazika, bo ich dobrze znałem, mówię, że to raczej nie było możliwe. Bo oni obaj mówili, że to się działo w trakcie marszu śmierci, czyli wtedy, kiedy obozy likwidowano, część Żydówek starych, chorych i wyniszczonych niegodziwymi warunkami i ciężkimi robotami zabito, a resztę, która zdołała przebiec dwadzieścia metrów, zapędzono do wyniszczającego dalekiego marszu.

I marsz ten szedł przez Buczek w kierunku Bielczyn, i tam były kolejne ofiary. Ale ja już tego nie widziałem, znam to tylko z przekazów ustnych innych osób, więc wypowiadał się nie będę. Niech

mówią ci, co widzieli, co tam na ten czas mieszkali. Tylko dodam, że cała droga na północ Polski znaczone była krwią tych biednych kobiet. I pełno tam anonimowych mogił było, bo miejscowi kopali groby, gdzie się dało, chowali ciała, żeby choroby się nie rozprzestrzeniły, żeby psy bezpieczeństwa, dzikie zwierzęta i ptactwo ich nie jadły i dlatego też, że po prostu każdemu należy się miejsce spoczynku.

Po latach Żydówki, które przeżyły to piekło, przyjeżdżały tu z rodzinami, układały kamienie na miejscach pochówku swych matek, sióstr i córek. Wskazywali je mieszkańcy, którzy pamiętali jeszcze tamte straszne czasy.

Gross przeczytał dwukrotnie fragment wspomnień, po czym wpatrując się w książkę, myślał intensywnie o tym, czego właśnie się dowiedział. I co ta wiedza zmieniała w jego próbie odkrycia prawdy o śmierci Stanisława Sądeckiego.

Śnieg głośno skrzypiał pod butami aspirantki sztabowej Moniki Skalskiej, kiedy szła doliną pogrążoną w zupełnej ciemności. Zostawiła za sobą miasto ginące w ciemnoszarej zimowej mgle, której pasma, niczym unoszące się w powietrzu duże płachty, rozciągały się także w obszernym zagłębieniu terenu. Przed jej oczami majaczyły ciemne kępy drzew, a wyżej, na wzniesieniu, Skalska dostrzegła zarysy domów z nikłymi światłami w oknach.

Mróz dawał o sobie znać.

Kiedy zbliżała się do ogrodów działkowych, dostrzegła niewielką altanę ukrytą za drzewami i uciekający na bok dym z komina. Ucieszyła się na samą myśl, że wkrótce się rozgrzeje.

Poczuła wibracje telefonu, zanim rozbrzmiała melodia.

– Cześć. Darek mówi. – Usłyszała głos oficera dyżurnego.

– Hej – odparła.

– Szukałem cię ostatnio.

– Wiem, Judyta mi mówiła.

– No tak, mogłem się domyślić – westchnął.

– Co u ciebie? – Skalska wizualizowała w myślach młodego policjanta. Pamiętała go z siłowni, kiedy zmęczona po treningu piła wodę i obserwowała Styczyńskiego. Sportowa koszulka opinała się na sporych bicepsach, a krótkie spodenki odsłaniały wyrzeźbione długodystansowymi biegami mięśnie ud i łydek. Napinały się i rozluźniały, ukryte pod wilgotną od potu skórą.

– Jakoś leci – stwierdził. – Pomyślałem, że może miałabyś ochotę na wypad do Torunia.

– Kino czy restauracja? – uśmiechnęła się na samą myśl.

– A może jedno i drugie? – zaproponował.

– Kiedy?

– Jak tylko zgramy grafiki – zaśmiał się.

– Dobra. Przynajmniej spróbujmy.

– Ale chyba ci przeszkadzam, bo słyszę, że dokądś idziesz.

– Próbujemy z Grossem zając się śmiercią staruszka z Bielczyn i tamtejszym wypadkiem.

– Przyjmowałem oba zgłoszenia.

– Wiem. Słuchaliśmy nagrań – stwierdziła Skalska, zbliżając się do ogrodów działkowych. Smród unoszący się z komina pierwszej z altan stawał się nieznośny, więc musiała zmarszczyć nos. – A tak à propos, czy w trakcie obu rozmów coś zwróciło twoją uwagę?

– Ale co konkretnie?

– Nie wiem. Cokolwiek.

– Hmm. Musiałbym pomyśleć.

– Wszystko wydawało ci się naturalne?

– Kurczę, przeczuwam, że wiesz więcej ode mnie.

– Nie, skąd – uspokoiła go. – Chodzi mi tylko o twoje wrażenia.

– Pomyślę, Monia. Dam ci znać.

Nikt dawno jej tak nie nazwał. Chciała zaprotestować i poprosić, by zwracał się do niej tak jak inni, by użył jej ksywki.

– No dobra. I zgramy też grafiki w sprawie kina.

– To przede wszystkim. Dam ci znać. A na razie trzymaj się i do zobaczyska.

– Do zobaczyska. – Skalska zakończyła połączenie w chwili, gdy przekraczała furtkę ogrodów działkowych.

Wciąż nie wiedziała, czy była gotowa na nowy związek, ale może Gross miał rację, że powinna dać sobie szansę. Tylko tyle. Jeden wypad do Torunia przecież niczego nie zmieni.

Albo zmieni wszystko.

Założyła jednak od razu, że po powrocie z kina i restauracji nie zaprosi Styczyńskiego do siebie i nie skończą w łóżku. Darek, chociaż po rozwodzie, wydawał jej się wrażliwym facetem i wciąż pamiętała ich rozmowę, podczas której przesadziła, insynuując, że jest nią zainteresowany tylko dlatego, żeby ją przelecieć. Wyglupiała się wtedy i wstyd palił ją aż do teraz. W zasadzie była wdzięczna Styczyńskiemu, że mimo wszystko dał jej kolejną szansę.

Ale najbardziej zaskoczyło ją to, że jakoś dziwnie na nią wpływał. Jakby kruszył jej pancerz, który latami budowała, by móc pracować w tym zmaskulinizowanym zawodzie, w którym kipiało od testosteronu.

Przy Darku górę brała jej kobiecość. Do tego stopnia, że kiedy tylko wspomniał o wspólnym wypadzie, Skalska pomyślała, że włoży sukienkę. Oczywiście jeśli tylko te, które wisiały w szafie, nie zostały przeżarte przez mole.

Policjantka skierowała się do altany Jadwigi Jaskólskiej. Ktoś kręcił się wewnątrz. Mróz malował wzory na szybach.

Skalska zapukała w drewniane drzwi.

– Ojej. To znowu pani? – Właścicielka niewielkiej działki nie kryła zaskoczenia i poprawiła poły grubego szlafroka. – Proszę, proszę. – Pokiwała energicznie głową, gdy zimne powietrze wcisnęło się do domku.

Uchyliła szerzej drzwi, ale nie puściła klamki. Skalska, żeby dostać się do niewielkiego, klaustrofobicznego wnętrza, musiała precyzyjnie przycisnąć się tuż obok gospodyni.

Ciepło buchało z rozpalonej kozy. Płomienie obejmowały polana, które trzaskały głośno.

– Michał znowu coś zbroił? – zaniepokoiła się pulchna kobieta, kiedy przekręciła zamek.

Chłopca nie było w domu.

– Nie – odparła policjantka i się uśmiechnęła. – Niech się pani nie niepokoi. Ja w innej sprawie.

– Innej? A co się stało?

– Nic się nie stało. – Skalska ściągnęła plecak i trzymała go przez chwilę w dłoniach, po czym rozpięła i wyciągnęła ze środka kopertę. – Zrobiliśmy na komisariacie małą zrzutkę. – Spojrzała na Jaskólską, która wydawała się jeszcze bardziej zdziwiona niż przed chwilą.

Policjantka podała jej kopertę, a kobieta otworzyła usta, chociaż nie padło z nich żadne słowo.

Zerknęła do wnętrza i opuszką kciuka dotknęła rantu banknotów.

– Dwa tysiące złotych – wyjaśniła Skalska. – Zanosi się na niezwykle mroźną zimę. Przydadzą się pani te pieniądze.

– Boże... – Kobieta przyłożyła dłoń do dekoltu i jej oczy zrobiły się wilgotne. – Ale, jak...

– Mam też coś dla Michała. – Policjantka musiała uważać, żeby Jaskólska się nie rozplakała. Dlatego od razu ponownie sięgnęła do plecaka i wyciągnęła reklamówkę, którą wcześniej Gross zostawił u oficera dyżurnego. – Mam nadzieję, że się ucieszy – dodała.

– Co to jest? – spytała Jaskólska, gdy tylko odzyskała głos.

– Bluza. – Skalska wyciągnęła odzież i zaprezentowała ją matce chłopaka. Ta pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Boże, ale skąd to wszystko? Dlaczego? – Ponownie odebrało jej głos. Musiała usiąść na sofie, a kiedy ta pod nią jęknęła, wskazała na krzesło przy prowizorycznym biurku.

– Pani siądzie.

Skalska zajęła miejsce w pobliżu kozy.

– Liczyłam, że go zastanę – stwierdziła aspirantka.

– Jest w modelarni. Bardzo lubi tam chodzić – wyjaśniła matka chłopca.

– U Marka Wantowskiego?

Dawno temu Skalska, dzięki Grossowi, poznała mężczyznę, który organizował warsztaty modelarskie dla dzieci i młodzieży. Zaszczepiał w młodych ludziach pasję, ale też miłość do historii. A przede wszystkim uczył ich cierpliwości i wytrwałości, nastawienia na cel, ciągłego doskonalenia się. I pokazywał, że może istnieć świat bez komputera.

– O której wróci? – dopytała policjantka.

– Zazwyczaj przychodzi po ósmej. Poczekaj pani?

– Nie. Ale proszę go pozdrowić i powiedzieć, że mógłby mnie odwiedzić jutro w komisariacie. Jeśli oczywiście będzie chciał.

Jaskólska skinęła głową.

Gorące powietrze, które biło od kozy, miało siłę młota. Początkowa przyjemność zaczęła przeradzać się w torturę. Palił ją cały bok.

– Na mnie czas – powiedziała Skalska i klepnęła się w uda.

Jaskólska też się podniosła, ale wciąż nie odłożyła koperty.

– Nie wiem, jak pani dziękować – stwierdziła łamiącym się głosem.

– Niech pani to potraktuje jako prezent na święta.

Kobieta skinęła głową i nagle rozwarła ramiona, żeby mocno wyściskać policjantkę. Skalskiej zabrakło tchu. A potem, kiedy Jaskólska ją puściła, Skalska wyszła wprost w mroźną noc, która czyhała na nią za drzwiami.

Gross ocknął się późnym wieczorem.

Telewizor wciąż grał cicho, ale Malwina zapewne spała już w sypialni. Teraz przypomniał sobie, że dawno temu wstała, coś do niego powiedziała, pocałowała go, a potem słyszał szum wody odkręconej w łazience.

Dopił zimną herbatę.

Odłożył książkę, którą trzymał na kolanach, i wyłączył telewizor.

Kiedy obraz zgasł, komisarz wciąż siedział na sofie i przyglądał się swojemu odbiciu w czarnym błyszczącym ekranie.

Telewizor.

Przypomniał sobie, że kiedy Janusz Kowal odnalazł siedzącego w fotelu Stanisława Sądeckiego, odbiornik był wyłączony, a na ekranie wyświetlał się biały szum.

Uświadomił sobie, że zupełnie wypadło mu z głowy, by sprawdzić, co mógł oglądać starszek. Ciągle coś sprawiało, że zapominał o tym zadaniu.

Zły na siebie sięgnął po komórkę i uruchomił internet, po czym odszukał program telewizyjny z minionego poniedziałku i zaczął przyglądać się audycjom nadawanym

późnym wieczorem. Teraz mógł w spokoju przeanalizować zakres tematyczny wyświetlanych programów. Trafił na współczesne filmy, publicystykę, kilka dokumentów i seriali.

Nic specjalnego, a jednak poczuł, że powinien iść w tym kierunku.

Wybrał numer do Skalskiej.

– Tak? – odezwała się po kilku sygnałach, zmęczona i dysząca w słuchawkę. Gross domyślił się, że szła energicznym krokiem.

– Sądecki miał włączony telewizor – przypomniał i spytał. – Co oglądał?

– Nie mam pojęcia – odparła.

– Ja też nie. Ale przyglądałem się programowi telewizyjnemu z dnia poprzedzającego jego śmierć.

– I co?

– Nic. Zupełnie nic.

– A jakie kanały wzięłaś pod uwagę?

– Jedynekę i dwójkę, TVN i Polsat. Nie sądzę, by Sądecki oglądał cokolwiek innego. Dla pewności spytam jeszcze jego syna lub wnuka. Może oni coś mi podpowiedzą.

– Ja bym sprawdziła telewizję regionalną.

– TVP3?

– Tak. Starsi ludzie zazwyczaj lubią oglądać wszystko to, co dotyczy ich sąsiedztwa.

– Masz rację. Sprawdzę to – stwierdził i zamierzał się pożegnać, ale Skalska była szybsza.

– A skoro już dzwonisz, to muszę ci coś powiedzieć. Małgorzata Wójcicka odebrała leki Stanisława Sądeckiego.

Gross analizował tę informację.

– Zabezpieczyłam nagranie – dodała Skalska.

– Skąd je odebrała?

– Z apteki w pobliżu Zakładu Pogrzebowego „Kondukt”.

– Kiedy? – spytał.

– W poniedziałek trzeciego grudnia.

Gross potarł twardą szczecinę na brodzie.

Pomyślał o kocu odnalezionym w samochodzie Wójcickiej, a także o tym, że jeśli ktoś chciał przemieścić ciało Sądeckiego, szczególnie kobieta, to ułożenie mężczyzny na kocu i przeciągnięcie go po oblodzonej nawierzchni aż nad brzeg jeziora znacznie ułatwiłoby zadanie.

– I jest jeszcze coś. Doktor Paweł Szojca nie kłamał – kontynuowała Skałka. – We wtorek rano złamał rękę i żona podrzuciła go do szpitala, gdzie założono mu gips. Przejrzałam

monitoring w szpitalu i jedno jest pewne, to nie było złamanie otwarte, mężczyzna nie krwawił, więc raczej to nie on siedział z Wójcicką w toyocie, kiedy samochód wpadł na drzewo. Ale co ciekawe, Szojca, zanim złamał sobie rękę na oblodzonym ganku przed domem, widział z okna kuchni mężczyznę, który szedł od strony Buczka w kierunku działek.

– Była mgła – przypomniał Gross.

– Niby tak. W każdym razie mówił mi, że ten ktoś trochę jakby kulał. Niestety niczego więcej z niego nie wyciągnęłam.

Gross trącał paznokciem narożnik okładki obłożonej folią.

– I co o tym sądzisz?

– Taki opis nic nam nie daje. Ale mam coś w zanadrzu.

– Co takiego? – Zaintrygowała go.

– Powiem ci, jak się sprawdzi. Być może już jutro.

– Niech tak będzie.

– Aha, i jeszcze jedno. Może przyciśniemy tego, kto zgłosił wypadek. Jak mu tam było?

– Adam Czerwcow.

– No właśnie. Może ja bym z nim teraz pogadał?

– Pewnie. Prześlę ci jego numer.

Porozmawiali jeszcze chwilę i Gross się rozłączył. Po chwili aparat zawibrował, kiedy nadszedł esemes od Skalki. Czerwcowa zostawił sobie na jutro, ale ważył telefon w dłoni i zastanawiał się, czy powinien o tej porze zadzwonić do wnuka Sądeckiego, żeby dowiedzieć się, co jego dziadek lubił oglądać w telewizji.

Ciekawość zwyciężyła.

Gross przyłożył aparat do ucha i czekał. Dał sobie czas do piątego sygnału, po nim miał się rozłączyć.

– Halo? – odezwał się Wojciech Sądecki, a komisarz, przeprosiwszy za porę, wyjaśnił mu, w jakiej sprawie dzwoni. – To chyba pana zmartwię, bo mój dziadek w ogóle nie oglądał telewizji. Płacił tylko abonament, chociaż mówiłem mu, by tego nie robił. No i w ogóle nie widziałem, żeby kiedykolwiek włączył telewizor. Dawno temu sport lubił pooglądać. Tenis albo skoki narciarskie. Czasami piłkę nożną. Ale z wiekiem przestał się tym interesować.

– Kiedy do jego domu wszedł Janusz Kowal, telewizor był włączony – przypomniał Gross.

– Na jakimś konkretnym programie?

– Wyświetlał się biały szum.

– O. To już w ogóle zastanawiające.

Gross podrapał się po karku.

– Czy pana dziadek miał odtwarzacz wideo albo DVD? – spytał.

– Wideo chyba jest odłączone. A co do DVD, to zawiozłem mu kiedyś swój odtwarzacz i kilka westernów. Myślałem, że z przyjemnością wróci do oglądania ulubionych filmów z młodości, ale nie sądzę, by choć spróbował je włączyć.

Gross miał przygotowane jeszcze jedno pytanie.

– A czy lubił oglądać telewizję regionalną? Lubił wiedzieć, co się dzieje wokół Torunia, Chełmży?

– Kurczę. Teraz, jak pan o tym wspomniał, to rzeczywiście czasami coś tam oglądał na trójce. Ale to raczej kilka lat temu. Głównie dokumenty historyczne. No i oczywiście najchętniej o wojnie, co dla mnie było totalnie dziwne. Zawsze mi się wydawało, że skoro za życia naoglądał się okropieństw, to na starość będzie ich unikał, tym bardziej że przecież on w ogóle o tej wojnie nie chciał rozmawiać. – Sądecki westchnął i dodał: – A tymczasem to całe paskudztwo wciąż w nim siedziało.

Gross zastanowił się, czy rzeczywiście było tak, że mechanizm obronny, naoliwiony za młodu, w późniejszym wieku korodował i przestawał działać zgodnie z przeznaczeniem. Nie mógł wykluczyć, że na stare lata Sądecki, pozostawiony samemu sobie, samotny i zapewne tęskniący za bliskimi, częściej wracał pamięcią do dramatycznych zdarzeń z okresu wojny. Być może z powodu choroby otępiennej akurat te przekazy, wyryte na taśmie pamięci we wczesnej młodości, od niedawna wracały wyraźniejsze i mocniejsze w przekazie.

– Sądzi pan, że on coś obejrzał? – przerwał rozmyślania Grossa wnuk denata.

– Słucham?

– No, że w wieczór poprzedzający śmierć dziadek widział coś w telewizji?

– Nie wiem. To tylko moje domysły, być może nic nie warte – przyznał komisarz i podziękował za rozmowę.

Nie odłożył aparatu. Ponownie uruchomił przeglądarkę internetową i tym razem odszukał program telewizyjny regionalnego nadawcy. Jednak w dzień przed śmiercią staruszka nie emitowano żadnego programu, który w ocenie komisarza nawiązywałby do drugiej wojny światowej.

Gross poczuł się zmęczony. Potarł suche oczy i posiedział jeszcze chwilę na sofie. Potem dźwignął ciało i przeszedł do łazienki.

Wziął prysznic, wytarł się do sucha i wyszczotkował dokładnie zęby.

Kiedy wsunął się pod kołdrę, Malwina zamruczała.

Prześcieradło po jego stronie było zimne i dlatego komisarz wtulił się w plecy kobiety, która przebudziła się i odwróciła twarzą do niego.

Pocałował ją w usta, a kiedy dotknęła jego policzka, zrozumiał, że tak naprawdę oboje chcieli czegoś więcej.

DZIEŃ CZWARTY

Chmury przypominały wzburzone morze.

Komisarz Gross wpatrywał się w skłębione obłoki przez okno swojego gabinetu.

Siedział przy stole do odpraw, w pobliżu drzwi, a naprzeciwko niego Adam Czerwcow wycierał nos, wciąż jeszcze czerwony od mrozu. Długie proste włosy w odcieniu sosnowej kory miał związane frotką. Jego kozią bródkę wieńczył krótki warkoczyk opleciony u dołu czarną nitką.

Krótko po odprawie u Wojtasik Gross wrócił do swojego gabinetu z teczką korespondencji pod pachą. Pod drzwiami czekała już na niego Monika Skalska. Dreptała nerwowo, jej zuchwa pracowała intensywnie, a język wypychał gumę, jakby chciała zrobić balona. Ręce miała skrzyżowane na piersi.

Gross bez słowa wpuścił ją do środka.

– Co się stało?

– Rozmawiałeś już z Czerwcowem? – spytała, stając w rozkroku.

– Właśnie miałem zamiar do niego dzwonić.

– Wysłałam ci esemesa, żebyś tego nie robił.

Gross zerknął na telefon. Wyciszył go podczas odprawy i nie usłyszał sygnału nadejścia wiadomości od Skalki, którą dopiero teraz wyświetlił.

– A co się stało? – spytał.

– Wcześniej rano zadzwonił do mnie właściciel sklepu w pobliżu przystanku PKS-u w Bielczynach. Odezwał się na moją wcześniejszą prośbę i okazało się, że we wtorek, krótko przed siódmą, a więc przed wypadkiem Wójcickiej, przywiózł towar z hurtowni. Jechał główną drogą z Chełmży.

– No i? – Gross się niecierpliwił.

– Kiedy zbliżał się do torów, które przecinały szosę, z bocznej drogi, tej prowadzącej do domu Sądeckiego, wyjechała toyota yaris. Miał do niej kawałek, a mgła jeszcze całkowicie nie ustąpiła, więc nie widział dokładnie, kto siedział za kierownicą, ale był pewien, że oba przednie fotele były zajęte.

Gross zachęcił ją gestem, by kontynuowała.

Skalska oparła się rękoma o stół.

– Zdaniem właściciela sklepu, Mirosława Zorki, ta dwójka szarpała się za kierownicą – powiedziała. – Wóz zataczał się od krawężnika do krawężnika, a kiedy wyjechał na szosę, koła ślizgały się na lodzie, ale w końcu złapał przyczepność i przyspieszył. Zorka twierdzi, że zdążył dojechać do sklepu i wysiąść z wozu, kiedy zatrzasnął drzwi od swojego transita, usłyszał głuchy łomot.

– Dlaczego w takim razie nie zadzwonił na sto dwanaście?

– Bo nie był pewien, czy doszło do wypadku, czy nie, a ponieważ przez oblodzenie był spóźniony z towarem, to zajął się robotą. Poza tym usprawiedliwiał się przed sobą, że być może odgłos pochodził z nieodległej hurtowni budowlanej. Kiedy przywożono tam żelastwo, huk był podobny – wyjaśniła. – Ale mam coś jeszcze.

– Co takiego?

– Zorka twierdzi, że kiedy skręcał do sklepu, zerknął na przystanek i nikogo na nim nie było, a kolejny autobus miał się pojawić dopiero za godzinę. Rozkład jazdy PKS-u zna jak własną kieszeń, bo okna sklepu niemal wychodzą na wiatę przystankową.

Gross trawił tę informację, patrząc na podwładną.

– To oznacza, że Czerwcow kłamie – skomentował.

– Dlatego przed chwilą odezwałam się do męża Małgorzaty Wójcickiej i zapytałam go, czy znali Czerwcową. Twierdził, że nic mu to nazwisko nie mówi. Drażylałam jednak dalej i udało mi się ustalić, że Wójcicy czasami korzystali z serwisu komputerowego przy Szewskiej. A to właśnie tam pracuje Czerwcow. Wójcicki stwierdził, że jego żona niedawno oddała tam laptopa, bo padła jej bateria. Miała go odebrać we wtorek po południu. Ale przez to wszystko sprzęt leży tam do dziś.

Gross włączył czajnik elektryczny, który rozświecił się na niebiesko.

– A więc Czerwcow znał tę kobietę – stwierdził. – I musiał ją rozpoznać, kiedy starał się udzielić jej pomocy.

– A może było inaczej? – rzuciła Skalska i wydmuchała balon, który szybko pękł.

Komisarz schylił się do szafki po kubek i torebkę herbaty ekspresowej.

– Sądzisz, że to on siedział z nią w samochodzie? – zapytał. – A kiedy uderzyli w drzewo, wyszedł przez tylną szybę i dopiero potem wezwał pomoc?

– Skoro nie siedział na przystanku, to może, do cholery, to był on. Powinniśmy to sprawdzić.

– Gdyby tak było, strażacy albo policjanci zauważyliby, że jest ranny.

– I tak się składa, że był. Potwierdzili mi to nasi z toruńskiej drogówki. Ale Czerwcow powiedział im, że skaleczył się o blachy.

– Trudno to wykluczyć, przynajmniej do czasu, gdy nie dostaniemy wyników badań krwi z deski rozdzielczej po stronie pasażera.

Skalska pokiwała głową.

– I ostatnia sprawa. – Podniosła palec. – Czerwcow twierdził, że jechał wcześniej do Chełmży, bo miał badanie krwi. Obdzwoiłam przychodnie. Nie stawiał się w żadnym laboratorium aż do dziś.

– Co w takim razie proponujesz?

– Pogadam z szefem tego serwisu komputerowego.

– Dobry ruch – przyznał. – A ja w takim razie przepytam Czerwcowa na komisariacie. A potem skontaktuję się z Kowalem i ustalę, czy miał wykupić leki Sądeckiemu.

Gross zerknął na zegarek i uznał, że Skalska dotarła już na miejsce i mógł rozpocząć przesłuchanie świadka. Wziął do ręki formularz i zaczął go skrupulatnie wypełniać. Pierwsza część protokołu skupiała się na informacjach dotyczących policjanta, ale mimo to poprosił mężczyznę o okazanie dowodu osobistego.

Czerwcow sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnął etui na dokumenty, po czym podał policjantowi plastikową kartę.

Gross wziął ją do rąk.

– To będzie oficjalne przesłuchanie? – Mężczyzna podrapał się po czole, a policjant ostentacyjnie omiół wzrokiem gabinet.

– Jak pan widzi, nie jesteśmy w kawiarni.

– He, he. No, w zasadzie tak. – Gość zaśmiał się nerwowo. – Tylko nie przypuszczałem, że to będzie taka rozmowa, wie pan, oficjalna, zarejestrowana. W sensie zapisana na papierze.

– W protokole – poprawił go Gross, a kiedy wpisał PESEL Czerwcowa w odpowiednie kratki u dołu pierwszej strony formularza, odczytał mu treść oświadczenia osoby przesłuchiwanej, a potem pouczył go o uprawnieniach. Następnie zadał jeszcze kilka pytań i kiedy zapisał odpowiedzi we wskazanych miejscach, odłożył długopis.

Sięgnął po herbatę i wypił łyk, zerkając na świadka.

Serwisant komputerowy przygryzał wargę i gapił się w formularz.

– To co? Możemy zaczynać? – spytał Gross, a Czerwcow dopiero po chwili, kiedy ochłonął ze stuporu, skinął głową.

– Jaka jest pana grupa krwi?

– Słucham? – mężczyzna wyprostował się zaskoczony.

– Pytałem o grupę krwi.

– Ale po co to panu?

– Wkrótce się pan dowie.

– AB Rh+.

– Dziękuję. A teraz niech mi pan powie, co pan robił w miniony wtorek około godziny szóstej czterdzieści pięć rano.

– Stałem na przystanku PKS-u w Bielczynach. Stamtąd miał mnie zawinąć kolega, to znaczy formalnie mój szef. Obiecał, że podrzuci mnie do przychodni na badanie krwi, a potem mieliśmy zabrać się do pracy, żeby nadgonić zlecenia.

– Zrobił pan to badanie? – Gross zapisał wypowiedź mężczyzny.

– Nie.

– Dlaczego?

– Po tym, co widziałem, po wypadku tej kobiety, odechciało mi się.

– Ma pan skierowanie?

– Nie. Ale co roku robię sobie taki pakiet, cukier, wątroba i tarczycyca.

– Znał pan kobietę, która zginęła w wypadku?

Mężczyzna uniósł wzrok na krótką chwilę i pokiwał głową.

– Proszę to powiedzieć – poinstruował go Gross.

– Tak, znałem. Była moją klientką. To znaczy naszą. Przed weekendem przyniosła komputer do naprawy.

– Czy kiedy podszedł pan do wraku pojazdu, od razu pan ją rozpoznał?

– Nie. Ona miała... To znaczy cała twarz była zakrwawiona – skrzywił się. – Dopiero potem, kiedy w końcu przyjechał po mnie kolega, zauważył, że to toyota Małgorzaty Wójcickiej.

Gross skończył notować.

– Zapytam wprost i bardzo proszę, żeby zastanowił się pan nad odpowiedzią, bo zostanie zaprotokołowana. Przypominam panu o konsekwencjach mijania się z prawdą. Czy to jasne?

– Tak. – Czerwcow podrapał się po nadgarstku, na którym wykwitły czerwone pręgi.

– Czy tego dnia rano, kiedy doszło do wypadku, znajdował się pan w samochodzie Małgorzaty Wójcickiej?

Adam Czerwcow wbił wzrok w blat stołu i milczał dłuższą chwilę. Gross powtórzył pytanie, a następnie odchrząknął.

– No więc?

– Nie. Nie siedziałem w tym samochodzie.

Gross zapisał kolejne informacje w formularzu.

– A czy w chwili wypadku Małgorzaty Wójcickiej znajdował się pan na przystanku PKS-u w pobliżu sklepu w Bielczynach? – zapytał świadka.

Długowłosa mężczyzna przyłożył dłonie do policzków, a chwilę potem przetarł rękoma twarz.

– No dobra. Pora się z tym zmierzyć – odezwał się pewnym głosem.

Gross czekał.

– A więc?

Czerwcow omiół wzrokiem regał z aktami i w końcu spojrzał komisarzowi w oczy.

– Nie było mnie tam – przyznał.

Monika Skalska pchnęła stare drewniane drzwi serwisu komputerowego MaxComp, należącego do Maksymiliana Olbrychta, i uderzyła nimi w gong wydający przyjemny niski dźwięk.

Mężczyzna wychylił się z zaplecza, wydzielonego od miejsca dla klientów kilkoma regałami, na których prezentował się sprzęt komputerowy. Głównie klawiatury, myszki, głośniki, a także płyty CD, przenośne dyski i różnego rodzaju kartoniki z pozwijanymi kablami. Obok, w witrynie za szkłem, prezentowano kilka modeli używanych laptopów i stacje robocze, a także różnego rodzaju monitory.

Maksymilian Olbrycht miał dobroduszne spojrzenie i miłą aparycję. Blond włosy na głowie były przystrzyżone w irokeza, a długie i wytrymerowane bokobrody sięgały szerokiej zuchwy i gładko biegły dalej, żeby otoczyć usta.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc? – spytał uprzejmie Skalską.

Policjantka sięgnęła po legitymację.

– Chodzi o Adama? – zainteresował się. – Bo on właśnie wyszedł. Miał iść na komisariat.

– Tak, wiem. Ale ja chciałam porozmawiać z panem.

– Ze mną? W jakiej sprawie? – Delikatny uśmiech wciąż rozjaśniał jego twarz. – Tamtego wypadku?

– Tak.

Podrapał się po głowie.

– Kurczę, ale ja niczego nie widziałem. To znaczy tylko przejechałem obok, kiedy było już po wszystkim. Widziałem strażaków i policję. To w zasadzie tyle.

– Nie tyle chodzi mi o sam wypadek, ile o pana pracownika, Adama Czerwcową.

– To znaczy?

– Skąd dokładnie go pan odebrał? – drążyła Skalska.

– Spod sklepu.

– Stał pod sklepem?

– Nie. Siedział na przystanku po drugiej stronie. Gdy zatrzymałem się pod sklepem, uchyliłem szybę i go zawołałem.

– Wsiadł do pana samochodu?

– No tak. Właśnie o tym mówię.

– Które miejsce zajął? – Skalska nie odpuszczała.

– To obok mnie. Na przednim fotelu.

– Zachowywał się normalnie?

Wzruszył ramionami.

– Wydawał mi się przybity. Mówił, że policjanci spisywali jego zeznania, bo chcieli wiedzieć, co zaszło, a on twierdził, że niewiele wie, że niczego tak naprawdę nie widział i że tylko słyszał huk. Potem dotarł na miejsce i wezwał policję.

– Co to znaczy, że był przybity?

– Taki mi się wydawał, no... jak by to powiedzieć... Był zgaszony. W sensie, mało mówił. Ale to chyba nic dziwnego, skoro widział zmasakrowaną twarz tej kobiety i wiedział, że ona nie żyje – uznał Olbrycht. – Każdego by to siekło, nie? W końcu to była nasza klientka.

– Czy Adam Czerwcow był ranny?

– Miał lekko rozprutą kurtkę i zadrapanie na przedramieniu. Ale raczej niegroźne. Mówił, że skaleczył się powyginaną blachą karoserii.

Skalska odnotowała informacje w pamięci.

– Rozumiem, że kiedy wsiadł, ruszyliście do Chełmży, prawda?

– Tak.

– Ale czy wtedy wydarzyło się coś jeszcze?

– Niby co?

– Cokolwiek.

Olbrycht zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. Po prostu pojechaliśmy do serwisu.

– Rozumiem. – Skalska sięgnęła po notatnik. – Czy podrzucił pan kolegę do laboratorium na badanie krwi?

– Chciałem, ale Adam stwierdził, że nie ma na to siły, że zbyt dużo tej krwi się naoglądał.

Skalska sięgnęła do wewnętrznej kieszeni ocieplacza i podała mężczyźnie wizytówkę.

– Dziękuję za poświęcony czas. Wrócę niedługo po komputer Małgorzaty Wójcickiej. I będę wdzięczna, jeśli zadzwoni pan do mnie, gdyby cokolwiek się panu przypomniało.

Mężczyzna odebrał kartonik i wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem podniósł wzrok na Skałkę.

– Obawiam się, że niczego więcej sobie nie przypomnę – stwierdził. – Ale mogę dać pani nagranie z trasy.

– Słucham?

– Mam kamerę samochodową i za każdym razem jej używam.

– Zapis z tamtego dnia jeszcze jest?

– Możemy to zaraz sprawdzić, musimy tylko podejść do samochodu.

– Chętnie – odezwała się, a Olbrycht cofnął się na zaplecze po kurtkę. Wrócił z kluczykami samochodowymi w ręce.

– Zapraszam – rzucił, wskazując na drzwi wyjściowe.

Podeszli do srebrnego audi, które stało zaparkowane wzdłuż drogi. Samochód mrugnął awaryjnymi. Usiedli w fotelach, a mężczyzna uruchomił niewielkie urządzenie i przełączył coś w interfejsie.

– No dobra. Mamy to – ucieszył się kierowca. – Chce pani od razu obejrzeć, czy mam zapisać film na płycie?

– Jeśli to nie problem, to obejrzę tutaj.

– Nie, żaden. Co prawda ekran mały, ale coś tam widać. Chyba że w serwisie podłączę kamerę do laptopa.

– Brzmi rozsądnie – pochwaliła go Skalska.

Wrócili więc do warsztatu i mężczyzna zaprosił ją na zaplecze.

W niewielkim pomieszczeniu o ścianach wyłożonych płytami OSB znajdowały się trzy stanowiska pracy z narzędziami i oprzyrządowaniem, a także kilka regałów wypełnionych zepsutym sprzętem komputerowym. Do każdego urządzenia przyczepiona była kartka zawierająca kilkucyfrowy kod, zapisany niedbale długopisem.

– Pani tu sobie usiądzie – wskazał miejsce Olbrycht i podpiął kamerę do komputera. Po chwili uruchomił właściwy zapis z pamięci urządzenia.

Skalska spojrzała na ekran, na którym wyświetlała się biała ściana w garażu. Po chwili zaczęła się oddalać.

– Tu jest sam początek nagrania, czyli moment, gdy wyjeżdżałem od siebie, ale chyba przewinę mniej więcej do tego wypadku, co?

Skalska zgodziła się skinieniem głowy.

Obraz się zniekształcił i mocno przyspieszył. Po kilkunastu minutach na śliskiej, oblodzonej nawierzchni przemknęło niebieskie światło policyjnego koguta.

– O, tu będzie idealnie.

– Super, dzięki – odparła aspirantka i oparła łokcie na podłokietnikach fotela obrotowego.

– Będę obok. – Olbrycht wskazał na sklep, bo właśnie rozbrzmiał znajomy gong dzwonka. Ktoś rzucił głośno „dzień dobry” i zaczął wprowadzać Olbrychta w tajniki opowieści o laptopie, który odmówił współpracy.

Monika Skalska musiała się wyłączyć i skupić na nagraniu.

Audi zwolniło, przejeżdżając obok wypadku, przy którym pracowali już strażacy. Skalska zdążyła dostrzec toyotę po prawej stronie drogi. Przód był zupełnie zniszczony i wczepiony w duże przydrożne drzewo. Tył samochodu zajmował część pasa jezdni.

Jeden z policjantów, z czerwonym sygnalizatorem w ręku, dawał Olbrychtowi znak, by zwolnił i przejechał fragmentem wolnego pasa.

Kawałek dalej, około dwustu, może trzystu metrów, z porannej, mroźnej mgły wyłoniła się wiata przystankowa. Siedział w niej mężczyzna w kurtce z kapturem na głowie.

Nieco dalej Olbrycht zjechał na wyasfaltowany oświetlony plac pod sklepem i zatrzymał samochód.

Drzwi do sklepu pozostawały zamknięte, a tuż obok niewielkiego budynku parkował dostawczak Zorki, właściciela spożywczaka.

Audi ruszyło i włączyło się do ruchu.

Co ciekawe, do tej pory żaden samochód nie przejechał tą drogą. Nikt ani nie wyprzedził, ani nie minął Olbrychta.

Chwilę później zbliżyli się do skrzyżowania z drogą prowadzącą w kierunku Jeziora Bielczyńskiego i torami kolejowymi przecinającymi główną jezdnię.

Skalska włączyła przyspieszenie i obejrzała film do końca, czyli aż do momentu, w którym Olbrycht zaparkował pod serwisem, niemalże w tym samym miejscu, co obecnie.

Włączyła pauzę i siedziała jakiś czas wpatrzona w stop-klatkę przedstawiającą miejską ulicę i witrynę serwisu komputerowego po lewej.

W obrazie, który zobaczyła wcześniej, nic nie wzbudzało podejrzeń, a jednak męczyło ją przeczucie, że być może coś przeoczyła.

Puściła film dalej, ale kilka sekund później zapis z kamery się zatrzymał. Nagranie dobiegło końca.

Skalska cofnęła je do chwili, w której audi mijало przystanek i siedzącego na ławce pod dachem Czerwcowca.

Żałowała, że kamera nie rejestrowała dźwięku. Obraz był niemy.

Cofnęła nagranie raz jeszcze, ale tym razem je spowolniła.

Cały czas wpatrywała się w lewą stronę ekranu, tam gdzie z mgły wyłaniała się wiata przystankowa.

Mężczyzny, który siedział na ławce z opuszczoną głową, nie można było w żaden sposób zidentyfikować z powodu kaptura.

Potem samochód zjechał na plac przed sklepem i od chwili, gdy auto się zatrzymało, Skalska zaczęła mierzyć czas do momentu, gdy wóz znowu ruszył.

Kilkanaście sekund.

Czy tyle wystarczyło Czerwcowowi, by przejść po oblodzonej jezdni i wsiąść do samochodu?

Odległość była niewielka. Możliwe też, że wcale nie było tak ślisko.

Ale co jeśli na przystanku nie siedział Czerwcow, tylko ktoś inny, a Olbrycht zorientował się, że to nie jego podwładny i odjechał spod sklepu?

Skalska musiała wziąć to pod uwagę, jeśli doktor Szojca mówił prawdę, że widział kogoś idącego w kierunku działek.

Przewinęła film do przodu i ponownie liczyła czas od chwili, kiedy audi zatrzymało się w pobliżu serwisu, aż do tej, gdy nagranie zostało zatrzymane.

Piętnaście sekund.

Piętnaście sekund, w trakcie których pasażer, siedzący na przednim fotelu, nie wysiadł z samochodu i nie przeszedł przed maską w kierunku widocznego po lewej serwisu komputerowego.

Czy oni obaj, Olbrycht i Czerwcow, kłamali?

Miała jeszcze chwilę, bo szef serwisu wciąż rozmawiał z klientem, więc przedzwoniła do Grossa.

Odczekała kilka sygnałów, ale komisarz nie odebrał połączenia.

Skalska zastanawiała się, co teraz.

Zamknęła laptopa, a na wierzchu obudowy dostrzegła taką samą kolorową kartkę z kodem i podkreślonym nazwiskiem „p. Wójcicka”.

Otworzyła komputer, który zaszumiał i uruchomił się bez żadnego hasła.

Przyglądała się wielu ikonom, które pojawiły się na pulpicie. Część z nich prawdopodobnie miała związek z jej pracą, bo nazwy folderów i plików zaczynały się od skrótu UMCh, co Skalska rozszyfrowała jako Urząd Miasta Chełmna. Odpaliła Worda i zerknęła na listę ostatnio uruchamianych dokumentów. Żaden z nich jednak nie wzbudził jej zainteresowania.

Tak samo postanowiła zrobić z przeglądarką i skorzystała ze skrótu umożliwiającego jej podgląd adresów oglądanych stron internetowych.

Wiele z nich wskazywało na to, że Wójcicka była amatorką zakupów modowych przez internet. Odwiedzała sklepy różnych marek, w tym także obuwnicze. Kilka razy wchodziła też na Wirtualną Polskę, gdzie korzystała z poczty elektronicznej.

Skalska uruchomiła tę stronę, ale natknęła się na hasło, które Wójcicka musiała wpisywać za każdym razem. Nie ufała kluczom zapisanym w usłudze Google.

Cofnęła się więc do historii i przeszledziła kolejne odwiedzane strony, aż dotarła do odsyłacza do serwisu YouTube. Kliknęła w link w chwili, gdy gong zainstalowany przy drzwiach wejściowych do warsztatu ponownie wybrzmiał i rozmowa, której się nie przysłuchiwała, ucichła.

Miała mało czasu.

Strona internetowa, korzystając z łącza wi-fi należącego do serwisu, uruchomiła się, a na ekranie policjantka zobaczyła film nakręcony w sporej sali. Sądziła, że to pomieszczenie Chełmżyńskiego Ośrodka Kultury. Kamera ustawiona była za widownią, nad głowami siedzących, naprzeciwko oświetlonego światłem scenicznym starszego mężczyzny, którego rozpoznała bez problemu.

Stanisław Sądecki, chudy i drobny, siedział ze złączonymi dłońmi w sporym fotelu.

I gdyby nie staromodny, zbyt obszerny garnitur, wyglądałby jak zagubione, smutne dziecko.

Gross spojrział na ekran telefonu.

Nie mógł teraz odebrać połączenia od Skalskiej, ale liczył na to, że jeśli dowiedziała się czegoś ważnego, to natychmiast wyśle mu esemesa.

Na razie jednak musiał skupić się na przesłuchaniu Czerwcowo.

– Skoro w chwili wypadku nie było pana na przystanku, to gdzie pan był? – zapytał mężczyznę.

– Czy mogę liczyć na pana dyskrecję? – Czerwcow ponownie podrapał się po przedramieniu.

Gross zastanawiał się, czy nie odburknąć, że to on jest od zadawania pytań, ale bał się, że wtedy spłoszy i tak już nadmiernie spiętego mężczyznę, który na tym etapie zdawał się skłonny do współpracy.

– Na razie, jak pan widzi, spisuję ten protokół bez świadków, ale jeśli uznam, że zaczyna pan kręcić, zlecę tę robotę innym funkcjonariuszom – ostrzegł.

Adam Czerwcow wodził wzrokiem po blacie stołu, aż w końcu spojrział na swoje dłonie i nabrał powietrza w płuca.

– To moja wina – stwierdził.

– Słucham?

– Ten wypadek to moja wina – powtórzył. – Ona zginęła przeze mnie.

Gross odchylił się na oparcie krzesła i wpatrywał się w mężczyznę, czekając na dalszą opowieść.

Czerwcow uniósł głowę i Gross dostrzegł, że zaszklily się mu oczy.

– Jestem chory – powiedział cicho, jakby to wyznanie sporo go kosztowało. – Leczę się od dawna, ale tamtego dnia coś we mnie pękło. Chciałem ze sobą skończyć. I dlatego wtargnąłem na jezdnię.

Komisarz odłożył długopis, a Adam Czerwcow odwrócił twarz do okna. Łzy spływały mu po policzku.

– Czuł się pan kiedyś tak, jakby ciało miało się rozpaść? – spytał, chociaż Gross dobrze wiedział, że rozmówca nie czeka na żadną odpowiedź. – Pierwszy raz poczułem to tak naprawdę chyba ze dwa lata temu. Wcześniej miewałem gorsze dni, spadki nastroju. Walczyłem z ogólną niechęcią i obojętnością. Życie mnie męczyło. Miał pan tak kiedyś? Bo właśnie zacząłem tak o tym myśleć, że całe to moje samotne życie staje się męczarnią. A ja już nie miałem siły, żeby się z tym mierzyć. Rozumie pan?

Gross nawet nie drgnął, ale nie miało to żadnego znaczenia. Czerwcow w ogóle na niego nie patrzył, zawiesił tylko wzrok na wieży kościoła, bo niczego więcej z tej perspektywy nie mógł zobaczyć.

– A wie pan, kiedy się uspokajałem i czułem prawdziwą ulgę? – kontynuował opowieść. – Ilekroć myślałem o śmierci. Ilekroć zdawałem sobie sprawę, że tylko śmierć jest moim wybawieniem.

Komisarz nie chciał, żeby potok słów mężczyzny trafił na tamę milczenia, ale nie wiedział, co powiedzieć.

Czerwcow otarł policzki wierzchem dłoni i zamknął oczy.

– Tak. Chciałem umrzeć – westchnął. – Wiele razy chodziłem tą drogą, obok mnie mknęły samochody. Pęd powietrza spychał mnie dalej od jezdni, jakby coś próbowało ratować mnie przed wtargnięciem pod koła. Ale zobaczyłem, że z każdym kolejnym dniem łatwiej stawiam opór temu pędowi. I coraz częściej widziałem siebie, jak rzucam się pod nadjeżdżającego tira albo ciężarówkę. Myślenie o tym przynosiło mi ulgę. Wystarczył krok. Nic więcej. Tylko jeden mały krok. – Kolejna łza potoczyła się po twarzy świadka. – I wtedy we wtorek poczułem, że mogę wreszcie to zrobić. Że to jest właśnie dzień, który przyniesie mi wyzwolenie od całej tej beznadziei, samotności, tego cholernego życia bez celu, tego pierdolonego trwania w miejscu. Ja po prostu już nie miałem sił dłużej tego znosić. Dlatego błogosławiłem tę mgłę i odgłos nadjeżdżającego samochodu. Silnik wkręcał się na wyższe obroty i stawał się coraz głośniejszy. Wtedy przymknąłem oczy i czekałem, aż dwa jasne punkty, światła reflektorów przebiją się przez gęste opary. Czekałem, aż mnie oślepią, wiedziałem, że wtedy kierowca nie zdąży już nic zrobić. Że będzie za późno. Musiałem tylko zrobić ten krok.

– I zrobił pan?

– Tak. Ale chyba przedwcześnie – odparł zawiedziony. – Ona zdążyła szarpnąć kierownicą, tak nagle i gwałtownie, że dopiero gdy uderzyła w drzewo, gdy ten huk

zgniatanych blach mnie ogłuszył, zrozumiałem, co się stało. Musiałem stamtąd uciec.

Gross milczał.

– Uciekłem, ale potem coś kazało mi tam wrócić – stwierdził Czerwcow. – A resztę już pan zna.

– Znam – odezwał się po chwili komisarz. – Jednak coś mi tu nie gra. Przecież tego dnia umówił się pan z kolegą, a formalnie ze swoim szefem, że to on podrzuci pana do Chełmży.

Mężczyzna ponownie odwrócił się do okna.

– Tak. – przyznał. – Po prostu chciałem, żeby mnie zobaczył, jak już będzie po wszystkim. Żeby widział mnie leżącego bez życia na asfalcie. Żeby rozpoznał mnie po ciuchach, butach, po plecaku, zresztą po czymkolwiek, bo akurat twarz pewnie miałbym zmasakrowaną. Zupełnie jak ona. Jak Małgorzata Wójcicka.

– Zapytam pana raz jeszcze o to samo i proszę, żeby tym razem skupił się pan nad prawidłową odpowiedzią. Czy to jasne?

Czerwcow spojrzał mokrymi oczyma na Grossa.

– Rozpoznał ją pan od razu? – odezwał się komisarz.

Facet potwierdził skinieniem, a na jego twarzy wykwitł chłodny uśmiech.

– Tak – przyznał i ponownie powiódł wzrokiem za okno.

Gross odnotował te informacje w protokole, po czym zadał kolejne pytanie.

– Czy ona jechała sama?

Czerwcow zamarł, więc komisarz odezwał się ponownie i dopiero wtedy jego rozmówca się ocknął.

– Chyba nie – odparł.

– Chyba?

– Nie powinienem był tam wracać. Nie powinienem oglądać jej w tym stanie – pokręcił głową.

– Czy ona jechała sama? – naciskał Gross.

– Powinienem znowu uciec. – Czerwcow się zawiesił, więc komisarz uderzył otwartą dłoń w stół, aż zapiekła go skóra.

Świadek drgnął.

– Kiedy wracałem na miejsce wypadku, kiedy już zbliżałem się do tamtego drzewa, usłyszałem czyjeś kroki. Potem mignęła mi ciemna sylwetka, która zginęła we mgle. Zawołałem, ale nikt mi nie odpowiedział.

– Co było potem?

– Rozpoznałem samochód i wiedziałem już, że to ona. Po włosach i dłoniach. Wiedziałem, że to Wójcicka. A potem rzuciłem się, żeby ją ratować.

Olbrycht stanął na progu zaplecza i zerknął w kierunku Skalskiej.

– To jej komputer? – spytała, chociaż znała odpowiedź, ale potrzebowała potwierdzenia.

Mężczyzna skinął głową i podszedł bliżej.

– O, nasza robota – wskazał z uśmiechem na ekran, na którym wyświetlał się film ze spotkania ze Stanisławem Sądeckim.

– Jak to wasza robota?

– No myśmy to kręcili. W sensie te spotkania dla pani Żurek. To była moja babka od histy w liceum. Bardzo ją lubiłem. Wpadła tu do mnie któregoś dnia, to dawno temu było, i spytała, czy nie nakręciłbym jej kilku spotkań dla młodzieży ze świadkami drugiej wojny światowej. Miała nawet jakąś kasę od miasta i coś tam na tym zarobiłem. Szału nie było, ale przynajmniej nie musieliśmy dokładać. A poza tym robota była prosta jak drut.

– Nagrywaliście każdy odcinek?

– Tak – Olbrycht pokiwał głową. – Tylko pierwszy film, ten z ojcem Żurkowej, pocięliśmy. To znaczy ona tak chciała, żeby go skrócić i coś tam pousuwać. Chyba zależało jej na tym, żeby puszczać to na lekcjach, więc nie mogło być dłuższe niż kwadrans, resztę lekcji chciała zostawić na dyskusję. Dlatego z tamtego nagrania zrobiliśmy esencję. Wszystkie materiały przekazywaliśmy do Chełmżyńskiego Ośrodka Kultury.

– A ma pan gdzieś to oryginalne nagranie?

– To z Żurkiem?

– Tak.

– No pewnie.

– Zgra mi to pan?

– Jasne. Niech pani chwilę zaczeka. – Cofnął się do części dla klientów i wrócił po chwili z nowym pendrive'em. Podłączył go do laptopa Wójcickiej.

– Co pan robi? – zdziwiła się Skalska. – Przecież to komputer Wójcickiej.

– No tak, ale ten film powinien być jeszcze na jej lapku.

– Jakim cudem? – Skalska poczuła ciepło wypełzające na dekolci.

– Ona też mnie prosiła o zgranie tego filmu.

– Kiedy?

– Jakiś czas temu. Mam nadzieję, że go jeszcze nie usunęła.

Skalska ustąpiła Olbrychtowi miejsca, a kiedy usiadł w fotelu, przypatrywała się, co robi.

Blondyn z irokezem odszukał folder na pulpicie, otworzył go, a potem przekopiował znajdujący się tam plik na nośnik danych.

Skalska czekała w niepewności, aż pasek postępu dobiegnie do końca. Wtedy Olbrycht wypiął urządzenie i wręczył je z uśmiechem Skalskiej.

– Mam nadzieję, że się pani przyda – stwierdził.

– Na to liczę.

– Czy mogę pani jeszcze jakoś pomóc? Bo wkrótce mąż pani Wójcickiej przyjdzie po komputer.

– Obawiam się, że nie będzie mógł go odebrać.

– Nie? Dlaczego?

– W związku z tym wypadkiem będę prosiła naszych techników, żeby przyjrzeni się zawartości.

– Czyli co? Zabiera go pani?

– Po prostu podeślę kogoś od nas. Na razie proszę tego laptopa pod żadnym pozorem nikomu nie udostępniać i od tej pory nie dokonywać w nim żadnych zmian. Czy to jasne? – Skalska nałożyła czapkę z daszkiem i schowała pendrive'a do kieszeni ocieplacza. Potem wsunęła gumę do ust i pożegnała się z właścicielem serwisu.

Kiedy szła do komisariatu, chłodny wiatr gładził jej rozpalone policzki.

ROK 1945, STYCZEŃ

Liczył na to, że nie stchórzeli.

Mimo to niepokój, zimny jak lodowate powietrze, które tłoczył do płuc, wypełnił jego trzewia.

Z daleka widział, że Kazik, rozmawiając z Józkiem Żurkiem, zerkał w stronę drogi, którą on podążał. A potem, kiedy Kowal go dostrzegł, ukradkiem nachylił się do Ziutka i coś mu wyszeptał.

Stare buty Staszka, zbyt duże, wypchane gazetami w czubkach, ślizgały się na zamrzniętym śniegu, kiedy chłopiec przyspieszył. Serce zabiło mu mocniej i po plecach przebiegł dreszcz.

Miał do nich może nieco więcej niż sto metrów.

Żurek opierał się o zdezelowane drzwi stodoły, a Kowal rył piętą buta w śniegu i trzymał rękę w kieszeni.

Dwa dni temu powiedział im, co zamierza, i liczył na ich pomoc, ale teraz miał wrażenie, że obaj chcieli się wycofać. Że stchórzeli. A tego by im nie wybaczył. Szczególnie że wczoraj wydarzyło się coś, co usilnie pchało go do realizacji planu. Coś w jego wnętrzu drżało nieustannie, sprawiało, że mięśnie sztywniały, zamieniając swobodne dotychczas ciało w twardą kłodę. A mimo to wąż, który wił się w trzewiach, wciąż był mu posłuszny. Być może nawet to ten gad sprawił, że Staszek parł z planem naprzód. Jakby właśnie wąż syczał mu do ucha, że w takiej chwili chłopiec nie może się poddać.

Chociaż Staszek nie brał tego pod uwagę. Szczególnie po wczorajszych zdarzeniach.

Pomagał ojcu i jego dwóm pomocnikom w chlewie, w majątku w Mirakowie, kiedy przyprawiono tam Żydówki. Tatulowi i jemu, a także dwóm braciom Odorzyckim hitlerowcy kazali przerwać pracę i się wynosić. Ponaglali ich przy tym bronią, tak że cała czwórka zdążyła tylko zabrać widły i grabie.

Staszek oniemiał, kiedy wyszedł na mróz jako ostatni. W pierwszym szeregu zmarzniętych kobiet otulonych szmatami stała ona. Nie widział jej poranionych, chudych jak patyki nóg, poczerniałych palców stóp, odsłoniętych kości obojczyków, na których opinała się skóra. Nie widział kościstych dłoni, zapadniętych policzków. Widział tylko jej wielkie, pełne cierpienia oczy.

Tatul odciągnął go na bok, by nie tarasował wejścia, a potem Staszek zdążył jeszcze dostrzec, jak kobiety wchodzą gęsiego do obory, wśród ponaglających wrzasków dwóch

wachmanów, uderzane kijami i popychane. Dopiero teraz Staszek dostrzegł w kilkusobowej grupie Żydówek dwie posiwiałe głowy i twarze pomarszczone tak, jak latem skóra jego rąk na dłoniach po kąpielu w jeziorze w Grodnie.

Kiedy drzwi się zamknęły za kobietami i strażnikami, mężczyźni przeszli na środek podwórza wyznaczonego przez oborę, stodołę i pozostałe budynki gospodarcze, ustawione na planie litery „U”.

Tatul wyciągnął srebrną papierośnicę z inicjałami dziadka i poczęstował kolegów, omiatając wzrokiem skłębione chmury.

– Wszystkie je zabiją – szepnął stary Odorzycy, tuż po tym, jak się zaciągnął i wypuścił kłęby dymu z płuc. Potem podrapał się po łysinie ukrytej pod czapką i strzyknął śliną w zwały śniegu zepchnięte na środek placu.

Ojciec położył rękę na ramieniu Staszka.

– Podobno zwijają obozy – dodał pękaty Maniek i skinął głową w kierunku obory. – Te to mają szczęście, bo reszta od rana kopała mogiły przy jeziorze.

Tatul westchnął i też się zaciągnął.

Staszek zerknął w jego oczy.

– Wywiozą je pociągami. Wróć, skąd przyjechały – zapewnił ojciec i poklepał syna po plecach.

– A gdzie tam. Wybiją jak kaczki. To Żydówki są, kto by się tam nimi przejmował – mruknął Odorzycy, a Maniek mu przytaknął. – Martwmy się o nasze baby.

Chłopiec ścisnął stylisko wideł i zacisnął zęby.

Tatul musiał wyczuć napięcie mięśni, bo oderwał dłoń od ramienia syna i podał Staszekowi swoje grabie.

– Masz i zanieś je do warsztatu. Od panów też weź – poprosił ojciec, a kiedy chłopiec zwlekał z decyzją, szturchnął go lekko.

Nastolatek spuścił głowę, pozbierał narzędzia i dźwignął je pod pachą w kierunku uchylonych wrót warsztatu.

– Trzeba będzie te trupy chować i znowu to my się tym zajmiesz. Jeszcze choróbska się z tego nabawim – klepał Odorzycy, ale chłopiec nie mógł już go słuchać.

Ruszył w kierunku warsztatu, gdy drewniane drzwi od obory zaskrzypiały. Dwóch wachmanów wyszło na zewnątrz, a jeden z nich krzyknął coś po łotewsku do tatula i jego kompanów.

Chłopiec odwrócił się i zobaczył, że ojciec wyciąga papierośnicę i kieruje ją w stronę hitlerowców. Strażnicy, gderając coś pod nosem, podeszli do trójki dorosłych.

Staszek wślizgnął się do warsztatu i odstawił narzędzia na miejsce w rogu pomieszczenia.

Już miał stamtąd wyjść, gdy kątem oka dostrzegł drewnianą furtę dla trzody. Była zamknięta, ale to właśnie stamtąd dochodził niemrawy odgłos szurania.

Chłopiec zamarł.

Odwrócił się i przez szczelinę w wysłużonych deskach wrót warsztatu obserwował plecy strażników więziennych i tatula z kompanami. Palili papierosy i rozmawiali, chociaż trudno im było się dogadać. Tatul patrzył gdzieś wyżej, jakby obserwował klucz dzikich gęsi, których Staszek nie słyszał, ale tylko dlatego, że w uszach szumiała mu tętniąca krew.

Wycofał się ostrożnie w kierunku niskiej furtki, nie przestając obserwować tego, co działo się na podwórzu. A kiedy zbliżył się do zablokowanego przejścia, szuranie stało się wyraźniejsze.

Kucnął i powoli wyjął skobel blokujący drzwiczki. Odwiesił go bezszelestnie, a potem, zagryzając wargi, pociągnął furtkę lekko do siebie, ale uchylił ją zaledwie na kilka centymetrów, bo dolna deska zaszorowała o kamień.

Drewno jęknęło.

Staszek starał się unieść drzwi i przyciągnąć je mocno do siebie. Tym razem przeszły nad przeszkodą, ale nie udało mu się otworzyć ich na oścież.

Jeszcze raz sprawdził, czy mężczyźni na zewnątrz rozmawiają, a kiedy upewnił się, że stali na środku placu, a Maniek znowu strzyknął śliną, wcisnął się w przejście do chlewu i uniósł głowę.

Spojrzał w oczy wystraszonej starszej kobiety, która zamarła na jego widok.

Staszek położył palec na ustach i sięgnął do kieszeni kurtki, w której trzymał owiniętą serwetką pajdę chleba. Chwilę to trwało, zanim oderwał jedną ręką kawałek pieczywa i uniósł go wyżej.

Kobieta niemal wyrwała mu go z rąk, raniąc go połamanymi paznokciami. Syknął z bólu i skrzywił się, ale siwa Żydówka natychmiast wsadziła kęs do prawie bezzębnych ust i zaczęła go żuć, zamykając oczy.

Tamtą dziewczynę dojrzał kilka metrów dalej.

Odwróciła się w jego stronę, a wtedy on dał jej znak, by podeszła. Potem wrócił do warsztatu i raz jeszcze zerknął w kierunku wachmanów. Pierwszy z nich poprawiał właśnie karabin przewieszony przez ramię. Ale po drugim nie było śladu.

Staszka coś ścisnęło w żołądku.

Zamarł.

Dopiero po chwili ocknął się i przesunął w lewo, by zwiększyć swoje pole widzenia. Wtedy trafił na wzrok tatula, który zaskoczony tak długą nieobecnością syna wpatrywał się uparcie we wrota warsztatu. Na szczęście jednak nie odezwał się ani nie podszedł do budynku.

Kiedy chłopak przesunął się jeszcze bardziej, dostrzegł drugiego ze strażników. Mężczyzna stał kilka metrów za ojcem i oddawał mocz w hałdy śniegu. Żółty strumień tryskał mu prosto między nogami.

Staszek wrócił do przejścia i niemal zderzył się z Żydówką, która kucnęła tuż obok niego. Spojrzał w jej duże, pełne cierpienia oczy i zaniemówił.

Serce biło głośno, brakowało mu tchu. Tak wiele miał jej do powiedzenia, ale teraz, kiedy miał ją na wyciągnięcie ręki, nie był w stanie wydusić z siebie słowa.

Zdołał tylko podać jej chleb w serwetce i patrzył, jak pochłania go dużymi kęsami.

Kiedy przełknęła ostatni gryz, grdyka na wychudłej szyi przesunęła się w górę i w dół.

I właśnie wtedy chłopiec usłyszał zgrzyt butów na śniegu. Ktoś zbliżał się do warsztatu lub do chlewu.

– Salcia – usłyszał jej szept, ale nie był w stanie wypowiedzieć swojego imienia. Coś knebłowało mu usta, jakby nie był sobą, jakby stracił władzę nad swoim ciałem.

Wyciągnęła kościstą dłoń w jego stronę, a on ją uścisnął. Zimną i twardą, jakby wyrzeźbioną w drewnie.

Kroki na zewnątrz stawały się wyraźniejsze.

– Staszek! – krzyknął ojciec i chłopiec struchlał.

Spojrzał na dziewczynę i powiedział: – Jutro cię tu schowamy.

Wycofał się, próbując szybko domknąć drzwiczki. Zerwał się na równe nogi, gdy zawiasy wrót warsztatu zaskrzypiały. Zdołał jeszcze chwycić szczotkę i wykonał nią kilka ruchów, jakby kończył zamiatanie kamiennego fragmentu podłogi.

– Co tak długo? – warknął tatul.

Chłopiec patrzył na niego wielkimi oczyma.

W progu warsztatu, tuż za ojcem, stał wachman i gapił się w stronę chłopca. Na szczęście nie zauważył furtki dla trzody, którą chłopiec zasłaniał swoim ciałem.

Kiedy strażnik odszedł, tatul minął Staszka i założył skobel, o którym zapomniał nastolatek, a potem położył palec na ustach i wskazał na bramę warsztatową.

Staszek odłożył szczotkę i ruszył na drżących nogach w kierunku wyjścia.

Później, kiedy wracali z tatulem do domu, kiedy koła furmanki tarły o zmarznięty śnieg i gdy niebo nad nimi przecinały klucze gęsi, tatul powiedział:

– Nie rób głupstw. Pojutrze już ich tu nie będzie.

Chłopiec poczuł gorącą łzę spływającą po zmarzniętym od wiatru policzku.

– Wywiozą je?

– Odejda.

– Odejda?! Jak to? Mówiłeś, że...

– Pomyliłem się – przerwał mu ojciec i spojrzął na chłopaka.

Staszek trzymał kurczowo koc na kolanach i drżał ze wściekłości.

– Nie możesz z tym nic zrobić – dodał ojciec. – To jest wojna. Musimy myśleć o tym, żebyśmy sami ją przeżyli. Wyzwolenie jest blisko. Polska będzie wolna, synku. Trzeba wytrzymać jeszcze trochę.

Ale Staszek nie mógł słuchać tatula, bo jego serce nappełnił strach.

Nie bał się o siebie. Po prostu zrozumiał, że pozostał mu tylko jeden dzień.

A potem będzie już za późno.

I ten dzień właśnie nastał.

Szedł więc w kierunku Kazika i Józka, którzy szeptali coś między sobą, co sprawiło, że pulsujący w nim gniew zaczął brać nad nim górę. Oddech mu się spłycił i szybciej się męczył.

W oddali ciemne czubki drzew rysowały łamaną linię na tle szarego nieba, pełnego ociążałych chmur sunących ospale na północ.

Jeśli miał uratować Salcię, to musiał to zrobić dziś.

Z ich pomocą lub bez.

Ale kolejnej szansy nie będzie.

DZIEŃ CZWARTY, PO POŁUDNIU

Monika Skalska pchnęła ciężkie drzwi komisariatu i wtedy usłyszała za sobą nieśmiały głos.

– Dzień dobry.

Odwróciła się i przy kamienicy na rogu Sądowej i Kopernika dostrzegła Michała Jaskólskiego. Trzymał ręce w kieszeniach rozpiętej mimo mrozu kurtki. Policjantka od razu zrozumiała, czemu nie przejmował się zimnem. Pod okryciem wierzchnim kryła się czarna bluza z kapturem i czerwonym, wyraźnym napisem *Stranger Things*.

Chłopiec uśmiechał się nieśmiało.

– Chciała pani, żebym przyszedł – dodał.

– Chciałam – Skalska uśmiechnęła się do niego. – Więc lepiej chodź, bo zamarzniesz.

Niechętnie ruszył się z miejsca.

Wyczuła to po jego uciekającym spojrzeniu i powolnych krokach.

W ciemnej klatce schodowej weszli razem po kilku stopniach i stanęli przy kolejnych zamkniętych drzwiach. Skalska mrugnęła do Darka Styczyńskiego, żeby ich wpuścił.

Weszli do holu i wtedy policjantka zajrzała do pomieszczenia oficera dyżurnego z pytaniem o to, czy pokój zatrzymań jest pusty.

– Pusty, a co? Chłopaka chcesz tam wsadzić? – wskazał brodą na wyrośniętego nastolatka.

– Na razie niech sobie pozwiedza – uśmiechnęła się.

– A, skoro tak, to śmiało. – Wstał, żeby sięgnąć po klucz i podać jej brelok.

Był od niej wyższy o głowę. Stał blisko, naruszając jej przestrzeń prywatną, ale Skalskiej się to spodobało. Nie cofnęła się ani o krok. Po prostu uniosła brodę i spojrzała mu w oczy.

– Sprawdziłeś repertuar? – ściszyła głos.

Poczuła zapach jego perfum. Delikatny i świeży.

– Sprawdziłem i mam coś na oku – rzucił.

– Co konkretnie?

– Mam nadzieję, że lubisz niespodzianki.

– O ile to nie będzie męskie kino – zastrzegła.

– Na babskim będę chrapał.

– Wisi mi to. Napisów nie zagłuszysz – odwróciła się i chciała już wyjść.

– A ta knajpa to jaka ma być?

– Dobra. Najlepsza – uznała.

Styczyński odsłonił w uśmiechu równe zęby.

Michał Jaskólski czekał na Skalkę, czytając ulotki policyjne zamieszczone na tablicy w pobliżu wejścia.

– Oprowadzić cię? – spytała, gdy chłopiec oderwał wzrok od lektury i rozejrzał się po niewielkim holu.

– Nigdy tu nie byłem – zaznaczył z powagą.

– Z tego to akurat powinienes się cieszyć. – Mrugnęła do niego, żeby się rozchmurzył.

Zajrzała z nim do siłowni, gdzie ćwiczyło dwóch kolegów z prewencji. Nie weszli do środka, zerknęli tylko na salę z atlasem, a następnie Skalska zaprowadziła nastolatka długim korytarzem do celi dla zatrzymanych. Za okratowanymi drzwiami znajdowała się niewielka przestrzeń z krzesłem i stołem przykręconymi do podłogi.

Policjantka szarpnęła drzwi, a następnie skinęła na chłopaka.

Michał usiadł na krześle, a potem poprosił Skalską o zrobienie mu zdjęcia. Podał jej swój telefon przełączony w tryb aparatu.

Cyknęła kilka fotek, a kiedy wyszli z celi, Jaskólski wskazał na drzwi znajdujące się na końcu korytarza.

– A tam co jest?

Wzdrygnęła się.

– Wyjście na niewielki placyk.

– Mogę zobaczyć?

Nie przemyślała tego. Od śmierci Grzegorza Otremby jej noga nigdy tam nie powstała.

– To nic specjalnego. Ciasne miejsce – stwierdziła, ale nastolatek zrobił kilka kroków w kierunku drzwi. Pchnął je i Skalska spojrzała na odśnieżoną kostkę.

Automatycznie przeniosła się kilka miesięcy wstecz, kiedy to z podobnej perspektywy widziała w tych drzwiach sylwetkę Grossa, nieruchomego, z opuszczoną głową, a za nim na ziemi dostrzegła leżące ciało, a raczej jego fragment. Nogi w spodniach od munduru galowego i wypastowane buty lśniące w promieniach słońca.

– Ale czad. Fajne miejsce – stwierdził chłopak, kiedy odwrócił się do Skalskiej i zamknął drzwi, odcinając dopływ mroźnego powietrza.

Wspomnienia się ulotniły.

– Chodźmy stąd – zaproponowała, a potem pokazała młodemu sekretariat i hol na piętrze, a także salę w pobliżu gabinetu Grossa, gdzie odbywały się większe odprawy. Na

koniec weszli na poddasze i usiedli w pokoju Skalskiej i Judyckiej.

Koleżanki akurat nie było w gabinecie.

Skalka przysunęła chłopakowi krzesło od trzeciego, pustego biurka. Chłopiec zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu, a potem usiadł.

– Napijesz się herbaty? – zaproponowała, ale odmówił.

– W zasadzie to ja już bym chciał iść – stwierdził.

– Tak? To po co przyszedłeś? – Policjantka powiesiła polar i ocieplacz na wieszaku, po czym rozsiała się wygodnie przy swoim biurku.

– Przecież to pani chciała, żebym przyszedł, nie?

– Myślałam, że pogadamy – odparła i dodała: – Fajna bluza.

– A, właśnie! Dziękuję.

– Rozmiar dobry?

– Idealny. Jest zaje... Zajefajna jest.

– Niech ci się dobrze nosi – dodała i zapadło chwilowe milczenie. – A komisariat?

– Może być. Tu pani pracuje?

– Tak. A tam siedzi moja koleżanka. Musiała wyjść.

– Dużo kobiet jest w policji?

– No, trochę jest.

– Myślałem, że to robota tylko dla facetów.

– Bo taka trudna?

Pokiwał głową.

– Jak widać, kobiety nie boją się trudnych wyzwań.

– Kiedyś chciałem być policjantem. – Rozejrzał się po niewielkiej przestrzeni z trzema biurkami i szafami, a także oknem połaciowym, częściowo przysypanym śniegiem.

– A teraz?

– Chyba już nie.

– Dlaczego?

– Wszyscy mają z was bekę w internecie. I słyszałem, że mało wam płacą – odparł.

Skalska poczuła się, jakby ktoś napluł jej w twarz, ale jednocześnie nie miała chłopcu tego za złe. Po prostu wiedziała, że wystarczył jeden idiota w mundurze, by całe społeczeństwo śmiało się w głos z nieudolnych funkcjonariuszy. Poza tym w tej gorzkiej refleksji kryło się coś więcej. Coraz częściej zdarzało się tak, że mundur wkładali ci, którzy nie byli godni, by go nosić.

– Fakt, moglibyśmy zarabiać więcej – skomentowała ostatnią uwagę chłopca.

– Może rozpocznijcie strajk? – poradził Jaskólski zupełnie poważnie i tym razem Skalska się zaśmiała.

– No, powiem ci, że jest to jakaś myśl – prychnęła a zaraz potem uznała, że pora przejść do sedna. Kiedy cisza się przedłużała, a chłopiec zaczął wiercić się w fotelu, dodała: – Rozmawiałam z doktorem Pawłem Szojcą.

Michał Jaskólski natychmiast skupił na niej wzrok, a palce dłoni zawięły się mocniej na podłokietnikach.

– Niby o czym?

– O twojej pracy.

– Ale dlaczego?

– Sam mi powiedz.

Chłopak popatrzył w kierunku oświetlonego korytarza.

– Mama pewnie czeka już na mnie z obiadem. Jak się spóźnię, znowu będzie się wkurzać – stwierdził.

– Zaraz pójdziesz. Chciałabym jednak, żebyś powiedział mi prawdę.

– To znaczy?

– Od kogo dostałeś sto złotych? Bo na pewno nie zarobiłeś ich za odśnieżanie.

– Zarobiłem – twardo obstawał przy swoim chłopak.

– Nieprawda. Żona doktora powiedziała mi, że pieniądze dostaniesz w następny wtorek. Dziesięć złotych za dzień.

Chłopak ścisnął mocniej podłokietniki, aż pobiełały mu kłykcie.

– Czy mama mówiła ci – kontynuowała Skalska – że policjanci, którzy, jak słusznie zauważyłeś, tak mało zarabiają, złożyli się, żeby pomóc wam w trudnym okresie?

– No i?

– A ty dostałeś od nas wymarzoną bluzę.

– Mogę oddać – obruszył się.

– Nie po to ją kupiliśmy, żebyś miał ją teraz oddawać.

Michał wstał.

– Myślałam, że mogę na ciebie liczyć.

– Muszę już iść – powiedział, ale wciąż stał w miejscu, bo w korytarzu rozległy się kroki. Po chwili do gabinetu weszła Judyta Judycka i zaskoczona widokiem chłopaka niemal stanęła w progu. Skalska zerknęła na koleżankę, która szybko skojarzyła fakty.

– Ej, ale masz czaderską bluzę – uśmiechnęła się blondynka i podeszła, żeby przybić z nim żółtwa. Zrobił to niemrawo. – Mam na imię Judyta, a ty?

Chłopak się przedstawił i zaraz dodał:

– Muszę już iść. – Spojrzał błagalnie na Skalską, po czym ruszył do wyjścia.

Funkcjonariuszka dźwignęła się z fotela.

– Dobrze ci w niej, przystojniaku – rzuciła Judycka i chłopiec mimo woli przystanął w progu. Rozciągnął usta w krótkotrwałym uśmiechu, a zaraz potem wyszedł na korytarz.

Skalska mrugnęła do Judyckiej i poszła za nastolatkiem, który zaczął już schodzić po schodach. Dogoniła go na piętrze, po czym zeszli razem na parter, ale nie zamienili ze sobą słowa.

Uchyliła mu drzwi, oddzielające komisariat od klatki schodowej i poprosiła, by pozdrowił mamę.

Nastolatek nawet nie kiwnął głową.

Odprowadziła go wzrokiem, a następnie stała tam jeszcze przez chwilę, przepelniona goryczą. Wiedziała, że Jaskólski ukrywał prawdę, ale z drugiej strony nie była pewna, czy informacja, którą by od niego zdobyła, w ogóle dotyczyła sprawy Stanisława Sądeckiego. A może chodziło tylko o szkołę i rówieśników?

Upór i strach chłopca mogły na to wskazywać.

W duchu machnęła ręką.

Doświadczenie podpowiadało jej, że są tropy, którymi nie warto podążać, i ten najwyraźniej do tej grupy się zaliczał.

Wróciła więc na piętro i przedzwoniła do Andrzeja Tatarskiego, analityka z Komendy Miejskiej Policji w Toruniu, który stale przesiadywał przy komputerze i odbierał połączenia niemal natychmiast.

– Halo?

– Cześć, Tatar, ja po prośbie.

– Wiesz, ilu dzwoni tu po prośbie i chce wszystko na wczoraj?

– Wiem. Ale za nikim nie tęskniłeś tak, jak za mną – zażartowała.

Na chwilę go zamurowało, ale w końcu parsknął śmiechem, co Skalka wzięła za dobrą monetę.

– Czego potrzebujesz? – spytał.

– Chciałabym, żebyś przejrzał laptop.

– Profesjonalista czy amator?

– Amator. Komputer dostaniesz jeszcze dziś.

– Czego mam szukać?

Skalska opowiedziała mu o tajemniczej śmierci Stanisława Sądeckiego.

– Poszukuję więc wszystkiego, co dotyczy tego mężczyzny – zawiesiła na chwilę głos, zastanawiając się, jak ubrać w słowa to, co jeszcze chciała mu powiedzieć.

– To wszystko? – spytał.

– Nie – odparła, pocierając skórę na czole. – Na twardym dysku jest film przedstawiający mężczyznę w szkole na lekcji historii. Opowiada młodzieży o drugiej wojnie światowej.

– No i? Wysłać ci ten film?

– Nie.

– To po co mi to mówisz?

– Może znajdziesz coś jeszcze. Cokolwiek, co dotyczy okresu okupacji. W szczególności z naszych terenów.

Przez chwilę oboje milczeli.

– Mówisz serio? – pierwszy odezwał się Tatar.

– Jak najbardziej.

– Dziwne. Ale dobra, zrobi się. Dam znać.

– Dzięki, Tatar.

– Podziękujesz, jeśli coś znajdę.

Kiedy komisarz Bernard Gross odprowadził Adama Czerwcową do drzwi wyjściowych z komisariatu i zaczął wspinać się z powrotem po schodach na piętro, z góry schodziła policjantka z Komendy Miejskiej Policji w Toruniu.

Znał ją z kilku tamtejszych odpraw.

Zobaczyła go i domyśliła się, że będzie chciała z nim porozmawiać.

– Dzień dobry, panie komisarzu – rzuciła z uśmiechem, dyskretnie rozejrzawszy się, czy nikt im nie przeszkodzi. Kiedy upewniła się, że są sami, podała mu rękę.

Uścisnęła ją.

Maria Herman, zanim wpadła w szpony hazardu, była zadbaną funkcjonariuszką, a teraz Gross patrzył na zmizerniałą kobietę po czterdziestce, z ciemnymi włosami przeplecionymi siwą nitką, z poszarzałą cerą i mocno ogryzionymi paznokciami.

– Cieszę się, że pana spotykam, bo kurczę, mam taki kłopot i tylko pan może mi pomóc. Nie mam z kim wrócić do Torunia. Koledzy mnie podrzucili, ale nagle coś im wypadło, a ja zostałam sama. A tak się pechowo złożyło, że dokumenty i torebkę zostawiłam na komendzie u siebie w gabinecie. A tu powiedzieli mi, że pan często jeździ do żony do Torunia.

– Przykro mi, ale już byłem – skinął jej głową i chciał odejść, ale zagroziła mu drogę. Ponownie zlustrowała szybko otoczenie. – W takim razie może pożyczylby mi pan do jutra sto złotych, co? My policjanci musimy sobie pomagać – uśmiechnęła się.

Gross przez moment wpatrywał się w jej rozbiegane oczy. Sięgnął do portfela i wyjął jedyny znajdujący się w nim banknot. Uniósł go, a Herman niemal natychmiast oblizła usta, jakby pokazał jej najlepsze danie w restauracji. Jej nozdrza się poruszyły. Wyciągnęła dłoń, ale Gross był szybszy.

Cofnął rękę i nie spuszczał jej z oczu.

– Pożyczę ci te pieniądze, ale nie teraz.

– Słucham? – Jej twarz wykrzywił grymas złości. Ściągnęła brwi i zacisnęła wargi.

– Przydadzą ci się, jak podejmiesz leczenie. Jak wyzwolisz się ze szponów hazardu.

– Jakiego hazardu? Chyba coś ci się popieprzyło.

– Wtedy chętnie ci pożyczę tę stówę. Bo naprawdę będziesz jej potrzebowała.

Herman sarknęła i wyminęła komisarza.

Jej obcasy wystukwały krótki, ale szybki rytm, kiedy zbiegała po schodach, aż dopadła do drzwi wyjściowych.

Komisarz schował banknot, dopiero kiedy zamknął się w swoim gabinecie. I wtedy też zadzwiała jego komórka.

Sięgnął po nią i odblokował ekran.

Miał jedną nieodebraną wiadomość tekstową.

Dotknął palcem ikony skrzynki esemesowej i wyświetlił treść.

„Zadzwoń dziś po ósmej. Bartek”.

Krew zaszumiała mu z uszach.

Oparł się plecami o drzwi i powiódł wzrokiem po niewielkiej przestrzeni gabinetu.

Trudno mu było uwierzyć w słowa, które wciąż wyświetlały się na ekranie. Do tej pory jego syn pozostawał nieugięty w postanowieniu odseparowania się od ojca. Dlatego Gross miał wątpliwości co do nagłej przemiany Bartka. A mimo to ucieszył się, że chłopak w końcu się przełamał.

Komisarz spojrział na zegarek.

Do ósmej było jeszcze sporo czasu.

Usiadł przy komputerze, żeby ochłoniąć, i uruchomił pocztę.

Spłynęło kilka nowych informacji, ale żadna z nich nie dotyczyła Sądeckiego. Pozostałe przekierował do podległych mu policjantów, a część oznaczył jako nieprzeczytane, żeby wrócić do nich po weekendzie. Żadna nie była pilna i nie wymagała jego natychmiastowej reakcji.

Zgasił komputer, wyszedł z biura i opuścił komisariat.

Na zewnątrz było już ciemno, lampy rzuciły pomarańczowe plamy światła na zwały zmarzniętego śniegu. Mróz nie odpuszczał, a przenikliwy wiatr znad jeziora smagał go po

twarży, gdy szedł pomostem w kierunku bloku. Między oblodzonymi deskami prześwitywał czarny lód, którym pokryła się tafla jeziora.

Gross szedł ostrożnie, pochylając nieco głowę i uważając na to, by się nie poślizgnąć.

Kiedy dotarł do mieszkania, ogrzewał przez jakiś czas ręce nad czajnikiem, pod którym syczał spalany gaz. Gdzieś z dołu dochodziły dudniące dźwięki zbyt głośno nastawionego telewizora, ale trwały krótko, a potem względna cisza zagościła w jego mieszkaniu.

Komisarz wyciągnął z pustawej lodówki masło i dwa rożki topionego sera o smaku paprykowym. Przygotował dwie kanapki, które ułożył obok siebie na talerzu, i zalał torebkę ekspresówki.

Zjadł kolację w kuchni, wpatrując się w ciemność za oknem i widząc w szybie swoje odbicie.

Po jakimś czasie wstał, umył naczynia i z kolejną porcją herbaty przeniósł się do pokoju. Chciał zabrać się za modelowanie, ale niepokój rozchodził się w jego wnętrzu falą i drżały mu ręce, więc odłożył drobne plastikowe części i zakręcił klej modelarski.

Zły na siebie sięgnął po książkę ze wspomnieniami tutejszych mieszkańców, ale zbyt często odpływał myślami do treści esemesa od syna. Złapał się na tym, że co rusz spoglądał na zegarek i przez to czas dłużył mu się niemiłosiernie.

Jego myśli znowu pobiegły do minionych zdarzeń. Tym razem jednak przypomniał sobie dawne sny dotyczące ich rodzinnego dramatu. W jednym z nich Bartek stał gdzieś obok niego, nieruchomy, zastygły w szoku, patrząc na wszystko to, co widział Gross. Ale przecież tak nie było. Policjant zostawił chłopca przed furtką, gdzieś w pobliżu samochodu, i pobiegł na górę. Żałował, że sny nie trzymały się rzeczywistego scenariusza zdarzeń, bo w kolejnej wersji to właśnie Bartek miał ocucić ojca. A w jeszcze innych syn odnalazł broń, która wypadła z ręki Grossa, i teraz to jedenastoletni chłopiec zaciskał na rękojeści pistoletu drobne palce. Unosił go, trzymając oburącz, z palcem wskazującym ułożonym na języku spustowym. Komisarz chciał się odezwać do syna, ale głos uwiązł mu w gardle, i widział tylko, jak otwór lufy unosi się i nieruchomieje przed jego twarzą. Chłopiec uśmiechnął się szeroko, jakby bawił się w najlepsze. Gross stężał, widząc drżenie dłoni syna, kiedy drobny palec nastolatka zaczął napierać na stawiający wciąż opór spust.

Komisarz zerwał się z tego koszmaru cały zlany potem w chwili, kiedy huk szarpnął jego ciałem, a oczy zalała nieprzenikniona ciemność.

Odłożył książkę i przetarł twarz.

Sięgnął po komórkę i zadzwonił do Skalskiej.

Niestety nie odebrała.

Odniósł do kuchni kubek, wyrzucił ekspresówkę do kosza na śmieci i wtedy raz jeszcze dostrzegł swoje odbicie w szybie.

Znieruchomiał, bo wreszcie coś zrozumiał.

Cofnął się do pokoju po telefon, po czym połączył się z wnukiem Stanisława Sądeckiego.

– Słucham? – odezwał się młody mężczyzna.

– Muszę się dostać do domu pana dziadka – rzucił Gross i dodał: – Teraz.

– A, to pan, panie komisarzu – odetchnął młody Sądecki. – Co tak pana przypiliło?

– Mam ważny powód.

– Rozumiem, ale przecież macie klucze. Mój ojciec wam dał. – Mężczyzna odkaszlnął.

– To prawda, ale nie mam do nich dostępu, a sprawa jest pilna.

– Kurczę, to trochę niefart, bo mnie rozkłada jakieś przeziębienie. Więc wolałbym teraz nie wychodzić na to zimno.

– Sam tam pojedę.

– A, skoro tak, to luz. – Ponownie zakasłał. – Niech pan przyjedzie.

Aspirantka sztabowa Monika Skalska zgasiła światło w pustym gabinecie i zeszła z poddasza na piętro. Nie zastała jednak Grossa w pokoju, więc uznała, że zadzwoni do niego później. Zajrzała natomiast do dyżurnego przez okienko dla interesantów.

Dariusz Styczyński nachylił się, by je otworzyć, ale jednocześnie dał jej ręką znak, by zaczekała, bo wywołał właśnie jeden z patroli prewencji. Z tego, co zrozumiała, skierował go w okolice dworca, gdzie doszło do bijatyki kilku krewkich młodych mężczyzn.

Kiedy skończył, przyciszył radiotelefon i odsunął sprzęt od siebie.

– Idziesz do domu? – rzucił rozpromieniony.

– Kiedyś trzeba odpocząć, nie? – Skalska nałożyła bejsbolówkę i zapięła ocieplacz pod szyją, a on zgodził się z nią, kiwając głową.

Koszula leżała idealnie na jego płaskim brzuchu i muskularnych ramionach.

– Może ustalimy u mnie w domu, na co pójdziemy do tego kina, co? – spytała, wciąż stojąc w otwartych drzwiach.

– To brzmi jak plan – odparł, a ona poczekała na jego uśmiech. – Podobno po winie łatwiej podejmuje się decyzje.

– A jakie jeszcze decyzje miałabym podjąć? Szczególnie po winie?

– Się zobaczy – zaśmiał się.

– W takim razie do zobaczenia, Styku – pierwszy raz wypowiedziała jego ksywkę.

Blondyn uśmiechnął się szeroko.

– Będę po ósmej.

– Przybiegniesz? – zażartowała, nawiązując w ten sposób do jego biegowej pasji.

– Na jednej nodze – rzucił.

– W takim razie uważaj na wino – odparła i zeszła po kamiennych schodach.

Mróz na zewnątrz sprawił, że przyspieszyła kroku. Spacer był intensywny, ale jednak Skalska przemarzła do szpiku kości. Dlatego w domu wślizgnęła się do wanny z ciepłą wodą i obserwowała swoje ciało pokryte gęsią skórką.

Potem oparła głowę na rancie wanny i stopą dotknęła baterii, żeby dolać gorącej wody.

Zamknęła oczy i całe jej ciało chłonęło teraz ciepło wody. Balansowała na granicy jawy i snu, kiedy w jej myślach objawił się Grzegorz Otremba. Uśmiechał się do niej, pomachał, a potem odszedł. Zniknął w plamie rozpalonego, wiosennego słońca. Tęskniła za kochankiem, ale miała wrażenie, jakby pojawił się teraz, w tej szczególnej chwili, po to, by się z nią pożegnać.

Czekała na to.

Chciała iść ze swoim życiem naprzód.

Ale czy Styczyński powinien jej w tej drodze towarzyszyć?

Ilekroć myślała o miłośniku biegów długodystansowych, chciała raz na zawsze uwolnić się od lokowania uczuć w funkcjonariuszach. Uważała to za rodzaj przekleństwa. A z drugiej strony nie wiedziała, jak miałyby poznać innych mężczyzn, skoro jej życie rozgrywało się między pustym dużym domem a komisariatem. Miała kilka przygodnych kontaktów z facetami, ale ograniczały się one do mniej lub bardziej udanego seksu. Nie czuła się na siłach nawiązywać z nimi jakiegokolwiek dłuższej relacji

Przypomniała sobie, jak rozmawiali z Grossem o samotności i jego słowa: „Daj sobie szansę”.

Pomyślała też o nim, o facecie wiernym chorej żonie pozostającej w śpiączce, który po latach poznał inną kobietę.

Zastanawiała się, jak długo walczył ze sobą, nim wreszcie pozwolił Malwinie Lemańskiej zbliżyć się do siebie, zniszczyć gruby pancierz, który przywdział, by wyizolować się ze świata, wygasić swoje potrzeby i uczucia.

Ale czy Grossa zmieniło nowe uczucie?

Tego nie wiedziała. Znała go tylko ze służbowych kontaktów. Komisarz miał w sobie pewien rodzaj dystansu, ukrytego chłodu, który sprawiał wrażenie nieprzystępności.

Kiedy tylko o tym pomyślała, zdała sobie sprawę, że po śmierci Grzegorza Otremby ona również stworzyła wokół siebie pancierz.

Czas, by go z siebie zrzucić, pomyślała.

Wyszła z wanny i wytarła ciało do sucha, a potem nawilżyła je balsamem.

Kiedy skończyła, włożyła elegancką bieliznę, na którą narzuciła gruby dres, i zeszła na dół w chwili, gdy ktoś zadzwonił domofonem.

Światło na ganku rozświetliło się i Skalska dojrzała przy furtce Darka Styczyńskiego chowającego głowę w ramionach i mrużącego oczy przed gęsto syjącym śniegiem.

Wpuściła go bez słowa i uchyliła drzwi, a mroźne powietrze owinęło się wokół jej bosych stóp.

Przeszył ją dreszcz.

I pomyślała sobie, że to zły znak.

Ale było już za późno.

Policyjna taśma furkotała na silnym wietrze, przywiązana do słupków przy pordzewiałej furtce.

Gross przekręcił klucz w zamkach i wewnątrz domu przywitała go cisza. Cisza i smród z kanalizacji.

Stary, nieogrzewany budynek, w którym zimno z łatwością przeniknęło przez mury, przynajmniej chronił komisarza przed nagłymi, zimnymi powiewami od strony jeziora.

Wciągnął powietrze ustami.

Będąc w swoim mieszkaniu i przyglądając się swojemu odbiciu w szybie, sądził, że zrozumiał, co zaszło w domu Sądeckiego na krótko przed jego śmiercią. Przyszedł jedynie zweryfikować swoje przypuszczenia.

Zajrzał do łazienki, skąd zabrał niewielkie lustro i przemaszerował z nim do pokoju. Zawiesił je na niewielkim haczyku i poprawił, żeby wisiało prosto, po czym usiadł w zimnym, wyrobionym i twardym fotelu.

Opuścił się w nim tak, aby głowa znajdowała się na równi z wysokim siedziskiem.

Intuicja go nie zawiodła.

Przyglądał się przez chwilę odbitemu obrazowi i zastanawiał się, czy tak to się rzeczywiście odbyło.

Spojrzał w prawo, gdzie tuż obok fotela znajdowała się ława, a na niej, na wyciągnięcie ręki Grossa, stała betonowa figurka konia z wyszczerbionym uchem.

Chwycił ją, zważył w dłoni, a następnie wyprowadził zamach, ale nie rzucił.

Do lustra miał nie dalej niż dwa metry.

Odstawił figurkę i odwrócił się do telewizora.

Gross przypomniał sobie, że kiedy Janusz Kowal wszedł w miniony wtorek wczesnym rankiem do otwartego domu starszego mężczyzny, z odbiornika dobiegał biały szum.

Zrozumiał więc, że Sądecki musiał obejrzeć coś w telewizorze, co być może doprowadziło go do śmierci. Może nie bezpośrednio, bo wówczas doktor Raszeja poinformowałaby go na przykład o przebytych przez staruszkę zawalę. Raczej chodziło mu o stan silnego wzburzenia emocjonalnego.

Wiedział już też, że Sądeckiego raczej nie wytrąciło z równowagi to, co emitowano w telewizji. Gross przeanalizował program dokładnie. Poza tym nowoczesny telewizor zapewne wyłączyłby się automatycznie z powodu braku sygnału, co zresztą zdarzało się rzadko, bo najczęściej do późnej nocy nadawano powtórki programów.

Ale czy tak samo stałoby się wówczas, gdyby do telewizora podpięto inne urządzenie, a potem je odłączono?

Nie znał się na elektronice, ale poszukał odpowiedzi w internecie. Okazało się, że zazwyczaj okres bezczynności telewizora wynosił dwie godziny. Po tym czasie odbiornik sam się wyłączał.

Dwie godziny, pomyślał Gross, cały czas wpatrując się w czarny ekran telewizora, w którym widział ciemną postać wyrastającą pośrodku pokoju.

A zatem ktoś tu był, włączył nagranie i chciał zmusić Stanisława Sądeckiego do obejrzenia czegoś, na co ten nie był gotowy i czego oglądać nie zamierzał. W przyпіlywie złości staruszek chwycił więc figurkę konia i skołowany, cierpiący na demencję wywołaną lekami, rzucił nią w lustro, a nie w telewizor, który miał za plecami.

Gross przypomniał sobie niewielki fragment kryształu odnaleziony przy nodze komody. Trafił na niego wówczas tylko dlatego, że zdecydował się przesunąć mebel. A to oznaczało coś jeszcze.

Ktoś dokładnie posprzątał podłogę.

Gdyby zrobił to Sądecki, niewykluczone, że lustrzanych okruchów byłoby więcej.

Komisarz kucnął, żeby ponownie przyjrzeć się podłodze.

Dotknął palcem zimnego, lakierowanego drewna i przejechał opuszkami po parkiecie.

Wyczuwał w nim drobne wgniecenia.

Uklęknął i uruchomił latarkę w telefonie, a następnie rzucił światło pod kątem w taki sposób, by ujawnić więcej uszkodzeń, w których czaiły się skrawki cienia.

Lakier nosił sporo zadrapań, ale większość z nich była stara. Tylko jedno wydawało mu się świeże, bo w przeciwieństwie do pozostałych, ranty nacięcia wciąż wyglądały na ostre.

Gross przesunął się nieco w kierunku drzwi i ponownie oświetlił drewniane klepki.

Chwilę to trwało, nim odnalazł podobną skazę. A potem kolejne.

Przyjrząwszy się uszkodzeniom drewnianej podłogi, zrozumiał, że dużej rysie towarzyszyło kilka mniejszych. Wzór się powtarzał. A to z kolei sprawiło, że wiedział już, co powinno było zwrócić ich uwagę.

Powinni przyjrzeć się podeszwom butów sprawcy.

Tyle tylko, że wciąż nie wiedzieli, kto nim jest.

Gross wrócił do samochodu i uruchomił silnik. Skostniałymi z zimna palcami chwycił kierownicę. Dodał gazu i golf wytoczył się na ośnieżoną jezdnię.

Spod domu Sądeckiego pojechał na drugą stronę jeziora, by oddać klucze wnukowi staruszka.

– I co? – spytał mężczyzna z nozdrzami zaczerwienionymi od ciągłego korzystania z chusteczek i wydmuchiwania nosa.

– Nadal nikomu nie wolno tam wchodzić.

– Rozumiem, ale pytałem, co pan tam ciekawego zobaczył?

Stali w drzwiach mieszkania w bloku. Skądś obok dobiegał odgłos bajki telewizyjnej. Po klatce schodowej niósł się intensywny zapach gotowanego mięsa.

– Coś, co wcześniej przeoczyłem.

– Czyli?

Gross zawiesił wzrok na kilku parach butów, damskich i męskich botków, które równo ustawione zajmowały fragment podłogi wąskiego korytarza.

– Dobranoc panu – odparł policjant i zaczął schodzić po schodach.

Pogrążony w rozmyślaniu ponownie znalazł się w samochodzie. Zbliżała się ósma.

Silnik golfa zawarczał i Gross odjechał spod bloku w kierunku głównej drogi. Szyba zaszała parą, a nawiew, mimo że ustawiony na najwyższe obroty, nie dawał sobie rady i droga przed maską rozmywała się we mgle. Szum wentylatora wypełnił kabinę.

Komisarz przetarł rękawem część szyby, ale na niewiele się to zdało, bo para osiadła na zmarzniętym szkłe i zmieniła się w ciekłą warstwę szronu. W końcu nachylił się nad kierownicą i wyteżywszy wzrok, dojechał do głównej drogi, a następnie skręcił w prawo. Zwolnił na torach, a potem tylko nieznacznie przyspieszył.

Przejmujące zimno przyjęło go w swoje ramiona.

Wóz włókł się po jezdni, a komisarz mrużył oczy przed natarczym światłem pojazdów nadjeżdżających z przeciwka.

Miał do siebie żal, że już we wtorek nad ranem, kiedy odnalazł okruch lustra, nie przyjrzał się podłodze w domu Sądeckiego. Minęły cztery dni, więc w zasadzie wieczność. Nawet jeśli szkło dostało się w podeszwy sprawcy i pozostało przez niego niezauważone, to w trakcie chodzenia mogło już wypaść.

Przedzwonił do Skalskiej, ale nie odbierała. Zjechał więc do najbliższej zatoki autobusowej i zatrzymał się, by wysłać jej esemesa. Poprosił ją, by następnego dnia rano raz jeszcze wybrała się do Torunia i przyjrzała samochodowi Wójcickiej. Liczył, że uda jej się odnaleźć na gumowym dywaniku pasażera ślady nacięć lub drobnych uszkodzeń powstałe od ostrego przedmiotu. Odkrycie nie stanowiłoby dowodu w sprawie, ale być może

przybliżyłoby go do ustalenia, że ten, kto był w domu Stanisława Sądeckiego, siedział w samochodzie Małgorzaty Wójcickiej.

Wiele wskazywało na wnuka starego Kowala, który zazwyczaj zabierał się z kobietą do Chełmna. Być może oszukał ich, podając informację, jakoby wieczorem, w dniu poprzedzającym tragedię, wysłał Wójcickiej esemesa, że jednak zostanie w domu. A co, jeśli przeziębienie rozwinęło się dopiero kolejnego dnia? Na przykład po tym, gdy przypadkowo skąpał się w lodowatym jeziorze albo kiedy zaciągnął do wody ciało Sądeckiego?

Gross uznał, że muszą ze Skalską przyjrzeć mu się bliżej.

Komisarz odszukał numer telefonu do Jacka Kowala i zadzwonił.

– Tak, słucham?

– Dobry wieczór. Pan Jacek Kowal?

– Tak, a kto mówi?

– Komisarz Bernard Gross, policja w Chełmży. Nie przeszkadzam?

– Coś się stało? – spytał mężczyzna.

– Nie. Przepraszam za porę, ale ta sprawa nie powinna czekać.

– O co chodzi?

– Nie mogę rozmawiać przez telefon, natomiast będę wdzięczny, jeśli przyjdzie pan jutro rano na komisariat.

– Słucham?

– To rutynowe działanie. Aspirantka sztabowa Monika Skalska rozmawiała z panem niedawno, prawda?

– Tak, widzieliśmy się.

Gross zerknął w lusterko wsteczne. Nadjeżdżał autobus, który mrugał kierunkowskazem. Reflektory raziły komisarza, więc odwrócił głowę i włączył w golfie światła awaryjne. Tykały miarowo.

– Chodzi o to, że w notatce z tego rozpytania pojawiły się drobne nieścisłości. Chciałbym je jutro z panem wyjaśnić.

– Jakie nieścisłości?

– Sprawa nie jest na telefon – powtórzył.

Z autokaru wysiadła kobieta, poprawiła torebkę i poczekała, aż pojazd odjedzie. Ten minął golfa, rżąc głośno, a kiedy Gross spojrział w lusterko, nie było już po niej śladu.

Kowal się odezwał:

– Szczerze mówiąc, moje przeziębienie...

– Ma pan zwolnienie lekarskie? – Gross wszedł mu w słowo pytaniem.

– Nie, ale...

– A zatem jutro o jedenastej. Życzę dobrego wieczoru – stwierdził i się rozłączył.

Miał nadzieję, że do tego czasu Skalska wyrobi się z wizytą w Toruniu. Na wszelki wypadek wysłał jej drugiego esemesa.

Wjechał do Chełmży drogą między cmentarzami, gdzie coraz liczniejsze znicze rozświetlały nagrobki. Znak, że zbliżały się święta Bożego Narodzenia.

Przejechał przez centrum, a następnie wzdłuż opustoszałego skweru ze starymi drzewami i chodnikami zasłanymi ubitym śniegiem, żeby dostać się do ulicy Kościuszki. Lawirując między zaparkowanymi wzdłuż jezdni samochodami i nieuprzątniętymi zwalami śniegu, dojechał do Plażowej.

Wstawił golfa do garażu i chowając się przed mroźnym wiatrem, podbiegł w kierunku klatki schodowej. Wiatr zawył pod zadaszeniem, gdy Gross wślizgnął się do wnętrza budynku.

W dużym pokoju spróbował ustawić termostat na maksimum, ale mimo że odczekał jakiś czas z dłońmi na letnim grzejniku, nie poczuł intensywnego ciepła od gorącej wody wypełniającej kaloryfer.

Oplukał więc ręce nad umywalką i zaparzył sobie herbatę.

Usiadł z nią w pokoju, po czym położył na blacie telefon i wpatrywał się w aparat przez jakiś czas.

Wskazówki starego zegara kominkowego, tykającego opodal na komodzie, wskazywały kwadrans po ósmej. Uznał, że już czas zadzwonić do syna.

Dreszcz przebiegł mu po plecach. Z trudem przełknął ślinę, a potem nabrał powietrza w płuca i wypuścił je ze świstem.

Sięgnął po komórkę i wybrał numer. Po krótkotrwałej ciszy w słuchawce w końcu usłyszał pierwszy sygnał. Liczył je uważnie. Po trzecim ułożył dłoń na blacie i nerwowo zabębnił palcami, ale po piątym sygnale zauważył, że ręka drżała mu samoistnie, a w gardle coś pęczniało, odbierając dech. Jednak nie zdążył z tym nic zrobić, bo usłyszał krótki, cichy trzask, a po nim rozległ się głos Bartka.

– Halo?

Gross ponownie przełknął ślinę, a gęsta krew zapulsowała mu w skroniach.

– Halo? – powtórzył Bartek.

– To ja – odezwał się w końcu, ale nie bardzo wiedział, co dalej. Wcześniej, kiedy układał sobie tę rozmowę w głowie, wydawało mu się, że będzie pewny siebie i rozmowny, skory do zadawania pytań, ale też gotowy do wysłuchania swojego syna, gdyby ten w ogóle zechciał z nim rozmawiać, a nie, tak jak zwykle, obrzucać ojca obelgami.

– No, słyszę – odezwał się młody Gross.

– Chciałeś, żebym zadzwonił – powiedział ojciec, chociaż bał się, że to zabrzmiało tak, jakby sam nie miał ochoty na tę rozmowę.

– Tak, bo wiem, że atakowałeś dziadków w mojej sprawie.

– Nie atakowałem, po prostu...

– Dobra, rozumiem – przerwał mu Bartek. – Chodzi o to, żebyś do nich nie dzwonił. Dość się już nacierpieli.

Gross przygryzł boleśnie wargę.

Nacierpieli? Odwrócili się od chorej córki, nigdy nie odwiedzili jej w zakładzie opiekuńczym, a przynajmniej policjant nic o tym nie wiedział. Zapomnieli o niej, choć przeżyła piekło, a teraz stawiali się z nią na równi w roli ofiar.

Komisarz nie mógł o tym myśleć, bo obawiał się, że pokłóci się z synem. Dlatego wciąż milczał.

Dotarli do niego odgłosy rozmów prowadzonych po angielsku i jakiś cichy szum w tle. Jakby syn siedział w pubie albo jechał metrem. O ile w Doncaster było metro.

– Nie masz mi nic do powiedzenia? – spytał Bartek, ale Gross nie wyczuł w tym pytaniu prowokującego tonu.

– Mam – odparł, odzyskując spokój. – Chciałem ci podziękować za to, że przychodziłeś do matki, że czytałeś jej książkę.

– Ona też już u niej była?

– Kto?

– Twoja nowa kobieta. Ta bibliotekarka.

– Nie.

– Przyprowadzisz ją do mamy?

Komisarz spojrział w ciemność za oknem, ale po chwili wyostrzył wzrok i przyglądał się swojemu odbiciu w szybie. Nie wiedział, jakie to miało znaczenie dla Bartka i jakiej odpowiedzi syn od niego oczekiwał.

– Nie wiem – odparł zgodnie z prawdą i zdał sobie sprawę, że nie zaprzeczył temu, że Malwina Lemańska jest dla niego ważna. Nie próbował kłamać, bo na kłamstwie nie da się niczego budować. Wiedział to doskonale. – Ale wciąż Kocham twoją matkę – dodał. – I bez względu na wszystko zawsze będę ją kochał. Nigdy jej nie opuszczę.

Odgłosy w tle ucichły, albo tak się Grossowi zdawało.

– Da się tak? – zastanowił się syn.

– Jak?

– Kochać dwie kobiety?

Komisarz westchnął.

Na proste pytania nie zawsze udawało się znaleźć proste odpowiedzi.

Jednak decydując się na milczenie, w jakiś sposób właśnie jej udzielał.

– Nigdy nie myślałem, że tak to wszystko się potoczy – rzekł wymijająco. – Ale powiedz, co u ciebie.

– Nic. Normalnie.

– Wyjechałeś do Anglii.

– Po prostu muszę się ogarnąć. Zacząłem się leczyć i uznałem, że tu stanę na nogi.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zaryzykował pytanie. Do tej pory syn próbował w różny sposób wyciągać od niego pieniądze i dlatego Gross bał się, że za chwilę Bartek sformułuje podobną prośbę.

– Nie. Jakoś sobie radzę.

– Ale gdybyś... – zaczął komisarz, jednak nie zdążył dokończyć.

– Dam sobie radę. Obiecałem to.

– Komu?

– Mamie.

Gross wstał od stołu i podszedł do okna. Przez kłębowisko szalejącego śniegu przyjrzał się miastu, które zamarło tuż nad brzegiem zamarzniętego jeziora.

Chłód bił od szyby, wiatr napierał na nią i gwizdał pod okapem dachu.

– Dzwonisz w jej sprawie, prawda? – zainteresował się Bartek. – Chodzi ci o to śledztwo. O tego policjanta z Archiwum X, z którym rozmawiałem.

Gross uznał, że w takiej chwili nie może kłamać.

– To też – przyznał. – Ale... Po prostu dawno tak ze sobą nie rozmawialiśmy – stwierdził. Z trudem dostrzegł zarys konkatedry. – Ale tak, interesuje mnie to, co mu powiedziałaś – dodał.

Syn nie odzywał się przez chwilę.

– No więc? – ponaglił Gross.

– Powiedziałem mu prawdę.

– A jak brzmi ta prawda? – Mgiełka jego oddechu ułożyła się na szybie.

– Chyba naprawdę niewiele pamiętasz z tamtego dnia, co?

Gross nie chciał tego przedłużać. Ale nie zamierzał też naciskać. Wolał oddać pole synowi.

– Dlaczego nigdy ze mną nie rozmawiałaś na ten temat? – spytał Bartek.

Policjant zamknął na chwilę oczy i spuścił głowę.

– Bo myślałem, że w ten sposób cię uchronię.

– I to się nie udało – zaznaczył syn.

– Masz rację, to się nie udało. – Gross wrócił do stołu i z powrotem zajął miejsce na tym samym krześle.

– Powiedziałem mu – kontynuował syn – że kiedy pobiegłeś do domu, ja nie ruszyłem się z miejsca. Stałem tam przed furtką.

Gross odchrząknął.

– Ale potem, kiedy wybiegłem za sprawcą, już cię tam nie było. Tyle pamiętam – powiedział, a obrazy z przeszłości wyświetliły się mu w głowie.

– To prawda.

– Więc dokąd poszedłeś?

– Ta kobieta, która wtedy... no wiesz... Ona... Pamiętam, że pociągnęła mnie za rękę i zaprowadziła do samochodu. Nie zdążyłeś go zamknąć. Otworzyła tylne drzwi i kazała mi się schować.

Gross wstrzymał oddech.

Wspomnienia przeniosły go lata wstecz. Stał przed domem na toruńskich Wrzosach, widział błysk światła w oknie sypialni i usłyszał stłumiony krzyk, który oblał go chłodem. A potem wszystko potoczyło się tak szybko, że w jego pamięci sekwencje zdarzeń następowały jak w kalejdoskopie, jak szybkie cięcia filmowych scen, i już stał z powrotem na zewnątrz z bronią w rękę i celował w plecy uciekającego sprawcy. Kiedy padł strzał, kątem oka widział kobietę, która szła chodnikiem po drugiej stronie jezdni. Do tej pory sądził, że była tylko przechodniem.

– Ona zaprowadziła cię do samochodu? – Gross nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Powiedziała, żebym się stamtąd nie ruszał. A potem położyła palec na ustach i kazała mi być cicho. Trzasnęła drzwiami i jeszcze tylko słyszałem stukot jej butów na asfalcie. Kiedy ucichł, uniosłem głowę i spojrzałem ostrożnie przez przednią szybę.

– Widziałeś mnie?

– Dopiero gdy mierzyłeś do kogoś z pistoletu. Ale to nie ty oddałeś strzał. To ten drugi. Pojawił się za tobą i cię ogłuszył. A potem zabrał broń, podszedł kilka kroków do skraju jezdni i wtedy rozległ się huk.

Gross pamiętał to zupełnie inaczej. Niemal czuł odrzut broni po wystrzeleniu pocisku. Ta chwila odtwarzała się w jego pamięci jak film w najwyższej rozdzielczości.

– A potem?

– Nie wiem, co było potem. Nie miałem już odwagi patrzeć. Ukryłem się i trząsałem ze strachu. – Gross miał wrażenie, jakby głos syna się załamał. – Przepraszam, powinienem był

coś zrobić. Miałem jedenaście lat. Ale nie zrobiłem nic.

Lęk, który Gross nosił w sobie od dawna i który tlił się gdzieś w jego wnętrzu, rozpalił się na nowo sporym płomieniem. Trawił go i spopieliał.

– Czy kiedy było już po wszystkim, ktoś cię przesłuchiwał?

– Próbowali – odparł syn. – Ale szybko odpuścili. Powtarzałem w kółko, że niczego nie widziałem, że ukryłem się w samochodzie, za przednimi fotelami.

Cisza tężała w słuchawce. Żaden z nich się nie odzywał.

Gross gorączkowo myślał o tym, że dawne wspomnienia pękły, rozbite niczym kryształ, i rozsypały się na drobne kawałki.

Ile były warte przez te wszystkie lata, kiedy pielęgnował je w sobie, sądząc, że prawda kryjąca się za zdarzeniami sprzed dziesięciu lat w końcu ujrzy światło dzienne? Tymczasem wszystko to, co podpowiadała mu pamięć, mogło przebiegać zupełnie inaczej, a z jakiegoś powodu mózg zwyczajnie go oszukał. Być może więc przez lata obwiniał się o czyn, którego nie popełnił. Dręczyło go to, że będąc funkcjonariuszem policji, nie tylko nie ochronił swoich bliskich, ale też celując do napastnika, zastrzelił niewinną kobietę. I chociaż ekspertyza biegłych nie potwierdzała jego wersji zdarzeń, trzymał się jej, właśnie z powodu tych obrazów zapisanych w jego pamięci tuż przed tym, gdy ogłuszony upadł na ziemię.

– Dlaczego dopiero teraz zdecydowałeś się opowiedzieć o tym temu policjantowi? – spytał Gross.

Syn zastanawiał się przez jakiś czas nad odpowiedzią, a komisarz odniósł wrażenie, że połączenie zostało przerwane. Zerknął nawet na ekran komórki.

– Wcześniej byłem na ciebie zły – stwierdził chłopak. – Myślałem, że w ten sposób zapłacisz za to, co przydarzyło się mamie. Bardzo mi jej brakowało.

Gross wstrzymał oddech.

– A potem straciłem też ciebie. Albo inaczej. Chciałem się od ciebie odciąć. Winilem cię za wszystko. Was oboje, za to, co się stało. I dopiero kiedy zacząłem się leczyć, kiedy zdałem sobie sprawę, że jestem na dnie, odwiedziłem po latach mamę i zrozumiałem, że to ty stałaś przy niej byleś. Że tak naprawdę wszyscy jesteśmy ofiarami tego, co się wydarzyło.

Komisarz z trudem nabrał powietrza. Zapięło go pod powiekami.

– Powinienem cię lepiej chronić – wydukał.

– Wszyscy zbyt późno zdajemy sobie sprawę z własnych błędów. Ja też nie jestem bez winy – stwierdził Bartek. – I wcale nie mam przekonania, że to, co powiedziałem temu policjantowi, cokolwiek zmieni. I czy popchnie śledztwo do przodu.

Gross też nie wiedział, w jakim stopniu opowieść syna zmieniła spojrzenie śledczych na to, co wydarzyło się dawno temu na Wrzosach. Wciąż nie znał odpowiedzi na

najważniejsze pytania: kto i dlaczego wkradł się do ich domu, czego w nim szukał i dlaczego napadł na Agnieszkę. Czym mu zawiniła, że ją dusił?

Policjanta przeszył dreszcz. Rozszedł się w jego wnętrzu aż po koniuszki palców.

Żałował, że walcząc z mężczyzną, przepychając się z nim na piętrze, a potem w kuchni, zdołał go tylko ranić, ale nie ściągnął mu kominiarki. Chyba nawet nie próbował tego zrobić, a przecież dzięki temu wiedziałby, kogo szukać. Tymczasem, po dziesięciu latach od tragedii, wciąż znajdował się w punkcie wyjścia.

Przynajmniej do teraz.

Bo nagle okazało się, że powinien dokładnie sprawdzić, kim była kobieta, która kazała Bartkowi schować się do samochodu, a chwilę później leżała na chodniku w plamie krwi. Czy to był przypadek? Czy drugi z bandytów, podobnie jak Gross, celował w plecy uciekiniera, czy wykonał swoisty wyrok śmierci na kobiecie?

Komisarz poczuł chłód w trzewiach.

Miał ochotę natychmiast skontaktować się z Miłoszem Wiernatem z bydgoskiego zespołu do spraw przestępstw niewykrytych Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy, żeby wypytać go o to, co zrobi z wiedzą uzyskaną od Bartka. Czy informacja syna okaże się przełomowa?

Ale na linii wciąż miał Bartka, z którym od dawna nie rozmawiał tak swobodnie.

– Dziękuję – zwrócił się do chłopaka.

– Za co?

– Za to, że rozmawiamy. Za to, że powiedziałaś prawdę.

– Jestem to winny mamie – odparł młody mężczyzna.

Gross potarł czoło.

– Ona jest z ciebie dumna – stwierdził i ponownie obaj zamilkli na moment.

– Tato? – rzucił Bartek. Gross nie pamiętał już, kiedy syn ostatni raz odezwał się do niego w ten sposób.

– Tak?

– Ucałuj ją ode mnie – poprosił chłopak.

Gross uniósł drżącą rękę do ust i zamrugał powiekami.

Potem pokiwał tylko głową i bojąc się, że załame mu się głos, po prostu się rozłączył.

DZIEŃ SIÓDMY

Z kilku powodów komisarz Bernard Gross nie zaliczył weekendu do udanych. Spędził go samotnie w domu, myśląc nad sprawą śmierci Stanisława Sądeckiego i o jego młodości, na której kładł się cień okupacji hitlerowskiej.

Policjant pracował nad modelem citroëna. Pogłębił rylcem modelarskim wnęki wokół drzwi, by karoseria wyglądała bardziej realistycznie. Potem ją zmatowił i położył na niej pierwszą warstwę podkładu, która uwypukliła niedoskonałości wcześniejszej obróbki. W niedzielę dopracował nadwozie i zabrał się za wnętrze pojazdu. W przerwach próbował połączyć się z Miłoszem Wiernatem, który jednak nie odbierał.

W poniedziałek na odprawie u komendantki Wojtasik komisarz nawet nie próbował skupić się na poruszanych problemach i relacji z wydarzeń z minionego weekendu, bo co rusz spoglądał na telefon. Młody funkcjonariusz Archiwum X wciąż nie oddzwaniał i Gross martwił się tym coraz bardziej.

Dodatkowo niepokoiły go inne rzeczy.

W sobotę krótko po jedenastej do komisariatu przyszedł Jacek Kował. Gross zszedł po niego na parter, gdzie zza drzwi siłowni dochodziły równomierne pobrzękiwania ciężarów do ćwiczeń, po czym poprowadził gościa schodami do swojego gabinetu.

Usiadł naprzeciwko niego i przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

Odniósł wrażenie, że mężczyzna ma na nogach zupełnie nowe buty. Czarne skórzane sztyblety, gładkie i proste, ale za to z masywnym protektorem.

Potem policjant zerknął w notatki z rozmowy ze Skalską, która sobotni poranek spędziła na policyjnym parkingu w Toruniu, gdzie ponownie zajrzała do toyoty yaris Małgorzaty Wójcickiej. W oględzinach znowu pomagał jej Marian Chęciński. Jak się okazało, Gross się nie mylił. Gumowy dywanik pasażera nosił ślady świeżych, krótkich nacięć.

Skalska odnalazła w tych śladach powtarzający się układ żłobień, które Gross odkrył na parkiecie w domu Sądeckiego. Trzy krótkie linie, pod różnymi kątami, pojawiały się obok siebie w stałych odległościach, co oznaczało, że odłamki szkła wbiły się w podeszwę buta niczym wierzchołki trójkąta. Kiedy tylko podeszwa stykała się miękkim podłożem, ślady nacięć odbijały się w nim jak swoista pieczęć. Gross polecił Skalskiej, by przyjrzała się podłodze w domu Sądeckiego. Tam policjantka potwierdziła, że ślady są identyczne.

Gross odchrząknął i przeniósł wzrok na Kowala.

– Ma pan nowe buty. Wygodne? – spytał.

Kowal nie krył zaskoczenia.

– Wygodne – potwierdził.

– A co się stało ze starymi?

Mężczyzna podrapał się po głowie i przytknął jedno oko.

– O co panu chodzi? – skrzywił się.

– O buty. Pytam, co z poprzednią parą.

– Wyrzuciłem. Materiał pękł na zgięciu i miałem w nich dziurę, przez którą dostawał się śnieg – wzruszył ramionami. – A co?

– Kiedy?

– Jezu, a jakie to ma znaczenie?

– Wszystko ma znaczenie – odparł Gross i powtórzył pytanie. – Kiedy?

– Wczoraj wyrzuciłem.

– Czyli wciąż są w śmietniku?

– Raczej tak – odparł niepewnie. – Ale powie mi pan wreszcie, o co chodzi?

Gross dał sobie chwilę, wyczekując na jakiegokolwiek oznaki zdenerwowania ze strony Jacka Kowala. Te jednak się nie pojawiły. Mężczyzna wydawał się zupełnie zaskoczony dotychczasową rozmową, nic w jego zachowaniu nie świadczyło o tym, by był spięty albo zestresowany.

Komisarz zmienił temat.

– Podobno był pan zainteresowany zakupem działki i domu Stanisława Sądeckiego i rozmawiał pan o tym z Wojciechem Sądeckim.

– Nie chcieliśmy wyprowadzać się z Bielczyn, a kupno samej działki w okolicy i budowa domu to nie dla mnie. Dlatego myślałem razem z żoną, że odremontujemy chałupę Sądesia, może powiększymy ją o jeden lub dwa pokoje dla dzieciaków. Zawsze to łatwiej niż budować od zera. Poza tym moglibyśmy tam mieszkać w trakcie rozbudowy – wyjaśnił mężczyzna.

– Ale? – Gross wyczuł, że coś zastopowało ich plany.

– Ale moja żona miała już dosyć mieszkania u teściów i czekania nie wiadomo jak długo. Stwierdziła, że może lepiej poszukać innego miejsca.

– Rozmawiał pan o zakupie domu ze Stanisławem Sądeckim?

– Tak, ale pan Staszek odesłał mnie do wnuka. Twierdził, że Wojtek dostanie wszystko w spadku.

– Dawno to było?

– Latem chyba.

– Więc rozmawiał pan z Wojciechem Sądeckim?

– No tak. Podpytywałem go, czy będzie myślał o sprzedaży, bo nie wiem, czy pan wie, ale Wojtek chciał się zabrać stąd do Anglii.

– I co panu powiedział?

– Że pomyśli. Ale do czasu, kiedy dziadek żył i miał się dobrze, bo wtedy jeszcze pan Staszek nie miał problemów ze zdrowiem, Wojtek nie chciał podejmować żadnych decyzji.

– I co dalej? – drążył Gross.

– Nic. Akurat tak się złożyło, że kupiliśmy sobie stary dom po drugiej stronie jeziora.

– Kiedy?

– Dwa miesiące temu, a od zeszłego tygodnia trwa tam remont – odparł Kowal.

Komisarz zabębnił palcami w blat.

– Dziękuję, że się pan pofatygował. Na razie to wszystko. Nie mam więcej pytań – oznajmił i wstał.

Kowal się podniósł i razem z Grossem zeszli na parter.

– A co z tymi starymi butami? – odezwał się mężczyzna, stając przy wyjściu z komisariatu. – Dlaczego to pana interesowało?

– Miałem swoje powody.

– To znaczy?

– Do widzenia panu – powiedział Gross i skinął Kowalowi na pożegnanie.

Krótko po tym spotkaniu, także w sobotę, policjant wybrał się do Strużala.

Opady śniegu ustały w nocy, ale twarda biała skorupa z poprzednich dni wciąż wyścielala asfalt. Bandy usypane na skraju jezdni sięgały za kolano. Wiatr się uspokoił i znieruchomiał, sprawiając wrażenie, że wieś zupełnie zamarła. Przeczył temu jednak dym unoszący się z kominów pobliskich budynków.

Komisarz zamierzał kolejny raz odwiedzić Leokadię Żurek.

Chciał ją zapytać, czy znała Małgorzatę Wójcicką i czy wiedziała o jej zainteresowaniu spotkaniami ze świadkami dramatu drugiej wojny światowej. Sądził, że to wszystko się łączy, że gdzieś między historią a teraźniejszością splatają się niewidzialne dla niego nici.

Kiedy zszedł z głównej drogi na gruntowy trakt prowadzący do jej domu, w oddali usłyszał terkot silnika. Nie odwrócił się jednak i z dłońmi schowanymi w kieszeniach kurtki szedł przed siebie. Chwilę później zauważył, że przed domem stoi karetka i właśnie wtedy zobaczył, że z domu Żurków, do którego miał około dwustu metrów, wyszedł lekarz z czarną torbą, a za nim ratownik. Drobną kobietą, która chwilę później pokazała się w drzwiach, narzuciła na ramiona płaszcz. Odgłos silnika narastał i wtedy Gross przystanął i się odwrócił. W jego kierunku jechał wolno czarny samochód. Rozpoznał wyklejony nad

szybą złotą folią znak Zakładu Pogrzebowego „Kondukt”. Odczekał, aż wóz przejedzie obok, przyglądając się kierowcy i ziewającemu młodemu pasażerowi, który także obrzucił wzrokiem policjanta.

Komisarz odwrócił się w stronę domu, ale nie zrobił kroku naprzód.

Przez chwilę miał wrażenie, że emerytowana nauczycielka znieruchomiała na jego widok. Skinął więc głową, ale nie był przekonany, że odpowiedziała mu tym samym gestem.

Karawan potoczył się pod ogrodzenie parterowego domku. Obaj mężczyźni wysiedli, jeden z nich przeszedł na tył wozu i otworzył klapę, by wyciągnąć z wnętrza pojazdu nosze, z którymi obaj zniknęli za drzwiami domu, wchodząc tam za gospodynią.

W tym czasie karetka nawróciła na kilka razy i skierowała się do wyjazdu.

Gross w końcu zabrał się stamtąd. Wiedział już, że z Leokadią Żurek, która właśnie musiała pożegnać zmarłego ojca, raczej się nie spotka.

Wracając ze Strużala, przedzwonił do Skalskiej.

– Co tam? – odezwała się w słuchawce.

– Nic. I to jest najgorsze – odparł Gross. – Jacek Kowal wypada z listy. Rozmawiałem z nim dzisiaj i on faktycznie nie ma związku ze sprawą.

– Niespecjalnie wierzyłam w jego winę.

– I miałaś rację. Ale skoro wszyscy są poza podejrzeniem, to coś tu jest nie tak – podniósł głos, bo właśnie tuż obok przejechała karetka. Zakiwała się na nierównościach. Widział, jak skręciła w prawo na drogę do Chełmży, prowadzącą wprost na wystający nad drzewami silos cukrowni, zwany przez mieszkańców meczetem.

– Co w takim razie robimy?

– Sam chciałbym to wiedzieć. Na razie nie pozostaje nam nic innego, niż czekać.

Dźwięk stacjonarnego wyrzucił z jego głowy niedawne wspomnienia.

– Pani komendant prosi – odezwała się sekretarka.

Gross nie odpowiedział, tylko odłożył słuchawkę i wstał.

Przeszedł do sekretariatu, gdzie Różycka skinęła głową na znak, że może wejść do gabinetu szefowej.

Zajrzał do Wojtasik.

– O co chodzi? – spytał.

– Siadaj. – Spojrzała na niego znad okularów, pochylona nad jakimś pismem, i skinęła głową w bok, wskazując krzesło.

Kiedy usiadł, doczytała do końca, po czym starannie odłożyła pismo na bok i splotła dłonie.

– Nie chciałam tego mówić przy wszystkich, ale sprawa tego Sądeckiego ciągnie się zbyt długo. Prokurator Bilski nie zamierza dłużej czekać.

– Potrzebuję jeszcze trochę czasu.

– Czas minął. Nie słuchałeś mnie rano na odprawie. Domykamy co się da przed moim odejściem.

– To jakiś absurd – burknął.

– Po prostu zamknij to i już. I potraktuj to nie jako dobrą radę, tylko rozkaz. Czy to jasne?

– Świdrowała go wzrokiem znad opawek.

Nie odpowiedział.

– To wszystko? – spytał, gdy milczenie zbyt długo się przedłużało.

– Wszystko – odparła spokojnie Wojtasik i sięgnęła po kolejny dokument.

Gross wstał i wyszedł.

Kiedy wrócił do swojego gabinetu, wziął łyk herbaty i wybrał numer Skalskiej, po czym poprosił ją, by zeszła. Nie chciał informować jej o rozkazach Wojtasik przez telefon.

Po kilku minutach drzwi się uchyliły.

– Co jest? – Skalska miała na głowie czarną bejsbolówkę z logo Seattle Kraken i ocieplacz założony na gruby polar. Glany zamieniła na czarne superstary z trzema białymi paskami po bokach.

– Dokąd idziesz?

– Matka chłopaka, ta, co mieszka na działkach, Jaskólska, chciała ze mną pogadać.

– W jakiej sprawie?

– Nie wiem, ale była tajemnicza. Może znowu chodzi o jej syna.

Gross pokiwał głową i skinął na nią, by weszła.

Kiedy Skalska to zrobiła, komisarz powiedział jej o decyzji Wojtasik.

– Serio? Mamy zamykać sprawę, bo ona zmienia przydział? – Policjantka nie wierzyła własnym uszom. – Od kiedy to mamy słuchać komendantki zamiast Kodeksu postępowania karnego?

– Prawda jest taka, że postępów nie ma – przyznał. – Kilka poszlak i brak winnego śmierci staruszka to wciąż za mało.

– Dobrze wiesz, że potrzebujemy czasu. – Skalska położyła dłonie na oparciu krzesła.

Gross sięgnął po długopis i zabębnił nim o blat biurka.

– Wiem, że potrzebujemy czasu, dlatego robimy swoje – uznał. – Leć do Jaskólskiej, a ja tymczasem przejdę się do Wójcickiego, a potem odwiedzę syna Sądeckiego i wtedy zastanowimy się, co dalej.

– Dobra. Dam ci znać, jak czegoś się dowiem – odparła Skalska i wyszła z gabinetu.

Gross dopił herbatę i już miał wyjść, kiedy ponownie rozdzwonił się aparat stacjonarny.

– Dyżurny.

– Co tam?

– Pani Leokadia Żurek do ciebie. Zejdziesz?

Gross zmarszczył brwi.

– Jest na dole?

– We własnej osobie.

– Już schodzę. – Odłożył słuchawkę, po czym wpatrywał się z niedowierzaniem w aparat.

Nie wiedział, z jakiego powodu Leokadia Żurek chciała go odwiedzić, skoro dawała mu do zrozumienia, że jego wizyty ją męczą i drażnią.

Komisarz zszedł po nią i zaprosił na górę. Miał wrażenie, że unikała jego wzroku.

Kiedy usiedli naprzeciwko siebie i Gross zaproponował jej herbatę, odmówiła. Nie poganiał jej, tylko zaparzył sobie liptona.

– Przykro mi z powodu śmierci pani ojca – powiedział, a ona podziękowała skinieniem głowy.

Jej siwe włosy przykrywała wełniana czapka, a pomarszczone usta były nienagannie pokryte cienką warstwą jasnej szminki w kolorze, którego Gross nie umiał poprawnie nazwać. Patrzyła gdzieś na szafę za komisarzem, a on doskonale zdawał sobie sprawę, że jej mózg wyświetla inne obrazy. Być może odtwarzała film, w którym jej ojciec żył i cieszył się dobrym zdrowiem. Gross zastanawiał się, dlaczego sam stale wraca do rodzinnych wspomnień sprzed tragedii i wypierał te nowsze, kiedy odwiedzał żonę pozostającą w sypialni. Zupełnie jakby ten dramat przeciął jego życie na pół i wszystko to, co przed, miało wartość, a to, co po, utraciło ją bezpowrotnie.

– Mój ojciec... – Leokadia Żurek wyprostowała plecy i zawiesiła głos.

Gross popił herbaty, a następnie odstawił kubek na korkową podkładkę.

– On omal nie zginął w trakcie okupacji – zdecydowała się kontynuować nauczycielka. – Ale ta wojna nigdy nie odcisnęła na nim piętna, chociaż był wtedy nastolatkiem. Widział zło i cierpienie, śmierć niewinnych osób. Trupy zamordowanych bestialsko Żydówek, które wspólnie z ojcem wrywali z objęć błota lub mrozu i zakopywali, gdzie się dało. A mimo to, a może z tego właśnie powodu, był wspaniałym ojcem, troskliwym i kochającym. – Zaszklify jej się oczy. – Dbał o dom i kochał moją matkę. Zawsze punktualnie wracał do domu. Nigdy nie widziałam go pijanego, nie zataczał się po wsi ani po Chełmży. Poświęcał się pracy i rodzinie. I chociaż nie mieliśmy lekko, robił wszystko, byśmy mieli w życiu dobrze. Może dlatego, że sam w młodym wieku tego dobra nie zaznał.

Komisarz słuchał cierpliwie.

– Wie pan, dlaczego zainteresowałam się historią?

Gross zastanowił się chwilę.

– Bo chciała pani wiedzieć, co przeżył pani ojciec?

– Trochę tak. Chociaż on nigdy nie opowiadał mi o wojnie. Chciałam wyciągnąć z niego cokolwiek, ale tylko się uśmiechał i szybko zmieniał temat. Unikał go jak ognia.

– Była pani za mała?

– Możliwe. A kiedy dostałam pracę w szkole, poprosiłam go, by spotkał się z uczniami i odpowiedział na ich pytania. Ale odmówił. Próbowalam raz i drugi, jednak za każdym razem odbijałam się od ściany, a ta moja nachalność zaczynała go drażnić. Więc odpuściłam, bo miałam wrażenie, jakby on się czegoś bał. A może tylko bał się tamtych wspomnień.

– Nie chciał wracać do przeszłości?

– Nie wiem. Ale powiedział mi wtedy, bym zaprosiła Kowala.

Gross ściągnął brwi.

– I Kowal się zgodził?

– Tak. Ale namówił też ojca na występ i mój tato spotkał się z uczniami po raz pierwszy.

– O czym mówił?

– Mój ojciec?

– Nie, Kowal.

– O Żydówkach, które w okolicach Chełmży i Torunia kopały rowy przeciwczołgowe.

Zadzwoił telefon stacjonarny, ale Gross zignorował połączenie. Bał się, że kobietę wybije to z rytmu.

Kiedy telefon umilkł, spytał: – Kowal dobrze się znał z pani ojcem?

– Tak. Zresztą to właśnie on opowiedział mi historię o tym, jak to wspólnie z moim ojcem próbowali uratować jedną z tych Żydówek. Na krótko przed likwidacją obozów, kiedy hitlerowcy opuszczali Chełmżę i uciekali przed frontem wschodnim.

– Uratować Żydówkę? Nastolatki? – Gross powątpiewał w prawdziwość tej historii, bo we wspomnieniach spisanych przez Józefa Żurka wyglądało to inaczej.

– I udałoby im się to, gdyby nie Sądecki.

– To znaczy? – zdziwił się Gross.

Kobieta złączyła dłonie.

– Mój ojciec i Kazimierz Kowal omal nie zginęli z rąk hitlerowców, właśnie przez Sądeckiego, który doniósł wachmanom o uratowanej przez nich młodej Żydówce. Stanisław bał się, że sprawa się wyda i hitlerowcy zabiją jego oraz ojca, który pracował w majątku w Mirakowie, ale odpowiadał za trzodę w Grodnie. Bo to właśnie tam mój tato i Kowal ukryli tę młodziutką dziewczynę.

– Hitlerowcy się o tym dowiedzieli?

– Tak. Żydówka wróciła do obozu, a następnego dnia wyruszyła razem z innymi w tak zwanym marszu śmierci, który kierował się na północ.

– Ojciec potwierdził słowa kolegi?

Kobieta sięgnęła do torby i wyjęła z niej poźółkłą kopertę.

– Mój tato był skromnym człowiekiem i bolało go to, że nie ocalił tej młodziutkiej dziewczyny, chociaż próbował. Nie wiem, czy on się w niej nie zakochał. Może to była jego pierwsza platoniczna miłość i, kto wie, może stale nosił tę Salcię w sercu.

– Czytałem wypowiedzi mieszkańców o losach Żydówek. Nikt nie wspomina o bohaterskiej postawie nastolatków, chociaż inne próby uratowania kobiet się zdarzały i zostały opisane.

– Bo to była ich tajemnica.

– Kogo?

– Mojego ojca i Kowala.

– A Sądeckiego nie?

– Pan chyba nie rozumie – westchnęła. – Oni mieszkali na wsi, w której wszyscy się dobrze znali. Kowal co prawda pochodził z Bielczyn, ale to tam, krótko po wojnie, osiadła rodzina Sądeckich. Dlatego mój ojciec z kolegą uznali, że nikomu nie powiedzą o tym, co zrobił Stanisław. Poszli mu na rękę, bo ludzie mogliby go zlinczować, wytykać palcami. Zawarli z nim porozumienie. Mieli wspólnie milczeć o tamtych wydarzeniach. Przynajmniej do śmierci Sądeckiego. Tak to sobie wymyślili.

– A jednak każdy z nich przychodził do szkoły spotkać się z młodzieżą.

– Tak, ale jeszcze wtedy nie wiedziałam, co zrobił Sądecki. Poza tym na tych lekcjach nigdy nie poruszali tego tematu.

Gross spojrział na kopertę, którą kobieta wciąż trzymała w dłoni.

– To kiedy poznała pani prawdę?

– W sobotę, po śmierci ojca. To była jego ostatnia wola. Chciał, żebym przeczytała jego wspomnienia, które spisał dawno temu. – Kobieta wyjęła z koperty poźółkłe kartki i podała je policjantowi. – Wcześniej o niczym nie wiedziałam.

Gross przeszkakiwał wzrokiem po starych zapiskach na maszynie.

– Próbował odnaleźć tę Żydówkę? – spytał Gross.

– Nie wiem.

– A Kowal? Rozmawiała z nim pani?

– Wielokrotnie.

– No, więc? Próbowali ją odnaleźć?

– Ale po co? Przecież wtedy byli dziećmi. Nastolatkami. Dopiero co skończyła się wojna.

– Może zrobili to później? Jak już dorośli.

– Tylko w jakim celu? W tamtych latach musieli zadbać o własne rodziny i o pracę. Jak pan to sobie wyobraża? Mieli uganiać się za odnalezieniem jakiejś Żydówki, o której nic nie wiedzieli? To byli prości ludzie, nie sądzę, by mieli choć blade pojęcie, jak się za to zabrać. Świat wtedy wyglądał inaczej. Pan nic o tym świecie nie wie.

– Może ona tu przyjechała ze swoją rodziną? Takie rzeczy się zdarzały. Być może chciała odnaleźć tych, którzy próbowali ją uratować – powiedział Gross.

– Przypominam panu, że krótko po wojnie nastał inny terror. A potem, po odzyskaniu wolności, w latach dziewięćdziesiątych, rzeczywiście zdarzało się, że przyjeżdżały tu Żydówki z rodzinami. Ale tamta dziewczyna, jeśli przeżyła wojnę i dożyła tamtych lat, raczej nie znała nazwisk mojego ojca ani Kowala.

Gross pokiwał głową i ponownie zaczął podczytywać tekst.

Kiedy skończył, zapytał Leokadię Żurek, czy może skserować zapiski jej ojca, na co kobieta wyraziła zgodę.

Wyszli z gabinetu i Gross poprosił ją, by zaczekała na niego przy drewnianych schodach. Sam zaś wszedł do sekretariatu i uruchomił kserokopiarkę. Maszyna pomrukiwała, światło błyskało. Kiedy odebrał wydruki, wrócił na korytarz.

Zeszli w milczeniu na parter i komisarz odprowadził emerytowaną nauczycielkę do wyjścia. Tam oddał jej oryginały spisane na maszynie przez Żurka. Kobieta schowała je starannie do koperty.

– Dziękuję, że podzieliła się pani ze mną tą historią.

– Robię to tylko ze względu na pamięć o moim ojcu.

Tym razem to Gross pokiwał głową z uznaniem.

– To zupełnie zrozumiałe.

Kobieta podała mu zimną i wiotką dłoń.

– Do zobaczenia – powiedział, a ona zatrzymała się w pół kroku.

– Do zobaczenia? Wydaje mi się, że już wszystko sobie wyjaśniliśmy – oznajmiła, a następnie przeszła przez drzwi, które Gross przytrzymał, i stanęła za progiem. – Żegnam pana, panie komisarzu.

ROK 1945, STYCZEŃ

Kiedy wachmani przyprowadzili Żydówki do chlewu, Staszek czekał zamknięty w warsztacie i przez dziury między deskami patrzył na Kazika i Żurka stojących pośrodku podwórza.

Czekał na ich znak.

Po chwili usłyszał łotewskie okrzyki i nawoływania strażników więziennych, którym zawtórowało skrzypienie zawiasów ciężkich wrót w budynku obok.

Świnie chrumkały i rozległ się stukot racic.

Mimo przenikliwego mrozu Staszek poczuł, że koszula lepi mu się do pleców. Dudniło mu w klatce piersiowej.

Kowal uniósł grabie wysoko nad głowę i się przeciągnął, po czym odszedł w kierunku stodoły.

To był umówiony znak, że wśród zgromadzonych kobiet znajdowała się Salcia.

Chłopak oddychał płytko.

Odkleił się od drewnianej bramy i nie odrywając wzroku od tego, co działo się na zewnątrz, zaczął się po cichu cofać w głąb warsztatu. Kiedy był mniej więcej pośrodku niewielkiej przestrzeni, zerknął w kierunku małych drewnianych drzwi, które zostawił lekko uchylone. Poprzedniego dnia zdążył je zdjąć i spiłować na tyle, by nie haczyły o kamienną posadzkę. Smarem natłuścił wystające bolce zawiasów, nasadził na nie bramkę i poruszał nią energicznie, by smar się rozprowadził. Skrzypienie ustało. Potem wystarczyło tylko zamaskować to niewielkie przejście od strony chlewu, sprawiając, żeby gdzieś w pobliżu zgromadziły się świnie. Dlatego przepchnął w to miejsce jedno z drewnianych koryt.

Ale musiał pomyśleć także o innych sprawach.

Staszek wiedział, że przejście Salci z chlewu do warsztatu to dopiero początek skomplikowanej akcji. Gdyby wachmani zorientowali się, że brakuje jednej z więźniarek, szybko odkryliby, w jaki sposób przedostała się do pomieszczenia obok. Dlatego Staszek miał inny plan. Ale żeby mógł go zrealizować, kilka elementów musiało się zgrać ze sobą. W tym celu potrzebował wsparcia Kowala i Żurka.

Kazik Kowal zniknął mu z oczu, ale drugi z kolegów wciąż stał pośrodku placu i ogryzał paznokcie, spoglądając co rusz na wejście do chlewu i na drzwi warsztatu.

Staszek uznał, że zachowanie Żurka zdradza zbyt wiele. Jeśli tylko wachmani wyjdą z chlewu na papierosa, wyczują, że coś się święci. Dlatego chłopak dotarł do wrót i cicho gwizdnął, udając trele sikorki.

Żurek, zobaczywszy Sądeckiego w bramie, ocknął się i wycofał do stodoły.

Staszek uznał, że tuż po tym, jak młoda Żydówka przejdzie przez furtkę, ukryje ją pod stołem warsztatowym i gdy tylko Kowal znowu da mu znać, że podwórze jest wolne od strażników, przeprowadzi dziewczynę za stodołę.

Tam z kolei znajdą się dwieście metrów od kurnika Odorzyckich, w którym po kurach od kilku miesięcy nie było już śladu, a bracia w ogóle do niego nie zaglądali.

Staszek ukrył w baraku trochę żywności i dwa dziurawe koce, a także buty matki, które znalazł w domu. To były wiosenne trzewiki na wyższym obcasie. Ale lepsze takie niż żadne, pomyślał, kiedy je zabierał dla Salci. Dołożył swoje skarpety i wszystko to owinął większym kocem, a następnie związał niczym pakunek sznurkiem i ułożył w widocznym miejscu na środkowej grzędzie. Na ziemię rzucił grubszą warstwę słomy, którą zdążył przenieść z majątku, gdy inni w nim pracowali.

Jeśli prawdą było to, że hitlerowcy wkrótce zwiną obozy, a odgłosy frontowej artylerii z dnia na dzień wybrzmiewały coraz głośniejsze i częściej, Salcia musiała przetrwać w kurniku co najmniej kilka dni.

Staszek zobowiązał kolegów do organizowania żywności, bo sam by nie sprostał temu zadaniu. Matka i ojciec zbyt szybko by się zorientowali, że wynosi jedzenie z domu, a to by oznaczało kłopoty. Dla Staszka i dla dziewczyny.

Musiał więc chronić tę tajemnicę, bo dorośli stale tylko mówili o ostrożności i o rychłym końcu wojny. Skoro nie daliśmy się zabić do tej pory, lepiej niech już tak zostanie – mawiał coraz śmielej ojciec Kowala.

Staszek miał wrażenie, że dorosłych mężczyzn we wsi obleciał strach większy niż kiedy hitlerowcy byli górą. Wydawało mu się, że nigdy tak nie bali się śmierci jak w chwili, gdy Niemcy kapitulowały i przegrywały walki na każdym froncie. Być może poraniony i konający potwór mógł jeszcze wierzgnąć i zabrać ich dusze na drugą stronę Styksu ze sobą. Może tego właśnie bali się dorośli.

Jednak jego mięśnie także spinał strach i to on właśnie spłycał mu oddech i sprawiał, że serce waliło głośno.

Myślał o tym w chwili, gdy na podwórzu w zasięgu wzroku chłopca ponownie pojawił się Kowal i raz jeszcze się przeciągnął.

Wtedy do chłopca dobiegł głos wachmanów.

Musieli znajdować się już na zewnątrz. Kowal poszedł dalej i zniknął Staszкови z oczu.

Ten odwrócił się natychmiast i spojrział w kierunku narożnika warsztatu, tam gdzie znajdowały się małe drzwi.

Oniemiał.

Zobaczył, jak wypęła z nich stara posiwiata Żydówka. Jęczała, czołgając się po podłodze, i chłopiec miał wrażenie, że jej głos niesie się po całej wsi.

Rzucił się do niej i poderwał ją, by stanęła na nogi.

Śmierdziała okropnie, dlatego z obrzydzeniem chciał się od niej odsunąć, ale ona wpiła się chudymi palcami w jego przedramiona. Ból wykrzywił jej pomarszczoną twarz przypominającą czaszkę, obleczoną wiotką skórą.

Staszek podprowadził ją pod ścianę i oparł o nią.

Raz jeszcze zerknął w kierunku otwartych drzwiczek, ale nikogo w nich nie zauważył.

Starsza kobieta pojękiwała i posapywała z wysiłku.

Chłopiec spojrział jej w oczy i następnie położył palec na ustach.

– Ciiiiii – wyszeptał na skraju załamania.

Pokiwała głową i puściła go wreszcie.

Rzucił się do drzwi i kucnął w nich, gdy kolejna stara Żydówka przepychała się w jego stronę.

Miał ochotę drzeć się wniebogłosy i wepchnąć ją z powrotem, ale tuż za nią dostrzegł wystraszone duże oczy Salci.

Odsunął się i przepuścił obie, a kiedy się wyprostowały, ledwo się powstrzymał, by nie złapać się za głowę i nie zapłakać.

Trzęsły mu się ręce, a nogi jakby przyrosły do klepiska pośrodku warsztatu.

Wiedział, że próba ukrycia Salci będzie niezwykle trudna i ryzykowna, ale ukrycie trzech więźniarek skazane było na porażkę.

– Ty idziesz pierwsza – syknął do Salci. – A panie – rzucił do pozostałych i wskazał na załom w warsztacie – schowacie się tutaj. Wrócę po was.

– One same rady nie dadzą. Musimy im pomóc. To moje ciotki – szepnęła Salcia i podeszła do najstarszej z kobiet, która czekała oparta o ścianę.

Staszek patrzył, jak dziewczyna próbuje pomóc jej przejść kilka kroków, ale trwało to wieczność. Jak cała ta wojna. Jak to cholerne okrucieństwo. Nie wyobrażał sobie, że wyjdą we czwórkę na podwórze i przejdą szybko do stodoły. Droga będzie trwała wieki i wachmani złapią ich na środku placu.

Nie było też mowy, by Staszek zdążył zaprowadzić całą trójkę do kurnika Odorzyckich, dlatego czuł się jak w potrzasku. Zupełnie nie wiedział, co robić.

Strażnicy palili papierosy na zewnątrz. Jeden z nich pojawił się w zasięgu wzroku chłopca i dreptał z karabinem przewieszonym przez ramię w pobliżu warsztatowej bramy.

Z budynku nie było innego wyjścia.

Staszek obawiał się, że hitlerowiec tu zajrzy i zabije ich wszystkich. Do oczu napłynęły mu łzy.

Widział już swoją śmierć. Był przekonany, że zastrzelą go tu na śniegu, ale będą żałowali kul dla Żydówek, więc dobiją je kolbami.

I tatuł, jego kochany tatuł, znajdzie go nieżywego, leżącego na bordowym śniegu, podniesie skostniałe z zimna ciało bez ducha. Być może ojciec nigdy się nie dowie o planowanym bohaterskim czynie syna, który chciał podarować jednej Żydówce nowe życie, ale zamiast tego sprowadził śmierć na trzy kobiety i siebie samego. I widział już tatula przelękającego gorzkie łzy nad zwłokami chłopca, którego wychowywał i którego przestrzegał przed okrucieństwem wojny, zabitego bestialsko tuż przed tym, gdy ta wojna miała się skończyć.

Wachman rzucił peta w bok, a następnie podszedł do wrót warsztatowych.

Szarpnął je, ale były zamknięte. Próbował zajrzeć do wnętrza, przystawił twarz do szpary między deskami i wtedy Staszek zrozumiał, że to już naprawdę koniec.

Chłopiec znieruchomiał.

Tymczasem grubawy mężczyzna o nalanej twarzy ułożył usta w ciup i zaczął pogwizdywać, a rozpiąwszy spodnie, wysikał się na deski wrót. Mocz rozpryskiwał się o nie, strumień raz wpadał przez szczeliny na ubitą glebę, tworząc drobne kałuże w warsztacie, a raz spływał na śnieg i dopiero potem przedostawał się pod drzwiami. Parujące ciemne strugi biegły w kierunku Staszka, który przestał oddychać.

Kiedy mężczyzna skończył, zapiął spodnie i odszedł.

Staszek zrobił krok do tyłu, zanim wąski strumyk moczu zdążył osiągnąć czubków jego butów.

Odwrócił się do wystraszonych kobiet i raz jeszcze położył palec na ustach. A potem wskazał na Salcię i pokiwał palcem.

– Najpierw ty – otwierał szeroko usta, z których nie padł żaden dźwięk, bo chciał, żeby odczytała słowa z ruchu warg.

Zrobiła krok w jego stronę, a następnie zatrzymała się i zerknęła na najstarszą z kobiet.

Ta, wciąż dysząc, skinęła Salci głową, by dodać jej animuszu.

– Wróć – obiecał chłopiec, ponownie otwierając szeroko usta, a następnie, nie patrząc już na kobiety, które musiał tu zostawić, pociągnął Salcię za sobą w stronę bramy. Odciągnął pordzewiały, gruby skobel i bezszelestnie zwiesił go wzdłuż drzwi. Potem szarpnął do siebie jedno skrzydło i zrobił krok nad kałużą szczyń, a Salcia przeciwnie,

stanęła w niej. Wiedział o odkażających właściwościach moczu, ale na ten widok zdjęło go obrzydzenie. Kiedy jednak przyjrzał się jej poranionym stopom i czarnym odmrożonym palcom, bąbłom pokrywającym skórę, miał ochotę płakać. I jednocześnie zbierało mu się na mdłości.

Zmusił się do oderwania wzroku, żeby skupić się na zadaniu.

Wyślizgnął się z bramy i trzymając dziewczynę za rękę, ruszył przed siebie.

Zawiasy drzwi w chlewie zaskrzypiały i po chwili wachman zaczął krzyczeć na kobiety.

Staszek wciąż nie wiedział, gdzie znajdował się drugi z hitlerowskich strażników. Mimo to dreptał już w kierunku stodoły, bacznie obserwując bramę. Gdyby pojawił się w niej Żurek, byłby to znak, że chłopiec powinien pilnie zawrócić lub uciekać. Ale Żurka nigdzie nie było.

W końcu przyłgnęli oboje z Salcią do drewnianej ściany.

Odetchnął. Miał wrażenie, że ta droga nigdy się nie skończy, ale najgorsze mieli za sobą. Dyszał, jakby przebiegł kilka kilometrów. Dziewczyna także nie mogła złapać tchu.

Mimo to z drżącym sercem próbował nasłuchiwać.

Gdzieś od strony podwórza dobiegł go znowu głos wachmana. Nie rozumiał, co tamten mówił, ale wypowiadał się spokojnie, jakby nastąpiła jego kolej na przerwę na papierosa. Mężczyzna nie wszczął alarmu, a to znaczyło, że obaj strażnicy wciąż jeszcze nie zauważyli braku trzech Żydówek.

Z jakiegoś powodu chłopcu trudno było w to uwierzyć.

Coś tu nie grało.

Przymknął oczy i dał Salci znać, że muszą iść dalej.

Oderwali się od ściany i ruszyli dalej.

Byli blisko narożnika, skąd widać już było kurnik Odorzyckich.

Staszek przyspieszył, ale Salcia nie była w stanie za nim nadążyć, więc odwrócił się do niej.

A ona płakała.

Nie wiedział, czy z bólu, czy dlatego, że poczuła się wolna. Nie miał czasu jej o to pytać.

– Jeszcze kawałek – poprosił. – To tam. Widzisz? – wskazał palcem za plecy.

Oczy Salci się powiększyły.

I wtedy Staszek zrozumiał.

Ale zanim się odwrócił, coś twardego puknęło go w ramię.

Tuż za nim stał wachman, ten sam, który odlał się na drzwi warsztatu, a teraz celował do niego z karabinu.

– *Hände hoch!* – warknął mężczyzna, po czym strzyknął śliną w śnieg.

DZIEŃ SIÓDMY, PÓŹNIEJ

Komisarz Bernard Gross odwiedził Igora Wójcickiego w domu przy Polnej. Nie zdziwiło go to, że gospodarz miał mokre od płaczu oczy, ale Gross wyrzucał sobie, że nie uprzedził mężczyzny o planowanej wizycie. W pewnej chwili, kiedy stanął przy furtce, miał nawet ochotę się wycofać, jakby uznał, że przyszedł nie w porę, a w dodatku z wieściami, które niełatwo było policjantom przekazywać.

Mimo to Igor Wójcicki, pogrążony w żałobie, przeprosił za swój stan, a następnie zaprosił policjanta do środka.

Komisarz przeszedł po krótkim chodniku i znalazł się w przyjemnym i ciepłym wnętrzu. Kątem oka zauważył damskie buty ocieplane i płaszcz, a także kolorową czapkę z szalikiem i stojącą na komodzie otwartą torebkę.

Wójcicki poprowadził gościa do salonu, gdzie wskazał mu fotel po przeciwległej stronie niskiego stolika kawowego, ustawiony przodem do wejścia. zaproponował herbatę i Gross, chcąc zyskać na czasie, przystał na tę propozycję, chociaż wcześniej w pracy wypił już dwa kubki liptona i zaczął odczuwać parcie na pęcherz.

Czekając, aż Wójcicki przygotuje napar, komisarz bezwiednie rozejrzał się po niewielkim salonie.

Jego wzrok przyciągnął otwarty album fotografii rodzinnych, leżący na stole jadalnianym w pobliżu wyjścia na taras. Podeszedł bliżej i przyjrzał się zdjęciom. Po ich wypłowiałych kolorach sądził, że akurat te, na których Małgorzata Wójcicka stała gdzieś nad jeziorem, były zrobione pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Sam miał podobne, wywołane przez maszynę Kodaka w toruńskim empiku, na których przytulał uśmiechniętą Agnieszkę, jeszcze w czasach, gdy była jego narzeczoną.

Gross przypomniał sobie rozmowę ze Skalską i to, że zapłakany wdowiec podczas rozmowy z policjantką wpatrywał się w zdjęcie żony. Ale nie zastanawiał się nad tym dłużej, bo z kuchni dobiegł go gwizdek czajnika.

– Już idę – oznajmił Igor Wójcicki i po jakimś czasie, gdy policjant zajął miejsce w fotelu, przyniósł dwa kubki, które ustawił na korkowych podkładkach z wizerunkiem Chełmży.

W końcu usiadł i przetaił dłonią łysą głowę.

– Rozmawiałem kilkakrotnie z aspirant Skalską – odezwał się Wójcicki. – Przyszła tu do mnie dwa lub trzy razy. I odniosłem wrażenie, że wypadek mojej żony z jakiegoś powodu interesuje was w sposób szczególny. To prawda? – założył nogę na nogę.

Gross sięgnął po herbatę i upił niewielki łyk, by nie sparzyć sobie ust.

– Raczej nie. Zastanawialiśmy się tylko, co pana żona robiła od chwili wyjazdu z domu, przed szóstą, aż do momentu, w którym dyżurny odebrał informację o wypadku w Bielczynach.

– I do jakich wniosków doszliście?

Gross nie zamierzał opowiadać mężczyźnie o nieznanym pasażerze, który w chwili wypadku prawdopodobnie siedział na fotelu obok. Wciąż czekali na wyniki badań krwi odnalezionej na desce rozdzielczej naprzeciwko fotela pasażera oraz na klapie bagażnika. Ślady nacięć w gumowym dywaniku też były jedynie poszlakami, mogły powstać wcześniej. A krew być może rzeczywiście należała do Czerwowa, który skaleczywszy się i będąc w szoku, próbował ratować znajomą kobietę.

Gross uznał, że z uwagi na dobro śledztwa, ale też dla spokoju ducha wdowca lepiej nie przekazywać mu żadnej z zebranych dotąd informacji. Tym bardziej że według wszelkiego prawdopodobieństwa całe to śledztwo pozostanie nierozwiązane i trafi do archiwum, a pytania, na które wciąż ze Skalską nie znaleźli odpowiedzi, będą jeszcze długo wybrzmiewały w ich uszach i przypominały im o zawodowej porażce.

– No więc? – ponaglił go Wójcicki.

– Wciąż jesteśmy w punkcie wyjścia – odparł Gross. – A co pan o tym sądzi?

– O czym?

Gross odniósł wrażenie, że nastrój Wójcickiego się pogorszył.

– Pyta mnie pan, co sędzę o wypadku mojej żony? – wzburzył się.

– Nie, przepraszam. Źle mnie pan zrozumiał – bronił się policjant. – Interesuje mnie jedynie pana pogląd na tę lukę czasową. Co pana żona mogła wtedy robić?

Mężczyzna nabrał powietrza, ale gniewny wyraz wciąż malował się na jego obliczu. Przez czoło przechodziły trzy głębokie zmarszczki. Po chwili jednak odchylił się na oparcie fotela i napięcie mięśniowe w nim zelżało.

– Przyznam, że nie mam pojęcia. Ale im dłużej o tym myślę, tym częściej zastanawiam się, czy to było tak, jak wam opowiedziałem. Czy rzeczywiście moja żona wyjechała tak wcześnie. Każdy dzień wydaje się taki podobny, a w szoku... – Poruszył niemo ustami i spojrzał w bok. Oczy ponownie wypełniły mu się łzami. – Być może w szoku coś pomyliłem.

– Co konkretnie?

– Godzinę jej wyjazdu z domu – wyjaśnił mężczyzna i się zawiesił. Wbił wzrok w stół kawowy.

– Jest pan pewien? – podjął po chwili Gross.

– Nie, psia krew, niczego już nie jestem pewien, ale to wszystko wydaje mi się nieprawdopodobne. Ona... To znaczy Gosia... Możliwe, że wyjechała później. Kiedy tak o tym myślę, wydaje mi się, że...

– Fakty jednak są takie, że kamera przy Polnej nie zarejestrowała przejazdu srebrnej toyoty yaris.

– Bo może z mojego powodu szukaliście jej o zbyt wczesnej godzinie.

Gross wiedział, że Monika Skalska nie dopuściłaby się takiego zaniedbania. Był przekonany, że przeglądając materiał z monitoringu, dotarła do okresu obejmującego wypadek w Bielczynach. Ale ze względu na pogarszający się stan Wójcickiego, będącego zapewne na silnych proszkach, nie zamierzał go tym niepokoić.

– Rzeczywiście, przyjrzymy się temu raz jeszcze. – Gross ponownie popił herbaty i przez chwilę starał się rozmawiać z Wójcickim o jego żonie, o jej zainteresowaniach, mając na względzie film z Żurkiem odkryty na jej laptopie.

– Jej pasją był ogród. Lubiła w nim pracować.

– A czy interesowała się historią?

– W jakim sensie?

– Konkretnie chodzi mi o drugą wojnę światową.

– Nic mi o tym nie wiadomo. W każdym razie żadnych książek na ten temat nie czytała.

– Bywała na spotkaniach ze świadkami historii?

– Z kim?

– Z chelmżanami, którzy przeżyli wojnę.

– A były takie spotkania? Gdzie? – zainteresował się.

– Zna pan Leokadię Żurek? – spytał Gross, nie odpowiadając na jego pytanie.

– Nie, nie sadzę. – Mężczyzna rozłożył ręce. – Nic mi to nazwisko nie mówi. Być może znam ją z widzenia. A kto to?

– Emerytowana nauczycielka historii. To ona organizowała te spotkania. Głównie dla uczniów szkół. Odbывały się w ChOK-u – wyjaśnił Gross, a mężczyzna pokręcił głową.

– Nie miałem o tym pojęcia. Ale dlaczego pan o tym wspomina? Moja żona na nie chodziła?

Gross poprawił się w fotelu. Parcie na pęcherz stało się zbyt uciążliwe. Chciał już skończyć tę rozmowę.

– Gdyby tak było, na pewno pan by o tym wiedział, prawda? – Nachylił się w kierunku gospodarza.

Igor Wójcicki skinął głową i posmutniał. Otarł wilgotne kąciki oczu.

Obu mężczyzn otuliła cisza, która zaczęła świdrować w uszach.

Gross dopił herbatę i miał już iść, ale uznał, że spacer na mrozie wywoła jeszcze większe parcie na pęcherz, więc zapytał gospodarza, czy może skorzystać z toalety.

– Oczywiście, to te drzwi w korytarzu, przy kuchni.

Komisarz podziękował i wstał.

Kiedy skorzystał z łazienki pełnej damskich kosmetyków, umył ręce i wrócił do salonu.

Wójcicki wciąż siedział przy stoliku i Gross zatrzymał się w progu.

Łysina wystawała nieznacznie nad oparciem fotela.

Drobny mężczyzna, wyczuwając obecność Grossa za plecami, dźwignął ciało.

– Stało się coś? – spytał.

Komisarz nie udzielił odpowiedzi.

– Halo? – zawołał Wójcicki i dopiero wtedy Gross drgnął. – Pytałem, czy coś się panu stało? – powtórzył gospodarz.

– Nie. Dlaczego?

– Wygląda pan jakoś dziwnie – stwierdził Wójcicki.

Gross popatrzył na mężczyznę i powiedział:

– Na mnie już czas. Dziękuję za herbatę.

– A co będzie ze śledztwem w sprawie wypadku? – Gospodarz przeszedł za Grosse do wiatrołapu.

– Wydaje się, że zostanie umorzone – stwierdził komisarz.

– Może to i lepiej. Zmarłym należy się spokój.

Gross pokiwał głową.

Miał jednak wrażenie, że to nie zmarli potrzebują spokoju, tylko żywi.

– Kiedy będę mógł odebrać rzeczy żony? Jej torebkę, klucze i telefon? Wszystko to, co było w samochodzie? – spytał Wójcicki.

– Nie dostał pan tego jeszcze? – zdziwił się Gross.

– Nie.

Komisarz pokiwał głową.

– W takim razie dam panu znać – stwierdził i nacisnął klamkę.

Kiedy drzwi z powrotem przylgnęły do framugi, zaciągnął się mroźnym powietrzem.

ROK 1945, STYCZEŃ

Chciał zginąć.

Chciał wierzyć, że zasługuje na śmierć, bo gdyby umarł za próbę pomocy dziewczynie skazanej na zagładę, zyskałby chwałę.

A jednak wachman puścił go wtedy wolno. Kazał mu uciekać, jak jakiemuś tchórzowi.

I Staszek szedł przez pola obsypane śniegiem, prosto przed siebie, nie wiedząc, dokąd zmierza, byle tylko dalej od podwórza i zabudowań majątku w Grodnie. Byle dalej od krzyku Salci, która zginie niechybnie trafiona kolbą karabinu albo zamęczona wystawianiem na mrozie do nocy. Podobnie jak jej dwie stare ciotki, które zostawił w warsztacie na zgubę.

Dlatego Staszek uciekał. Ze wstydu przed swoimi łzami, ale także ze strachu, bo chciał ofiarować Salci wolność, a sprowadził na nią śmierć.

Przeszywała go wściekłość na wachmana, na kolegów, którzy nie ostrzegli go w porę, na stare kobiety, które pchały się do przejścia, chociaż nie im chciał pomagać. Co one sobie myślały? Co myślały obie, jedna starsza od drugiej, słabe i chore, zupełnie bezbronne, że on je wszystkie uratuje? Że on, Staszek, wyzwoli obóz?

Wieczorem zapadł na gorączkę i majaczył.

Przynajmniej tak mówiła matka, kiedy obudził się rano, zlany potem. Był słaby, ale umył się nad miednicą wypełnioną zimną wodą, a potem zabrał się z ojcem furmanką do Grodna.

Nie umiał patrzeć tatulowi w oczy, a tatuł milcząco trzymał lejce i prowadził wóz po nierównościach. Kołysali się na koźle, Staszek poprawiał koc, koń bił kopytami w zmarzlinę, parskał i dyszał. Obłoki pary buchały mu z pyska.

Chłopiec chciał powiedzieć ojcu, że zawiódł. Chciał przeprosić go, że naraził rodzinę, ale wstyd kazał mu milczeć. Jeśli tatuł dowie się o wszystkim, a być może już wiedział, sprawi mu lanie i chłopcu będzie lżej. Zasłużył na karę jak nikt.

Wyjechali z lasu i wtedy Staszek dostrzegł w oddali grupę więźniarek otoczoną kordonem wachmanów. A potem popatrzył na tatula, który zacisnął szczęki i mocniej chwycił lejce.

Dziś Staszek sam ułożył koc na kolanach ojca, dobrze więc wiedział, że tatuł nie mógł schować pod materiałem żadnych cebul. A mimo to wyglądał na niespokojnego.

Grupa Żydówek, do której się zbliżali, była znacznie większa niż zwykle. Chłopiec miał wrażenie, że marsz żywych trupów nie ma końca.

Tatul skręcił w boczną drogę przed kwartałem lasu.

– Prr! – warknął i koń natychmiast zwolnił, a po chwili stanął i zwiesił łeb. Para unosiła się z grzbietu zwierzęcia, jego boki zapadały się i pęczniały na przemian.

Staszek zrozumiał, że zatrzymali się, by przeczekać, aż marsz przejdzie.

– Zlikwidowali obozy? – Chłopiec nie odrywał wzroku od zbliżającej się grupy zamęczonych, skrajnie wyczerpanych kobiet, które z trudem szły przed siebie, półnagie, często bose, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Na to wygląda. – Ojciec sięgnął po papierośnicę i zapalił.

Zapałka wylądowała w śniegu, a chłopiec poczuł zapach tytoniu.

– Dokąd idą?

– Nie wiem. I przestań się o wszystko dopytywać. Wojna się zaraz skończy. Armia Czerwona i polskie oddziały są coraz bliżej.

Staszek obserwował zbliżającą się grupę, na której czele szło dwóch hitlerowców w mundurach. Przed nimi jechał wojskowy motocykl z wózkiem bocznym. Sunął powoli. Wózek wypakowany był bronią i innym sprzętem. Kiedy minął z terkotem furmankę, kierowca z goglami na twarzy zerknął w ich stronę.

Tatul palił papierosa i wpatrywał się w czapy śniegu na świerkach i sosnach porastających skraj lasu. Jakby nie widział tych kobiet, jakby tuż za furmanką nikt nie szedł. Wolał patrzeć na białe pola, ciągnące się w dół do jeziora, i na układające się na jego matowej, lodowej warstwie promienie wschodzącego słońca.

Wystawiał do niego twarz pociętą coraz gęstsza siecią zmarszczek.

Staszek nie umiał pójść w jego ślady.

Odgłosy kroków hitlerowskich butów stawały się głośniejsze i zlewały w jeden spójny rytm. Krzyki i poganianie kobiet niosło się echem.

Gdy w końcu grupa wyłoniła się zza lasu, nastolatek dostrzegł wynędzniałe Żydówki drobiące na śniegu, popędzane jak bydło prowadzone na rzeź.

Próbował liczyć kobiety, ale kilka razy się pomylił. Marsz jednak zdawał się nie mieć końca. Chciał się odwrócić do ojca i podać mu liczbę, którą zapamiętał, ale wydarzyło się coś, co sprawiło, że zapadł w stupor.

Dostrzegł Salcię.

Szła na samym końcu, podtrzymując znaną mu starą ciotkę.

Nie widziała go, i dobrze, bo naraz łzy pocięły mu po twarzy i drżał cały ni to z zimna, ni to ze strachu.

A może drżał tak ze wściekłości.

Kiedy ojciec nawrócił na polu i wrócili na drogę do majątku, chłopiec zerknął za końcówką marszu.

– Słyszałem o tym, co zrobiłeś – stwierdził tatuł, gdy wóz zakołysał się na nierównościach.
– I jestem z ciebie dumny, synku.

Położył mu rękę na ramieniu, ale nie spojrział na chłopca. Patrzył przed siebie, na pustą drogę.

– Ale gdybyś mi powiedział, co zamierzasz... – kontynuował ojciec.

– Pomógłbyś mi? – przerwał mu Staszek z nadzieją.

– Nie – odparł twardo ojciec. – Zabroniłbym ci tego. Twoja matka... Ona nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym naraził cię na śmierć.

Staszek poczuł narastającą złość.

– Nie pomógłbyś? – wołał się upewnić.

– Może to kiedyś zrozumiesz. Jak sam będziesz miał dzieci – ciągnął tatuł. – Na pewno zamknąłbym cię w domu.

Chłopiec zacisnął szczęki. A potem poczuł, że jego zziębnięte palce zwijają się w pięści. Miał przed oczami Salcię, strach w jej wielkich oczach, gdy dostrzegła wachmana i podobnie jak wczoraj czuł ciepło łez, które spłynęły mu po policzkach.

Zrzucił z siebie koc i zeskoczył z furmanki. Poślizgnął się i uderzył barkiem o lód. Jednak w ogóle nie czuł bólu.

– Co ty robisz? – warknął ojciec i pociągnął za lejce. Wóz się zatrzymał. – Wsiadaj!

Ale młodzik nie zamierzał słuchać ojca.

Ruszył biegiem za idącymi kobietami.

– Staszek! Wracaj! – Krzyk tatuła odbijał się od ściany lasu i doganiał nastolatka, ale on nie zamierzał się zatrzymać.

Coś gnało go w tę stronę, skąd śmierć ziała mu w twarz.

Marsz Żydówek musnął miasto, które jakby wymarło, i odbił na północ.

Staszek kroczył śladem kobiet, utrzymując rozsądny dystans. Minął kilka trupów z rozbitymi czaszkami. Za każdym razem robił znak krzyża i modlił się gorliwie.

A potem patrzył przed siebie i starał się odnaleźć wzrokiem Salcię, ale nie wiedział już, czy patrzył na nią, czy na inną kobietę.

Był za daleko.

Hitlerowcy prowadzili Żydówki przez Buczek i marsz zwolnił dopiero, gdy pochód mijał jezioro w Bielczynach. Słońce przykryły gęste chmury i świat pogrążył się w szarościach.

Staszek dobrze znał te tereny. Dlatego kiedy marsz zatrzymał się, obszedł go w bezpiecznej odległości, przebijając się przez pola, aż dotarł do lasu obejmującego łukiem jezioro od zachodu. Stał nad zamrzniętym brzegiem i patrzył z oddali na setki kobiet prowadzonych pod kolbami niemieckich karabinów.

Sam czuł już zmęczenie, ale napędzała go wściekłość. I wołał nie myśleć, jak czują się te kobiety.

Dokąd szły?

Nie wiedział. Wiedział tylko, że dalej nie pójdzie, że niczego więcej nie zrobi, że nie będzie umiał już pomóc Salci. Będzie mógł się jedynie modlić, żeby przeżyła, i kiedy kurz wojenny opadnie, będzie chciał ją kiedyś odnaleźć. Może to się uda. Może zobaczy ją tutaj w Chełmży albo gdziekolwiek indziej, spotka ją i rozpozna po oczach.

Może ona nawet mu wybaczy.

Tak. Staszek tylko tego pragnął.

Wybaczenia. I długo prosił o nie w myślach, aż usłyszał krzyki hitlerowców.

Cofnął się za linię drzew i przystanął za pniem sosny, bo z tylnego szeregu wachman wyciągnął kobietę, szarpiąc ją brutalnie za rękę. Przewróciła się, ale on nie zwolnił uścisku, tylko ciągnąc ją po śniegu jak szmacianą lalkę, wszedł na jezioro. Kolejni hitlerowcy przyprowadzili następne kobiety i odzierali jej z ubrań. Kobiety próbowały zasłonić wychudłymi rękoma swoją nagość.

Jeden z wachmanów zamachnął się kolbą w lód pokrywający jezioro i wybił przeręb. Woda zachlupotała i Niemcy zanieśli się śmiechem. Rechet niósł się po tafli.

Wtedy Staszek dostrzegł, że wśród niewielkiej grupy kobiet stojących na lodzie, z daleka od brzegu, jest ciotka Salci.

Wstrzymał oddech.

Policzył je z trudem, bo drżał cały i gubił się w rachunkach.

Nagle jeden z hitlerowców krzyknął coś, czego chłopiec nie zrozumiał, ale wyglądało na to, że zwracał się do wszystkich Żydówek, które stały na brzegu czwórkami, gotowe w każdej chwili ruszyć dalej. Tyle tylko, że jeden ze zbrodniarzy w niemieckim mundurze prawdopodobnie miał dla nich przestrożę.

Kiedy skończył mówić, odwrócił się gwałtownie do jednej z kobiet.

Silne ramiona uniosły broń i twarda kolba przebiła kruchą potylicę.

Chrzęst pękniętej czaszki zlał się z łoskotem kości upadających na lód.

Inny Niemiec czarnymi oficerkami przepychał zwiotczone ciało do przerębla.

Chlupnęło i lodowata woda pochłonęła kobietę.

Szybko ogłuszono kolejne z nich i wepchnięto pod lód.

I wtedy, gdy jeden z żołnierzy uniósł broń, by uderzyć ostatnią Żydówkę, krewną Salci, zdarzyło się coś, co sprawiło, że Staszek zaczął z przerażeniem kręcić głową.

Wachmani zamykający marsz podnieśli głosy, bo z szeregu wystąpiła jedna z więźniarek. Z uniesioną głową szła w kierunku hitlerowców.

Widział ją doskonale, chociaż dzieliła ich spora odległość.

Widział jej oczy.

Te oczy, w które sam kiedyś wlał nadzieję na wolność.

Jej ciotka, przytrzymywana przez esesmana, upadła na kolana i krzyczała w kierunku dziewczyny. Kazała jej uciekać, ale ona, Salcia, zdawała się być głucha.

Kroczyła prosto w stronę przerębla.

W połowie drogi, gdy kolba niemieckiego karabinu rozbiła głowę jej ciotki, gdy krew zbryzgała lód, dziewczyna zgubiła krok.

Wzdrygnęła się i zatrzymała.

Jeden z żołnierzy chwycił ręce starej kobiety i zaciągnął ciało wprost do wody. Krew znaczyła jej drogę, a potem zabarwiła wodę w przeręblu.

Na tafli wokół dziury zostali już sami hitlerowcy.

Śmiali się na widok Salci, która wciąż jeszcze nie ruszyła się z miejsca. Jeden z nich zachęcił ją gestem.

– *Komm hier, du Schwein! Sofort!* – ponaglał ją bronią. – *Komm!*

Dziewczyna zrobiła krok przed siebie.

Staszek drżał i zacisnął zęby na swojej dłoni.

Obraz zaczął mu się rozmazywać, kręcił głową. Patrzył, a jednocześnie nie chciał widzieć, co zaraz nastąpi.

– *Komm!*

Salcia zbliżyła się do stojących w kole oprawców.

A potem wszystko rozegrało się błyskawicznie.

Patykowaty żołnierz zamierzył się bronią i uderzył ją w zgięcie kolanowe, ścinając dziewczynę z nóg. Drugi kopnął z całej siły w brzuch. Krzyknęła, a może to z gardła Staszka wydobył się wrzask.

A potem żywą dziewczynę, która ostatkiem sił próbowała się opierać, wykonując nieskoordynowane ruchy, wepchnięto do wody.

I wtedy esesmani znowu buchnęli śmiechem.

Krępy hitlerowiec szedł śladem jej ciała, dryfującego pod lodem i pochylał się, próbując dostrzec ją pod warstwą grubej tafli zmarzniętej wody. Kilka metrów od przerębla wskazał kompanom miejsce, w którym ciało się zatrzymało i rozłożył ręce na boki. Trząśnięty

z otwartymi ustami, udając, że brakuje mu powietrza. Parę razy tupnął przy tym obcasem butów w lód ku uciesze kompanów.

A Staszek niczego więcej już nie widział i niczego więcej już nie słyszał.

Osunął się przy drzewie i jego ciałem szarpał niemy szloch.

Kiedy się otrząsnął, marsz śmierci zniknął mu z oczu i cisza spowiła jezioro, które przyjęło w swoje objęcia niewinne ofiary.

Jakiś czas później Staszek, któremu w oczach zabrakło już łez, stanął nad chlupoczącą cicho wodą w przeręblu, której brzegi znaczyła krew i resztki rozsianych obok tkanek, do których zleciały się kruki i wrony.

Przełknął ślinę i się rozejrzał.

Szukał śladów niemieckich butów, tych, które odchodziły od dziury w lodzie i kierowały się w głąb jeziora.

Poszedł za nimi i zatrzymał się tam, gdzie zawracały, gdzie warstwa śniegu była czysta i nietknięta.

Kucnął.

Przetarł zmarznięty lód dłonią, ale pod jego warstwą nie znalazł ciała Salci.

Spróbował w kilku miejscach obok. Za każdym razem z tym samym skutkiem.

Targała nim złość.

Miał ochotę rozbić taflę nogą, zapaść się w czeluść zimnej wody, czuć, jak zimne macki obezwładniają go, oplatają i trzymają mocno, ciągnąc w dół, w ciemną otchłań.

Zasłużył sobie na to.

Przymknął oczy.

Dopiero po czasie poszedł w lewo i ponownie przetarł lodową taflę. Znowu bezskutecznie. I tak jeszcze kilka razy, aż w końcu wyczerpany zdecydował, że czas odejść.

Wyprostował nogi i ostatni raz omiół wzrokiem przestrzeń wokół siebie.

Wtedy jego uwagę przykuł ciemny kształt ukryty pod lodem, dwa metry od niego.

Przygryzł wargę i podszedł bliżej. Kucnąwszy, wbił oczy w lód.

Coś zacisnęło się boleśnie na jego szyi, odbierając mu dech.

Chciał krzyknąć, ale nie umiał.

Patrzył na rozchylone usta Salci, które zdawały się krzyczeć, i na jej nieruchome, szeroko otwarte oczy, w których nie znalazł ulgi, a jedynie strach.

A przecież obiecał jej wolność.

DZIEŃ SIÓDMY, PÓŹNIEJ

Monika Skalska siedziała w pobliżu kozy, od której było gorąco. Powietrze w altanie należącej do Jadwigi Jaskólskiej było suche. Czuła, że wewnątrz nosa wyschło jej na wiór.

– Dziękuję, że znowu pani przyszła – powiedziała gospodyni, siadając na wysłużonej wersalce.

– Mówiła pani, że chodzi o Michała.

– Bo to prawda.

Monika Skalska żuła gumę i językiem rozciągała ją między zębami, jakby chciała wypuścić balon, ale tego nie zrobiła. Jaskólska przedzwoniła do niej rano i poprosiła o chwilę rozmowy. Im szybciej, tym lepiej, dodała.

To dlatego po nocy spędzonej z Dariuszem Styczyńskim policjantka dość szybko pożegnała kolegę, wymawiając się pracą. Krótko po śniadaniu Darek bez narzekania pożegnał się i wyszedł. Nie spytał o to, kiedy spotkają się ponownie.

A Skalska zastanawiała się nad tym, czy to wszystko ma sens. Czy rzeczywiście potrzebowała kogoś przy swoim boku. Czy to nie wiązało się z rozczarowaniem? Darek był po małżeńskich przejściach, nie pytała go o powody rozstania z żoną, ale sama też nie umiała budować dobrych relacji, bo przecież nie udało jej się zatrzymać przy sobie Grzegorza Otremby.

Miłość bywa trudna, pomyślała i zaczęła się zastanawiać, czy po prostu nie była skazana na samotność? Czy nie nosiła w sobie genu odpowiedzialnego za niechęć wobec partnerów?

Wypełniała ją pustka.

Seks ze Styczyńskim nie oferował spełnienia. Skalska czuła się spięta i mało podatna na czułości ze strony kochanka, chociaż doceniała starania młodszego od siebie mężczyzny. Niewykluczone, że właśnie wtedy wyrosła między nimi niewidzialna bariera.

Nie wiedziała nawet, czy będzie miała ochotę na wypad do restauracji i kina.

Wszystko to jakoś zbladło.

A potem z przerażeniem pomyślała, że być może nieświadomie porównywała chłopaka do Otremby. Zestawiała jednego z drugim.

A to tak nie powinno wyglądać, zrugła się.

Zrozumiała, że była niesprawiedliwa wobec Styczyńskiego i wobec siebie samej.

Ocknęła się.

– No więc? – zadała pytanie, odsuwając od siebie wspomnienia ze wspólnej nocy spędzonej z policjantem. – Co z Michałem?

– Syn mówił mi, że przyjdzie dziś później ze szkoły.

– Dlaczego?

– Powiedział, że wybiera się na komisariat.

Skalska pomyślała, że chłopak znowu okłamuje matkę, ale uznała, że już jej to nie obchodzi.

– Był u mnie w piątek – wyjaśniła. – Zatem chyba nie powiedział pani prawdy.

– Wiem, że był. Opowiadał mi. I właśnie dlatego chciał iść do pani jeszcze raz.

– Ale po co? – zdziwiła się policjantka.

– Twierdził, że wszystko sobie przemyślał i że pani nam pomogła, a on źle się zachował – wyjaśniła, składając ręce jak do modlitwy. – Boże! Tylko, żeby on... no, wie pani, żeby nie narobił sobie kłopotów. Tak się martwię...

– Kiedy kończy lekcje? – Skalska poczuła przyływ energii. Sądziła, że chłopiec się przełamał i w końcu powie jej prawdę.

Jaskólska zerknęła na zegarek na przegubie ręki.

– Powinien wyjść ze szkoły za pół godziny.

Monika Skalska pożegnała się z Jaskólską i szybkim krokiem przemierzyła zimową dolinę. Słońce, odbijając się od warstwy zalegającego śniegu, wypełniało krajobraz jaskrawym światłem i policjantka musiała mrużyć oczy, żeby nie oślepnąć. Opuszczała głowę, by daszek bejsbolówki chronił oczy, ale na niewiele się to zdało.

Kiedy dotarła do ulicy Hallera, a potem do ścisłego centrum i kiedy szła chodnikami w cieniu kamienic, ciemne plamy wciąż wykwiwały jej przed oczami. Mrugała powiekami, ale to nic nie dawało.

Wchodząc do komisariatu, odebrała telefon od Grossa.

– Coś pilnego? – spytała, wspinając się po schodach na poddasze.

– Niekoniecznie. Przynajmniej nie teraz.

Nie wiedziała, czemu jest taki tajemniczy, ale w słuchawce usłyszała szum i domyśliła się, że dokądś jechał.

– A kiedy? – dopytała.

– Jadę do Torunia odebrać rzeczy Małgorzaty Wójcickiej.

– To mąż ich jeszcze nie odebrał?

– Chyba nikt go o tym nie poinformował. Wciąż czeka na sygnał z policji. Zadzwoń do naszych i powiedz, że wezmę to na siebie.

– Chyba nie musisz sam po nie jechać?

– Muszę.

Skalska niewiele z tego zrozumiała.

– No dobra, skoro tak mówisz – rzuciła.

– Ale w związku z tym mam prośbę. Jak się rozłączę, zadzwoń do Wójcickiego i każ mu się stawić na komisariacie o szesnastej.

Policjantka zerknęła na zegarek.

– Dobra, zrobi się. Ma przyjść po te rzeczy?

– Tak. I powiedz mu, że przepraszamy go za zbyt długie oczekiwanie. Odbiorę je z depozytu i dostarczę do Chełmży, ale Wójcicki będzie miał do podpisania kwity. Koniecznie u nas, na miejscu.

– Okej.

– Usiądźcie w moim gabinecie – dodał Gross. – I czekajcie na mnie. Spóźnię się. Sporo.

– No to może przesunę to spotkanie...

– Nie, w żadnym wypadku – przerwał jej. – Właśnie o to chodzi, żeby Wójcicki siedział na komisariacie i nie odszedł od ciebie ani na krok.

Skalska wdrapała się na poddasze i ściągnęła czapkę. Dopadła ją zadyszka.

– Czekaj, czekaj. Chcesz powiedzieć, że gość...

– Nie przez telefon – przerwał jej Gross. – Zrób, o co proszę. Bez odbioru.

– Jasne – rzuciła. – Bez odbioru.

Kwadrans później do Skalskiej odezwał się oficer dyżurny. Telefon stacjonarny się rozdzwonił, ale ponieważ pracowała na komputerze, szybko podniosła słuchawkę.

– Młodziak do ciebie, Skalka. Podobno był tu w piątek.

– Okej, już schodzę – odparła i zablokowała komputer.

Zbiegła na parter i przywitała się z Michałem Jaskólskim.

Bez słowa weszli na górę, Skalska pierwsza, chłopiec za nią. Poprowadziła go do swojego gabinetu i zamknęła drzwi. Judyckiej tym razem nie było, wyjechała na szkolenie do Legionowa.

– Tu możesz powiesić kurtkę – wskazała nastolatkowi wieszak, ale ten rozpiął tylko suwak i rozchylił poły okrycia.

Skalska dostrzegła czarną bluzę z czerwonym napisem *Stranger Things*. Chłopak nie patrzył jej w oczy, ścisnął w dłoni palce, aż chrupnęło.

– Co słyhać? – spytała, rozsiadając się wygodnie na fotelu obrotowym, a młody gość wzruszył ramionami.

– Moja mama... Ona jest bardzo wdzięczna za tę pomoc, którą pani zorganizowała – powiedział.

Skalska siedziała cicho.

– Powiedziała, że to pomoże nam przetrwać zimę.

– Twoja mama jest bardzo dzielna. Poradziłaby sobie i bez tej pomocy. Na pewno może też liczyć na twoje wsparcie. Jeśli nadal będziesz chciał odśnieżać u doktora Szojcy.

– Byłem u niego wczoraj. Żona doktora powiedziała, że mogę przychodzić. Najlepiej, jakbym wpadł jutro rano, bo wieczorem i w nocy zapowiadają śnieżycę.

– To dobrze. Zarobisz trochę.

Chłopiec pokiwał głową i ponownie zgiął palce, aż chrupnęły kości. Skalska się wzdrygnęła.

– Muszę wracać do pracy – stwierdziła, chcąc skrócić męki Michała Jaskólskiego, i wstała, gotowa odprowadzić go na parter. Ale chłopiec nie ruszył się z miejsca.

– Proszę pani... – Wodził wzrokiem po parkiecie.

– Tak?

– Te pieniądze, które mama znalazła...

– Co z nimi?

– Nie dostałem ich od doktora.

– Wiem.

Chłopiec spojrzał gdzieś w bok. Dusił w sobie prawdę.

– W takim razie od kogo? – Skalska kucnęła, by ściągnąć jego wzrok.

– Nie znam go. – Znowu wzruszył ramionami. – Po prostu mu pomogłem.

– Kiedy?

– W zeszły wtorek rano.

– Pamiętasz, jak on wyglądał?

– Nie wiem. Normalnie. – Spojrzał wreszcie na Skalską i w jego oczach czaił się smutek.

– Kulał? – Skalska przypomniała sobie, że doktor Szojca widział z okna swojego domu kuśtykającego mężczyznę.

– Trochę tak.

Policjantka położyła dłonie na kolanach chłopaka i spojrzała mu w oczy.

– Opowiedz, co się stało – poprosiła.

– Wracałem od doktora i tak mniej więcej koło działek zobaczyłem faceta, który szedł wolno w kierunku miasta. Wyglądał, jakby coś mu dolegało. Chwytał się za nogę i płakał.

– Płakał?

– Tak. Płakał jak małe dziecko.

– Mówił coś?

– Nie, chyba nie. To znaczy coś tam bełkotał, ale nie rozumiałem, o co mu chodziło.

– A jak mu pomogłeś?

– Spytał, czy idę do miasta.

– No i?

– Powiedziałem, że tak, i wtedy stwierdził, że mieszka po drodze. Chciał, żebym mu pomógł dojść na Polną.

– I pomogłeś – zgadywała Skalska.

– Tak. On był niższy ode mnie, w zasadzie takie chucherko, więc oparł się na mnie i tak szliśmy.

– Gdzie się rozstaliście?

– Na rogu Polnej i Hallera.

– Widziałeś, dokąd poszedł?

– Skręcił w Polną.

– Ale w którą stronę? Do Chełmińskiego Przedmieścia czy w drugą?

– W drugą.

Skalska poczuła gęsią skórę na przedramionach.

– Czy w trakcie drogi coś mówił?

– Bełkotał, że to nie tak miało wyglądać i że on bardzo żałuje. Tylko tyle. A potem, kiedy zbliżaliśmy się do Polnej, szedł już sam i jakby nic go nie bolało.

– Pytałeś, co mu jest?

– Pytałem, ale nie reagował. Dziwny był. Miał przemoczone buty i nogawki spodni.

– Jak to?

– Nie wiem. Po prostu widziałem, że miał zmoczone ubranie. Tak do kolan.

– Zapłacił ci?

– Tak. Zapłacił i prosił, bym nikomu nie mówił, że go spotkałem. I że gdyby ktoś pytał, to nigdy go nie widziałem. Mówił też, że da mi jeszcze trochę kasy, gdyby ktoś się nim interesował. Podał mi swój adres.

– Gdzie mieszka?

– Przy Polnej dziewięć.

Policjantka wyprostowała nogi.

Wcześniejsza informacja od Grossa i wiadomości od Jaskólskiego układały się w spójną całość.

- A czy wcześniej, kiedy szedłeś do doktora, widziałeś, żeby ktoś jechał drogą na Buczek?
- Tak. Musiałem nawet zejść z drogi, bo za mną jechał jakiś mały wóz.
- Pamiętasz, co to była za marka?
- Nie. Było ciemno. Nie przyglądałem się. W każdym razie kiedy ich przepuściłem...
- Ich? – przerwała mu Skalska.
- Tak. Bo prowadziła kobieta, ale obok niej siedział ktoś jeszcze.
- Jesteś pewien?
- No jasne.

Skalska potarła dłonie.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo nam pomogłeś – zdobyła się na uśmiech, chociaż zimny dreszcz przebiegł jej po ciele.

Jakiś czas potem Skalska połączyła się z Igorem Wójcickim.

- Halo? – odezwał się mężczyzna smutnym głosem.
- Monika Skalska, wydział kryminalny komisariatu policji w Chełmży. Panie Igorze, mój szef, komisarz Bernard Gross powiedział mi, że toruńska policja nie przekazała panu rzeczy osobistych pana małżonki, które znaleziono w jej samochodzie.
- To prawda.
- Naprawiamy błąd. Będą gotowe do odbioru o godzinie szesnastej.
- W Toruniu?
- Nie, u nas. Nie chcemy, żeby się pan fatygował tak daleko, a do tego w taką pogodę.
- Dobrze, przyjdę.
- Będę bardzo wdzięczna, bo załatwimy wtedy formalności.
- Jakie formalności?
- Chodzi o pana podpis. Takie mamy procedury. Sam pan rozumie.
- No tak, jasne. Do zobaczenia.
- Będę na pana czekała – dodała i się rozłączyła.

Szarość zgęstniała i zrobiło się ciemno.

Mróz tężał, kiedy krótko przed szesnastą komisarz Gross zaparkował przy Polnej, w pobliżu pierwszego z pięciu takich samych budynków wyrastających przy drodze.

Miał widok na skrzyżowanie Polnej i Sienkiewicza, oświetlone przez światło ulicznej lampy, które rzucało pomarańczowy owal na błyszczący kryształkami lodu odśnieżony asfalt.

Zgasił reflektory, ale nie wyłączył silnika. Nawiew tłoczył do wnętrza golfa ciepłe powietrze.

Gross potarł dłonie, a chwilę później odezwała się Skalska, która przekazała mu wieści od Michała Jaskólskiego.

– Dobrze, że chłopiec się opamiętał – stwierdził policjant.

– Wszystko to dzięki bluzie, którą mu kupiłeś.

– Czyli tak naprawdę dzięki tobie – odbił piłkę Gross i się pożegnał, bo właśnie zauważył niskiego mężczyznę, który przekraczał Polną i wszedł w ulicę Sienkiewicza.

Bez wątpienia był to Igor Wójcicki.

Policjant odczekał, aż mężczyzna oddali się od domu, po czym zgasił silnik. W kartonie na fotelu pasażera znajdowały się rzeczy osobiste zabrane z rozbitego samochodu Małgorzaty Wójcickiej. Odebrał je z depozytu. Między innymi sporą czarną torebkę, którą przeszukał jeszcze na policyjnym parkingu przy toruńskim garnizonie.

Założył rękawiczki lateksowe i wyjął z niej klucze na breloku ze szklanym czerwonym sercem i wygrawerowanym napisem „dom”.

A potem wysiadł i szybkim krokiem ruszył do budynku przy Polnej dziewięć.

Skalska przyjęła wdowca, który wchodząc na teren komisariatu, uważnie rozglądał się po wnętrzu.

– Zapraszam na piętro – wskazała ręką na drewniane schody.

Mężczyzna chwycił się poręczy i dopiero wtedy dostrzegła, że ma kłopot z kolaniem. Kiedy chodził, wyglądał na sprawnego, ale wspinanie się po schodach sprawiało mu trudność. Stawiał jedną nogę, a potem dostawiał do niej drugą. Szedł wolno i z grymasem bólu.

– Kłopoty ze zdrowiem? – zapytała z troską.

– Nie. Odzywają się stare problemy. Ale spokojnie, dam radę – zapewnił i wdrapał się na pierwsze piętro, gdzie odetchnął i przystanął na moment, by nabrać tchu.

Skalska w tym czasie otworzyła drzwi do gabinetu Grossa. Zapaliła w pomieszczeniu światło, a następnie gestem zaprosiła mężczyznę do środka.

– Proszę, niech pan siada. Kawy, herbaty? – zaproponowała.

– Nie, dziękuję, nie chcę pani robić kłopotu. – Zawiesił wzrok na pustym biurku i nie udało mu się ukryć rozczarowania. – Gdzie rzeczy?

– No właśnie spóźniają się, ale zdążyłam ustalić, że zaraz będą na miejscu. Wszystko przez korki w Toruniu i Łysomicach. Smutna codzienność.

Skinął głową na znak, że rozumie, a potem przygryzł wargę.

Skalska milczała.

Mężczyzna spoglądał co jakiś czas na zegarek, a jego irytację zaczynało zdradzać wiercenie się na krześle.

– Długo to potrwa?

– Nie sędzę. Na pewno są już blisko – stwierdziła, gdy rozdzwonił się jej telefon. Zerknęła na ekran i uniosła brwi. – Przepraszam, ale muszę odebrać. Proszę się stąd nie ruszać.

Wójcicki chciał zaprotestować, ale zanim zdążył unieść rękę i coś powiedzieć, Skalska była już przy drzwiach. Zostawiwszy je otwarte, przeszła do ciemnego sekretariatu i oparła się pośladkami o parapet, tak by mieć na widoku hol. Dzięki temu w każdej chwili mogła zatrzymać Wójcickiego, gdyby ten zamierzał się ulotnić z komisariatu.

Odebrała.

– Cześć, Tatar – ściszyła głos i poczuła mrowienie w okolicach karku.

– Sprawa wygląda tak. – Analityk policyjny od razu przeszedł do konkretów. – Z rzeczy, które mogą ciebie zainteresować, jest jeden film, o którym mówiłaś, a poza nim kilka zdjęć z ekshumacji Żydówek w podchełmżyńskim Grodnie.

– To skany?

– Nie, pliki pobrane ze strony internetowej IPN-u. W sumie pięć fotografii.

Skalska domyślała się, co przedstawiały, bo Gross opowiedział jej o dokumentacji, którą Stanisław Sądecki zamierzał spalić w piecu. Mimo to, żeby rozwiać wątpliwości, poprosiła kolegę, by je opisał. Gdy upewniła się, że chodziło o te same fotografie, zapytała:

– Dowiedziałeś się o nich czegoś więcej?

– Chyba po to tu pracuję, nie? – analityk się roześmiał.

– No więc?

– Fotografie wykonał w siedemdziesiątym pierwszym Henryk Wójcicki, żołnierz Ludowego Wojska Polskiego.

Skalska przełknęła ślinę.

– I to mnie zaintrygowało – ciągnął dalej Tatar. – Pogrzebałem to tu, to tam, bo skoro laptop należał do Małgorzaty Wójcickiej, to uznałem, że nie ma przypadków. I okazało się, że Henryk był teściem tej kobiety.

– Jesteś pewien? – Policjantka poczuła ciepło rozchodzące się z trzewi.

– Wątpisz we mnie? – zaśmiał się.

– Skądże. Po prostu mnie to zaskoczyło.

– W takim razie przygotuj się na więcej. Henryk Wójcicki powiesił się niedługo potem.

Skalska położyła dłoń na karku i próbowała rozmasować zeszywniałe mięśnie.

– I teraz jeszcze jedna rzecz – dodał Tatar. – Igor Wójcicki albo jego żona, bo tego nie ustalę, szukali w sieci informacji na temat tego twojego Stanisława Sądeckiego z Bielczyn.

– Te dane koniecznie trzeba zabezpieczyć – stwierdziła. – A znalazłeś na komputerze coś o samym Sądeckim?

– Kilka wywiadów, w których domagał się wstrzymania ekshumacji zwłok Żydówek zabitych w trakcie drugiej wojny światowej pod Chełmżą i Toruniem. Próbował zainteresować tematem ambasadora Izraela. Uznawał te działania za bezprawne i sprzeczne z judaizmem.

– Coś jeszcze?

– Filmy z udziałem niejakiego Kazimierza Kowala i Józefa Żurka. Obaj byli chyba na lekcjach historii i opowiadali młodzieży o przeżyciach z drugiej wojny. Nagrania z Żurkiem są dwa. Jedno krótsze, drugie dłuższe.

Skalska знаła oba te filmy.

– Na tym drugim opowiada o grzebaniu Żydówek? – dopytała, żeby mieć pewność.

– Tak.

– I żadnego innego filmu z Żurkiem na dysku nie znalazłeś?

– No nie.

Wymienili jeszcze kilka informacji i Skalska podziękowała mu za pomoc.

Kiedy chciała się rozłączyć, drżały jej ręce.

Wpatrywała się jeszcze przez kilka chwil w telefon, a następnie wysłała esemesa do Grossa, w którym przedstawiła mu wieści od Tatarskiego.

A potem przeniosła wzrok na drzwi rozświetlonego gabinetu, w którym siedział Wójcicki, i na układający się na pogrążonej w półcieniu podłodze holu trapez światła z długim cieniem mężczyzny.

Skalska myślała o Wójcickim i jego żonie, a także o jego ojcu, żołnierzu Ludowego Wojska Polskiego.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność.

W trakcie tego oczekiwania kilku funkcjonariuszy przeszło przez hol, aż w końcu Skalska uznała, że czas wracać do gabinetu. Spojrzała na zegarek i okazało się, że przesiedziała w sekretariacie niemal kwadrans.

– Już jestem – rzuciła, przekroczywszy próg. Zamknęła drzwi i usiadła na swoim miejscu.

– Przepraszam, że musiał pan tyle czekać, ale wyskoczyły mi jeszcze inne obowiązki.

Mężczyzna pokręcił głową z niedowierzaniem. Wydawał się zniecierpliwiony. Obliznął suche usta, po czym jego wzrok zaczął błądzić po regałach.

W końcu potarł policzki i spojrzał w okno. A zaraz potem wstał i odstawił krzesło pod stół.

– Przykro mi, ale nie zamierzam marnować więcej czasu – zdenerwował się. – Przecież mogę te rzeczy odebrać jutro, jak już wreszcie tu dotrą, prawda?

Skalska nie odpowiedziała, ale przyglądała mu się z uwagą, mrużąc oczy.

– Halo! Mówię do pani – zezłościł się.

– Słyszę. Ale nie lubię, kiedy ktoś podnosi na mnie głos – wyjaśniła. – Wykonuję tylko polecenia.

– Polecenia! – prychnął. – To niech je pani sobie wykonuje. W każdym razie ja stąd idę.

Ruszył do drzwi i otworzył je szeroko. Mimo to nie przekroczył progu.

– Nie odprowadzi mnie pani do wyjścia?

– Nie. I informuję, że nie może się pan sam poruszać po komisariacie. Procedury. – Rozłożyła ręce i spojrzała za jego plecy na ruch na schodach.

– Bo co? Zaaresztuje mnie pani? – zakpił Wójcicki.

Skalska nie zdążyła odpowiedzieć, gdy w drzwiach stanął jej szef.

Komisarz Bernard Gross czuł, że wilgotna koszula przylepiła mu się do pleców. Niósł karton z rzeczami Małgorzaty Wójcickiej.

Trząsł się jeszcze, nie tyle z zimna, ile z ekscytacji.

Zanim wszedł do gabinetu i będąc poza zasięgiem wzroku Igora Wójcickiego, mrugnął do Skalskiej, a potem lekko skinął głową.

Widział, jak rozluźniają się jej mięśnie mimiczne, jak spokój wygładzał rysy świadczące o długotrwałym napięciu.

– Przepraszam za spóźnienie. Straszne korki – rzucił i przywitał się z Wójcickim.

Mężczyzna wyglądał na obrażonego. Unikał kontaktu wzrokowego i początkowo nie zamierzał uściśnąć dłoni komisarza. Zrobił to jednak po chwili, z wyraźnym ociąganiem.

– Mam nadzieję, że nie czekał pan zbyt długo. – Gross silił się na uprzejmy ton.

Wójcicki machnął ręką.

– To są rzeczy mojej żony? – spytał.

– Tak.

– To niech pan powie, gdzie podpisać, i już sobie pójdę.

– O, nie tak szybko. Obowiązują nas procedury. Musimy wspólnie sprawdzić zawartość kartonu i porównać ze spisem rzeczy zawartym w protokole powypadkowym – odparł komisarz, układając pudło na stole z boku, tak, by nie przysłaniało mu mężczyzny.

Dopiero wtedy usiadł obok Skalskiej.

– Napije się pan czegoś? – spytał.

– Nie, dziękuję – odparł Wójcicki. – Mogę zajrzeć? – wskazał na karton.

– Bardzo proszę. Protokół mam w kieszeni. – Komisarz sięgnął do marynarki i wyciągnął kartkę, żeby podać ją Skalskiej. Była zapisana ręcznym pismem Grossa.

Policjantka pochyliła się nad informacją. W ten sposób przekazała jej najważniejsze odkrycie z domu Wójcickiego.

Kiedy przeczytała, odwróciła się do niego.

Gross ponownie prawie niezauważalnie skinął jej głową.

Wójcicki przysunął karton do siebie i otworzył go. Wstał i zaczął w nim grzebać. Po chwili wyjął etui z książką serwisową toyoty, cukierki w blaszanym pudełku, kilka płyt, a następnie czarną torebkę skórzaną żony. Wszystko to ustawił na blacie stołu.

– Czegoś tu brakuje – zmartwił się, po tym jak zajrzał do pustego już pudła.

– Czego? – zainteresował się Gross.

– Mojego laptopa.

– Pański komputer był w samochodzie?

– Tak. Potrzebuję go.

– Jest pan pewien, że laptop był w samochodzie pana żony?

– Co to za głupie pytanie? – warknął Igor Wójcicki. – Oczywiście, że jestem pewien.

– Będziemy musieli to wyjaśnić z jednostką w Toruniu.

– Tyle czekania i wszystko na nic, bo nie macie mojego komputera?

– A jak to się stało, że pański komputer tam się znalazł? – odpowiedział pytaniem Gross.

Wójcicki drgnął, jakby został spoliczkowany.

– Słucham?

Komisarz powtórzył pytanie.

– Żona oddała swój do naprawy i potrzebowała mojego – wyjaśnił Wójcicki.

– Brzmi to rozsądnie, ale... – Gross się skrzywił i postanowił pociągnąć go za język. – Po co pana małżonce komputer, skoro jechała do pracy w urzędzie?

– Przepraszam, ale wydaje mi się, że jeśli ktokolwiek powinien się tu z czegokolwiek tłumaczyć, to chyba pan. Czy mam donieść do prasy, że policja przywłaszczyła sobie mój sprzęt? – zaatakował Wójcicki.

– Myślę, że to tylko drobna pomyłka, którą z pewnością da się jutro wyjaśnić – stwierdził spokojnie Gross, a następnie poprosił: – Niech pan usiądzie.

– Dość się tu nasiedziałem. Pójdę już. – Sięgnął po karton, żeby spakować do niego rzeczy, ale policjant położył rękę na pudle.

– Najpierw protokół – przypomniał i wskazał na krzesło. – Proszę usiąść.

Naburmuszony mężczyzna niechętnie znowu zajął miejsce za stołem.

Gross podszedł do swojego biurka. Z szuflady wyjął kilka kartek, a następnie postukał ich rantem w blat, by równo się ułożyły.

Wrócił i poczekał, aż Skalska na niego spojrzy. Uchylił wydruki na tyle, by zobaczyła, co się na nich znajduje, a potem położył je na blacie czystą stroną do góry.

Przez chwilę czuł na sobie wzrok koleżanki, ale milczał, czekając na ruch Wójcickiego.

Mężczyzna zmierzył wzrokiem Grossa, a potem Skalską.

– No więc? Na co czekamy, do cholery? – zezłościł się.

Gross wziął kartkę z wierzchu, a następnie zrobił miejsce na stole, przesuwając na bok rzeczy z samochodu Wójcickiej.

– Co pan wyprawia? – Wójcicki znowu podniósł głos, a wtedy komisarz ułożył przed nim kserokopię pierwszej fotografii z ekshumacji Żydówek.

Wdowiec wbił wzrok w czarno-biały obraz, a potem jego grdyka przesunęła się w górę i z powrotem na miejsce.

Zamarł.

Policjant wykorzystał ten moment i odwrócił pozostałe zdjęcia, a następnie oparł się o rant stołu.

– Myślę, że dobrze zna pan te fotografie – powiedział, nachylając się nad mężczyzną.

Komisarz cieszył się, że Skalska siedziała obok, cicha i skupiona jednocześnie. W ten sposób zyskali psychologiczną przewagę.

– Te zdjęcia wykonał pana ojciec, prawda?

Wójcicki skinął nieznacznie głową.

– Skąd je macie? – spytał cicho.

– Zna je pan? – powtórzył Gross.

Mężczyzna siedzący naprzeciwko policjantów potarł czoło.

– Nie wiem, o co tu chodzi. Po co mi pan to pokazuje?

– Chciałem z panem porozmawiać o ekshumacjach zwłok pomordowanych Żydówek.

– Nic nie wiem na ten temat – odburknął i wstał.

– Czy te zdjęcia robił pana ojciec?

– A co to wszystko ma wspólnego ze śmiercią mojej żony?

Gross milczał, Skalska siedziała nieruchomo.

Wójcicki przeniósł wzrok z komisarza na policjantkę.

– Kiedy będę mógł odebrać laptopa? – spytał.

– Skontaktuję się z panem w tej sprawie – obiecał Gross.

– W takim razie mogę już iść, prawda? – sięgnął po pudło i po cichu spakował do niego rzeczy żony. Zanim poderwał karton, podpisał protokół, który podał mu komisarz.

Gross odprowadził mężczyznę na parter.

Dopiero kiedy drzwi komisariatu zamknęły się za Wójcickim, policjant wrócił na górę. Skalska odetchnęła.

– Co teraz?

Gross wzruszył ramionami.

Przeszedł za plecami Skałki i usiadł za biurkiem.

– Ślady małych uszkodzeń paneli w domu Wójcickiego są takie same jak u Sądeckiego – stwierdził.

Skalska pokręciła z niedowierzaniem głową.

– A co z tym jego komputerem? – dopytała.

– Zostawiłem go na komendzie. Tatara już nie było, ale dzwoniłem do niego. Obiecał, że się przyjrzy.

– Myślisz, że na tym laptopie będzie coś więcej niż na komputerze Wójcickiej?

Gross przypomniał jej o włączonym telewizorze w pokoju Sądeckiego i o wyświetlanym na ekranie białym szumie, a także o rozbitym lustrze i uszkodzonej figurce konia.

– Obstawiam, że Wójcicki podłączył swój sprzęt do telewizora i odtworzył na ekranie coś, co wystraszyło skołowanego staruszka.

– Ale po co miałyby to robić?

Gross zwiesił głowę i postukał palcami w blat.

– Też chciałbym to wiedzieć.

Wieczorem Gross nałożył aerografem ostatnią cienką warstwę czarnej farby na karoserię Citroëna. Model stał na obracanej podstawie, którą komisarz poruszał w blasku lampy. Przyglądał się obłóściom dachu i nadkoli.

Chwilę później wyczyścił pistolet malarski i sięgnął po telefon.

Odebrała żona Lecha Sądeckiego, która przekazała mężowi słuchawkę.

– O co chodzi, panie komisarzu? – spytał mężczyzna.

– Dwie sprawy. Czy znał pan Henryka Wójcickiego?

– A kto to?

– Żołnierz. Mógł odwiedzać pana ojca na początku lat siedemdziesiątych. Krótco potem pożegnał się z życiem.

– A, to trzeba było tak od razu. Pamiętam, że był jeden taki. Przynosił jakieś zdjęcia, ale ojciec nigdy nie pozwolił mi ani mojemu rodzeństwu ich oglądać.

– To skąd pan wie, że chodziło o fotografie?

– Bo matka się wygadała. Okrzyczała staruszka, że takie makabryczne obrazki zbiera.

Gross zanotował te informacje na kartce.

- Dziękuję. Bardzo mi pan pomógł. A teraz druga sprawa. Zrost.
- Słucham? Co takiego?
- Chodzi mi o bliznę pana ojca. Tę, którą ma na brzuchu, po prawej stronie.
- A tak, rzeczywiście, paskudne znamię.
- Wie pan, skąd się wzięło?
- Wiem, że to z wojny. I tyle. Ojciec o tym okresie w ogóle nie opowiadał.
- Nigdy nie wyjaśnił, skąd się wzięła ta blizna?
- Nie. Ale dlaczego pan o to pyta?

Gross spojrział w okno, w którym odbijała się jego postać i światło lampy rozlewające się na model i część stołu.

- Po prostu chciałbym to wiedzieć – wyznał.
- Wie pan, pamiętam, jak ojciec raz kiedyś bąknął, że to za karę.
- Jest pan pewien, że właśnie tak się wyraził?
- Tak. Twierdził, że to kara za to, że zawiódł.
- W jakim sensie?
- Nie wiem. Nie zdradził, co miał na myśli. W każdym razie zabrzmiało to tak, jakby miał do siebie żal, że kogoś zawiódł.
- Kogoś? – powtórzył Gross.
- No tak przynajmniej to zrozumiałem. Jakby ktoś na niego liczył, a on go zawiódł.
- Dziękuję. To wiele wyjaśnia – odparł Gross i już zamierzał się rozłączyć.
- Panie komisarzu?
- Tak?
- Jeszcze jedno. Dobrze, że pan dzwoni, bo w sumie i tak miałem się z panem skontaktować. Nie uwierz pan, co mi dziś przyniósł listonosz.
- Co takiego?
- Z głową mojego ojca musiało być ostatnio bardzo źle. Niech pan sobie wyobrazi, że staruszek wysłał mi pocztą swój testament. I to listem poleconym. Nadał na moje imię i nazwisko, ale podał swój adres i znajomy listonosz, wiedząc o jego śmierci, po prostu przyniósł mi ten list do chałupy.
- Przeczytał go pan?
- Tak. I jest tak, jak mój ojczulek zawsze powtarzał. Wszystko zapisał Wojtusiowi. Ale co mu do głowy strzeliło, żeby słać to pocztą?
- Tego już się nie dowiemy – podsumował Gross.
- Ale jakby tego było mało, nabazgrał coś z tyłu.

– Co konkretnie?

– Jakieś głupoty o budowaniu nagrobka nad wodą. A przecież już za wszystko zapłacił. List nadał tego samego dnia, kiedy wybrał się do „Konduktu”, więc raczej był już, no wie pan, niespełna rozumu.

– Co konkretnie napisał? Może mi pan to przeczytać?

– Mogę, tylko chwila. Hanka! Podaj mi testament staruszka – zwrócił się do żony. Papier zaszeleścił w słuchawce. – O, już mam. Ojczulek napisał tak: „Postawcie mi pomnik z kamieni nad jeziorem”.

Gross potarł policzki.

– Z kamieni czy z kamienia? – zapytał.

– No tak napisał. Z kamieni. Dziwne, nie?

– Cieszę się, że dokument się znalazł – dodał policjant. – Jeszcze raz dziękuję za informację. Do widzenia.

– Do widzenia, panie komisarzu.

Gross się rozłączył.

A potem przez jakiś czas myślał o kamieniach, bo kolejny raz usłyszał o nich w trakcie śledztwa.

Kamienie musiały być ważne.

ROK 1945, PÓŻNA WIOSNA

Staszek stał nad jeziorem, na którym słońce układało błyszczącą wstęgę.

Dotarł tu za późno, bo miejscowi już podobno od tygodnia odławiali wypływające ciała kobiet i grzebali je w mogiłach nad brzegiem. Ostatni pochówek zorganizowali wczoraj i Staszek przez jakiś czas modlił się nad bezimiennym grobem na skraju lasu, w zagajniku otoczonym wysokimi krzewami, podczas gdy taśma niechcianych wspomnień odtwarzała się w jego głowie kolejny już raz, przypominając niedawne zdarzenia z mroźnej zimy. Tej krainy lodu, która pochłonęła wiele kobiecych istnień.

– Myślisz, że to on był tu przed chwilą? – usłyszał chłopięcy głos i znieruchomiał.

– Kto? – odezwał się drugi z chłopców.

– No ten Staszek od Sądeckich? Wydawało mi się, że gdzieś się tu kręcił.

– Ten, który podobno chciał uratować młodą Żydówkę?

– Ten sam. I pewnie by mu się udało, gdyby go Kowal i Żurek nie wsypali.

– Skąd wiesz, że to oni?

– Sam Kowal mi mówił.

– Cicho, przecież Kazik tu mieszka opodal. Jeszcze usłyszysz i nam manto spuści – szeptał drugi głos i dodał po chwili. – Ale co ci mówił?

– Że nie chciał umrzeć przez tę Żydówkę. Że i tak by je zagazowali. Dlatego ustalili z Żurkiem, że zgłoszą wachmanowi jej ucieczkę.

Głosy oddalały się i ucichły zupełnie. Staszek nie rozpoznał ich i nie zamierzał nawet iść za rówieśnikami, których słyszał zza krzaków.

Ale nogi same poniosły go do mieszkającego w pobliżu Kowala.

Niewielki dom z drewnianym płotem, którego sztachety i wsporniki zmurszały, wyłonił się zza ściany lasu. Kazik siedział przed ogrodzeniem i pastował buty. Nakładał szmatkę smarowidło, wcierał je w ciemną skórę zniszczonych półbutów, a następnie chwycił za szczotkę z miękkim włosiem i polerował czubek, aż odbite w nim promienie słońca błyszczały niczym w lustrze.

Staszek przyspieszył kroku i spiął mięśnie. Oddychał płytko i aż syczał z napięcia. Dłonie zacisnął w pięści.

– Co tu robisz? – odezwał się zaskoczony Kowal, odłożywszy but na drewnianą ławkę.

Zdażył się z niej podnieść w chwili, gdy Sądecki był na tyle blisko, by wyprowadzić pierwszy cios na szczękę.

Plasnęło.

Kazikiem rzuciło do tyłu. Opadł na ławkę, na której zabrzączały naostrzone wcześniej noże i wypolerowany hitlerowski bagnet. Chłopak chwycił się za twarz i jęknął głośno, ale oprzytomniał natychmiast i wybałuszył oczy, gdy pięść Staszka zacisnęła się na rękojęści niemieckiej broni.

Sądecki, zaślepiony furia, pchnął bagnet przed siebie, ale Kazik w ostatniej chwili zdażył strącić jego dłoń, chwycił za nią i zerwał się z ławki, pociągawszy za sobą Staszka. Wykręcił mu rękę i bagnet wbił się w glebę.

– Spokój! – ryknął Kazik, poprawiając rozwichrzzone włosy.

Ale Staszek go nie słuchał. Ani go nie widział.

Patrzył na Salcię idącą wprost do Niemców zgromadzonych wokół przerębla, do smugi krwi na lodzie, błyszczącej w słońcu. A chwilę potem młoda Żydówka, ta sama dziewczyna, której obiecał wolność, padła rażona ciosem.

Sądecki ponownie rzucił się na Kowala i poczuł nagłe uklucie.

Stanął jak wryty.

Przyłożył dłoń do prawego boku.

Koszula w tym miejscu zrobiła się wilgotna i już po chwili poczuł na palcach lepłą krew. Spojrzał na swoją ubroczoną dłoń, a potem przeniósł wzrok na Kowala, którego pięść zaciskała się na uchwycie bagnetu.

Nie wiedział, kiedy Kowal schylił się po broń.

Staszekowi zakręciło się w głowie.

Zatoczył się i powietrze uszło z jego ust z cichym jękiem.

Być może tak samo jęknęła Salcia, zanim jej ciało zniknęło pod lodem i nad jezioro w Bielczynach powróciła żałobna cisza. Ta sama, która świdrowała mu w uszach, gdy marsz kobiet ruszył na północ, a w domach wciąż ukrywali się przestraszeni rodacy.

I tylko on przerwał tę ciszę, gdy odkrył jej ciało pod lodem. Najpierw nie umiał dobrać z siebie głosu, ale potem nagły ryk wyrwał mu się z gardła, gdy w końcu przestał patrzeć w jej oczy pełne bólu, w otwarte usta, gotowe do niemego krzyku.

Dobiegł go łopot skrzydeł kruków, które zerwały się do lotu. Ptaki zatoczyły koło nad jeziorem, Staszek śledził przez chwilę ich lot.

A potem porwał go cichy płacz.

Z bezsilności.

Zupełnie tak jak teraz, gdy jego krew wypływała z rany na brzuchu, powiększała bordową plamę na koszuli i moczyła palce.

Padł na kolana.

I świat zupełnie stracił kontury.

DWA DNI PÓŹNIEJ

Gross wertował dokumentację kradzieży dokonanej w domu bogatych prawników z Browiny, gdy do jego gabinetu weszła Skalska.

Pod pachą trzymała laptop.

Poprosił, by pozwoliła mu dokończyć spisywanie uwag, po czym, gdy to zrobił, odsunął od siebie akta i spojrzał na koleżankę.

– Co jest? – zainteresował się.

Skalka położyła laptopa przed sobą.

– Pamiętasz, jak mówiłam ci, że Wójcicka odebrała leki Sądeckiego?

– Tak – zaciekawiony złączył dłonie.

– Okazało się, że to Sądecki poprosił Janusza Kowala o zrealizowanie recepty. Ale sąsiad o tym zapomniał i kiedy staruszek zapytał go o leki, ten przekazał receptę swojemu synowi, a on z kolei, z braku czasu, dał receptę kuzynce, z którą jechał do Chełmna.

– I to cała tajemnica? – zmartwił się Gross.

– Niestety. Młody Kowal właśnie mi to potwierdził.

– A w jaki sposób leki trafiły do Sądeckiego?

– W podobny. Ona przekazała je ojcu Kowala w jego piekarni, a ten dostarczył je sąsiadowi razem z bochenkiem chleba. – Skalska sięgnęła po paczkę gum i poczęstowała Grossa, ale ten odmówił, kręcąc głową.

– W tej sprawie nic się nie układa – uznał szef kryminalnych.

– Ale na szczęście mamy to – wskazała na laptopa.

– Sprzęt Wójcickiego?

– Tak. Tatar właśnie skończył pracę. – Skalska zaczęła żuć gumę. Jej żuchwa poruszała się wolno. – I jest dokładnie tak, jak myślałeś. Są tu wszystkie materiały, które jego żona także miała na swoim dysku.

– Czyli nic, czego nie widzieliśmy wcześniej – zasepił się.

– Niby tak, ale jednak prawdopodobne jest to, o czym myślałeś od dawna. Że Wójcicki podłączył laptopa do telewizora i odtworzył jedno z nagrań Sądeckiemu.

– Marna poszlaka.

– Lepsza taka niż żadna – odparła.

– To powiedz to prokurator Bilskiej.

Oboje się zasępili i przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. Wpatrywali się jedynie w komputer spoczywający na blacie.

– Tatar zgrał materiały na płytę? – zapytał.

– Na pendrive’a. – Sięgnęła do kieszeni spodni i wydobyla niewielkie urządzenie. Położyła je na komputerze.

– Przejrzałaś?

– Nie. Sądziłam, że będziesz chciał to zrobić pierwszy. Ale jeśli wolisz, żebym się tym zajęła...

Gross skinął ręką.

– Biorę to na siebie – powiedział, gdy Skalska podała mu pendrive’a, i podpiął go do stacjonarnego. – Mówił coś jeszcze o tych zdjęciach z ekshumacji masowych grobów Żydówek?

– Nie. Potwierdził tylko wcześniejsze ustalenia. Zdjęcia robił Henryk Wójcicki, ojciec Igora.

– Nie ma więcej podobnych fotografii?

– Nie. To wszystko, co udało mu się znaleźć w internecie. Judyta podpytała jeszcze w IPN-ie, ale tam też rozłożyli ręce.

– Rozumiem. Dziękuję – odparł Gross.

– Co teraz? – spytała policjantka.

Komisarz przymknął oczy i oparł głowę na zagłówku fotela.

– Cały czas myślę o dniu, w którym odnaleźliśmy ciało Sądeckiego – stwierdził.

– O czymś konkretnym?

– O desce przywiązanej do ciała.

– I co? Wpadłeś na coś?

– Obawiam się, że nie. Ale przynajmniej wiem dlaczego.

– No to mów – zachęciła Skalska. Musiała się wiercić na krześle, bo dobiegło go trzeszczenie drewna.

– Dlatego, że nie umiem połączyć tej deski z żadnym ze zdarzeń. Nie rozumiem, w jakim celu została użyta.

– Może rację ma Raszeja, że chodziło o to, by ciało pozostało na powierzchni. Gdybyśmy nie odnaleźli zwłok, a mróz szybko by skuł jezioro, mielibyśmy problem. Sądecki wypłynąłby dopiero na wiosnę.

Gross drgnął i uniósł powieki.

Przypomniał sobie wszystko to, co czytał w zeznaniach tutejszych świadków Holocaustu i o czym przypomniła mu Leokadia Żurek. O Żydówkach, które w trakcie marszu śmierci utopiono w jeziorze w Bielczynach, i o tym, że ich ciała wypłynęły wraz z nadejściem ciepłych dni.

Poczuł na sobie wzrok Skalskiej i spojrzał na nią.

– Muszę raz jeszcze spotkać się z Wójcickim – stwierdził.

Skalska przyglądała mu się badawczo.

– Mam do niego zadzwonić?

– Nie, dziękuję. Sam to zrobię.

Gross chwycił za telefon i wybrał numer do wdowca. Ten odebrał i udało im się uzgodnić termin spotkania.

– A zatem jesteśmy umówieni – podsumował Gross. – Wpadnę do pana jutro. Do zobaczenia.

Komisarz odłożył słuchawkę i skupił wzrok na ekranie monitora. Przeglądał zawartość pendrive'a, gdy Skalska się podniosła i zasunęła krzesło.

– Jakby co, jestem na górze – rzuciła, a Gross jedynie skinął głową.

Kiedy został sam, uruchomił plik z nagraniem spotkania Żurka z uczniami. Obejrzał film wcześniej, z komputera żony Wójcickiego, ale pamiętał, że tamto nagranie rozpoczynało się od powitania Józefa Żurka. Tym razem jednak kamera została włączona wcześniej i była skierowana na puste krzesło w pobliżu wejścia. A zatem była to trzecia wersja filmu. Oryginalny zapis bez montażu.

Gwar wypełniał szkolną salę, młodzież się wierciła. Dopiero w drugiej minucie drzwi się uchylły i Gross zobaczył uśmiechniętą Leokadię Żurek i jej spiętego ojca, nieśmiało podnoszącego wzrok na uczniów. Kobieta poprosiła go, by zatrzymał się przed tablicą, przy ustawionym tam krześle. Zrobił to niechętnie. Drżącą ręką sięgnął po okulary, żeby je przetrzeć chusteczką. Miał na sobie brązowe spodnie w kant, opadające na lśniące skórzane półbuty. Zielony sweter przykrywał beżową koszulę, odsłaniając kołnierzyk i częściowo mankiety.

Leokadia Żurek wyszła z kadru i zapewne usiadła przy biurku po lewej, gdzie zaczęła głośno stukać czymś w blat.

– Siadajcie już – usłyszał jej głos komisarz. – I cisza ma być. Halo, słyszycie? Wy, tam z tyłu! Jędrak i Marcin. Uwagę wam wpisać? No to już, spokój.

Kiedy gwar ucichł i Józef Żurek na powrót założył okulary, jego córka podeszła bliżej i przedstawiła starszego mężczyznę klasie. Gdy rozległy się brawa, zakłopotany skinął nieśmiało głową i uklonił się nieznacznie, po czym zajął miejsce na krześle i odsłaniając mankiety koszuli, zerknął na zegarek. A potem wbił wzrok w drzwi.

– Porozmawiamy dziś o początku wybuchu wojny. Ale nie będziemy patrzeć na Polskę, tylko na Chełmżę, a więc oczami świadka tamtych zdarzeń dowiecie się, jak wyglądało przejście przez hitlerowców władzy w mieście. Tato? Jesteś gotowy?

Mężczyzna spojrzął na córkę i skinął głową w chwili, gdy drzwi się otworzyły.

Stanął w nich Kazimierz Kowal.

Żurek uśmiechnął się na widok kolegi i odczuł ulgę.

– O, jest też z nami pan Kazimierz, drugi świadek tamtych zdarzeń. Przyszedł do was, bo chciał zobaczyć, jak będą wyglądały takie spotkania. I tu już wam zdradzę, że pan Kazimierz przyjął nasze zaproszenie i będzie gościem kolejnego spotkania z cyklu *Bliżej historii*. Zapraszamy tutaj, panie Kaziu, ta pierwsza ławka jest dla pana.

Mężczyzna przeszedł pod tablicą, wymienił uścisk dłoni z Żurkiem i, podobnie jak wcześniej Leokadia Żurek, tak i on zszedł z kadru.

Gross potarł brodę.

Obejrzał początek rozmowy córki z ojcem, gdy drzwi kolejny raz się uchyliły i tym razem do sali wszedł drobny, łysy mężczyzna.

Gross rozpoznał Igora Wójcickiego.

Skinął głową i nie przerywając rozmowy, skierował się na tył sali, wymykając się oku kamery.

Gross przeskoczył na koniec nagrania.

Film na komputerze Wójcickiej kończył się krótko po brawach, które otrzymał starszy mężczyzna. Ale to nagranie okazało się dłuższe. Kiedy młodzież już wyszła, a córka stanęła wraz z ojcem i Kowalem w oku kamery, urządzenie wciąż rejestrowało dźwięk i obraz. Dołączył do nich Igor Wójcicki.

– I co, tato? Dałeś radę. – Córka pogładziła ojca po dłoni, a ten zawstydził się nieco. – A panom jak się podobało? – zwróciła się do Kowala i Wójcickiego. Ten ostatni pożegnał się szybko i wyszedł pod pretekstem powrotu do pracy. Kowal odchrząknął. – Mam nadzieję, że się pan nie przestraszył i nie zrezygnuje z zaproszenia – zaśmiała się nauczycielka.

– Przyjdę, przyjdę – zapewnił postawny mężczyzna, który stał plecami do kamery i trochę zasłaniał swojego kolegę. – Dobrze pani przygotowała te dzieci, zadawały mądre pytania.

– To naprawdę zdolna młodzież. Sami je układali – zapewniła.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze – pochwalił Kowal. – A przy okazji... kto jeszcze tu przyjdzie?

– Pyta pan o kolejnych gości naszych spotkań *Bliżej historii*?

– Tak.

Żurek wymieniła kilka nazwisk.

– A Stanisław Sądecki też będzie? – zainteresował się Kowal.

– Rozmawiałam z nim, ale na razie nie chce przyjąć zaproszenia.

– To niech go pani nie zaprasza. On się nie nadaje.

– Nie mów tak, Kaziu – odezwał się Józef Żurek.

– Zresztą pod koniec wojny jego zachowanie było ze wszech miar niewłaściwe – kontynuował Kowal. – Mam na to świadków. Więc byłoby lepiej, żeby nie udawał przed młodzieżą bohatera.

– No co ty, Kaziu? – obruszył się Żurek. – Przecież...

– Zamknij się, Józek. Pamięć ci płata figle na stare lata? – zestrofował go starszy mężczyzna, a wtedy Żurek zwiesił głowę.

Chwilę później nagranie zostało przerwane.

Gross oparł się wygodnie i mimo czerni wypełniającej ekran, nie przestał się w niego wpatrywać.

„Zamknij się, Józek”, brzmiało w jego głowie.

I miał wrażenie, że wszystko to, co do tej pory wiedział o losach Sądeckiego na wojnie, ujrzał właśnie w zupełnie innym świetle.

NASTĘPNEGO DNIA

Po krótkich przejaśnieniach Chełmża ponownie pogrążyła się w szarości. Ze zwartych chmur zaczął sypać gęsty śnieg. Wyścielał drogi i chodniki. Tu i ówdzie ktoś zgrzytał łopata o kostkę brukową, a zwały brudnego śniegu pęczniały wzdłuż skraju jezdni.

Gross szedł ulicą Hallera w kierunku Polnej. Minał szkołę, skąd dobiegł go odgłos dzwonka. Był już spóźniony, ale wiedział, że do spotkania z Wójcickim musiał się dobrze przygotować. Z aktami sprawy Sądeckiego i zeznaniami świadków zagłady Żydówek spędził cały poprzedni wieczór i dzisiejszy poranek. Miał wrażenie, że śledztwo, do tej pory złożone z różnych elementów, wreszcie stanowiło spójną całość. Każde koło zębate, które miał w dłoni, trafiło we właściwe miejsce i mechanizm zaczął pracować gładko i bez zarzutu.

Ostatnio, ilekroć tak się zdarzało, Gross musiał to odchorować. Tępy ból głowy, suchość w gardle, ciepło wypełzające na twarz i palące policzki stawały się nieodłącznymi towarzyszami każdej sprawy zmierzającej do finału.

Niósł ze sobą laptop Wójcickiego oraz dokumenty potwierdzenia odbioru.

Dotarł do ulicy Polnej, skręcił w prawo i dotarł do ostatniego w rzędzie domu jednorodzinnego po drugiej stronie jezdni. Zamarł jednak, kiedy zobaczył, co się przy nim dzieje.

W otwartej bramie ogrodowej dostrzegł niewielki samochód ciężarowy błyskający pomarańczowymi światłami z koguta na dachu szoferki. Z tyłu na platformie stał kontener na odpady budowlane. Dopiero po chwili do Grossa dotarło głośnie pikanie i wtedy zdał sobie sprawę, że samochód wjeżdża tyłem na teren posesji. Kiedy się zatrzymał, kierowca wysiadł i zniknął za kontenerem.

Policjant nie musiał długo czekać na rozwój zdarzeń.

Dwa potężne ramiona, wspierane pracą teleskopów, uniosły pusty pojemnik i zestawiły go na ubity śnieg.

Dopiero wtedy Gross dostrzegł Igora Wójcickiego. Ten zamienił słowo z kierowcą, który od razu po tym, jak dźwig wrócił do pozycji wyjściowej, zajął miejsce w kabinie i odjechał, mijając Grossa. Wodna mgiełka zerwana z asfaltu oblepiła mu twarz.

Komisarz podszedł do otwartej bramy i zastał gospodarza wpatrującego się w dno kontenera.

– Remont? – zapytał Gross, czym zwrócił na siebie uwagę.

- To było marzenie żony – westchnął Wójcicki, przyciągając poły kurtki do siebie.
- Co zamierzała zrobić?
- Podłogi i malowanie. – Mężczyzna podciągnął ramiona i z powodu zimna starał się ukryć w nich głowę.
- Podłogi? Państwa panele wyglądają na nowe.
- To się tylko tak wydaje. Żona od dawna chciała je zmienić. Wolą jaśniejszy kolor drewna.
- I planowała zrobić ten remont zimą? – nie dowierzał Gross. – To chyba nie najlepszy czas na takie prace? – Podeszedł do Wójcickiego, żeby się przywitać.
- Ma pan mój komputer? – Pięćdziesięcioletni mężczyzna zbył jego pytanie, ale uściśnął dłoń.
- W plecaku. Odnalazł się. – Gross wskazał kciukiem za plecy.
- Mężczyzna popatrzył na komisarza, po czym wycofał się do drzwi i otworzył je szeroko.
- W takim razie zapraszam.

Kwadrans później Gross popijał herbatę, siedząc w tym samym fotelu co ostatnio. Laptop, który przyniósł, spoczywał na niskim stoliku kawowym.

- To wszystko? – Wójcicki oddał Grossowi podpisany protokół i kliknął długopisem. Odłożył go na blat.
- Z mojej strony w zasadzie tak.
- W zasadzie? To znaczy?
- Chciałbym wrócić do zdjęć, które pokazałem panu w komisariacie.
- Już to przerabialiśmy. – Wójcicki, mimo iż trzymał swój kubek oburącz, odstawił go na stół, a potem położył dłonie na podłokietnikach.
- Nie odpowiedział pan wówczas na żadne z moich pytań.
- Wójcicki spojrzął na wyłączony telewizor, a Gross kątem oka dostrzegł odbicie mężczyzny w czarnej tafli i ich wzrok się przeciął.
- Bo nadal nie widzę związku ze śmiercią mojej żony – zaznaczył gospodarz.
- Zapewne go nie ma. Po prostu chciałem zaspokoić ciekawość. Od jakiegoś czasu dużo czytam o przebiegu drugiej wojny światowej na tutejszych ziemiach.
- Te zdjęcia pochodzą z lat siedemdziesiątych – sprostował Wójcicki.

Gross upił łyk herbaty.

- Przedstawiają ekshumację Żydów zakatowanych w podobozie w Grodnie, prawdopodobnie od jesieni czterdziestego czwartego do stycznia czterdziestego piątego – uzupełnił policjant.

– Tak. To prawda. I co z tego?

– Zrobił je pana ojciec.

– Nadal nie widzę związku.

– Więc go nie szukajmy. Porozmawiajmy o pana ojcu.

– Ale dlaczego?

– Bo pana ojciec jest autorem tych zdjęć. I wkrótce po ich wykonaniu odebrał sobie życie.

– Powtarzam: i co z tego?

– Dlaczego to zrobił?

Prawa noga Wójcickiego zaczęła podskakiwać.

– Bo to go przerosło? – warknął gospodarz. – Bo nigdy nie widział w jednym miejscu tyłu ciała?

Policjant odczekał chwilę, dając czas ciszy, by wypełniła pokój.

– Ile miał pan wtedy lat? – zapytał.

– Trzy. – Mężczyzna westchnął i przetarł dłońmi po udach. – Pamiętam go jak przez mgłę. A może ta moja pamięć mnie zwodzi, bo naoglądałem się zdjęć ojca i to one, a nie własne wspomnienia siedzą w mojej głowie?

– Brakowało go panu?

Gospodarz prychnął ze złością.

– Czy brakowało? Co to w ogóle za pytanie? – obruszył się. – To chyba oczywiste?

– A jak pan trafił na te fotografie?

– Przy okazji porządkowania mieszkania po zmarłej matce.

– Kiedy to było?

– Dwa albo i trzy lata temu.

– Zobaczył pan te zdjęcia i od razu wiedział, że są autorstwa pana ojca?

– Nie. Ale sprawdziłem je, wrzucając do sieci. W ten sposób się dowiedziałem, kto je zrobił i jaka historia za nimi stoi.

Komisarz westchnął i skinął głową ze zrozumieniem. Nie wypominał Wójcickiemu, że w komisariacie kłamał. Tym bardziej że oczy wdowca wypełniły się łzami. Gross uznał, że to najlepszy moment na zadanie kolejnego pytania.

– Zna pan Stanisława Sądeckiego? – zapytał gospodarza, który znieruchomiał. Chwilę trwało, zanim pokręcił przecząco głową, ale zrobił to zbyt teatralnie. – Jest pan pewien? – dążył Gross.

– Oczywiście. Nie mam pojęcia, o kim pan mówi.

Kolejne kłamstwo, pomyślał komisarz.

– W takim razie jak wyjaśni pan to, że oryginały zdjęć miał u siebie w domu Stanisław Sądecki?

Mężczyzna wzruszył ramionami, a Gross westchnął.

– Coś panu powiem. Teraz widzę to jasno i wyraźnie. Pana ojciec znał Sądeckiego. Potwierdził mi to Lech Sądecki. Więc niewykluczone, że to pana ojciec, poruszony rozmiarem dramatu, w którym, chcąc nie chcąc, uczestniczył, poprosił starszego kolegę, by ten spróbował wstrzymać ekshumacje. Przekazał mu w tym celu fotografie.

Wójcicki prychnął i się roześmiał.

– Pan wymyśla niestworzone rzeczy, panie komisarzu.

– Tak pan uważa? A ja sędzę, że pan celowo próbuje zataić swoją znajomość ze Stanisławem Sądeckim. I powiem więcej. – Policjant zawiesił na chwilę głos. – Prawdopodobnie to pan widział go jako ostatni.

– Słucham? – ponownie obruszył się mężczyzna.

Gross wyciągnął kserokopie zdjęć z ekshumacji i rozłożył je na stole tak, jakby rozdawał karty.

Wójcicki wbił w nie wzrok. Patrząc na pełne grozy fotografie stosów ludzkich kości i setek kobiecych czaszek, ułożonych jedna obok drugiej, tworzących makabryczny trotuar.

Poruszał ustami, jakby chciał coś powiedzieć, a potem przyłożył do nich zaciśniętą w pięść dłoń.

Policjant wstał i podszedł do fotela Wójcickiego, by z wysokości popatrzeć na zdjęcia.

– We wtorek nad ranem wybrał się pan z żoną samochodem do Bielczyn. Pojechaliście przez dolinę i skręciliście na Buczek. Kazał pan zaparkować żonie gdzieś dalej od domu Sądeckiego, a potem poszedł pan do niego.

– Nieprawda – bronił się mężczyzna.

– Poszedł pan do starego, schorowanego człowieka, nieodróżniającego rzeczywistości od tragicznej przeszłości, która stała się jego udziałem. – Gross podniósł głos. – Przypuszczam, że bywał pan u niego częściej, że przyglądał mu się pan i wykorzystał jego słabość.

– O czym pan mówi? Co pan insynuuje? – Wójcicki starał się brzmieć pewnie, ale głos go zawodził. Mówił ciszej i bez śladu niedawnej hardości, która raptem z niego wyparowała.

– Być może doskonale pan wiedział, jaką traumę w okresie wojny przeżył Sądecki. Że to on, a nie Kowal i Żurek, próbował uratować młodą Żydówkę. – Gross zrozumiał to dopiero wówczas, gdy dowiedział się, co Sądecki dopisał odręcznie na testamencie. – To oni go zdradzili. I to przez nich zginęła ta dziewczyna. Bo ona nie dożyła do końca wojny. Gdyby tak się stało, nie byłoby nienawiści między Sądeckim a Kowalem. To zupełnie oczywiste, że nienawidzili się z powodu jej śmierci. I wydaje mi się, że Sądecki to wszystko panu opowiedział. A także to, ile wysiłku kosztowała go próba powstrzymania ekshumacji

zbiorowych mogił skatowanych kobiet. Sądecki znalazł w panu przyjaciela, któremu mógł zawierzyć swoją tajemnicę. Wybrał sobie pana, bo pan cierpiał z powodu straty podobnie jak on.

Wójcicki milczał, ale spuścił głowę.

– Tak było, prawda? – chciał ustalić Gross, kiedy zobaczył, że mężczyźnie trzęsie się zuchwa. Paznokciami szorował po wnętrzu dłoni. – I doskonale pan wiedział, że Stanisław Sądecki miał demencję. Prawdopodobnie wywołaną lekami. Wyraźnie widział czasy drugiej wojny światowej, ale zamazywała mu się współczesność. Błądził między tymi światami i pan to brutalnie wykorzystał. Bo pan pragnął zemsty za śmierć ojca. Za jego brak w domu, za wychowanie bez męskiego wzorca, za lata tęsknoty.

– Nie... – bąknął Wójcicki.

– Przyjechał pan do Sądeckiego w poniedziałek wieczorem i z jakiegoś urzędnika, być może z pana laptopa, odtworzył mu pan na ekranie telewizora film. Coś, co sprawiło, że Stanisław Sądecki poczuł się osaczony jak wtedy, kiedy próbował uratować Żydówkę. Zapewne dlatego, ostatkiem sił, odwrócił fotel od telewizora, a potem, kiedy w lustrze nadal widział te same obrazy, stłukł je, by odzyskać spokój.

– Naprawdę, nie chciałem, żeby to się tak skończyło. – Wójcicki otarł wilgotne policzki i podniósł zaczerwienione oczy.

– Popęłnił pan jeden błąd. Nie zauważył pan drobinek szkła, które wbiły się w pana podeszwy. Posprzątał pan pokój, ale zrobił pan to niedokładnie. To szkło znaczyło podłogę. Pana but stał się pieczęcią, którą zauważyliśmy w domu Stanisława Sądeckiego, a także na gumowym dywaniku w toyocie yaris, po stronie pasażera. I tu, w korytarzu – Gross wskazał palcem na drzwi – też je znajdziemy. Jestem tego pewien – naciskał komisarz.

Mężczyzna zatrzęsł się od płaczu.

– A potem zorientował się pan, że chory Sądecki, który nie odróżnia teraźniejszości od przeszłości, znowu chce uratować tę Żydówkę, znowu ma naście lat i chce ją ochronić przed hitlerowcami, którzy wrzucą ją żywą do przerębla. I pan mu pomógł. Obiecał mu pan tę pomoc. Przypasał mu pan do brzucha deskę, żeby poczuł się jak na tafli lodu, żeby dryfował na powierzchni wody. I przeciągnął go pan na kocu nad jezioro. Być może Sądecki już wtedy dogorywał. Był na granicy hipotermii, nie odczuwał już zimna, więc ostatkiem sił położył się na wodzie, a pan zostawił go na pewną śmierć. – Gross nie wiedział, czy tak rzeczywiście było, ale uznał, że to jedyna prawdopodobna wersja.

Cichy szloch trwał jeszcze jakiś czas i był najlepszym potwierdzeniem, że przypuszczenia komisarza, nawet jeśli różniły się w szczegółach, były trafne.

– Dlaczego? – spytał Gross i wrócił na swoje miejsce. Usiadł i ponownie zadał to samo pytanie. – Zrobił to pan z powodu samobójstwa ojca? Czy pana ojciec targnął się na życie z powodu działalności Sądeckiego? – Gross powątpiewał w to.

Wójcicki otarł łzy.

– Zawsze chciałem poznać prawdę – powiedział mężczyzna. – Chciałem wiedzieć, dlaczego ojciec postanowił rozstać się z życiem, bo przez całe dzieciństwo myślałem, że to z mojej winy. Zupełnie irracjonalnie sądziłem, że on zrobił to przede mną. – Pociągnął nosem. – Ale dlaczego miałby się powiesić z powodu dziecka, które go kochało? To było niedorzeczne. Potem zrzuciałem winę na matkę, ale wiedziałem, że ona go bardzo kochała. Tak czule i ciepło o nim opowiadała. Musiałem więc znaleźć inny powód. – Westchnął.

Gross w skupieniu czekał na dalszą część opowieści.

– Kiedy zmarła matka – kontynuował wdowiec – trafiłem na zdjęcia z ekshumacji. Ojciec miał ich jeszcze więcej. Z różnych miejsc. Dopiero z czasem dowiedziałem się, że wszystkie zrobił w okolicy Chełmży i Torunia. A potem trafiłem na Leokadię Żurek i ona opowiedziała mi o Sądeckim, o tym, jak walczył z władzą ludową o zaprzestanie tych ekshumacji. Od tamtej chwili byłem pewien, że to właśnie te działania Sądeckiego wpędziły do grobu mojego ojca.

Policjant nie widział związku, ale postanowił czekać.

– Matka mówiła – kontynuował Wójcicki – że mój tata był słaby psychicznie. Miał duszę artysty. Był fotografem i nigdy nie chciał iść do wojska, chociaż nie zrobił nic, by się wykręcić od tego obowiązku. I pech chciał, że musiał dokumentować ekshumacje Żydówek. Zdaniem matki strasznie to przeżył. A potem poznał Sądeckiego i dał się namówić na sprzedaż tych cholernych zdjęć. Potrzebował pieniędzy na remont mojego pokoju. Nie spodziewał się jednak, że Sądecki wywoła taką aferę. – Wójcicki zrobił pauzę. – Mój ojciec po prostu tego nie udźwignął.

– Ma pan na to wszystko dowody? – dopytał Gross.

Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. Ale musiałem znaleźć winnego, żeby pogodzić się z tą stratą. Całe moje dzieciństwo tęskniłem za ojcem. I chociaż mam ponad pięćdziesiąt lat, wciąż mi go brakuje. – Otarł nos rękawem kurtki, zostawiając na nim wilgotne ślady.

Gross zebrał zdjęcia i odłożył je na bok. Musiał sprawić, żeby Igor Wójcicki przestał myśleć o ojcu i skupił się na teraźniejszości.

– Zostawił pan Sądeckiego na jeziorze i przywiązał ciężarek, żeby upozorować samobójstwo. A następnie wyrzucił pan jego buty, które zabrał pan z domu, żeby uwiarygodnić, że to on sam dostał się nad jezioro, prawda?

Mężczyzna pokiwał głową.

– Ale z jakiegoś powodu pomylił pan strony. Lewy but wyrzucił pan na prawo, a drugi na lewo – przypomniał mu Gross. – I chyba już wiem dlaczego. Bo kiedy wrócił pan do domu Sądeckiego, usłyszał pan silnik samochodu. Przestraszył się pan, bo za chwilę rozległy się w domu kroki i Janusz Kował wszedł do wychłodzonego mieszkania.

Wójcicki potarł nos.

– Spanikowałem. Po prostu zestresowany usiadłem w fotelu i czekałem na to, co się stanie – wrócił do wspomnień. – Drżałem ze strachu, że do mnie podejdzie. Ale ten facet się wystraszył. Zaczął krzyczeć, że Staszek nie żyje, i szybko wybiegł z domu – przypomniał sobie Wójcicki.

– To właśnie wtedy wrócił pan nad jezioro z butami, wyrzucił je i pobiegł do samochodu żony, tak?

Mężczyzna potwierdził.

– Kazałem jej jechać. Chciałem sam wrócić do domu piechotą, ale Gośka uparła się, że mnie zabierze. Tylko że kiedy usiadłem w samochodzie, wpadłem w panikę. Popędzałem ją, błagałem, by przyspieszyła, ale była potworna mgła. I nie pamiętam już, co było potem. Zaczęliśmy się szarpać, trzymałem za kierownicę, gdy ktoś wyrósł nam przed maską. – Mężczyzna zaszlochał. Był na skraju załamania. – I wtedy nagle poczułem wstrząs i pociemniało mi przed oczami. Kiedy się ocknąłem, ona... to znaczy Gosia, była cała zakrwawiona. Nieprzytomna. Nie reagowała na moje krzyki.

– I kolejny raz pan uciekł, prawda?

Mężczyzna pokiwał głową.

– Byłem w szoku.

– Skaleczył się pan, bo pana krew znaleźliśmy w samochodzie.

– Głupie zadrażnienie – machnął ręką. – Żałowałem, że wyszedłem z tego cało. To ja powinienem tam zginąć. Powinienem być trupem. – Zapłakał i jego szloch wypełnił pokój.

Kiedy się uspokoił i przełknął ślinę, z jego gardła wydobyła się cicha prośba.

– Pozwólcie mi naprawić swój błąd.

– Nie da się przywrócić życia Stanisławowi Sądeckiemu – stwierdził Gross.

– Wiem. Dlatego wszystko wam powiem. Wszystko – obiecał.

I zaczął mówić.

DWA MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Niebo pokryte strzępkami chmur odbijało się w nieruchomej tafli jeziora w Bielczynach.

Śnieg zniknął już z pól i zimne wiatry ustąpiły.

Gross obszedł dom Stanisława Sądeckiego. Ziemia była ciężka i wilgotna, kleiła się do podeszew butów.

Śledztwo dobiegło końca i prokuratorka Justyna Bilka postawiła Igorowi Wójcickiemu zarzuty. Komisarz sądził jednak, że mężczyzna szybko się z nich wywinie, jeśli posłucha sprytnego adwokata, który namówi oskarżonego, by przed sądem próbował zrzucić winę na nieżyjącą już żonę, która miałaby go podżegać do zemsty.

Zmarli potrzebują spokoju, przypomniał sobie Gross.

Działka Sądeckiego w części była ogrodzona, a jednak komisarz nie znalazł tam tego, czego szukał.

Dlatego postanowił przejść się nad jezioro. Przy brzegu zaciągnął się rześkim powietrzem, a następnie rozejrzał się dookoła. Teren porastały chaszczce, które rozciągały się aż do starego lasu.

Gross wiedział, czego szukał, obawiał się jednak, że samemu trudno mu będzie to znaleźć. A jednak uznał, że powinien spróbować.

Wcześniej zadzwonił do wnuka Stanisława Sądeckiego i zapytał go, gdzie dziadek trzymał łódkę. Mężczyzna podesłał Grossowi esemesem pinezkę i komisarz raz jeszcze sprawdził miejsce na mapie Google. Zaznaczony punkt znajdował się po skosie od narożnika domu nieżyjącego mężczyzny. Młody Sądecki przyznał jednak, że łódkę sprzedał na prośbę dziadka w listopadzie, bo starszemu mężczyźnie były potrzebne pieniądze.

Komisarz cofnął się do ogrodzenia, a następnie szedł wzdłuż niego, aż do chwili, gdy znalazł się w pobliżu budynku. Potem odbił w prawo, w mokrą trawę, i szedł wolno w kierunku brzegu. Miał do niego nie więcej niż trzydzieści metrów.

Musiał wyżej unosić nogi i przyglądać się trawie.

Kiedy znalazł się blisko brzegu jeziora, krzaki utrudniły mu dostęp do linii wody, więc zrobił dwa kroki w bok i postanowił wrócić, kierując się na opustoszały dom Sądeckiego.

Nogawki sztruksów zmoczyły się od zimnej rosy i nieprzyjemnie przyklejały do łydek. Skarpety też miał mokre i czuł, że odchoruje te poszukiwania.

Dotarł do ogrodzenia i dał sobie ostatnią szansę. Tym razem wybrał drogę pod jeszcze większym kątem, tę, która biegła skrajem lasu. Ruszył ponownie, przyglądając się ziemi

i próbując rozgarniać kępy traw butami. Krok za krokiem zbliżał się do lasu i czuł, jak z powodu zawilgoconych skarpet zmarzły mu stopy. Pięty bolały go przy każdym kroku, więc uznał, że zrobi sobie chwilowy odpoczynek. Oparł się o starą sosnę i przyglądał drodze, którą miał do pokonania. Przez pobliskie krzaki prześwitywała tafla jeziora.

A więc to na nic, pomyślał.

Uznał, że wróci tu wiosną, może wtedy pogoda okaże się łaskawsza, chociaż zdawał sobie sprawę, że trawa będzie jeszcze wyższa i gęste krzewy zupełnie zasłonią ziemię.

Poddał się i wrócił do ogrodzenia.

Ostatni raz spojrzął w kierunku jeziora i coś go tknęło.

Do tej pory każda z dróg, którą wybrał, kończyła się na krzakach. A zatem popełnił błąd. Powinien wybrać drogę, która łączyła się z przesmykiem w zaroślach i gdzie wody jeziora lizwały gładki piaszczysty brzeg. Tylko w takim miejscu Stanisław Sądecki i jego wnuk mogli trzymać łódkę.

Odnalazł to miejsce wzrokiem i ruszył, nie zważając na mokre nogawki i przemoczone buty. Gdy w końcu stanął nad jeziorem, odwrócił się do wody plecami. Pochylił się i oparł dłonie na kolanach, a następnie wbił wzrok w trawę. Przeczesał ją uważnie, aż w końcu znieruchomiał.

Pomiędzy zielonymi kępami dostrzegł coś, co odróżniało się kolorystycznie od leśnego podłoża.

Tuż przy pierwszej linii drzew odnalazł niewielkiego otoczaka.

Nie wziął go do ręki, ale znalezisko sprawiło, że poczuł dreszcz na plecach. Kiedy podszedł bliżej, dostrzegł kolejny szary kamyk.

Było ich tu sporo i trawa zdawała się przerzedzona, jakby ktoś ją przycinał lub wyrwał.

Powiódł wzrokiem wzdłuż linii ułożonej z kamyków.

Tworzyły prostokąt długi na co najmniej półtora metra i szeroki na niecały metr. Pośrodku wytyczonego fragmentu ziemi znajdowało się wiele innych kolorowych, drobnych kamieni.

Gross przełknął ślinę i coś ścisnęło go za gardło.

Czyli to tu, pomyślał.

Nie miał pojęcia, czy ktokolwiek wiedział o znaczeniu tego miejsca. Ktokolwiek oprócz Stanisława Sądeckiego. Bo komisarz nie miał wątpliwości, że to właśnie ten mężczyzna dbał o bezimienną mogiłę młodej Żydówki, której nie zdołał uratować.

Ale przecież, tak jak ona, był wtedy tylko dzieckiem.

Gross pozostał tam jeszcze przez jakiś czas, a kiedy odchodził, miał wrażenie, że w lesie między drzewami dostrzegł przygarbioną postać Kazimierza Kowala.

W Strużalu wiatr niósł zapach świeżo kopanej, mokrej ziemi.

Gross szedł w stronę domu Leokadii Żurek, gdy udało mu się połączyć ze starym Kowalem. Mężczyzna odebrał po kilku sygnałach.

– Halo?

Komisarz się przywitał.

– W czym mogę panu pomóc? – spytał mężczyzna.

– Przede wszystkim w ustaleniu prawdy – poprosił Gross.

– O jakiej prawdzie mowa?

– O tym, jak wspólnie z Józefem Żurkiem wydał pan Sądeckiego i skazał w ten sposób młodą Żydówkę na śmierć.

– Skąd pan to wie?

– Cieszę się, że pan nie zaprzecza – skontrował Gross i dodał: – I pan, i Żurek, a także jego córka, twierdziliście, że Żydówki co prawda nie udało się uratować, ale opuściła Chełmżę wraz z marszem śmierci.

– Bzdura.

– Tymczasem dobrze pan wie, że tuż obok domu Sądeckiego jest jej grób. To dlatego Sądecki walczył o zakazanie ekshumacji – kontynuował Gross.

W słuchawce słyszał sapanie Kowala.

– Czego pan ode mnie oczekuje? – spytał starzec.

– Jak pan widzi, w zasadzie wszystko już wiem. Interesuje mnie tylko to, jak się pan zachowa.

– To znaczy?

– Czy będzie pan szedł w zaparte, czy być może przyzna się pan do błędu. Zginęła dziewczyna, młoda Żydówka.

– One i tak byłyby martwe – bronił się Kowal.

– Niewielka część z nich przeżyła Holokaust i one wracały tu, do Chełmży, do miejsc kaźni – przypomniał mu Gross. – Czytałem o tym w kilku książkach.

– Niech pan to zostawi. Nie przeżył pan wojny i nic pan o tym świecie nie wie.

– Zmarłym należy się spokój, tak? – spytał Gross.

– Żeby pan wiedział.

– A ta stara rana na ciele Sądeckiego? To pana robota? Sądziłem, że dostał od hitlerowca bagnetem, ale gdyby tak było, opowiadałby o tym rodzinie. To mógłby być powód do chwały. Tymczasem on milczał. I teraz już wiem dlaczego. Bo to wszystko przez was. Być może to właśnie w ten sposób udaremniście mu próbę uratowania tej dziewczyny. Ona zapłaciła za to życiem, a Sądecki własną krwią.

– Niech pan już nigdy więcej do mnie nie dzwoni. Czy to jasne?

– Więc pan się przyznaje, że to pan go tak urządził? – zapytał komisarz, ale w głośniku coś cicho trzasnęło i Kowal już nie odpowiedział mu na to pytanie.

Gross szedł przed siebie.

Słońce to wychylało się zza chmur, by oświetlić pola i błyszczeć w jeziorze, to znów chowało się za gęste, obszerne obłoki.

W końcu, rozmyślając o trudnym losie i życiu Stanisława Sądeckiego, dotarł do niewielkiego budynku i zapukał w drzwi. Raz i drugi.

– Kto tam? – usłyszał stłumiony głos gospodyni dobywający się z wnętrza.

Nie odpowiedział, tylko zapukał raz jeszcze.

Po chwili drzwi ustąpiły, ale kiedy Leokadia Żurek zorientowała się, kto za nimi stoi, chciała z powrotem je zamknąć. Zdażył jednak w porę zareagować i stawiał im opór.

– Ja tylko na chwilę – obiecał. – Nawet nie będę wchodził.

– Czego pan chce?

– Prawdy.

– Jakiej prawdy?

– Pani ojciec i Kazimierz Kowal nie uratowali młodej Żydówki.

– Uratowaliby, gdyby nie Sądecki.

– Pani wie, że to nieprawda. Rozmawiałem o tym z Kowalem. I on się przyznał. To on pchnął Sądeckiego niemieckim bagnetem, po którym Sądeckiemu pozostał na ciele gruby i brzydki zrost.

– O czym pan mówi?

– To oni go zdradzili – powiedział. – To robota Kazimierza Kowala, któremu pomagał pani ojciec. To dlatego Sądecki nie potrafił wybaczyć tego Kowalowi. I właśnie dlatego przyszedł na spotkanie sąsiada z młodzieżą. Pilnował go, żeby ten nie kłamał. Tak to wyglądało.

– A co pan może o tym wiedzieć? – zezłościła się. – Nie było pana przy tym, kiedy ratowali Żydówkę.

– Pani też nie. Ale uwierzyła pani w kłamstwo. Ta kobieta została utopiona w przeręblu w Jeziorze Bielczyńskim. Na brzegu znajduje się jej grób.

– O czym pan mówi?

– O spokoju zmarłych. O kamieniach na mogile.

– Pan zwariował – rzuciła kobieta i zatrzasnęła Grossowi drzwi przed nosem.

Komisarz stał tak przez chwilę.

– On się nie kąpał w tym jeziorze. Nigdy. Rozumie pani? – odczekał kilka sekund. – A podobno doskonale pływał. To powinno dać pani do myślenia.

Odpowiedziała mu cisza.

Gross nabrał tchu i uspokoił oddech. Odwrócił się i zszedł z ganku, a potem opuścił działkę. Wolnym spacerowym krokiem szedł wzdłuż pól do ubłoconej asfaltówki.

A jedynym towarzyszem jego drogi był cień wielkiej chmury.

DZIEŃ NASTĘPNY

Komisarz Bernard Gross siedział w poczekalni bydgoskiego lotniska i co rusz nerwowo zerkał na zegarek.

Obserwował samolot pasażerski, zwrócony do niego przodem, i cysterne z paliwem, która zajęła miejsce po lewej stronie kadłuba. Obok, w pogotowiu, czekał wóz straży pożarnej. Po płycie lotniska kręciło się kilka osób z obsługi, ubranych w ocieplane kombinezony i kamizelki odbłaskowe.

W oddali, za hektarami wolnej przestrzeni, ciemniała ściana lasu. Przypominała kreskę pociągniętą drżącą ręką, narysowaną po to, by oddzielić ziemię od zachmurzonego nieba.

Policjant trzymał w ręku paszport, z którego wystawał bilet lotniczy do Wielkiej Brytanii. Na siedzeniu obok przysypiał młody mężczyzna w bluzie z kapturem założonym na głowę. Pasażerowie od godziny zbierali się w hali odlotów i wolnych miejsc na plastikowych krzeselkach stale ubywało.

Gross doceniał wygodę lotów i szybkość podróżowania tym rodzajem transportu. Nie pamiętał jednak, kiedy ostatnio siedział na pokładzie rejsowego lotu, ale musiało to być dawno temu.

Od czasu rozwiązania sprawy Stanisława Sądeckiego Gross kilkakrotnie rozmawiał z synem i żadna z tych rozmów nie zakończyła się awanturą. Komisarz nie obiecywał sobie za wiele, ale miał wrażenie, że Bartek po odstawieniu alkoholu lepiej radził sobie z własnymi emocjami i traumatyczną przeszłością. Wytrwale nad sobą pracował. Tylko dlatego Gross zaproponował, żeby się zobaczyli. Zaoferował, że przyleci do Wielkiej Brytanii, opłaci sobie noclegi w Doncaster i spędzi z synem weekend. Chłopak z rezerwą odniósł się do tego pomysłu, ale w kolejnych dniach, kiedy rozmawiali częściej, Gross odniósł wrażenie, że syn jednak cieszy się na to spotkanie.

– W sobotę mam co prawda zajęcia z angielskiego, ale to rano – powiedział niedawno przez telefon. – Po południu jestem wolny i w niedzielę też.

– Potrzebujesz czegoś? Coś ci przywieźć? – spytał Gross.

Chłopak się zamyślił.

– Nie, chyba nie.

– W takim razie do zobaczenia.

– Do zobaczenia – pożegnał się Bartek, ale się nie rozłączył. – Tato?

– Tak?

Młody milczał, ale Gross postanowił cierpliwie czekać.

– Dobrze, że się zobaczymy – stwierdził syn.

– Ja też się cieszę – przyznał komisarz, wbijając wzrok w bilet lotniczy.

Bernard Gross przypomniał sobie tę rozmowę w chwili, gdy odezwał się jego telefon.

Oderwał wzrok od wielkich silników samolotu podwieszonych pod skrzydłami, by sprawdzić, kto dzwoni.

Zaskoczony odebrał i przywitał się z Miłozsem Wiernatem.

– Dzień dobry, panie komisarzu. Wiem, że próbował pan się ze mną skontaktować – przypomniał młody policjant.

– Dokładnie dwa miesiące temu – policzył Gross. – I dopiero teraz znalazł pan czas, żeby oddzwonić?

– Miałem problemy ze zdrowiem, a potem, przyznaję się bez bicia, zapomniałem o panu.

– A o sprawie, którą pan prowadzi?

– Nie. Ale nadal niewiele wiem.

– Niewiele? Przecież rozmawiał pan z moim synem.

– Tak, ale niestety te informacje nie popchnęły śledztwa do przodu.

– Jak to? – Gross poruszył się na plastikowym krześle. Mężczyzna przysypiający obok przeniósł na niego nieprzytomny wzrok.

– Przez ten czas sprawdziłem dokładnie tę kobietę, którą zabił jeden ze sprawców.

– No i?

– Jest zupełnie czysta. Nie mamy na nią nic. Przykładna matka i żona, dobra nauczycielka, z pasją wykonująca swój zawód.

– A jej środowisko?

– To znaczy?

– No przecież musiała ich znać. Trzeba to dokładnie sprawdzić.

– Sprawdziłem. I nie mamy nic – przyznał Wiernat. – Przykro mi.

Gross spuścił głowę.

– Liczyłem na większe zaangażowanie – poskarżył się.

– Przez te dwa miesiące zrobiłem, co w mojej mocy.

– Niech pan nie odpuszcza – poprosił komisarz. – Niech pan mi obieca, że nadal będzie pan dążył.

– Obawiam się, że sprawdziłem już wszystko.

– Niech pan to obieca – naciskał Gross.

Jego rozmówca wypuścił z sykiem powietrze. Zaszumiało w słuchawce.

– Postaram się.

– Zawsze mogę panu pomóc – zarzucił wędkę Gross.

– Dobrze pan wie, że nie mogę skorzystać z pana propozycji.

– Chodzi o nieoficjalne działania.

– Jeśli mamy zadbać o to, by winni zostali ukarani, to niech pan, panie komisarzu, wybije to sobie z głowy. Do widzenia. – Wiernat się rozłączył.

Gross wstał i zrobił kilka kroków po wypełnionej hali odlotów. Nie wiedział nawet, kiedy przybyło tak wielu pasażerów.

Podszedł do okien i ponownie zawiesił wzrok na samolocie. Cysterna dawno już odjechała.

Gdzieś po lewej zauważył ruch. Ludzie zaczęli ustawiać się w kolejkę do bramki. Ktoś z obsługi otworzył drzwi i chłód zaczął skradać się po posadzce, wywołując w Grossie dreszcz.

Odrzucił myśli o tym, co dawno temu wydarzyło się w jego domu. Wolał myśleć o przyszłości. Nawet takiej, w której sprawa napadu na Agnieszkę nigdy nie znajdzie rozwiązania. Po latach starał się siebie przekonywać, że są ważniejsze sprawy. A jedną z nich była naprawa relacji z synem. Tym bardziej że, jak się zdawało, Bartek był już na to gotowy.

Gross ustawił się w ogonku za młodą dziewczyną z dużymi słuchawkami na uszach i czarną kitką sięgającą do połowy pleców. Na jej szyi kwitło kilka wytatuowanych kolorowych kwiatów, których kielichy zachodziły na kark i pchały się za ucho.

Kolejka poruszała się powoli, a komisarza wypełniał niepokój.

Cieszył się na myśl o spotkaniu z synem, który zerwał z dotychczasowym życiem, ale nie był pewien, czy jego przyjazd nie wpłynie negatywnie na Bartka. Chłopak dopiero wychodził z nałogu, potrzebował spokoju, a już sama obecność Grossa mogła otworzyć dawne rany.

Może wciąż było za wcześnie na te odwiedziny, zastanawiał się komisarz i poczuł ukłucie w okolicach serca.

Wiedział, że nie każdy ból płynący z mostka ma związek z mięśniem tłoczącym krew. Równie dobrze to mogły być neuralgie, migrujące bóle od kręgosłupa, z okolic dotkniętych dyskopatią. Dlatego starał się nie przejmować nimi zbyt, a jednak wcale go to nie uspokoiło. Bo rytmiczny ból zdawał się pęcznieć.

Syn przypominał mu samego siebie z tego okresu, kiedy Agnieszka znalazła miejsce w Fundacji „Światło”. Gross odciął się wówczas od dawnego życia. Sprzedał dom, który przestał być ich wspólnym rodzinnym miejscem, i za zgodą komendanta garnizonu

w Toruniu przeniósł się do nieodległej jednostki w Chełmży. Od znajomych nawet nie zdążył się odciąć, bo te kontakty, ze względu na stan żony Grossa, wygasły szybciej, niż się spodziewał.

Dziewczyna z tatuażem zrobiła dwa kroki przed siebie, a Gross zerknął na zewnątrz przez ścianę ze szkła. Pierwsi pasażerowie wchodzili już po schodach na pokład samolotu. Młody ojciec niósł na rękach dziecko i poprawiał plecak zsuwający się z ramienia.

Komisarz odetchnął głęboko.

Wiedział, że Agnieszka byłaby dumna, gdyby wiedziała, że jej mąż zamierzał spotkać się z synem i naprawić relacje. Wiele razy przeproszał ją milcząco za to, jakim był ojcem dla ich dziecka, a teraz mógłby wreszcie powiedzieć jej, że wszystko się ułożyło, że znowu będą rodziną.

Kolejny ból przeszył jego mostek i odebrał Grossowi dech. Skulił się i zamknął oczy.

– Kolejka – odezwał się ktoś za nim głosem wypranym z emocji.

Gross spojrział przed siebie i z ręką na sercu odczekał, aż ból ustąpi, po czym przesunawszy się o kilka kroków, usłyszał cichy sygnał swojego telefonu schowanego w kurtce.

Był coraz bliżej bramki, przy której młoda kobieta w uniformie weryfikowała bilety lotnicze i przepuszczała pasażerów na płytę lotniska.

Sięgnął po telefon.

Dzwoniła Aleksandra Jojczyk, od niedawna nowa komendantka komisariatu w Chełmży.

Zmiana na stanowisku szefowej jednostki przynajmniej na razie w żaden sposób nie wpłynęła negatywnie na pracę komisariatu. Jojczyk miała swoich przeciwników, ale wobec Grossa zachowywała się neutralnie, tak jak wtedy, gdy znajdowali się na równorzędnych stanowiskach naczelników wydziałów.

Komisarz odrzucił połączenie i zbliżył się do bramki.

Kobieta z krótkimi rudymi włosami zerknęła w jego bilet i paszport, zeskanowała dokument i oddała go Grossowi.

– Udanego lotu – uśmiechnęła się życzliwie i Gross wyszedł na zewnątrz.

Wiatr się wzmażał i chłód owionął mu twarz.

Ruszył w kierunku schodów.

Wierzył, że kiedy wróci z wyprawy do Anglii i odwiedzi Agnieszkę, będzie miał dla niej dobre wiadomości. Był przekonany, że wkrótce przyjdą do niej razem, on i Bartek. I wtedy obaj staną przy łóżku Agnieszki, tak jak dawniej, kiedy syn miał naście lat, przytulą się do niej i będą znowu rodziną.

Tyle tylko, że w tym obrazie nie było miejsca dla Malwiny.

Gross zmarkotniał.

Wszedł w końcu na pokład samolotu i otarł wilgotne powieki, w których wezbrały łzy, wyciśnięte przez chłodny wiatr.

Stewardesa przywitała go w progu i wskazała na wąskie przejście, którym przedostał się do swojego miejsca. Wsunął plecak do luku bagażowego i usiadł przy oknie. Od razu zasunął roletę. Nie zamierzał patrzeć na to, jak kilkadziesiąt ton żelastwa unosi się błyskawicznie w powietrze i zwiększa pułap, oddalając się od ziemi.

Pasażerowie zapełniali samolot i gwar stawał się coraz głośniejszy.

Miejsce obok zajęła Afroamerykanka z wysokim mężem, którzy rozmawiali ze sobą po angielsku i Gross wyłapywał jedynie pojedyncze wyrazy.

Wtedy telefon zadzwonił po raz drugi. Tym razem Gross rozpoznał numer stacjonarny. Sekretariat komisariatu policji w Chełmży.

– Siedzę w samolocie – odezwał się poirytowany.

– Wiem, ale pani komendant prosiła – odezwała się Beata Różycka. – Nie gniewaj się na mnie.

– Co się stało?

– Sama ci powie. Mogę przełączyć?

– Przełącz – odezwał się i po chwili w słuchawce usłyszał długie sygnały centrali telefonicznej.

– Bernardzie? – odezwała się Jojczyk.

– Tak?

– Miałeś kiedyś do czynienia z samobójstwem rozszerzonym?

– To znaczy?

– Rano dostaliśmy sygnał, że przykładowy mąż i dobry pracownik jednego z tutejszych zakładów zabił swoją siedmioletnią córkę i młodą żonę. Sąsiedzi widzieli go zakrwawionego z młotkiem w ręku, gdy wyszedł na podwórze, a potem skręcił do szopy. Długo nie wychodził, więc wezwali policję. Nasi pojechali na miejsce i odkryli horror. Facet się powiesił.

Gross nie odpowiedział.

– Halo? Jesteś tam? – spytała Jojczyk.

– Kto jest na miejscu? – odezwał się komisarz.

– Skalska.

– Poradzi sobie.

– Wątpię. Prokurator Legner prosił, żebym ciebie ściągnęła.

– Siedzę w samolocie. Już prawie kołujemy.

– To co mam mu powiedzieć?

– Żeby skontaktował się ze Skalską.

– Twierdzi, że nikomu nie da tej sprawy. Albo zrobi to z tobą, albo dogada się z komendantem, żeby przysłał kogoś z miejskiej lub wojewódzkiej.

– Lecę do syna. Mam gdzieś, kto się tym zajmie – stwierdził Gross. – Mam urlop, muszę odpocząć.

– Rozumiem – powiedziała Jojczyk, ale się nie rozłączyła.

Gross zrobił to za nią, po czym wcisnął telefon do kieszeni spodni.

– *Could you lift the blind, please?* – Kobieta obok wskazała na okno.

– *What?* – burknął, odwróciwszy się do niej.

– *The blind. Could you lift it? I would like to see what's outside.*

– *No, I can't!* – odparł i poczuł, jak targa nim złość. Przymknął oczy, ale na niewiele się to zdało. Gdzieś w jego głębi coś się zatrzęsło i fala rozeszła się po ciele. Gross boleśnie przygryzł wargi i zacisnął dłonie na podłokietnikach.

Usłyszał, jak oburzona pasażerka wyszeptała coś do siedzącego obok partnera, który nie odpowiedział.

Gross uniósł powieki i zobaczył stewardesę, która wciąż stała w przejściu i przepuszczała ostatnich już pasażerów, szli gęsiego do swoich miejsc.

Komisarz pomyślał o synu.

Tylko to się liczyło.

Sięgnął po pas, a następnie zapiął go i ponownie zamknął oczy.

Kwadrans później silniki samolotu zaryczały i maszyna zniknęła w niskim pułapie chmur.

Mężczyzna przyglądał się startującemu samolotowi, a potem odczekał chwilę, błędząc wzrokiem po szarych obłokach i wsłuchując się w cichnący odgłos silnika.

Odwrócił się od ogrodzenia i skierował na parking.

W drodze do samochodu dobył z kieszeni telefon i wybrał numer.

– Jesteś już w niebie? – rozpoznał głos Skalskiej.

– Wracam.

– Jezu. Nie poleciałeś? – westchnęła. – Prosiłam, żeby nikt ci nie mówił o tym, co tu się wydarzyło.

– Za godzinę będę na miejscu – poinformował Gross, ignorując jej pytanie.

Rozłączył się i wybrał numer do Malwiny Lemańskiej.

– Co się stało, Bernardzie? – zaniepokoiła się.

– Nigdzie nie lecę.

– Jak to?

- Muszę wrócić do Chełmży.
- Rozmawiałeś z Bartkiem? Pokłóciliście się?
- Nie. Po prostu muszę wrócić. Doszło do samobójstwa rozszerzonego.
- I tylko dlatego zrezygnowałeś z urlopu?
- Chcę tu wszystkiego dopilnować.
- Przecież Skalka sama dałaby sobie radę.

Gross dostrzegł dach golfa wśród samochodów stojących na parkingu i przystanął.

- Pewnie masz rację.
- Może to jeszcze przemyśl?

Komisarz spojrział w niebo, ale nie dostrzegł już samolotu, w którym niedawno siedział. Słyszał tylko pomruk silników.

- Odezwę się wieczorem – stwierdził.
- Skoro tak, to zadzwoń do syna.
- Zrobię to.
- Zrób to od razu. Jak wpadniesz w wir pracy, nie będziesz o tym pamiętał.

Gross wiedział, że miała rację.

– Zadzwonię – obiecał i otworzył samochód, który mrugnął kierunkowskazami. Ustawił plecak na fotelu pasażera.

Chciał przekręcić kluczyk w stacyjce, ale zamiast tego położył dłonie na kierownicy i zamknął oczy. Trwał tak przez chwilę, a potem otarł twarz i oparł głowę na zagłówku.

Pomyślał o Bartku i o tym, że kolejny raz zawiedzie swojego syna. Tym razem jednak musiał się z tym zmierzyć.

Sięgnął po telefon i wybrał jego numer.

A potem, z tłukącym się w klatce sercem, zaczął liczyć sygnały.

Pierwszy, drugi, trzeci...

POSŁOWIE

W kontekście tragicznego losu Żydówek z podobozów KL Stutthof, zorganizowanych m.in. na terenie obecnego powiatu toruńskiego, warto wyjaśnić, że wątek ze stycznia 1945 roku, który stał się kanwą *Zrostu*, a dotyczy młodości Stanisława Sądeckiego i Salci z łódzkiego getta, jest oczywiście fikcyjny. Niemniej starałem się zrobić wszystko, aby realia tamtego okresu zostały wiernie oddane i były zgodne z obecną wiedzą historyczną.

Informacje o podobozach KL Stutthof czerpałem głównie z książki dr hab. Sylwii Grochowiny pt. *Toruński Holokaust. Losy żydówek z podobozu KL Stutthof o nazwie Baukommando Weichsel (ot Thorn) w świetle relacji i wspomnień ocalałych ofiar i świadków*.

Folksdojczami nazywam w powieści osoby pochodzenia niemieckiego zamieszkujące na terenach II Rzeczypospolitej. Z kolei „Selbstschutz” to tzw. samoobrona, organizacja paramilitarna, zrzeszająca wspomnianych Niemców etnicznych odpowiedzialna za internowanie i eksterminację Polaków z terenów wcielonych do III Rzeszy.

W aptekach nie ma Defidronu i Medrosolu, ale mimo to można wykupić w nich leki, które działają w identyczny sposób, jak ten opisany przeze mnie w powieści.

Mieszkańcom Chełmży i uważnym Czytelnikom jestem jeszcze winien dwa, tym razem topograficzne, wyjaśnienia. Nie istnieje droga gruntowa dla samochodów, która łączy ulicę Polną z ulicą Buczek. Nie ma też w Chełmży opisanego w powieści domu przy Polnej 9.

Przynajmniej na razie.

PODZIĘKOWANIA

W trakcie pisania *Zrostu* skorzystałem z niebywalej życzliwości i pomocy wielu osób.

Pani Danuta Powaszyńska, mieszkanka gminy Chełmża, pewnego dnia, być może nawet tuż po chełmżyńskim spotkaniu promującym trzecią część cyklu z komisarzem Grossem, podeszła do mnie i zapytała, czy słyszałem o Żydówkach topionych przez hitlerowców w jeziorze w Bielczynach.

Nie słyszałem.

Ale był to właściwy impuls, który sprawił, że chciałem powrócić do tego tematu w trakcie pisania czwartego tomu śledztw komisarza Grossa. Szczególnie że Danuta Powaszyńska zaprosiła mnie do Bielczyn, gdzie w połowie marca pochodziliśmy sobie wokół jeziora. Pożyczyła mi też kilka książek zawierających relacje świadków wspominających dramaty Żydówek z przełomu lat 1944–1945 na chełmżyńskiej ziemi.

Pani Danuto, bardzo dziękuję za ważną inspirację i wsparcie.

Wiedziałem jednak, że zabierając się za tak trudny temat, będę potrzebował pomocy historyka. Na szczęście na mojej drodze pojawił się wówczas Sebastian Bartkowski, nauczyciel tego przedmiotu, pasjonat historii z Unisławskiego Towarzystwa Historycznego, a także członek Komitetu Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa przy Oddziale IPN w Gdańsku, reżyser filmu *Barbarka 1939* poświęconego zbrodni hitlerowskiej na mieszkańcach Torunia i okolic.

Sebastianie, dziękuję, że mogłem liczyć na Twoje ogromne zaangażowanie i że zechciałeś poświęcić czas na wnikliwą lekturę obszernych fragmentów tej powieści. Dzięki Tobie uniknąłem wielu błędów merytorycznych. Ukłony!

Tradycyjnie chciałbym też podziękować moim dotychczasowym znakomitym ekspertom za poświęcony czas, dzielenie się wiedzą i za nieustający zapal: dr. n. med. Bartoszowi Burchardtowi z Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego im. K. Marcinkowskiego w Poznaniu, dr. Pawłowi Leśniewskiemu, adiunktowi w Katedrze Kryminalistyki Akademii Nauk Stosowanych im. Stanisława Staszica w Pile, Tadeuszowi Zymanowi, prokuratorowi w stanie spoczynku.

Swój wkład w tę książkę ma również Piotr Liana, autor powieści kryminalnych i farmaceuta. Dzięki, Piotrze.

Bardzo dziękuję pierwszym czytelnikom *Zrostu* za wrażenia i uwagi. Kłaniam się nisko Joannie i Marcinowi Żydom, a także Sylwii Janowicz i Rafałowi Żukowi. Wasze sugestie

bardzo mi pomogły. Specjalne podziękowania niech przyjmie również mój znakomity chełmiński konsultant Dariusz Łubkowski, który czuwa nad tym, by kolejne tomy cyklu o Grossie były wolne od błędów i nieścisłości topograficznych. Ale nie tylko. Wkład Darka jest większy, bo przecież jest inicjatorem i jednym z organizatorów *Spacerów śladami komisarza Grossa*, autorem przewodnika *Chełmża Bernarda Grossa*, a także współorganizatorem i prowadzącym moje spotkania autorskie w Chełmży.

Bardzo serdecznie dziękuję Ewelinie Korostyńskiej, znakomitej redaktorce, oraz Waldemarowi Popkowi, zastępcy redaktor naczelnej Wydawnictwa Literackiego, za wszystkie mądre uwagi, dzięki którym *Zrost* stał się lepszą powieścią. Kłaniam się też pani Biance Dziadkiewicz za wkład w dbałość o język tej historii.

Będzie mi miło, jeśli podziękowania przyjmą promotorka Ania Kędzierska i Marcin Baniak, dyrektor działu promocji WL-u, a także pozostali pracownicy Wydawnictwa Literackiego. Jestem Wam bardzo wdzięczny za wszystko, co robicie, by czytelnicy usłyszeli o moich powieściach.

Kłaniam się nisko blogerkom i blogerom, a także moim znakomitym koleżankom i kolegom po piórze: Ani Rozenberg, Marcie Matyszczak, Julii Łapińskiej, Bartoszowi Szczygielskiemu, Przemkowi Żarskiemu, Marcelowi Woźniakowi i Przemkowi Semczukowi, Markowi Stelarowi oraz Ryszardowi Ćwirlejowi. Ściskam mocno mistrza Mariusza Czubaja i wspaniałego Macieja Siembiedę.

Bardzo dziękuję moim ukochanym: żonie Kasi i synowi Maksowi, za ogrom wsparcia i za to, że zawsze mogę na Was liczyć. Kocham bardzo!

Dziękuję wszystkim moim najbliższym, a w szczególności rodzicom i teściom, bratu Jarkowi i jego żonie Sylvii, bratankowi Arturowi i Klaudii Zielińskiej.

Szczególne podziękowania niech przyjmą również Czytelniczki i Czytelnicy. Dziękuję, że wciąż sięgacie po moje powieści i że macie ochotę na więcej. Doceniam to bardzo.

I dlatego piszę już kolejną powieść.

Robert Małecki

[facebook.com/robertmalecki.autor](https://www.facebook.com/robertmalecki.autor)

[instagram.com/robertmalecki.autor](https://www.instagram.com/robertmalecki.autor)

www.robertmalecki.pl